

Nr

SCRIPTORES
OŚRODEK
BRAMA
GRODZKA
TEATRNY

38



2
TOM

wspomnienia

artykuły

biografia

rewolucja powielaczowa

opozycja

J A N U S Z K R U P S K I

LUBLIN-DROGI DO WOLNOŚCI

Adres wydawcy:

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”
ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin
www.teatrnn.pl
teatrnn@tnn.lublin.pl

Dyrektor Ośrodka:

Tomasz Pietrasiewicz

Redakcja, ilustracje i układ numeru:

Anna Kiszka
anna@tnn.lublin.pl

Konsultacja merytoryczna:

Maciej Sobieraj

Współpraca:

Wioletta Wejman (Pracownia Historii Mówionej OBGTTN),
Agnieszka Wiśniewska (Dom Słów OBGTTN)

Korekta:

Agnieszka Zajdel

Projekt okładki i strony tytułowej:

Małgorzata Rybicka

© Copyright for cover design by Małgorzata Rybicka 2011

Skład:

Amadeusz Targoński
www.targonski.pl

Druk i oprawa:

Petit Skład–Druk–Oprawa
Wojciech Guz i Wspólnicy Spółka Komandytowa
ul. Tokarska 13, 20-210 Lublin
www.petit.lublin.pl

Nakład: 1000 egz.

„Scriptores” jest kontynuacją pisma
„Scriptores Scholarum. Kwartalnik Uczniów, Nauczycieli
oraz Ich Przyjaciół” wydawanego przez Ośrodek „Brama
Grodzka – Teatr NN” w latach 1994-2000 (nr 4-26).

Numer dofinansowany przez
Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych.

„Co lubił? Lubił być w domu. Chociaż był w nim mało, bo dużo pracował, wyjeżdżał w delegacje, zawsze powtarzał, że chętnie byłby w tym domu dłużej. W domu się odprężał.

Bardzo lubił pić herbatę. To był rodzinny ceremoniał. Pretekst do rozmów. Przy herbatce omawialiśmy wszelkie rodzinne i społeczne sprawy. Najbardziej odpowiadały mu herbaty sypane. Słodził dwie lub trzy łyżeczki.

Lubił zajmować się ogrodem, kosić, przycinać drzewa, lubił również rąbać drzewo – zawsze w zime palił nim w naszej kociołce – a także lubił podlewać rośliny. Byłoby prościej, gdyby kupił zwykłą pompę płynkową, ale on czerpał wodę ze studni wiadrem na drucie. Potem przelewał do konewki i cały ogród podlewał konewką – to sprawiało mu przyjemność”.

(Fragment wspomnienia Joanny Krupskiej, s. 110)

JANUSZ KRUPSKI

SPIS TREŚCI

5	Tomasz Pietrasiewicz Słowo wstępne
7	Od Redakcji
CZĘŚĆ I. SYLWETKA	
11	O. Ludwik M. Wiśniewski OP Wspomnienie o Januszu Krupskim.
	Był człowiekiem sumienia
13	Być chrześcijaninem w społeczeństwie i państwie. Z Januszem Krupskim rozmawia Wojciech Chudy
31	Janusz Krupski (wspomnienie ze zbiorów Pracowni Historii Mówionej)
CZĘŚĆ II. WSPOMNIENIA OPOWIEDZIANE	
83	Janusz Bazydło
89	Bogdan Borusewicz
95	Bożena Iwaszkiewicz-Wronikowska
101	Joanna Krupska
111	Maciej Sobieraj
CZĘŚĆ III. WSPOMNIENIA PUBLIKOWANE	
125	Pożegnanie ministra Janusza Krupskiego
127	Władysław Bartoszewski [Janusza Krupskiego miałem szczęście poznać...]
131	Janusz Bazydło Wystąpienie podczas pogrzebu ministra Janusza Krupskiego, Cmentarz Powązkowski, Warszawa, 26 kwietnia 2010 roku
133	Bogdan Borusewicz Wystąpienie po mszy św. żałobnej w kościele św. Marcina w Warszawie
135	Jan Stanisław Ciechanowski Przemówienie na pogrzebie ministra Janusza Krupskiego, Cmentarz Powązkowski, Warszawa, 26 kwietnia 2010 roku
136	Tadeusz Chwiedź [Tragedia naszego narodu...]
138	Jerzy Kłoczowski [Był mi bardzo bliski od wielu lat...]
140	Grażyna Wiśniewska [Zacęłam pracować w Urzędzie...]
141	Jan Żaryn Wiceprezes
CZĘŚĆ IV. TEKSTY JANUSZA KRUPSKIEGO	
145	Janusz Topacz [Janusz Krupski] O co chodzi?!
153	Janusz Krupski Ruch neofilarecki w latach 1903-1914
161	Janusz Krupski Wspomnienie

CZĘŚĆ V. UZUPEŁNIENIA (DOKUMENTY Z EPOKI)

	Z listów Jerzego Giedroycia i Jana Nowaka-Jeziorańskiego
167	List 237
170	List 239
173	List 243
174	List 253
175	List 268
177	Wypowiedź Janusza Krupskiego ze stenogramu dyskusji na temat Socjalistycznego Związku Studentów Polskich na KUL 17 marca 1973 roku
179	Bibliografia Wydawnictwa Krupski i Sk-a
183	Janusz Krupski – bibliografia (wybór)
185	Program Historia Mówiona

Tomasz Pietrasiewicz

Słowo wstępne

Kolejny monograficzny numer pisma „Scriptores” wydawanego przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN” poświęcony jest osobie śp. Janusza Krupskiego. Ukazuje się on w pierwszej rocznicę jego śmierci w katastrofie koło Smoleńska.

Janusz Krupski po raz pierwszy pojawił się w siedzibie Teatru NN, w Bramie Grodzkiej, w połowie lat 90., przygotowując do druku na nasze zlecenie esej Władysława Panasza *Oko Cadyka*. Niestety, tekst ten nigdy nie został opublikowany w kształcie edytorskim przez niego zaproponowanym. W tym samym czasie wydał on dla Teatru NN inną książkę, zatytułowaną *Brama* (1998), podsumowującą pierwsze lata działalności Teatru.

Praca nad tą książką zbliżyła go na tyle do tego miejsca, że w czasie swoich krótkich wizyt w Lublinie – do którego przyjeżdżał z Warszawy – zawsze starał się tu przychodzić. Dzięki temu na bieżąco wiedziałem o jego imponujących planach wydawniczych i kolejnych ważnych książkach ukazujących się w jego wydawnictwie (Krupski i S-ka). W 2000 roku w Ośrodku odbyła się promocja jednej z wydanych przez niego książek – monumentalnego albumu *Bramy nieba. Bożnice murowane na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej* przygotowanego przez Marię i Kazimierza Piechotków (1999). Po zawieszeniu działalności wydawniczej spowodowanej trudnościami ekonomicznymi oraz objęciem przez Janusza stanowiska zastępcy dyrektora IPN-u, nadal utrzymywaliśmy ze sobą kontakt.

Gdy w 2005 roku zaczęliśmy w Ośrodku zbierać materiały do numeru „Scriptores” poświęconego niezależnemu

ruchowi wydawniczemu w Lublinie, zacząłem Janusza dokładnie wypytywać o historię powstania pisma „Spotkania” i związanej z nim podziemnej drukarni. Dopiero po tych rozmowach dotarło do mnie, że niezależny ruch wydawniczy narodził się w Lublinie, a nie w Warszawie, wraz z powstaniem Niezależnej Oficyny Wydawniczej (NOW-ej) – jak głosiła obiegowa opinia.

Z wieloma osobami związanymi ze „Spotkaniami” i niezależną poligrafią zostały nagrane wywiady, dzięki którym w roku 2009 mógł ukazać się numer „Scriptores” zatytułowany „Siła Wolnego Słowa” – otwierający cykl publikacji, który nazwaliśmy „Lublin – Drogi do Wolności”. Ten numer „Scriptores” w całości poświęcony był niezależnemu ruchowi wydawniczemu w Lublinie.

Wtedy też zrodziła się w Ośrodku idea stworzenia stałej ekspozycji pokazującej ten ruch, a w szczególności „Spotkania”. Dla prezentacji tego pomysłu zorganizowaliśmy dużą publiczną debatę (2008). Cały projekt został nazwany „Siła Wolnego Słowa” i miał poparcie zarówno Janusza Krupskiego, jak i środowiska „Spotkań”.

Naturalnym miejscem dla wspomnianej ekspozycji staną się pomieszczenia niedawno otwartej przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN” Izby Drukarstwa. Tam w roku 2010 spotkałem się z Januszem Krupskim, na miesiąc przed jego śmiercią, i przedstawiłem mu koncepcję wystawy. Był z nami jeszcze Maciej Sobieraj, również związany ze „Spotkaniami”. To wtedy Janusz podjął decyzję o przekazaniu na wystawę jed-

Słowo wstępne

nego z dwóch pierwszych powielaczy z drukarni „Spotkań”, na którym drukowano „bibułę”.

Wystawa zostanie otwarta w 35. rocznicę powstania drukarni „Spotkań”, czyli w czerwcu 2011 roku. Wtedy też ukaze się numer „Scriptores” zawierający materiały o środowisku „Spotkań”.

Kiedy dotarła do nas wiadomość o śmierci Janusza Krupskiego, zdecydowaliśmy się również na przygotowanie numeru „Scriptores” poświęconego jego osobie.

Chciałbym w imieniu Ośrodka, a w szczególności zespołu pracującego nad „Scriptores”, podziękować wszystkim osobom, których życzliwość i wsparcie umożliwiły ukazanie się niniejszego numeru. Dziękuję najpierw Pani Joannie Krupskiej, która okazała wiele zrozumienia dla naszej inicjatywy. Panu Janowi Stanisławowi Ciechanowskiemu, pełniącemu obowiązki kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, dziękuję za zainteresowanie projektem i gotowość finansowego wsparcia naszego wy-

dawnictwa. Panu Maciejowi Sobierajowi jestem wdzięczny za merytoryczną opiekę nad „Scriptores”, pomoc przy wyszukiwaniu materiałów, służenie radą, wyjaśnieniami i odpowiedziami. Za życzliwe udostępnienie artykułów i fotografii do niniejszego numeru dziękuję: Panu Januszowi Bazydle (redaktorowi „Kombatanta”), Panu Mariuszowi Dworsatschkowi (wicedyrektorowi Zakładu Narodowego im. Ossolińskich), Panu Janowi Rumanowi (redaktorowi naczelnemu „Biuletynu IPN”), Księdzu Alfredowi Wierzbickiemu (dyrektorowi Instytutu Jana Pawła II, wydawcy „Ethosu”), Ojcu Ludwikowi Wiśniewskiemu OP (autorowi tekstu *Wspomnienie o Januszu Krupskim. Był człowiekiem sumienia*), Panu Janowi Żarynowi (autorowi tekstu *Wiceprezes*) oraz Kołu Naukowemu Historyków Studentów KUL (wydawcy *Księgi Jubileuszowej 90-lecia Koła Naukowego Historyków Studentów KUL*). Wreszcie serdecznie dziękuję osobom należącym do środowiska „Spotkań”, które udzieliły Ośrodkowi wywiadów i których relacje (oraz zbiory fotografii) wykorzystujemy w niniejszym numerze „Scriptores”.



Nagranie w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN”. Na zdjęciu Janusz Krupski, Wioletta Wejman i Łukasz Kowalski. Listopad 2007. Fot. Tomasz Czajkowski. Archiwum TNN.

Od Redakcji

Przekazujemy do rąk Czytelników 38 numer „Scriptores”. Jest to druga część z serii „Lublin – Drogi do Wolności”, na którą złożą się: wydany w roku 2009 „Scriptores. Siła Wolnego Słowa”, niniejszy numer oraz przygotowywany na czerwiec 2011 „Scriptores. »Spotkania«”.

„Scriptores” nr 38 jest poświęcony śp. Januszowi Krupskiemu. By opowiedzieć o nim w sposób jak najbardziej wielowymiarowy, zgromadziliśmy materiały z różnych źródeł. Rdzeniem numeru jest relacja Janusza Krupskiego nagrana w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN” w ramach programu Historia Mówiona. Towarzyszą jej inne, nie mniej ważne teksty. Czytelnik znajdzie tutaj wspomnienia osób blisko związanych z Januszem Krupskim (między innymi jego żony, przyjaciół, współpracowników i nauczycieli), które zostały zare-

jestrowane/napisane za jego życia bądź już po śmierci (wypowiedzi ustne zostały zredagowane – usunięto z nich powtórzenia i konstrukcje charakterystyczne dla języka mówionego).

Ponadto, „Scriptores” zawiera wybór tekstów autorstwa Janusza Krupskiego, wybraną bibliografię i ciekawe dokumenty z epoki – notatkę SB z przemówienia Krupskiego-studenta w 1973 roku oraz wybrane listy Jana Nowaka-Jeziorańskiego i Jerzego Giedroycia dotyczące redaktora „Spotkań”.

Stało się już zasadą „Scriptores”, że zawiera minimum komentarzy, za to możliwie wielowątkową narrację, po to, by zostawić Czytelnikowi pole na wyrobienie własnej opinii. Materiały zostały dobrane tak, by dotyczyły różnych momentów życiorysu Janusza Krupskiego (studiów, działalności opozycyjnej, pra-



Janusz Krupski na ulicy Skłodowskiej podczas nagrania dla Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”, na zdjęciu także pracownicy Ośrodka. Listopad 2007. Fot. Tomasz Czajkowski. Archiwum TNN.

cy na stanowiskach państwowych itp.). Zdajemy sobie sprawę, że obraz, jaki się z nich wyłania, jest migotliwy i wieloznaczny, mamy jednak nadzieję, że nasz cel, jakim było ukazanie w możliwie szerokim kontekście bogatej osobowości i niebanalnego życiorysu lubelskiego opozycjonisty, został osiągnięty.

Powstanie „Scriptores” w obecnym kształcie nie byłoby możliwe, gdyby nie współpraca bardzo wielu osób. Niniejszy numer oparty jest z jednej strony na wywiadach zgromadzonych przez Pracownię Historii Mówionej Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” (nagranych przez Wioletę Wejman), a z drugiej – na tekstach już raz publikowanych w innych miejscach, z których mogliśmy skorzystać dzięki życzliwości redaktorów pism, dyrektorów wydaw-

nictw i autorów tekstów. Część materiału ilustracyjnego pochodzi ze zbiorów Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”, Archiwum Uniwersyteckiego KUL, Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego, Biblioteki Uniwersyteckiej KUL – jego zgromadzenie wymagało niejednokrotnie dużego zaangażowania pracowników tych instytucji. Druga część to życzliwie udostępnione fotografie z prywatnych zbiorów Teodora Basaka, Piotra Jeglińskiego, Joanny Krupskiej, Janusza Rucińskiego, Anny Samolińskiej, Macieja Sobieraja, Stefana Szaciłowskiego i Wita Wojtowicza.

Wszystkim osobom, które w jakikolwiek sposób przyczyniły się do powstania niniejszego numeru, składamy serdeczne podziękowania.

Część I
Sylwetka

O. Ludwik M. Wiśniewski OP

Wspomnienie o Januszu Krupskim. Był człowiekiem sumienia*

W ostatnich tygodniach, już po katastrofie smoleńskiej, spotykaliśmy się kilka razy w gronie przyjaciół, aby rozmawiać o Januszu Krupskim.

Padaly różne określenia charakteryzujące go. Mówiono: był odważny, był ofiarny, był bardzo twardy i uparty, był piekielnie inteligentny, nie był wybitnym mówcą, ale umiał świetnie spuentować dyskusję. Ktoś bardzo głośno wykrzyknął – był święty!

Wszystkie te określenia są chyba prawdziwe. Ale jeśli ja miałbym go określać, to powiedziałbym: był człowiekiem sumienia.

Janusza poznałem przy końcu 1972 roku lub na początku 1973. Był już

człowiekiem ideowo ukształtowanym. W tamtych latach młodzi Polacy i studenci już powszechnie oceniali system komunistyczny jako zły i absurdalny, ale jednak w tamtych latach obowiązywała jeszcze zasada, że „głową muru nie przebijesz” i że „lepiej nie wychylać się”. Tylko nieliczni „wychylali się”.

Janusz i kilku jego kolegów z KUL-u zdecydowali się na przebijanie tego muru kłamstwa, niegodziwości i przemocy! Kto w tamtej grupie był „siłą napędową”? Może Janusz, a może Bogdan Borusewicz, a może obaj, nie umiem powiedzieć.

Janusz Krupski był człowiekiem, tak ja go odbierałem i do dzisiaj odbieram,

* Artykuł ukazał się w specjalnym wydaniu „Dziennika Polskiego” – „W hołdzie ofiarom katastrofy Smoleńsk – Katyń 10.04.2010”, 10 maja 2010, s. 13. Dziękujemy Autorowi za zgodę na przedruk.

Janusz Krupski z synami: Łukaszem, Piotrem, Pawłem, Tomaszem i Jankiem oraz córką Marysią (w nosidełku). Lata 90. Zbiory prywatne Joanny Krupskiej.



bezkompromisowym. Jeśli zrozumiał, że coś powinien zrobić, czynił to, nie zważając na prośby i groźby. Tak było wielokrotnie. Tak było, kiedy zrozumiał, że trzeba złamać monopol komunistów na media i dorobić się własnego, choćby skromnego wydawnictwa. I udało mu się to! Pierwszy powielacz sprowadził do Polski Janusz i Janusz Krupski jest prekursorem niezależnych wydawnictw w Kraju. Tak było, kiedy postanowił nie dopuścić do powstania socjalistycznego związku studentów na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Jeśli miałbym wymieniać trzy osoby, które w środowisku lubelskim najwięcej uczyniły w ostatnich latach dla odzyskania niepodległości, to wśród nich byłby Janusz Krupski.

Trzeba koniecznie podkreślić jeszcze jeden moment. Janusz był autentycznie człowiekiem Kościoła. To nie był tylko kulturowy związek z Kościołem. To był

związek religijny. Chciał walczyć i walczył z komunizmem po chrześcijańsku. Pamiętam, jak analizowaliśmy, co to znaczy w polskich warunkach walczyć bez przemocy, czym dla nas Polaków jest walka *non violence*.

Był dramatyczny moment, kiedy chciano go po prostu zabić. Zabijano takich jak on. Przeżył i nie ustał w swoich działaniach! Nie wiem, czy ktoś z nas tak potrafiłby.

Kilka miesięcy temu, na którymś spotkaniu przyjaciół Janusz powiedział: „Wiele z moich planów i zamierzeń nie spełniło się. Ale Pan Bóg dał mi więcej, niż się spodziewałem”. Mówił to, to się czuło, myśląc o swojej żonie i o swoich dzieciach.

Bywa, że w życiu spotykamy ludzi, którzy są dla nas światłem. Takim światłem pozostanie Janusz Krupski dla wszystkich, którzy mieli zaszczyt spotkać go na drodze życia.

Być chrześcijaninem w społeczeństwie i państwie

Z Januszem Krupskim rozmawia Wojciech Chudy*

Wojciech Chudy: Mówimy o „polskim przedwiośniu”. Trzeba więc zacząć od „Solidarności”. To ten potężny ruch naruszył komunistyczną, totalitarną zmarzlinę i wywołał ogromne nadzieje społeczne. Spróbujmy odpowiedzieć na pytanie: do czego doszliśmy? Jaki jest rezultat działania „Solidarności”? Dziś przecież trudno rozpoznać jej dawne idee, dominuje nastrój rozczarowania, a z demokracji, o którą walczyliśmy, mamy tylko nierzadko ogłupiający pluralizm.

Janusz Krupski: Może zacznijmy od historii. Jak wiesz, byłem jedną z niewielu osób z opozycji demokratycznej, które nie należały do „Solidarności”. Ja świadomie w tym czasie do „Solidarności” się nie zapisałem. Popierając oczywiście ten

ruch i w jakimś sensie identyfikując się z jego wartościami i programem, którego głównym chyba motywem była masowa mobilizacja społeczeństwa w celu przełamania komunistycznego totalitaryzmu. To była, moim zdaniem, największa wartość i dokonanie, jakie ten ruch osiągnął. Przez tę masową mobilizację społeczeństwa rzeczywiście udało się system totalitarny rozbić. Ja, dostrzegając to i solidaryzując się, także swoim działaniem, uważałem, że należy walczyć też o realizację innych wartości. Właśnie takich, o których mówiś w swoim pytaniu: pluralizm i demokrację. Widziałem, że „Solidarność” jest ogromną szansą, ale też dużym zagrożeniem. Mianowicie, proces wchłaniania przez nią wszystkich sił społecznych utrudnia rozwijanie demokracji i funkcjonowanie pluralizmu.

* Artykuł ukazał się w „Ethosie” nr 2/3, 1992, s. 247-263. Dziękujemy Redakcji „Ethosu” za zgodę na przedruk.



Wojciech Chudy. 2005. Fot. Wioletta Wejman. Archiwum TNN.

Janusz Krupski. 2007. Fot. Wioletta Wejman. Archiwum TNN.

Część I. Sylwetka

Myślę, że kłopoty z tym związane, które dzisiaj przeżywamy, mają częściowo źródło w tym zjawisku. Wiele osób, grup opozycyjnych i wszelkich grup społecznych zaangażowało się w jednym kierunku, nie budując jednocześnie na podstawowym poziomie właśnie tych wartości, które są związane z demokracją i społeczeństwem pluralistycznym. Ja uważałem, że właśnie wtedy, kiedy działa ten potężny ruch, trzeba bardzo starać się o budowanie małych struktur, instytucji, organizacji i środowisk, które – nie będąc w opozycji do „Solidarności” – realizują swoje własne cele, budują system powiązań oddolnych, realizują jakieś wartości, zmierzając w swoim kierunku. Masowy ruch w jednym kierunku grozi pewnym wyjałowieniem. Może to za mocno powiedziane, ale w każdym razie jest niebezpieczne dla demokracji. Nie sprzyja tworzeniu się mechanizmów funkcjonowania demokracji. Bo przecież, gdy w jednym ru-

chu, na samym jego szczycie dochodzi do walki o władzę – a w „Solidarności” dochodziło do takiej sytuacji – to nie jest to tworzenie mechanizmów demokratycznych. Inaczej, gdyby to ścieranie odbywało się na przykład między różnymi grupami – to, co się w Polsce dokonuje teraz – ale myślę, że teraz już jesteśmy spóźnieni o parę lat. Dlatego Ty w swoim pytaniu mówisz o „ogłupiającym pluralizmie”. Tu leży odpowiedź: bo my w tej chwili musimy przerabiać pewne rzeczy, które mogliśmy i trzeba było zrobić dużo wcześniej. Podam przykład. Kiedy w 1980 roku powstała „Solidarność”, dostrzegłem po jakimś czasie – całkowicie afirmując ten zryw – że jest to pewien proces, który przerwał kształtowanie się – zwłaszcza po 1976 roku – demokratycznej opozycji, która była opozycją różnorodną, rozwijającą się stopniowo i narastającą. Oczywiście, była opozycją skłóconą, skonfliktowaną, ale w trakcie powolnego rozwoju wytwa-

Tłum ludzi z transparentami „Solidarności”. Lata 80.
Fot. Wiesław Michocki. Archiwum TNN.



Być chrześcijaninem w społeczeństwie i państwie

rzały się też mechanizmy rozwiązywania tych konfliktów. I to miało przebieg bardziej naturalny. Natomiast w momencie pojawienia się „Solidarności” nastąpiła rewolucja i ten proces budowania pewnych struktur demokratycznych został przerwany. One nie zdążyły dojrzeć.

Wojciech Chudy: To, o czym mówisz, również dobrze wyjaśnia Twoją drogę i drogę środowiska, które współtworzyłeś. Bo przecież wtedy, gdy środowisko demokracji, środowisko pluralistyczne w Polsce zaczęło się w sposób bardziej otwarty krystalizować po 1976 roku, wtedy również pojawiła się inicjatywa „Spotkań” – środowiska „Spotkań” i wydawnictwa oraz pisma związane z tym środowiskiem – i wasze uczestnictwo w tworzeniu demokracji. Właściwie „Spotkania” przetrwały do dziś; jest to pewnego rodzaju linia ciągła, która nie straciła swej tożsamości, mimo różnych meandrów politycznych i ideowych, ja-

kie można było obserwować przez te lata na płaszczyźnie pluralizmu i demokracji w Polsce. Z tą sprawą przechodzenia od masowości jednorodnej politycznie do różnorodności – powiedzmy – postsolidarnościowej wiąże się pewien wątek *ethosu* demokracji. Mianowicie, był taki okres kilka lat temu, chyba na początku 1990 roku albo pod koniec 1989, kiedy zaistniał problem, czy ten jednolity ruch „Solidarności”, wówczas skoncentrowany w Komitetach Obywatelskich, ma się rozbić na pluralistyczną mozaikę różnych partii (to był jednak rodzaj amalgamatu politycznego), czy też ma nadal zachować pewien jednolity kształt skonsolidowany pod przywództwem jakiegoś politycznego wodza itd. Pamiętam, że wtedy zwłaszcza ludzie lewicy (szczególnie aktywny był tu Adam Michnik) bronili właśnie modelu jednolitości.

Janusz Krupski: „Solidarność” kryła w sobie zbyt wiele, powiedziałbym,





Znaczki kolportowane w drugim obiegu, przedstawiające tzw. więźniów sumienia skazanych za działalność opozycyjną. Widzimy wśród nich zarówno opozycjonistów „lewicowych”, jak i „prawicowych”. W górnym rzędzie: Henryk Wujec, Andrzej Rozpłochowski, Grzegorz Pałka, Jan Ruchlewski; w środkowym: Marian Jurczyk, Seweryn Jaworski, Jacek Kuroń; w ostatnim: Karol Modzelewski, Adam Michnik, Zbigniew Romaszewski, Andrzej Gwiazda. Archiwum TNN.

i różnorodności, i sprzeczności. Nie mogło się to wszystko dalej kryć pod jednym płaszczem. Ten ruch, żeby zrealizować cele pozytywne, a jednym z tych celów była budowa demokracji, musiał się rozwarstwić. I to wtedy nastąpiło, mimo oporów różnych osób czy ugrupowań, i – trzeba powiedzieć raz jeszcze – szkoda, że nie nastąpiło to wcześniej. Natomiast budowa demokracji, to, co w tej chwili przeżywamy, jest to rzecz bardzo trudna i wymagająca czasu. Wymaga to dojrzwienia ludzi i struktur, są to rzeczy bardzo delikatne, gdyż wiąże się najściślej z kulturą człowieka i społeczeństwa. Ładu demokratycznego w sytuacji rewolucyjnej się nie zbuduje. Myślę, że to, przez co teraz w Polsce przechodzimy, ta atomizacja partii, niestabilność rządów, konflikty kompetencyjne itd. – jest nieuniknione. Można

powiedzieć tylko, że w tym procesie, który jest skazany na te trudności, nie wszyscy stają na wysokości zadania. Wiele bowiem zależy od tych, którzy w tym procesie uczestniczą. Natomiast nie ulega wątpliwości, że wymaga to czasu i nie jest rzeczą łatwą.

Wojciech Chudy: Czyli cnota cierpliwości i roztropności tych, którzy działają, i tych, którzy czekają na wyniki działania, jest szczególnie cenna.

Janusz Krupski: I pewnej solidarności w tym sensie – przywołajmy znów to pojęcie – że zmierzamy właśnie solidarnie, różniąc się między sobą, ku niepodległej i demokratycznej Polsce. Ta solidarność w dążeniu w tym kierunku powinna nas jednoczyć. A ponieważ reprezentujemy różne grupy, różne nstawienia i różne interesy, które muszą być realizowane, to każdy idzie swoją drogą i nie wolno się w tym wzajemnie niszczyć.

Wojciech Chudy: Wróćmy do sprawy różnorodności i pluralizmu. Rzeczywiście, to, co uderza teraz w kraju, to różnorodność, nie tylko w dziedzinie partii politycznych. Ale przecież istnieją obszary bardziej i mniej różnorodne, można powiedzieć po orwellowsku. Są obszary silnego pluralizmu, niemalże atomizacji politycznej, ale są obszary względnie skonsolidowane. Tutaj pojawia się problem: lewica – prawica. Odnoszę czasem wrażenie, że lewica, mimo całej różnorodności odmian, barw, jednak stanowi – zwłaszcza w porządku oddziaływań społecznych czy pragmatyki politycznej – pewnego rodzaju jedność ciągle kojarzącą się z postawą totalitarną.

Janusz Krupski: Tak ostro nie widziałbym tego zjawiska. Ja postrzegam lewicę jako ludzi i środowiska mające swoją długą tradycję. Ich system powiązań,

wspierania się jest lepiej wykształcony niż w grupach o orientacji prawicowej, które tworzą lub odradzają się obecnie. Myślę, że pewna dominacja lewicy wynika z tego, że ma ona w Polsce powojennej dłuższą tradycję organizowania się, „normalnego” życia niż grupy, które tworzą się niemalże na naszych oczach. Grupy, które jeżeli nawet odwołują się do tradycji historycznej, to mają ogromną przerwę w działaniu, i to jest ich słabością. Oczywiście, ta przewaga lewicy jest z różnych stron spuścizną rządów komunistycznych. Jest to osobny temat.

Drugą rzeczą istotną jest to, że z lewicy wywodzi się, czy też ze środowiskami lewicowymi współpracuje, poważna część polskich środowisk intelektualnych. To też stanowi o sile i wpływach tej orientacji. Lewica tradycyjnie zwracała pilnie uwagę na prasę i środki społecznego przekazu i ma tutaj ogromne wpływy i doświadczenie. Pierwsza gazeta o orientacji solidarnościowej, „Gazeta Wyborcza”, znajduje się w rękach lewicy. Nurt ten ma duże wpływy w prasie, radiu i telewizji. Jest bardzo niewiele pism o orientacji nielewicowej i mają one dziś w zasadzie marginalne znaczenie.

To wszystko powoduje, że proporcja ideowo-polityczna w Polsce jest zachwiana, ale tak po prostu jest. To fakt. Prawica czy ludzie o orientacji nielewicowej mogą ten fakt dostrzegać, natomiast samo negowanie tego faktu nic nie daje. Musimy stworzyć własną prasę i środki społecznego przekazu. Na tym właśnie polega jedno z zadań, jakie przed nami stoją, to budowanie innych orientacji – pluralizm w życiu ideowym i politycznym. Nie jest to łatwe, ale nie można też powiedzieć, że istnieje dziś zakaz robienia tego. Natomiast oczywiście nie można liczyć na to, że przeciwnik nam to ułatwi. Właśnie lewica będzie broniła swoich wpływów i to jest, powiedziałbym, politycznie normalny odruch. Ona się wcale nie chce dzielić

tym, co posiada. My możemy teraz tylko cieszyć się z tego, że mamy możliwość swobodnego działania. I ostatecznie będzie zależało od nas – od naszych programów, zdolności, kompetencji i umiejętności przekonywania innych – czy nam się uda to zrobić, czy nie, chociaż nie jest to wcale proste. Istnieje jednak problem przygotowania ludzi do podejmowania i realizowania pewnych zadań. Obserwuję na przykład w środowiskach o orientacji nielewicowej, że nawet często istnieją pewne możliwości podjęcia ważnych działań, natomiast brakuje ludzi, którzy potrafiliby tym zadaniom sprostać. Brakuje tego, co ciągle powtarza się w polemikach toczonych wokół władzy, że mianowicie, komuniści mieli specjalistów, a teraz ich nie ma lub jest za mało. Problem wykształcenia fachowców to podstawowy problem restytucji normalności społecznej i politycznej, ale jest to także kwestia czasu.

Wojciech Chudy: Sama sprawa tej dysproporcji lewicy – prawicy również wskazuje na jakieś zarażenie chorobą związaną z komunizmem. Tutaj jednak jesteśmy ciągle z tym długoletnim obciążeniem związani. To, o czym pisał kiedyś Piotr Wierzbicki w *Myślach staroświeckiego Polaka* – Dlaczego istnieje dziś ta dysproporcja polityczna? Dlaczego lewica ma dziś taką przewagę polityczną, taktyczną, w mediach itd.? Ponieważ prawica była przez 45 lat wycinana w pień. Ponieważ lewica, nawet opozycyjna, ta lewica, która przeciwstawiała się komunizmowi, jednak prowadziła pewną walkę nienarażoną na tak bezwzględne niszczenie. Jednak ona również krzepła w tej walce, dojrzewała ideowo, formułowała pewne alternatywy polityczne. Każdy zakręt w historii politycznej PRL wysiewał nowe szeregi ludzi o orientacji lewicowej, którzy rozczarowani opuszczali pielesze partii. Natomiast prawica z punktu po 1945 roku po prostu szła do więzienia,

była neutralizowana. I dlatego prawica przez kilkadziesiąt lat podlegała hibernacji politycznej, co najwyżej rozwijała charytatywne działania przy Kościele. Natomiast jej *virtus* polityczny – poza sporadycznymi wypadkami, jak organizacja Ruch stworzona w 1964 roku przez S[tefana] Niesiołowskiego i braci Czumów – po prostu wiała. Także, teraz obserwujemy niekiedy może śmieszne czy nieporadne przejawy jego odradzania się. Ma to jednak swoje uzasadnienie historyczne.

Janusz Krupski: No, ludzie lewicy, jeśli już chodzi o ścisłość, też szli do więzienia, socjaliści także ginęli w więzieniu. Natomiast rzeczywiście pewna orientacja lewicowa miała tutaj większą szansę rozwoju. Prawica była skazana na milczenie, na absolutne milczenie. Boję się jednak, żebyśmy tu przy okazji nie dokonali pewnych uproszczeń, kiedy mówimy o tym podziale lewica – prawica. Należy mówić w tym miejscu nie tylko o orientacjach, ale i o ludziach. Myślę, że wielu ludzi lewicy z całym przekonaniem może o sobie powiedzieć, że mając jakieś idee, wyznając jakieś ideały, byli uczciwymi ludźmi i nie korzystali z przywilejów, z jakiegoś przyzwolenia historii. Opowiedzieli się za pewnymi wartościami, tak jak je rozumieli, im służyli, i myślę, że to trzeba uznać. Nie można powiedzieć ogólnie, że lewica jest zła, a prawica jest dobra, bo wiemy, że ludzie prawicy dokonali też wielu rzeczy złych, że istnieje tu pewna różnorodność zarówno grup, środowisk, jak i ludzi.

Odwołam się tu do powiedzenia Sołżenicyna, że linia między dobrem a złem przebiega w sercu każdego człowieka, czy to jest człowiek lewicy czy prawicy. To, że ja jestem sympatykiem raczej centroprawicy i chciałbym, żeby te orientacje rozwijały się, natomiast jestem przeciwnikiem komunizmu jako systemu totalitarnego, nie każe mi au-

tomatycznie traktować jako przeciwnika człowieka, który jest socjalistą czy socjaldemokratą, chyba różnimy się w jakichś zasadniczych sprawach. Ale *ex definitione* nie mogę tak powiedzieć, bo ludzie są różni. Jeżeli ten ktoś nie służy ewidentnie złej sprawie, to ja go nie traktuję jako przeciwnika. A to, że istnieje konkurencja, rywalizacja, to jest rzecz normalna. My możemy ze sobą rywalizować, ale rozumiem to jako rywalizację w tworzeniu jakiejś dobrej sprawy, jakichś wartości, jakiegoś dobra.

Powstają w dziejach pewne sytuacje, wobec których się jakoś znajdujemy i jest ważne, jak indywidualnie potrafimy się w nich zachować. Za to, że one powstały, nie ponosimy odpowiedzialności. Jak się wobec nich określimy, to już zależy od nas. To też należy dostrzegać w odniesieniu do części ludzi lewicy. Trudno jest mieć do nich pretensję, że znaleźli się na drodze akurat w takiej sytuacji. Trzeba brać pod uwagę, jak odpowiedzieli na to wyzwanie: czy ulegli pokusie uprzywilejowania, czy nie? Sama sytuacja nie jest podstawą do globalnej krytyki.

Wojciech Chudy: To wiąże się z problemem wymiany fachowców na wielu odpowiedzialnych stanowiskach. Jednak praca istotna społecznie czy w służbie dla państwa nie może być w miejscach newralgicznych kierowana przez fachowca-kondotiera, który czysto pragmatycznie, bez zmruczenia oka zmienia obóz. Tutaj w naszej rozmowie winno paść trudne słowo: dekomunizacja.

Janusz Krupski: Istnieje, oczywiście, różnica między fachowcem w dziedzinie produkcji czy nawet prowadzenia przedsiębiorstwa, a specjalistą, który pracował w wywiadzie wojskowym czy w UB, był specjalistą w swoim fachu i może tę swoją wiedzę dalej poświęcać złej sprawie, na przykład przez to, że może być dalej powiązany z Moskwą,

z jakimiś obcymi służbami czy interesami komunistycznymi – i, oczywiście, pozostawianie takich ludzi w tych służbach jest bardzo niebezpieczne dla państwa. Jest inna sytuacja, gdy na przykład dyrektor zakładu pracy, który ma sporą wiedzę menedżerską i duży staż, należał do partii. To nie są sprawy równoważne, tutaj trzeba dokonywać pewnego rozróżnienia i wyboru.

Z drugiej strony, nie można też powiedzieć, że ludzie czyści moralnie, bez „zabrudzonej” przeszłości mogą robić wszystko, nadają się na wszelkie odpowiedzialne stanowiska. Często spotykam się z takimi sytuacjami, że obsadza się ich na ważnych pozycjach, a oni nie potrafią sprostać zadaniom.

Kiedy więc mówimy o dwóch sprawach zawartych w dwóch pytaniach: o lewicy – prawicy i o tym, jak prowadzić dekomunizację, to sądzę, że to są rzeczy rozdzielną i bardzo delikatną. Nie da się zdekomunizować wszystkich. A jeśli już mówimy o dekomunizowaniu, to myślę, że ludzie – i ja do nich należę – którzy walczyli z komu-

nizmem, też coś z niego wzięli, czymś nasiąknęli, czymś się zarazili... Można w pewnym sensie powiedzieć, że musimy się sami zdekomunizować. Chcę powiedzieć jasno: jestem zwolennikiem przeprowadzenia dekomunizacji. Myślę, że na pewno w państwie polskim, w niepodległej Rzeczypospolitej, ludzie, którzy piastują wysokie urzędy, powinni mieć czyste ręce, jak w każdym demokratycznym państwie. To musi być człowiek o wysokim morale, o czystej przeszłości i pod każdym względem na wysokim poziomie. Ktoś, kto służył partii lub był agentem Służby Bezpieczeństwa, nie może pełnić państwowej godności, bo w istocie praca dla państwa to jest pewna godność. W instytucjach związanych z bezpieczeństwem państwa nie mogą pracować ci sami ludzie, którzy służyli umacnianiu obcych interesów i obcej dominacji nad Polską. Na przykład służby specjalne wywiadu były w Układzie Warszawskim ze sobą powiązane, dyspozycje szły często bezpośrednio z Moskwy. Dziś te związki w wymiarze czysto ludzkim mogą



Klepsydra PZPR. Zbiory prywatne Norberta Wojciechowskiego.

Część I. Sylwetka

nadal istnieć. Ktoś może na to powiedzieć, że jeżeli wszyscy zostaliby odsunięci od tych służb, to może stać się komuś krzywda, na przykład komuś, kto był agentem, ale po prostu chciał służyć Polsce.

Myślę że kiedy mówimy o dekomunizacji, nie można się tutaj kierować wyłącznie tym, że komuś się stanie indywidualna krzywda. Tutaj nie można ryzykować dobrem wspólnym, dobrem wszystkich. Nie ma w tej chwili takich praktycznych możliwości, żeby dokładnie każdego sprawdzić, czy działał w dobrej czy złej wierze, czy miał dobre czy złe intencje. Jeżeli chodzi o ludzi, którzy byli uwięzieni w instytucje i służby specjalne, uważam, że ci ludzie powinni być odsunięci. Natomiast myślę, że z kolei jest pewnym nadużyciem, kiedy się mówi, uogólniając, że wszyscy byliśmy skomunizowani, że wszyscy byliśmy w tym systemie. Bo ten stopień naszego uczestniczenia w tym systemie był różny, działaliśmy często w sytuacji przymusowej, niektórzy zostali tym zarażeni. To nie może być tak traktowane, że wszyscy jesteśmy tak samo odpo-

wiedzialni. Natomiast na pewno – tu nie chciałbym generalizować – prawie wszyscy czy większość z nas musi się jakoś z tego oczyścić psychicznie czy moralnie. Nawet ci, którzy walczyli z otwartą przyłbicą z tym systemem.

Wojciech Chudy: Myślę, że zgodzisz się na takie rozróżnienie, które notorycznie – zwłaszcza w dyskusji na łamach prasy – jest zacierane, że dekomunizację w aspekcie prawa, i tu należy ją przeprowadzić w ramach konkretnych instytucji i wobec pewnych osób, odróżnić należy od dekomunizacji w sensie moralnym, w sensie – nawet powiedziałbym – ewangelizacji, którą każdy musi przeprowadzić na swój własny użytek.

Janusz Krupski: Powiedziałbym nawet, że można to potraktować bardzo pozytywnie. Każdy z nas musi zmierzać ku dobru, nikt z nas nie jest ideałem, ale powinniśmy zmierzać w tym kierunku. I akurat jako naród czy pewna społeczność zmierzamy czy mamy zmierzać poprzez oczyszczenie ku temu



Msza święta (FSC w Lublinie). Ok. 1980. Zbiory prywatne Teodora Basaka. Dostępne w Archiwum TNN.

dobru, które jest wyzwoleniem od czegoś złego. Oczywiście, dekomunizacja nie może być rozliczaniem wszystkich ze wszystkiego, rozpalaniem stosu czy ściganiem podejrzanych. Myślę, że pewna część prasy celowo i demagogicznie rozdmuchuje ten aspekt, którego u nas właściwie nie ma. U nas nie ma „ścigania czarownic”, jak to nazywa często demagogicznie lewicowa prasa, a wręcz przeciwnie. Ludzie starego reżimu mają poparcie w środkach przekazu. Niektórzy działacze opozycji demokratycznej, jak A[dam] Michnik, usprawiedliwiają czy usiłują zrozumieć działania takich ludzi, jak generał Jaruzelski. Czy to jest dekomunizacja? To jest zupełnie odwrotny kierunek.

Wojciech Chudy: W kontekście polskiego przełomu, tego „drugiego przedwiośnia”, sprawa Kościoła jest sprawą podstawową. Rzeczywiście Kościół w Polsce znalazł się na pewnego rodzaju zakręcie. Musi przezwyciężyć społecznie i duszpastersko nową sytuację, która stanowi pewnego rodzaju wyzwanie wobec niego. Jak oceniasz obecne przemiany i jak widzisz przyszłość Kościoła w Polsce?

Janusz Krupski: Kościół znalazł się w nowej sytuacji, nie wiem, czy można powiedzieć, że znalazł się na zakręcie. Myślę, że sytuacja w Kościele w odróżnieniu od sytuacji we wszelkich innych instytucjach społecznych czy gospodarczych w Polsce jest w miarę stabilna. Kościół znalazł się w nowej sytuacji historycznej, natomiast jego kształt się nie zmienił i nie podlega żadnym gwałtownym wstrząsom. Należy spokojnie i rozważnie patrzeć w przyszłość. W ogóle wydaje mi się, że istnieje teraz u nas rodzaj przesadnej reakcji, rozpętuje się panikę, że oto Kościół jest teraz krytykowany, że krytykują go ludzie, którzy do niedawna w nim byli, że oni tam się znaleźli ze względów ko-

niunkturalnych, żeby się przechować, czy wręcz chcieli Kościołem manipulować. Myślę, że trudno mieć pretensje do ludzi, którzy w pewnym momencie znaleźli się w opresji i szukali schronienia w Kościele – udzielanie pomocy ludziom to jest właśnie między innymi zadanie Kościoła. Teraz oni tego schronienia nie potrzebują i wyprowadzają się. Zresztą ta sprawa jest o wiele bardziej złożona. W okresie przełomu solidarnościowego przez Kościół przeszło bardzo wielu ludzi, którzy czegoś szukali. Znaleźli się wówczas w bardzo trudnej dla siebie sytuacji życiowej czy po prostu szukali w Kościele jakichś wartości. Niektórzy sami nie znaleźli tam nic lub Kościół nie odpowiedział na ich potrzeby i czują się rozczarowani. I nie trzeba z tego powodu rwać szat. Nie można też generalizować czy doprowadzać do uproszczeń, że trafili do Kościoła wyłącznie po to, aby dla celów politycznych Kościołem manipulować. Myślę, że to były sytuacje jednostkowe. Do słów krytyki pod adresem Kościoła należy podchodzić bardzo spokojnie i merytorycznie. Wydobywać z nich to, co jest rzeczywiście czymś pozytywnym – jako pewne zadanie.

To jest strona jedna, druga zaś dotyczy samego Kościoła. Myślę, że nasz Kościół wymaga właśnie rzetelnej dyskusji na temat swojej kondycji, zadań, swojej przyszłości, a także przeszłości. Trzeba mówić prawdę o Kościele, czyli o nas wszystkich będących Kościołem. Odwołam się tu właśnie do A[dama] Michnika, który przy okazji jednej z rozmów powiedział, że nie można twierdzić, że Kościół był jedyną opoką opozycji wobec komunizmu i jest w całości jego zasługą to, że jako taki komunizm pokonał. Bo sytuacja w Kościele w istocie była różna. Ludzie Kościoła lub z Kościołem związani – czy ludzie hierarchii, czy ludzie świeccy – zachowywali się w różny sposób. Także, nie należy generalizować zasług Kościoła w tym pokonaniu komunizmu – był

jednak udział różnych sił w tym dziele. Ja jako młody katolik, związany z opozycją demokratyczną, bywałem w sytuacjach dla mnie niezbyt przyjemnych, kiedy dawano mi odczuć, że taka postawa opozycyjna stanowi zagrożenie dla Kościoła, wręcz określano to jako typ niemal-że awanturnictwa. Staralem się te uwagi i to nastawienie odbierać pozytywnie, jako wskazówkę, że trzeba działać w sposób odpowiedzialny, że Kościół i Polska są wielkimi wartościami i wielkim zadaniem dla nas, i że trzeba słuchać różnych głosów i różnych ludzi, w tym krytycznych, a nawet nieprzychylnych.

Myślę, że w tym momencie nie jest właściwa dyskusja o przypisywaniu sobie zasług. Ważniejsze jest to, jakie nakreślimy sobie cele i zadania, jakie nałożymy na siebie odpowiedzialności i jak je będziemy realizowali. Właśnie te wartości pozytywne nakierowane na przyszłość są o wiele ważniejsze.

Zwłaszcza w Kościele powinna odbywać się teraz żywa dyskusja nad tym, jak nasz Kościół ma się znaleźć wobec nowego czasu. Uważam, że tej dyskusji jest stanowczo za mało. I stanowczo za mało pada – jeżeli chodzi o stronę pozytywną – projektów rozwiązań, za mało też jest – od strony negatywnej – znajdowania w sobie samych słabości. Wszelką krytykę przyjmuje się często jako zagrożenie dla Kościoła. Przecież Kościół nie jest sektą, która musi się bać osłabienia przez krytykę! Kościół jest wielką wspólnotą, która ma dwa tysiące lat i wielką przyszłość przed sobą, i jako taki nie ma prawa bać się krytyki. Musi brać to, co pozytywne z krytyki, i powinien być krytyczny wobec siebie; my sami powinniśmy być krytyczni wobec siebie i nie bać się krytyki z zewnątrz. Ona będzie istniała zawsze i ona musi być, bo na tym właśnie polega walka o świat, walka o oblicze świata.

Wojciech Chudy: To oczywiście bardzo ważne, aby przeważała w nas taka

postawa wobec krytyki, żeby „pozytywnym negatywne zwyciężać”, jak można by sparafrazować Ewangelię. Jednak w tym, co mówisz, niepokoi mnie trochę ten horyzont bez zagrożenia, który rysujesz przed Kościołem. Bo jednak kiedy się skonstatuje permanentną i dość masową, wzięwszy pod uwagę realną proporcję wydawców prasowych, nieprzychylną – nie atak, bo każdy atak jest obosieczny! – ale właśnie programową niechęć, która przecież dzień w dzień wiąże się ze specjalnym ustawieniem problemów, naświetleniem faktów czy wyborem informacji lub po prostu z przemilczaniem, to tak jak gdyby budzi się myśl, że jest tu potrzebny sprzeciw i pewnego rodzaju reakcja. Że taka postawa pokornego korzystania z krytyki może na długi dystans doprowadzić Kościół, czyli nas w Kościele, do swojego kompleksu winy z powodu naszego katolicyzmu...

Janusz Krupski: Tak, rzeczywiście, jest wiele przegięć w jedną stronę i dyskusja nie toczy się na poziomie wystarczającym. Mamy na przykład wiele dyskusji na temat poziomu religijnego i moralnego Polaków, ale często, niestety, bez odniesienia do rzetelnych źródeł. Tak naprawdę, to my ostatecznie nie bardzo wiemy, jaka jest ta nasza religijność. Ankiety socjologiczne często mają bardzo wąski charakter, nierzadko sposób stawiania pytań i rozumienia ich przez odpowiadającego jest różny. Pytania z kolei kierowane przez instytucje neutralne światopoglądowo czy niechętnie nastawione do Kościoła często mają z góry założoną pewną tendencję. Szafuje się (jak na przykład wiosną tego roku w tygodniku „Wprost”) argumentem braku erudycji odnośnie do doktryny wiary w naszym społeczeństwie. Ja znam bardzo wiele sytuacji właśnie dowodzących, że ludzie proszą – wbrew temu, co się lansuje, że ludzie wykształceni, intelektualni mają wyższy poziom świadomości

ści religijnej niż ludzie prości – żyjący prostą wiarą, mają autentyczny *sensus religiosus*, i takich ludzi jest dużo. Natomiast można mieć sporą wiedzę religijną, a można inaczej – sprzecznie w stosunku do wiary – żyć. Oczywiście, takich „nieporozumień” – celowych lub z powodu powierzchowności – jest teraz bardzo wiele.

Wojciech Chudy: Dużym problemem w naszym Kościele w tym szczególnym czasie, jak gdyby podatnym na „rozproszkowanie” wspólnot, jest trudność pojęcia w społeczeństwie i przyswojenia w życiu, że Kościół to my wszyscy, katolicy. Ciągłe pokutuje u nas taki „parakastowy” katolicyzm: jest ksiądz prymas, hierarchia, księża, no, są elity kościelne czy katolickie, a na końcu szare społeczeństwo, które w niedzielę chodzi do kościoła.

Janusz Krupski: Odpowiem na to pytanie bardziej osobiście. Ja miałem zawsze pewien dystans do hierarchii Kościoła, bo uważałem, że wszyscy jesteśmy powołani do życia i świadczenia w Kościele, a hierarchia może być taka czy inna. Mam wielki szacunek do biskupa I[gnacego] Tokarczuka za jego postawę w czasach, kiedy w kraju rozwijała się opozycja. Ale muszę powiedzieć, że postawa innych hierarchów była wtedy różna. Ale ja się tym wówczas nie przejmowałem i nie przejmuję się nadal. Myślę, że ważne jest to, jak sami postępujemy.

Toczy się na przykład dyskusja na temat oblicza szkolnictwa w Polsce i wprowadzenia wartości chrześcijańskich do szkół czy też tworzenia szkolnictwa wyznaniowego. Myślę, że przy tym ogólnym celu my katolicy powinniśmy starać się o to, by w szkole, do której posyłamy nasze dzieci, głoszone wartości zgodne z naszym światopoglądem. My – katolicy, chrześcijanie – jeżeli posyłamy nasze dzieci do szkoły, to

chcemy, żeby były one wychowywane tam w duchu zgodnym z naszą wiarą, a nie czerpały wartości obce, sprzeczne czy zupełnie nam obojętne. Chociaż musi tam być również miejsce dla dzieci, których rodzice wyznają wartości inne. Ludzie o innym światopoglądzie muszą mieć prawo wychowania dzieci – również w instytucji takiej jak szkoła – zgodnie z wyznawanymi przez siebie wartościami. I jest to możliwe do osiągnięcia. Z drugiej strony, wydaje mi się, że trzeba rozwijać szkolnictwo prywatne katolickie. Jest to ogrom pracy do zrobienia. I właśnie powinniśmy iść w różnych kierunkach, takich jak szkolnictwo wyznaniowe czy inne instytucje wyznaniowe, w których moglibyśmy realizować w pełni wartości, które wyznajemy – powinniśmy to robić. Wtedy zmniejszy się też obszar konfrontacji między ludźmi.

Jaki jest nasz Kościół jako wspólnota ludzi wierzących? Jedni żyją zgodnie z nakazami wiary na co dzień, inni od święta – i nie można im nakazać, że ponieważ zostali ochrzczeni i czasem przyznają się do tego, że są chrześcijanami, to muszą postępować w określony sposób. To jest rodzaj nakazu moralnego, ale tego im się formalnie

Procesja Bożego Ciała na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie. 1981. Fot. Jerzy Marcinek. Archiwum TNN.



nie nakaże ani nie zadekretuje. Ponadto często właśnie postawy ludzi wierzących, którzy deklarują, że są wierzącymi, są sprzeczne z ich postawą życiową i postępowaniem. Sprzeczne często dlatego, że mają mało wiedzy na temat tego, jakie konsekwencje powinno wyznawanie wiary nieść w życiu. Gdy oni to zrozumieją, to dopiero wtedy mogą dokonać pewnego wyboru. Ale muszą wiedzieć. Trzeba tu dostrzec wielki pozytyw w tym, że Kościół w okresie totalitarnym kładł duży nacisk na taką podstawową edukację społeczną. Mniej Kościół zmierzał w kierunku kształtowania elit, o co te elity miały pretensje do episkopatu itd. Jednak trzeba powiedzieć, że mimo to dziś, gdy nie ma już opresji komunistycznej i totalitarnej, ten poziom edukacji religijnej nie jest wysoki. Ale może tym większą rację trzeba przyznać naszemu hierarchicznemu Kościołowi, że na to tak bardzo stawiał. Robiono bardzo dużo, ale były określone warunki i możliwości oraz silne przeciwdziałanie. Widać, jak wiele jeszcze trzeba zrobić, żeby edukacja naszej wspólnoty na podstawowym poziomie była większa.

Wojciech Chudy: Oprócz tych elementów, na które wskazałeś, jak gdyby pochodzących z wnętrza Kościoła, istnieje problem pewnej ogólnej strategii. Za-

chodzi nowa sytuacja Kościoła, więc ci, którzy są odpowiedzialni za prowadzenie Ludu Bożego, muszą zakładać pewną strategię dalszego postępowania. Tutaj narzuca się właśnie problem Kościoła zachodniego i naszego Kościoła. W naszym jak gdyby przetrwały zagrożone w okresie komunizmu pewne wartości podstawowe. We wspólnocie jak gdyby przetrwała mądrość katolicka. Choć, oczywiście, są też wielkie spustoszenia. Natomiast tam na Zachodzie Kościół jednak postępował inaczej, szedł inną drogą i bardzo się – można powiedzieć – unowocześnił. Nasuwa się pytanie: czy należałoby również uwzględnić rozwój Kościoła na Zachodzie w tej naszej globalnej strategii?

Janusz Krupski: Wydaje mi się, że generalnie postawienie na duszpasterstwo masowe i podstawowe jest słuszne i że trzeba to robić, bo nie można zostawić tych najmniejszych. Należy dbać o ich rozwój; to jest kierunek dobry. Oczywiście, nigdy i w żadnej sytuacji nie powiemy, że to jest dobry stan, idealny – zawsze będziemy niezadowoleni, zawsze będzie co poprawiać, zawsze wszyscy jesteśmy w drodze.

Natomiast jeśli chodzi o sprawę elit, na co silnie stawiano na Zachodzie (np. we Francji), to myślę, że w Polsce powinno się wziąć to poważnie pod uwa-



gę. To wiąże się z elementem pewnej demokracji w Kościele. Jak już mówiłem: elity zabierają głos na przykład na temat stanu Kościoła, próbują coś oceniać, coś krytykować, czegoś chcą. Myślę, że hierarchia kościelna powinna brać to pod uwagę. Nie traktować tego tak, że pewne rzeczy Kościoła są wyłącznie zastrzeżone dla hierarchii. Z drugiej strony, elity powinny działać samoczynnie. Myślę, że jeżeli ktoś poczuwa się do odpowiedzialności za coś, to sam coś powinien robić.

Ja starałem się specjalnie nie kolidować z hierarchią, ale też niczego nadzwyczajnego od niej nie oczekiwałem. Ta postawa jest nadal mi bliska. Ale, oczywiście, postawy mogą być różne. W każdym razie można wyrazić opinię, że nasza hierarchia, przynajmniej dotychczas, była zbyt sztywna względem opinii elit. Można zrozumieć, że w przeszłości hierarchia mogła się obawiać ludzi świeckich: człowieka świeckiego, intelektualistę, nie wiadomo, czy nie jest przez kogoś manipulowany, nasłany lub czy nie będzie manipulował – to były realne niebezpieczeństwa i zagrożenia i tutaj pewna ostrożność była wskazana. Natomiast teraz raczej nie ma tych zagrożeń i to powinno umożliwić hierarchii pewne odblokowanie. Oczywiście, istnieją ciągle przyzwyczajenia, zasłouchi itd. To jest na pewno proces trudny,

dosyć delikatny, ale jakoś będzie postępował i musi postępować.

Sam właśnie wychodzę z takiego założenia, że trzeba postępować zgodnie z podstawowymi prawdami wiary i z interesem Kościoła jako całości, ale każdy powinien robić swoje. Najlepiej, jeżeli przy okazji współpracujemy, jeżeli z jakimś duszpasterzem coś robimy, ale przecież to ściśle posłannictwo chrześcijańskie powinniśmy realizować w każdym miejscu i każdy na swój sposób. Można we wspólnocie ściśle religijnej, kontemplacyjnej, a można w zakładzie pracy czy w rodzinie.

Wojciech Chudy: Funkcja kapłańska jest również przynależna każdemu świeckiemu, każdej osobie uczestniczącej w apostołacie świeckich. Jeszcze porozmawiamy chwilę o tym. Powiadasz, że Kościół jako hierarchia, jako instytucja powinien się bardziej otworzyć na ludzi światłych, intelektualistów, korzystać również z ich uczestnictwa. Ale istnieje przecież aspekt stosunku do zdania większości. Są sprawy, w których Zachód jak gdyby otworzył się za bardzo na *opinio communis*. Na przykład sprawa przerwania ciąży czy sprawa antykoncepcji. Jednak prowadzenie Kościoła to jest nie tylko współbycie i słuchanie, ale również formowanie. Jak w tym aspekcie widzisz sprawę zachowania tożsamości naszego

Msza święta w kościele akademickim na KUL. 1981. Fot. Jan Trembecki. Archiwum „Kuriera Lubelskiego”.



Część I. Sylwetka

Kościół? Czy pójście ku tendencjom demokratyzacji w Kościele nie może znaczyć rozchwiania tej tożsamości?

Janusz Krupski: W takich sprawach, jak przerywanie ciąży czy kontrola urodzeń, które dotyczą wartości najwyższych, na przykład życia, Kościół – ale Kościół jako my wszyscy, to nie jest tylko sprawa hierarchii, to jest sprawa nas, katolików – powinien bezwzględnie bronić tych najwyższych wartości. Powinien robić wszystko, co jest możliwe do zrobienia. Co nie znaczy, że się to musi udać, że zdołamy w tym roku czy w nieodległym czasie osiągnąć na przykład regulację prawną obrony życia nienarodzonych. Toczy się w tej chwili przeciwko tym wartościom batalia, w której właściwie istotnym złem nawet nie jest to, że są kwestionowane wartości najwyższe, tylko że są one relatywizowane. My powinniśmy nieodparcie ich bronić, tzn. nie dopuszczać do ich relatywizowania. Jest to ogromne zadanie. Często właśnie mówi się: to nie jest ludzkie życie, to nie człowiek, to tylko embrion. Inna forma

relatywizacji dotyczy właśnie swego rodzaju rozmywania odpowiedzialności prawnej tych, którzy godzą w życie nienarodzonych dzieci. My musimy wciąż walczyć nieodparcie o zachowanie jednoznaczności tych wartości. Natomiast, jeżeli zostaniemy przegłosowani – bo przecież istnieje pewna procedura – no to cóż, trzeba będzie o to walczyć od nowa. To jest nieunikniony dla katolika proces. Powinniśmy o to walczyć, powinniśmy jako Kościół nauczać. Przecież jest dużo takich sytuacji, jeśli chodzi o przerywanie ciąży, kiedy ludzie są nieświadomi lub nie w pełni świadomi tego, co czynią. I to mimo że toczy się taka ogromna i ważna dyskusja; ale ona często nie schodzi do takiego poziomu, na którym by ludziom można było przekazać pewną wiedzę podstawową. Bo powiedzenie tylko tego, że coś jest dobre, a coś złe, często nie wystarcza; musimy się liczyć z mentalnością ludzi, do których to mówimy, i z ich zdolnością pojmowania, czym jest życie dziecka nienarodzonego. Musimy trafić do człowieka, do którego kierujemy to wezwanie, i być



Msza podczas strajku studentów na UMCS po wprowadzeniu stanu wojennego. 1981. Fot. Bogusław Okupny. Archiwum TNN.

w tym przekonywający. Jeżeli wezwanie to zostanie odrzucone, tak jak wiele wartości chrześcijańskich jest wciąż odrzucanych, to mimo to my chrześcijanie, Kościół, powinniśmy ciągle do tego wracać i o to walczyć.

Możemy obserwować społeczeństwa demokratyczne, na przykład Stany Zjednoczone – państwo tak bardzo wielokulturowe, w którym jednak wiadać, że ta walka o ludzkie życie, o życie ludzi nienarodzonych nie jest stracona i beznadziejna, choć toczy się w świecie tak bardzo stechnicyzowanym i w jakimś sensie zmaterializowanym. Polska jest państwem w gruncie rzeczy jednorodnym narodowo, wychodzi głównie z chrześcijańskiego czy katolickiego pnia, więc sytuacja mogłaby być tutaj prostsza. Jednak nie jest. Jest to jedno z wielkich zadań, które stoi przed naszym Kościołem, by właśnie przekonać ludzi do wartości życia nienarodzonych, do wartości życia ludzkiego w ogóle i do obrony tego życia. Obecnie jest może moment przełomowy w realizacji tego zadania, ale w istocie myślę, że tego się nie załatwi nawet ustawą – jest to zadanie, które będzie zawsze stało przed nami. O to zawsze trzeba będzie walczyć, nawet jeśli ustawa o ochronie życia nienarodzonych zostanie przyjęta w parlamencie. Bo chodzi w końcu o to, by kogoś nawrócić ze złej drogi, a tego się nie załatwi raz na zawsze. W Kościele nie ma rzeczy raz na zawsze załatwionych.

Wojciech Chudy: Porozmawiajmy jeszcze chwilę o sprawie, nad którą się zatrzymujemy już dłuższy czas. Mianowicie, chodzi ciągle o sprawę tożsamości nas jako Kościoła. Siłą rzeczy Kościół obecnie wchodzi na płaszczyznę społeczno-polityczną. Siłą rzeczy, ponieważ na przykład kwestia obrony życia nienarodzonych to również sprawa zabierania głosu na temat prawa, bo tutaj tego głosu nie można było nie

podnieść. Jak oceniasz udział Kościoła w życiu publicznym w Polsce, w tym w życiu politycznym? A z drugiej strony, jak oceniasz funkcjonowanie wartości religijnych w polityce, na przykład w postaci partii chrześcijańskich albo wprowadzenia tych wartości do zapisu w konstytucji?

Janusz Krupski: Obecność Kościoła w życiu publicznym i w życiu politycznym teraz, kiedy budujemy nową Polskę, jest i niezbędna, i nieunikniona. Kościół się nie da z tego wykluczyć. Myślę, że w ogóle jest tylko kwestia, jak Kościół będzie się zachowywał, co będzie czynił. A że nie zniknie z tego obszaru, to jest oczywiste, bo nawet ci, którzy atakują Kościół, nie myślą w ogóle o usunięciu go z tej płaszczyzny, a jedynie o jakimś „ustawieniu”. Kościół jest teraz w sytuacji złożonej. Z jednej strony, odwołuje się do pewnej historycznej przeszłości, tak narodu, jak i swojego instytucjonalnego usytuowania, i stara się wrócić do stanu sprzed komunizmu. Czyli zarówno gdy idzie o pewne dobra materialne, jak i kulturowe czy duchowe, na przykład elementy religijne w życiu publicznym – Kościół zmierza do przywrócenia tego, co istniało w przeszłości, przed przejęciem władzy przez komunistów. Oczywiście, wokół niektórych rewindykacji toczą się spory, czy te budynki Kościół powinien odebrać, czy nie, bo one służą czasem ważnym celom. To są rzeczy, myślę, indywidualne. Natomiast, ponieważ Kościół głosi Ewangelię, jego główne zadanie to działalność ewangelizacyjna. Obecność Kościoła w życiu publicznym polega na przepajaniu wartościami chrześcijańskimi całego życia, które nas otacza: od rodziny aż po najwyższe instytucje państwowe czy społeczne. To jest zadanie, które stoi przed całym Kościołem, nie tylko przed hierarchią. Taka działalność jest niezwykle trudna, wymaga działań pozytywnych, ale również i negatywnych, właśnie tego

ścierania się z wartościami przeciwnymi, o czym wspomniałeś wcześniej. No i to jest praca na lata. Trzeba rzeczywiście wiele odbudować. A uczestniczenie w sprawowaniu władzy czy naciski na władzę – to jest jednak coś innego. Nam chodzi nie o państwo teokratyczne, a o państwo, które wyrosło z korzeni chrześcijańskich i które ma tak wzrastać. Oczywiście, państwo, w którym będzie miejsce na równych zasadach dla inaczej myślących. Kościół w swej działalności ewangelizacyjnej obejmuje całą sferę i wszystkie wymiary życia społecz-

Misa na wodę święconą.
1981. Fot. Bogusław Okupny. Archiwum TNN.



nego i publicznego. I powiedziałbym, że jest to naturalne.

Postawiłeś pytanie o rolę partii wyznaniowych. Ja rozumiem ludzi, którzy mówią, że w każdej partii mogą być realizowane wartości chrześcijańskie. Bardzo dobrze. Niech socjaliści realizują w partii socjalistycznej czy inni w partii liberalnej wartości chrześcijańskie. Natomiast odnosząc się do polemiki toczącej się wokół tego zagadnienia – wcale nie znaczy, że partia, która nazywa się chrześcijańską, chce przez to monopolizować wartości chrześcijańskie czy głosić wyłączność na chrześcijaństwo w życiu politycznym. To jest podobnie jak ze szkołą wyznaniową. Istnienie szkoły, która nazywa się szkołą katolicką, wcale nie musi powodować, że w innej szkole, na przykład państwowej, ma być realizowany program antyreligijny czy areligijny. Po prostu ta szkoła w inny sposób i w innym zakresie realizuje wartości, do których wszyscy jakoś powinniśmy się odnosić. Uważam, że występowanie niejako pod szyldem chrześcijańskość lub katolickość oznacza branie na siebie większego obowiązku, większej odpowiedzialności. Taka partia chrześcijańsko-demokratyczna czy chrześcijańsko-narodowa powinna być rozliczana z tego, jak realizuje w życiu publicznym te wartości, w imię których określa się wprost jako partia chrześcijańska.

Poza tym, jeżeli w ogóle mówimy o powrocie do Europy, to przecież w Europie Zachodniej istnieją silne partie chadeckie, które Europę powojenną w poważnej mierze współtworzyły. Te partie mają tam uznane miejsce i można powiedzieć, że teraz odnosimy się do jakiejś tradycji polskiej i europejskiej, która ciągle jest żywa. Oczywiście, partie chrześcijańsko-demokratyczne na Zachodzie przeżywają pewien kryzys, bo jest to jednak zadanie bardzo trudne realizować wartości chrześcijańskie w życiu politycznym pod koniec XX

wieku w Europie w dużym stopniu zlaicyzowanej, gdzie kwitnie kult pieniądza i czystego profesjonalizmu, o którym już wspominaliśmy.

Niestety, dzisiaj jest to często walka na hasła i jest to walka w dużej mierze demagogiczna. Chodzi głównie o głosy, motywem jest obawa, że w pierwszym rządzie katolicy będą głosowali właśnie na partię chrześcijańsko-demokratyczną. Jednak obawa przed takim koniunkturalizmem programowym jest chyba przesadna. Nazwa może podzielać dziś, ale jutro ludzie już będą się temu krytycznie przyglądać. W Polsce widać, że nie tak łatwo ludzi łączyć na hasła. Oczywiście, można – jak wszędzie – wprowadzać w błąd, otumaniać, ale takie działanie wcale nie jest skuteczne. Dotyczy to i partii, i wszelkiego działania pod nazwą „chrześcijańskie”, bo zawsze jest to branie na siebie pewnego trudnego obowiązku, z którego będzie się rozliczonym.

Wojciech Chudy: Z tym się wiąże problem wartości chrześcijańskich w Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. Znowu pojawia się kwestia relacji pomiędzy uniwersalnością wartości chrześcijańskich a ich szczególną obowiązywalnością dla katolików. Są głosy, że przecież te wartości najogólniejsze, podstawowe przynależą każdej jakoś pozytywnej formacji światopoglądowej, więc po co akurat nazywać je wartościami chrześcijańskimi? Można by je nazwać na przykład wartościami praw człowieka czy innymi.

Janusz Krupski: Ale my jesteśmy w końcu społeczeństwem chrześcijańskim i wartości te chcemy nazywać po imieniu. Wartości chrześcijańskie nie są wartościami, które mogą być dla innych, dla niechrześcijan obraźliwe. To są wartości sprawdzone. To jest też ważne, że te wartości, o których mówimy, przetrwały próbę czasu. A konstytucja jest dokumentem nakierowanym

na przyszłość, nie jest na jeden sezon polityczny – chodzi nam o tworzenie społecznych praw i zasad fundamentalnych i chcemy je budować na wartościach sprawdzonych i potwierdzonych przez zakorzenienie w dziejach. Ja muszę powiedzieć, że nie szukam tu bardzo rozbudowanych uzasadnień. Dla mnie jest to bardzo proste i będę się za tym opowiadał.

Pamiętam na przykład taką sytuację, że kiedy w podziemiu składałem przysięgę na Pana Boga i na wartości zawarte w Ewangelii, a robiłem to m.in. w towarzystwie ludzi niewierzących, to oni nie wzbraniali się przed złożeniem takiej przysięgi. Potrzeba było odniesienia trwałego do wartości, których nie można zrelatywizować – i tutaj sięgało się do Ewangelii. Są ludzie lewicy czy niewierzący, w których mieszkaniu wisi krzyż. Myślę, że ludzie otwartych i światłych na to stać, bo widzą, że to jest symbol wartości niezbywalnych. Oni mogą nie wierzyć w Boga objawionego, żywego, w trzech osobach, natomiast wierzą w najwyższe wartości. Jeżeli ludzie, którzy świadomie głoszą agnostycyzm czy ateizm i opowiadają się za wartościami chrześcijańskimi, widzą ich trwałość i niezbywalność, to myślę, że to powinno w tej dyskusji stanowić jakąś wskazówkę również dla oponentów wprowadzenia wartości chrześcijańskich do tekstu konstytucji. Pamiętamy z historii, że był w Polsce okres słynnych pogrzebów. I umierali ludzie niewierzący, którzy prosili o krzyż nad swoim grobem. Przecież nie była to z ich strony żadna manipulacja czy koniunkturalizm, natomiast właśnie opowiedzenie się za prawdą czy za prawdami fundamentalnymi, które są zawarte w krzyżu. I myślę, że to także powinno dać do myślenia ludziom, którzy wyszukują argumenty na „nie”.

No i wreszcie argument, który wypowiadam na końcu: ostatecznie większość powinna mieć jakieś prawa! W Polsce tak się składa, że prawie wszyscy jeste-

śmy co najmniej metrykalnymi chrześcijanami i ta większość powinna mieć jakieś prawo do określenia organizacji demokratycznego państwa i zasad tej organizacji. My powinniśmy uważać, aby nikogo nie urazić, nawet w jakimś sensie chronić mniejszości, bo czasem taka przytłaczająca większość potrafi innych stłamsić i nie jest to proporcja dobra. Natomiast wartości chrześcijańskie w konstytucji to nie jest chęć stłamszenia kogokolwiek. To jest postawienie na wartości pozytywne – raz jeszcze twierdząc – sprawdzone, wartości, za którymi opowiada się jednak większość Polaków. Mniejszość, która to kwestionuje, powinna jakoś też je uszanować.

Wojciech Chudy: Dobiegamy powoli do końca. Ja, dziękując Ci za tę rozmowę, bardzo się cieszę, że pokazała ona pewien, można by powiedzieć, arystotelesowski środek naszych czasów, że nie była taka, jak to często zdarza się ostatnio w rozmowach prasowych, gdzie dominuje trąbka na alarm i pewien dość powierzchowny emocjonalizm wobec sprawy. Myślę, że potwierdziłeś tutaj jednak tytuł naszego numeru „Ethosu”, że to, co przeżywamy od trzech lat, to jest przedwiośnie, że pokazałeś tutaj kilka momentów, na których można się oprzeć. Centralną część naszej rozmowy zajął temat: Polak w społeczeństwie i w Kościele, i sądzę, że to także jest szczególnie ważne w kontekście tych czasów, aby widzieć jasno swoje miejsce w Kościele. Wiedzieć, że być w Kościele to jest sytuacja nadziei, że nie jest to tylko schronienie albo jakaś nisza, w której należy przycupnąć, ale że jest to szeroka dziedzina ducha, która obejmuje wszystkie sfery życia społecznego i należy w niej żyć na co dzień i tworzyć ją.

Chciałbym, żebyśmy zakończyli tę rozmowę akcentem jak gdyby najogól-

niejszych postulatów co do polskiego drugiego przedwiośnia. Co trzeba robić, aby stało się ono wiosną?

Janusz Krupski: Odpowiedziałbym tak: postulatów może być mnóstwo, do zrobienia jest prawie wszystko. Chciałbym jednak nawiązać do wątku naszej rozmowy o tym, że budujemy w Polsce demokrację i pluralizm. Budujemy je jako ludzie różni, mający różną przeszłość, w różny sposób argumentujący swoje postawy, swoje interesy oraz swoje zadania. Mając nawet bardzo określone racje, preferencje, nie powinniśmy jednak w tych sporach przypierać się do muru – nawet jeżeli mamy wrażenie, że mamy do czynienia z przeciwnikiem. To jest mój postulat. Powinniśmy starać się walczyć ze sobą w sposób rycerski. Należy stworzyć tej drugiej stronie czy nawet przeciwnikowi pewną przestrzeń do wytoczenia swoich racji, choćbyśmy byli przekonani o słuszności swoich. Tak właśnie kiedyś rycerze ustępowali pola na udeptanej ziemi, a żeby przeciwnik mógł stanąć na niej pewnie i mieć możliwość swobodnego manewrowania bronią. To jest ustąpienie placu, nie sytuacja zwarcia, uniemożliwienie ruchów. Nawet jeśli to jest walka, to z tego, że się daje komuś pole w tej walce, ścieraniu się poglądów – może jednak ostatecznie wyrosnąć coś, co nas w końcu zbliży. Bo tak rozumiemy i zakładamy, że jednak nam wszystkim, choć w różny (nieraz błędny) sposób, zależy na osiągnięciu dobra, a nie zła. Dawanie pola – to się nazywało kiedyś wyzwanie na sąd Boży. Walczymy ze sobą, mając każdy z nas jakieś oparcie, siły i atuty, a rozstrzyga Bóg. I myślę, że to jest rzecz, która jest nam dziś bardzo potrzebna. Żebyśmy ścierali się ze sobą w sposób rycerski, a może do czegoś dojdziemy.

Lublin, maj 1992 roku

Janusz Krupski

Urodziłem się 9 maja 1951 roku w Lublinie. Wychowałem się i kształciłem także w tym mieście. Cała moja droga kształtowania się obywatelskiego zaangażowania związana była z Lublinem i jest to dla mnie nadal niezwykle ważny punkt odniesienia, niezwykle ważne doświadczenie.

Kształciłem się w szkołach lubelskich, najpierw w Szkole Podstawowej nr chyba 31 przy ulicy Narutowicza¹, a później w Szkole Podstawowej nr 7 przy ulicy Plażowej². Potem uczyłem się w technikum mechanicznym³ przy ulicy Długosza. I w tej pięcioletniej szkole kończyłem specjalizację: obróbka skrawaniem, czyli praca na tokarkach i frezarkach. Po ukończeniu technikum podjąłem studia na KUL. Może trochę zaskakujące jest to przejście z obróbki skrawaniem na historię, ale historią interesowałem się od małego dziecka.

Zacząłem zaczytywać się w książkach historycznych

Myszę, że historia była dla mnie oknem na świat, oderwaniem od szarzyzny życia, które w PRL-u, jak wiemy, nie było specjalnie barwne. Odnosi się to także do mojego środowiska. Pochodziłem z rodziny bardzo niezamożnej, mój ojciec był ślusarzem, matka pochodziła ze wsi, mieliśmy bardzo skromne warunki życia. To wszystko powodowało, że takie dziecko jak ja szukało czegoś innego – jakiejś formy ucieczki od tego, co było szare i nieciekawe. I ja taką ucieczkę znalazłem w historii. Jak tylko nauczyłem się czytać, zacząłem zaczytywać się w książkach historycznych i tutaj muszę powiedzieć, że znalazłem bardzo duże oparcie w szkole. Miałem nader dobrego, ciekawego nauczyciela historii, pana Charzewskiego⁴, który dostrzegł moje zainteresowania historyczne i je wspierał. Biblioteka szkolna posiadała pewną liczbę interesujących mnie książek; również po drugiej stronie ulicy – mieszkalem w suterenie na rogu ulic Narutowicza i Konopnickiej⁵ – miałem bibliotekę i bardzo często do niej chodziłem. Książki wypożyczałem, ale częściej przeglądałem na miejscu, bo w domu było nas siedmioro i trudno było się skupić. Nie były to dobre warunki do lektury.

Bardzo dobrze tę PRL-owską szkołę wspominam

W technikum mechanicznym również miałem bardzo dobre wsparcie ze strony nauczycieli przedmiotów humanistycznych. Muszę tutaj podkreślić, że dla mnie ta współpraca z nauczycielami była niezwykle ważna i bardzo dobrze tę PRL-owską szkołę wspominam. Spotkałem tam rzeczywiście nauczycieli z powołania. To byli ludzie, którzy wkładali swoje umiejętności i serce w pracę nad nami, mimo że warunki mieli niekomfortowe. Szkoła była przecież traktowana przez państwo komunistyczne jako instrument indoktrynacji, ideologicznego kształtowania dzieci. Miałem to szczęście, że z jednej strony nauczyciele osłaniali nas przed komunistyczną propagandą, a z drugiej strony w możliwych ramach starali się kształtować w nas dobre cechy charakteru i [przekazywać] wiedzę historyczną nieobciążoną ideologicznie. Jest rzeczą charakterystyczną, że ja sobie nie bardzo przypominam, żeby w szkole uczono nas na historii o budowie socjalizmu, ruchu robotniczym, o różnych wątkach historii, na których szczególnie zależało komunistycznej propagandzie. To było w podręcznikach, ale nie w programie realizowanym przez szkołę. Nauczyciele nie podejmowali tych tematów i to było naturalne.



Janusz Krupski. 2007. Fot. Wioletta Wejman. Archiwum TNN.

¹ Zapewne chodzi o Szkołę Podstawową nr 13 im. Stefana Bato-rego przy ul. Narutowicza 32a.

² Szkoła Podstawowa nr 7 (obecnie im. ks. Jana Twardowskiego) mieści się do dzisiaj przy ul. Plażowej 9.

³ Technikum mechaniczne powstało w 1912 roku jako Szkoła Rzemieślnicza im. Stanisława Stroczyńskiego, dzisiaj nazywa się Zespół Szkół Samochodowych i znajduje się przy ul. Długosza 10a; Janusz Krupski uczęszczał do niego w latach 1965-1970.

⁴ W dokumentach szkoły nie figuruje to nazwisko.

⁵ Dom ten w tej chwili nie istnieje, został rozebrany.

Poszedłem do technikum mechanicznego, dlatego że takie były warunki w domu. Rodzice mówili mi: „Musisz zdobyć jak najszybciej jakiś praktyczny zawód, zacząć zarabiać pieniądze, utrzymywać się, nie obciążać rodziny, [technikum] to jest przyszłość dla ciebie”. W tej perspektywie, w latach 60., nie myślałem o nauce w liceum, o studiach. Jednak w technikum moje główne zainteresowania nie wiązały się z budową samochodów czy technologią budowy maszyn, materiałoznawstwem, ale z przedmiotami humanistycznymi.

Wyczuwało się niechęć do komunizmu

To jest też rzecz ciekawa, że o ile w moim środowisku rodzinnym, koleżeńskim i sąsiedzkim nastawienie do systemu komunistycznego było co najmniej niechętne – to byli rzeczywiście „oni” – to system [jako taki] był akceptowany. Prości ludzie przyjmowali go jako zadany, ale niewątpliwie z tym systemem się nie identyfikowali; na przykład przynależność do partii uchodziła albo za dowód słabości, albo za coś nieprzyzwoitego. W moim środowisku mówiło się: „A, to jest partyjniak” i było to określenie pejoratywne. Jeżeli ktoś z kręgu znajomych należał do partii, to nie było dobrze przyjmowane. Taka była atmosfera.

Pamiętam z technikum, że jak przyszedł do nas w drugiej czy trzeciej klasie nauczyciel, który starał się zachęcić nas do wpisania się do ZMS-u, to reakcja kolegów była bardzo niechętna. Zapisało się parę osób z klasy, która liczyła czterdziestu uczniów, i ważna była ta wyrażnie negatywna reakcja. Nie na zasadzie: „mnie to specjalnie nie interesuje, ja nie chcę działać, nie chcę się angażować, nie mam na to czasu”, tylko „ja nie chcę po prostu!”. To było znaczące odrzucenie. Z drugiej strony, [choć] zdecydowana większość klasy uczęszczała na religię, trudno było mówić, żeby to byli ludzie

specjalnie religijni – raczej typowi „Polacy-katolicy” bez religijnego pogłębienia. Wyczuwało się [jednak] niechęć do komunizmu.

„Nie pozwolę, żebyś tutaj w szkole uprawiał propagandę komunistyczną”

Jeszcze taka ciekawostka, która ilustruje, jak wyglądał nastrój w szkole podstawowej, do której chodziłem. Byłem uczniem piątej [lub] szóstej klasy, a więc był to początek lat 60. i obchody jakiejś rocznicy związanej z Mikołajem Kopernikiem. Na lekcji polskiego nauczycielka zadała jakieś pytanie związane z tymi obchodami i ja zgłosiłem się do odpowiedzi. Powiedziałem, że Mikołaj Kopernik nie był dobrze traktowany przez Kościół, o czym przeczytałem gdzieś w gazecie, a bardzo dużo czytałem prasy. Wtedy ta nauczycielka o nazwisku Mielnik naskoczyła na mnie: „Nie pozwolę, żebyś tutaj w szkole uprawiał propagandę komunistyczną” – a szkoła była przecież socjalistyczna, dyrektorka, pani [Stefania] Dolinowa, należała do partyjnych aktywistów. Czyli: jeśli nauczyciel chciał, to mógł również wyrazić swoje poglądy polityczne. Ja to zapamiętałem na całe życie.

W przyszłości zostać oficerem WP

Kiedy chodziłem do technikum, myślałem o tym, żeby w przyszłości zostać oficerem WP.

Moje zainteresowania historyczne odnosiły się głównie do historii wojskowości i wojska w ogóle. Mimo że moje środowisko było bardzo niechętnie nastawione do systemu, to ja byłem zdania, że nasze wojsko jest patriotyczne, że służąc w tym wojsku, można służyć ojczyźnie. Nie wiedziałem oczywiście wielu rzeczy. O wojsku mogłem się dowiadywać od mojego brata, od starszych kolegów odbywających zasadniczą służbę wojskową, od ludzi, którzy byli w tym

wojsku i traktowali to jak przedłużenie pracy czy edukacji. Mówili o nim raczej pozytywnie. To było nasze wojsko i dlatego bliska była mi myśl, że mundur oficera WP może być moją drogą życia. Zachętą nie był dla mnie nauczyciel, który prowadził przedmiot przysposobienie wojskowe – był partyjny i uosabiał bardzo negatywny stereotyp oficera służbisty, bez wyobraźni, zainteresowań, wykonującego jedynie rozkazy, polecenia [według powiedzenia]: „żołnierz nie myśli, tylko wykonuje rozkaz”.

Nie należy chodzić w kierunku KUL – Marzec 1968

Czytałem dużo książek o historii wojskowości i tak doszedłem do czwartej klasy technikum mechanicznego, czyli jeszcze miałem ponad rok edukacji przed sobą. Był rok 1968⁶. W marcu w szkole dowiedzieliśmy się, że nie należy chodzić w kierunku KUL i w kierunku miasteczka akademickiego [UMCS]. W obydwu te miejsca z ulicy Długosza jest bardzo niedaleko. W prasie były jakieś propagandowe teksty, ale to może mniej nas dotyczyło, bo propaganda była

przez cały czas. Natomiast zakaz udawania się w kierunku KUL-u – bo studenci KUL-owscy podburzają [kogoś] – [był] wyraźny. Charakterystyczne dla wydarzeń marcowych w Lublinie było to, że wywołaniem niepokojów w Lublinie obciążano głównie KUL, miała to być robota studentów z KUL-u. Przy tej okazji dowiedziałem się, że KUL jest również uczelnią dla ludzi świeckich. Ja, mieszkając w Lublinie, a nawet przechodząc codziennie koło KUL-u, myślałem, że to jest uczelnia kościelna dla osób duchownych i wyraźnie związanych z Kościołem. Nie wiedziałem, że na kierunkach świeckich mogą studiować „cywile”. KUL był w Lublinie tematem tabu. Niewiele się o nim mówiło. Ja, obracając się w środowisku nieinteligentkim, o KUL-u wiedziałem niewiele. Myślałem, że jest to uczelnia kościelna, a nie dla świeckich. Właśnie z okazji marca i propagandy wokół niego dowiedziałem się, że świeccy ludzie studiują tam bardzo różne, ciekawe kierunki, między innymi historię.

Było rzeczą interesującą, że nauczyciele na lekcjach różnie komentowali

⁶ Autor w 1968 roku chodził do trzeciej klasy.



Księża – mieszkańcy Konwiktów, z dyrektorem ks. prof. Wincentym Granatem, w tle budynek KUL i kościół akademicki. Lata 60. Fot. Kazimierz Wierucki. Archiwum Uniwersyteckie KUL.

zajścia marcowe, nie wypowiadali się jednym głosem w tej sprawie. W technikum niektórzy mówili, że władza próbuje nas chwytać za twarz, a tu studenci nie dają się i to dobrze. Ci, co popierali władzę, poza przekazaniem zakazu, żeby tam nie chodzić, bo jak kogoś zatrzymają, to może wylecieć ze szkoły, nic więcej nie mówili, natomiast niektórzy nauczyciele komentowali te wydarzenia z sympatią dla studentów. Ale dla mnie, dla mojej drogi życiowej było ważne to, że zacząłem interesować się KUL-em.

Nie jestem człowiekiem manifestacji

Doświadczenie Marca '68 było związane z wyborem nowego kierunku zainteresowań. W manifestacji marcowej nie brałem udziału, tylko o niej słyszałem. Nie jestem człowiekiem manifestacji. Właściwie ani wtedy, ani później raczej nie brałem w nich udziału. Nawet kiedy działałem w opozycji i w okresie „Solidarności”, manifestacje mnie nie pociągały. Wolę bardziej konkretne, bardziej kameralne i bardziej zdecydowane formy działania, niż udział w jakichś manifestacjach.

Nie będę oficerem WP, zacząłem myśleć o KUL-u

Drugi moment związany z 1968 rokiem to była inwazja na Czechosłowację w sierpniu, kiedy to zobaczyliśmy nasze wojsko jako agresora. Słyszałem komentarze Wolnej Europy. Rozmowy ze znajomymi ujawniały nieszczególną może sympatię do Czechów, o których w naszym środowisku mówiło się niechętnie, czasem z pewnym pobłażaniem, a nawet z pogardą, że to „pepiczki”. Jednak z drugiej strony udział polskiego wojska w tłumieniu wolnościowego ruchu był niedobrze odbierany. Wojsko Polskie najechało jakiś kraj razem ze Związkiem Radzieckim. To pokazywało mi perspektywę człowieka, który wkłada wojskowy mundur – że to, co może w tym mun-

durze robić, to niekoniecznie obrona własnego kraju. Legło w gruzach moje przekonanie, że [nasze] wojsko jest niezależne od Związku Radzieckiego. Inwazja na Czechosłowację jak najbardziej pokazywała tę zależność i faktyczną rolę Ludowego Wojska Polskiego.

Bardzo ciężko było mi się rozstać z myślą, że nie będę oficerem WP, i wtedy zacząłem myśleć o KUL-u. Sierpień 1968 to była już czwarta klasa technikum, więc zacząłem myśleć o studiach na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i chociaż niechętnie rozstawałem się z pomysłem, że będę oficerem Wojska Polskiego, ostatecznie trafiłem na KUL.

KUL dawał możliwość rozwoju, jeśli ktoś chciał

Po maturze – to był 1970 rok – poszedłem zdawać na KUL. O pójściu na KUL nie mówiłem specjalnie w szkole, bo wiedziałem, że jest to niechętnie przyjmowane i może utrudnić zdanie matury. Wybrałem studia historyczne. Do egzaminu z historii byłem dobrze przygotowany, odczytany tak, że zdałem go bez problemów. Pamiętam, że gdy przeczytałem swoje nazwisko na liście przyjętych na uczelnię, to świeczki stanęły mi w oczach. Uświadomiłem sobie bowiem, że otrzymuję zupełnie nową perspektywę życiową. Widziałem w tym fackie przygodę, której nie potrafiłem nazwać, rozpoznać, ale czułem, że pójście na KUL nie będzie zwykłym kształceniem, że to będzie jakaś przygoda.

Co było dla mnie ważne na KUL? Co było bardzo istotne dla mojego rozwoju? Wydawało nam się, że KUL jest najlepszą uczelnią w kraju. Wszystko na KUL-u dla nas miało niezwykle wysoki poziom. Chciałbym zwrócić uwagę na jedną rzecz: na KUL-u zdecydowana większość studentów była ze wsi, z rodzin nieinteligentnych. Inteligencja [na KUL] przybywała głównie z Warszawy. Na Uniwersytet Warszawski bardzo

trudno było się dostać i wielu kolegów z Warszawy wybierało wtedy katolicką uczelnię.

Dla studentów ze wsi KUL otwierał ogromne perspektywy rozwoju. To była uczelnia, która z początku zupełnie nie uderzała niezależnością badań i postaw. Powiedziałbym nawet, że wykładowców cechowała duża ostrożność – ale studentów już nie. KUL dawał możliwość rozwoju, jeśli ktoś chciał. I co było niezwykle ważne, dosłownie w pierwszych dniach studiów na KUL-u utworzył się taki zespół koleżeński, w którym później przeżyliśmy wiele lat po studiach, razem coś robiąc.

Towarzystwo ludzi myślących niezależnie

Otóż, na roku, na którym byłem, dość szybko zaprzyjaźniłem się jeszcze z dwoma kolegami: Bogdanem Borusewiczem⁷ i Piotrem Jeglińskim⁸. Borusewicz pochodził z Sopotu, na KUL trafił po wypuszczeniu z więzienia, bo on, w odróżnieniu ode mnie, Marzec '68 spędził aktywnie na ulicy i za to dostał wyrok więzienia. Musiał przerwać naukę w szkole, dopiero później zdołał ją uzupełnić, zdać maturę, ale było dla niego oczywiste, że z takimi papierami nie dostanie się na żadną państwową uczelnię. Mógł natomiast dostać się na KUL.

Jako byli uczestnicy Marca, na KUL trafili, oprócz Borusewicza, studenci z Warszawy, na przykład Seweryn Blumsztajn⁹, Joanna Szczęśna¹⁰, czyli tak zwani komandosi¹¹. Oni poszli na inne kierunki: filozofię, socjologię. Spotkaliśmy więc kolegów, dla których KUL stał się azylem, gdzie mogli kontynuować studia, ponieważ drzwi państwowych uczelni były dla nich zamknięte. Można było z tymi kolegami spotkać się, porozmawiać, KUL był do tego idealnym miejscem. Jeśli ktoś chciał, mógł sobie dobrać towarzystwo ludzi myślących niezależnie, dla których KUL był oparciem. Ja właśnie taki KUL wspomi-



nam i było to dla mnie niezwykle ważne doświadczenie.

Drugim kolegą, obok Bogdana, był Piotrek Jegliński, który pochodził z Warszawy z rodziny inteligenckiej i którego oboje rodzice byli żołnierzami AK. Ta AK-owska przeszłość rodzinna, tradycja

Seweryn Blumsztajn, Barbara Toruńczyk i Władysław Panas (na zdjęciach) i Joanna Szczęśna (wspomniana w tekście) zaczęli studiować na KUL, po tym jak wyrzucono ich z państwowych uczelni (po Marcu '68). Fotografie dyplomowe (1974). Archiwum Uniwersyteckie KUL.

⁷ Bogdan Borusewicz (ur. 1949) – absolwent historii KUL (1975), członek KOR, od 1978 roku działał w Wolnych Związkach Zawodowych Wybrzeża, wydawał prasę niezależną („Robotnik”, „Robotnik Wybrzeża”), organizował obchody rocznic Grudnia '70, jeden z organizatorów strajku w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980. W wolnej Polsce poseł na Sejm RP, od 2005 roku marszałek Senatu.

⁸ Piotr Jegliński (ur. 1951) – studiował historię na KUL w latach 1970-1974. W 1974 roku wyjechał na stypendium do Francji. Na emigracji był zaangażowany w działalność opozycyjną, w 1978 roku założył Editions Spotkania (ściśle współpracujące ze środowiskiem „Spotkań” w Polsce). Wysłał do Polski pierwszy powielacz (maj 1976).

⁹ Seweryn Blumsztajn (ur. 1946) – po wydarzeniach marcowych usunięty z UW, w latach 1970-1974 student socjologii na KUL-u, działacz opozycji demokratycznej, redaktor „Biuletynu Informacyjnego KOR”, po 1989 roku redaktor „Gazety Wyborczej”.

¹⁰ Joanna Szczęśna (ur. 1949) – absolwentka filologii polskiej KUL (1976), współpracow-

niczka KOR, redaktorka i kolporterka „Biuletynu Informacyjnego KOR”, współzałożycielka i redaktorka „Tygodnika Mazowsze” (1981). W wolnej Polsce publicystka; odznaczona Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (2006).

¹¹ Obok Seweryna Blumsztajna, który rzeczywiście studiował na filozofii, studentką tego kierunku była Barbara Toruńczyk, natomiast Joanna Szczęśna została usunięta z Uniwersytetu Łódzkiego i na KUL-u kontynuowała studia polonistyczne. Pomarcowymi studentami z Warszawy byli także: Wiesław Chuleński i Zbigniew Szymański (obaj wcześniej na Politechnice Warszawskiej). Z Poznania przybyli: Władysław Panas i Jerzy Kopania, a z Opola Mieczysław Plopa.

powstania warszawskiego, zawitała wtedy do naszej małej koleżeńskej grupki. Bardzo szybko porozumieliśmy się, że tutaj na KUL przyszlizmy nie tylko studiować, ale robić coś więcej.

Temat naszego wybijania się na niepodległość

Ważne dla nas były tradycje niepodległościowe, powstańcze. Staraliśmy się, studiując normalny program historii, szczególnie pogłębiać wątki związane z historią najnowszą, z II wojną, historią XX wieku, tradycją niepodległościową i tradycją oporu powojennego. Legenda podziemia antykomunistycznego była [żywa], chociaż wiedzę mieliśmy niewielką, bo było bardzo trudno o jakieś materiały źródłowe. Czytaliśmy książki propagandowe, wydawane wtedy przez Wojskową Akademię Polityczną, a pisane przez historyków wojskowych, milicyjnych, ale mieliśmy trudności, żeby dowiedzieć się czegośkolwiek prawdziwego na ten temat. Nie było literatury niezależnej – tylko legenda, [obecna] w naszej wyobraźni [jako] zbrojna walka o niepodległość Polski.

Było to chyba na pierwszym roku studiów, rozmawialiśmy z Jeglińskim

i Borusewiczem, że może kiedyś, jak pojawią się sprzyjające ku temu okoliczności, trzeba będzie podjąć tę walkę, ale żeby ją prowadzić, trzeba być do tego odpowiednio wyszkolonym i przygotowanym, tymczasem studenci KUL nie mieli studium wojskowego. Na innych uczelniach było studium i przygotowanie wojskowe, [na którym] studenci uzyskiwali stopień oficera, natomiast na KUL tego nie było. Jak więc walczyć? Otóż w Lublinie, jak w każdym mieście, była Liga Obrony Kraju. To była organizacja, do której można było się zgłosić i uzyskać przygotowanie wojskowe. No i ja się zgłosiłem do LOK. Pamiętam, że siedziba mieściła się na Krakowskim Przedmieściu (teraz czy kilka lat temu w tym lokalu mieściła się apteka). Pamiętam tam taką wystawę broni maszynowej i przeciwpancernej. Zgłosiłem się do Ligi Obrony Kraju i mówię, że chcę się zapisać do drużyny strzeleckiej. Osoba, z którą rozmawiałem, wzięła moje dane i powiedziała, że mogę zgłosić się za tydzień. Zgłosiłem się i usłyszałem odpowiedź, że nie przyjmą mnie do drużyny strzeleckiej, bo strzelców z KUL nie potrzebują. W tej sytuacji nie mogłem się szkolić w wojskowym fachu, mogłem tylko czytać.

I tak przez pierwszy i drugi rok studiów staraliśmy się ściągać wszelkimi możliwymi sposobami literaturę na temat naszego wybijania się na niepodległość w czasie wojny i po niej. Naszą wiedzę związaną z najnowszą historią czerpaliśmy z literatury emigracyjnej, korzystaliśmy też w ograniczonej mierze z KUL-owskich prohibitów. Trochę takiej literatury przywiózł Jegliński. Zaczęło się też jej kopiowanie. Jegliński i Borusewicz mieli aparaty fotograficzne, więc metodą fotograficzną robili odbitki z paryskiej „Kultury”, żeby te nieliczne egzemplarze, jakie do nas trafiały, można było powielić i upowszechnić. Działo się to w takim bardzo niewielkim kręgu zaufanych ludzi. Przez nasze



Prof. Jerzy Kłoczowski, historyk, opiekun Koła Naukowego Historyków Studentów, promotor Janusza Krupskiego. Archiwum Uniwersyteckie KUL.

prywatne kontakty orientowaliśmy się, do kogo można mieć zaufanie, komu można coś takiego dać, a komu nie. Wiedzieliśmy bowiem, że gdybyśmy, nawet będąc studentami KUL-u, popełnili wykroczenie ścigane przez komunistów, nie ujdzie nam to na sucho. Mieliśmy na KUL kilku kolegów, którzy dostali wyroki za pisanie czy posiadanie literatury na temat Katynia. Kilka lat starszy ode mnie kolega, który się nazywał [Tadeusz] Ma-
dała¹², odsiedział kilka lat w więzieniu za posiadanie książki o Katyniu. Wiadomo więc było, że trzeba być ostrożnym.

Upowszechniać historię w inny sposób

Na trzecim roku studiów postanowiliśmy zacząć działać w sposób bardziej otwarty. Nie w kręgu tylko kilku kolegów, ale szerzej, można powiedzieć, że na niwie społecznej. Otóż na trzecim roku studiów zostałem wybrany na stanowisko prezesa Koła Naukowego Historyków Studentów. Kuratorem Koła oraz doradcą było dwóch ludzi, z którymi mieliśmy bardzo ciepłe i bliskie kontakty. To był profesor [Zygmunt] Sułowski¹³ oraz doktor Adam Stanowski¹⁴.

Koło Historyków posiadało swój lokal i to dla nas było bardzo ważne, ponieważ mogliśmy się spotkać i porozmawiać tam, a nie gdzieś na korytarzu. Lokal mieścił się w [tej] części budynku, co Sekcja Historii, obok archiwum i biblioteki zakładowej. To była wygrodzona część korytarzyka, bardzo niewielka, miała siedem lub osiem metrów kwadratowych i mieściły się tam biurko, kanapa, jakaś półka z książkami. Jak przyszło dziesięć osób, to lokal był już wypełniony¹⁵. Zaczęliśmy myśleć o takim programie Koła, żeby jak najwięcej kolegów włączyć do działalności, która pozwoli upowszechniać historię w inny sposób niż tylko drogą normalnego zaliczania materiału. Do trzeciego roku studiów, czyli do roku 1973, chłoniliśmy wiedzę na KUL, nie tylko historyczną,

ale jeszcze wspólnie z Bogdanem Borusewiczem postanowiliśmy podjąć równoległe studia na Wydziale Filozofii Teoretycznej KUL¹⁶. Pogłębialiśmy więc swoją wiedzę filozoficzną i pracowaliśmy aktywnie w Kole Historyków.

Oplatki Sekcji Historii miały AK-owski charakter

Ważnym elementem budowania na KUL-u specyficznej atmosfery były Oplatki, które bardzo wzmacniały więź, wspólnotę akademicką. Oplatki było mnóstwo: sekcyjne, wydziałowe i główny Oplatek ogólnoakademicki. Zaczynały się na początku i ciągnęły do połowy grudnia. A od połowy grudnia studenci udawali się na bardzo długie wakacje akademickie, które kończyły się po święcie Trzech Króli.

Dla nas bardzo ważne były Oplatki, które odbywały się na Sekcji Historii. Osobą, która nadawała im ton, był profesor [Jerzy] Kłoczowski¹⁷, mój promotor od trzeciego roku studiów. Profesor Kłoczowski był żołnierzem, oficerem AK i Oplatki Sekcji Historii, które były organizowane w latach naszych studiów, miały AK-owski charakter. Profesor ściągał na nie żołnierzy, kombatanów AK, więc to była nie tylko uroczystość o charakterze wspólnotowym i religijnym, ale też uroczystość patriotyczna ludzi związanych z AK i Polskim Państwem Podziemnym¹⁸. Była to okazja do powrotu do tamtych czasów i tradycji. Obok kolęd, śpiewaliśmy dużo pieśni powstańczych, z okresu II wojny, i był to bardzo ważny element budowania naszej wspólnoty opartej na wartościach Polskiego Państwa Podziemnego i powstania warszawskiego.

Pamiętam jedną z zaproszonych uczestniczek naszych Oplatki, panią [Elżbietę] Zawacką¹⁹. Przyjeżdżały różne osoby, których z nazwiska dokładnie sobie nie przypominę, ale to byli koledzy profesora Kłoczowskiego z oddziału

¹² Tadeusz Ma-
dała, Zbigniew Boczkowski i Adam Wierzbicki zostali zatrzymani 3 lutego 1967 roku w akademku przy ulicy Sławińskiego 8, gdzie podczas rewizji skonfiskowano przepisane na maszynie fragmenty książki Józefa Czapskiego dotyczącej Katynia oraz inne materiały. Ma-
dała i Boczkowski zostali aresztowani i po procesie skazani na dwa lata więzienia, natomiast Wierzbicki został zwolniony. Okazał się on tajnym współpracownikiem. Ma-
dała odsiedział dokładnie dwa lata, natomiast Boczkowski opuścił więzienie wcześniej, zobowiązując się do współpracy.

¹³ Zygmunt Sułowski (1920-1995) – historyk, profesor KUL, kierownik Katedry Nauk Pomocniczych, dziekan Wydziału Nauk Humanistycznych w latach 1974-1981.

¹⁴ Adam Stanowski (1927-1990) – absolwent pedagogiki, historyk i socjolog, pracownik naukowy KUL, w latach 1958-1961 i 1977-1990 redaktor „Więzi”, związany Solidacją Mariańską i KIK, współzałożyciel i wykładowca Uniwersytetu Łatającego i Towarzystwa Kursów Naukowych, od 1981 zaangażowany w działalność lubelskiej „Solidarności”, redaktor opozycyjnego „Miesięcznika”, uczestnik obrad Okrągłego Stołu, senator III RP.

¹⁵ Faktycznie lokal Koła Historyków mieścił się wtedy w suterynie wschodniego skrzydła, gdzie były księgozbiór

zakładowy, archiwum i zbiory archeologiczne.

¹⁶ Nie było Wydziału Filozofii Teoretycznej, tylko był Wydział Filozofii Chrześcijańskiej i w jego ramach funkcjonowała Sekcja Filozofii Teoretycznej.

¹⁷ Jerzy Kłoczowski (ur. 1924) – profesor historii, dziekan Wydziału Nauk Humanistycznych, żołnierz AK (ciężko ranny w powstaniu warszawskim), dyrektor Instytutu Geografii Historycznej Kościoła w Polsce, założyciel i dyrektor Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej, przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, senator RP, kawaler Krzyża Virtuti Militari V kl. i Orderu Orła Białego.

¹⁸ Termin odnoszący się do okresu okupacji, kiedy na ziemiach polskich funkcjonowały podziemne władze administracyjne, namiastka parlamentu. ZWZ-AK była siłami zbrojnymi Polskiego Państwa Podziemnego.

¹⁹ Elżbieta Zawacka (1909-2009) – pseudonim „Zo”, kurierka ZWZ-AK, „Cichociemna”.

²⁰ Na historii był jeszcze prof. Władysław Rostocki, który pracował w BIP KG AK, i Zdzisław Szpakowski, na polonistyce prof. Czesław Zgorzeński, który działał w wileńskiej AK.

²¹ Dokładnie: Zrzeszenie Studentów Polskich. ZSP powstało na bazie zlikwidowanej w 1950 roku Bratniej Pomocy i Federacji Polskich Organizacji Studentów. Jego główne zadania na uczelniach

„Baszta” czy z wcześniejszej konspiracji. Przychodzili na Oplątki – [także] na ten nasz sekcynny – AK-owcy, którzy pracowali na KUL i tych osób było bardzo wiele²⁰. Oprócz profesora Kłoczowskiego był to profesor Sułowski – również żołnierz AK, doktor Stanowski – wtedy młody żołnierz AK. Z biblioteki przychodził pan Konrad Bartoszewski – nie Władysław Bartoszewski, który pojawił się później, w 1974 roku, i również przychodził na te Oplątki – ale inny Bartoszewski, Konrad, [który] działał i walczył nie tylko w Armii Krajowej, ale i w oddziałach podziemia antykomunistycznego, na przykład rozbijał więzienie w Hrubieszowie (słynna akcja na to więzienie, uwolnienie więźniów politycznych, żołnierzy podziemia antykomunistycznego). Miał na koncie dwa wyroki śmierci. Wielu pracowników KUL miało kartę AK-owską. Nasz sekcynny Oplątek zawsze przebiegał pod znakiem Armii Krajowej.

W żaden sposób nie możemy się zgodzić na akceptację SZSP na KUL

W roku 1973 wydarzyła się bardzo ważna rzecz, która zmąciła trochę nasz obraz KUL-u jako instytucji niezależnej, która wydawała się nam jednomyślna, jeśli chodzi o stosunek do systemu komunistycznego.

Na KUL-u mianowicie, jak na innych uczelniach, działał Związek Studentów Polskich²¹, do którego należało większość studentów każdej uczelni. Był to rodzaj związku zawodowego studentów, organizacja nie tyle polityczna, ile pozwalająca na rozwój różnych form życia studenckiego na danej uczelni i umożliwiającą kontakt z innymi środowiskami akademickimi w kraju. KUL był uczelnią, którą władze starały się z jednej strony ustawić na uboczu jako bez entuzjazmu tolerowaną enklawę, a z drugiej strony był środowiskiem akademickim, które starało się wyrwać z tej izolacji

i ZSP to umożliwiało, dając otwarcie na inne środowiska akademickie.

Zimą [1972] albo wczesną wiosną 1973 roku władza postanowiła scalić ruch młodzieżowy w Polsce. Nazywało się to scaleniem i stworzeniem jednej organizacji socjalistycznej. Na uczelniach państwowych obok ZSP działał Związek Młodzieży Socjalistycznej oraz Związek Młodzieży Wiejskiej, ale władze uznały, że zbyt dużo jest tych organizacji i trzeba stworzyć jedną socjalistyczną grupę, i nazwać ją Socjalistycznym Związkiem Studentów Polskich. Do [jego] nazwy, programu i statutu została wprowadzona ideologia socjalistyczna. Kiedy na ten temat rozmawialiśmy na KUL-u, wydawało się, że tutaj SZSP nie będzie mógł się rozwijać, ponieważ tu kształciła się katolicka elita, świadoma swojego ideowego wyboru. W to środowisko miała wejść organizacja socjalistyczna, a przecież na KUL-u nie działała [nawet] PZPR – aczkolwiek wtedy śmiałyśmy się, że może PZPR na KUL działa, ale w podziemiu, w konspiracji – więc wydawało się, że również SZSP nie będzie działać. W takim duchu były prowadzone rozmowy przed zjazdem zjednoczeniowym organizacji młodzieżowych, który na początku 1973 roku miał się odbyć w Warszawie. Po rozmowach warszawskich, na KUL w auli odbyło się spotkanie studentów zainteresowanych tym problemem i oto okazało się, że aktywni KUL-owskiego ZSP z przewodniczącym [Krzysztofem] Malareckim²² nagłe zadeklarował zainteresowane tym, żeby SZSP na KUL powstał. Ci koledzy mówili, że „to jest nasze okno na świat, a tym socjalizmem w nazwie nie trzeba się specjalnie przejmować, socjalizm to jest fasada, a my to zrobimy po swojemu. U nas na KUL-u zmiana statutu nie będzie miała znaczenia, będzie czysto powierzchowna”. My natomiast tłumaczyliśmy tym kolegom, że jednak nie można w tak niepoważny sposób podchodzić do zmiany nazwy. To nie jest

czysto powierzchowna zmiana. Władzy chodzi o osiągnięcie konkretnego celu politycznego i do tego zostaną wprężone KUL i organizacja studencka na KUL-u. Powiedzieliśmy, że nie uznajemy tego za coś powierzchownego, ale wręcz przeciwnie, za istotną zmianę polityczną w Polsce. Wtedy na KUL-u w auli zaczęła się wielka debata, wymiana poglądów między zwolennikami SZSP a przeciwnikami. Właśnie wtedy nasza grupa [z Koła Studentów Historyków], powiększona o kolegów z innych sekcji czy wydziałów (poprzez Koło Historyków zaczęliśmy się kontaktować), w sposób bardzo wyraźny i ostry zajęła stanowisko negatywne wobec koncepcji wprowadzenia SZSP na KUL-u. Debata przybrała charakter wiecu, nawet manifestacji, była bardzo gorąca. Dyskusja trwała wiele godzin, zaczęła się po południu i przeciągnęła do wieczora, głos zabierało mnóstwo studentów, wypowiadano się wtedy już nie tylko o organizacji, ale o systemie, o komunizmie. Nasze wypowiedzi miały już formę ataków na system komunistyczny, który był dla nas nie do przyjęcia. Spotkanie zakończyło się tym, że koledzy z ZSP, z tego aktywu ZSP-owskiego stwierdzili, że jeszcze przemyślą [sprawę]. Miało być kolejne spotkanie w Warszawie, [na którym] oni mieli zgłosić różne zastrzeżenia ze strony KUL, [a] po upływie kilku tygodni [miało] się odbyć spotkanie w auli KUL. Już wtedy zaczęliśmy się do tego spotkania bardzo solidnie przygotowywać. Bazą do tych przygotowań było Koło Historyków.

Dwa, trzy tygodnie przed kolejną debatą w auli KUL lokal Koła był stale wypełniony. Przychodzili koledzy z innych sekcji i naradzaliśmy się, jak dalej postępować. Powstało porozumienie między nami a Kołem Naukowym Teologów i Kołem Naukowym Polonistów. Przyjęliśmy założenie, że w żaden sposób nie możemy się zgodzić na akceptację SZSP na KUL.



Doszło do kolejnej debaty na auli KUL. To mógł być marzec 1973 roku, może początek kwietnia²³. Na drugim spotkaniu władze uczelni reprezentował dziekan Wydziału Humanistycznego, którym wtedy był pan profesor Ryszard Bender. Aula była wypełniona studentami, do mównicy ustawiały się kolejki i już w tych kolejkach odbywała się dyskusja, atmosfera była bardzo gorąca, debata niezwykle ostra. Koledzy z ZSP podtrzymali swoje stanowisko, że mimo wszystko należy SZSP na KUL zaakceptować. Przeciwnicy z tym większym zaangażowaniem występo-

Plakat propagandowy z okresu PRL-u. Zbiory Biblioteki Głównej UMCS.

sprowadzały się do samopomocy studenckiej oraz działalności kulturalnej. Zrzeszenie praktycznie nie było organizacją ideologiczną.

²² Krzysztof Malarecki (ur. 1949) – student filozofii, przewodniczący Rady Uczelnianej ZSP w latach 1969–1973.

²³ Drugie spotkanie w auli w sprawie SZSP

Prymas Stefan Wyszyński w Bibliotece Uniwersyteckiej KUL. Na zdjęciu, obok prymasa: Andrzej Paluchowski, o. Mieczysław Krąpiec (rektor KUL), o. Romuald Gustaw (dyrektor biblioteki), Helena Mańkowska (kierowniczka Działu Rękopisów). Zbiory WBP im. Hieronima Łopacińskiego (sygn. 3677/II).



wali przeciwko. Pamiętam, że w trakcie mojego wystąpienia – ono było bardzo ostre politycznie – aulę dosyć szybko opuścił przedstawiciel rektora, czyli pan Bender; nie chciał słyszeć tego, co tam się działo. Wiedzieliśmy zresztą, że to jest rejestrowane przez aparat bezpieczeństwa. Dowiedzieliśmy się także od pracowników KUL, że rektor dostał listę studentów, którzy występowali najostreż przeciwko SZSP; [powiedziano mu], że to była demonstracja polityczna i domagano się relegowania tych studentów z KUL-u. Do tego nie doszło, natomiast miały miejsce rozmowy studentów z rektorem KUL, co do SZSP.

Moje wystąpienie odnosiło się, o ile dobrze pamiętam, do tego, że jesteśmy katolikami i ideologia socjalistyczna w tym kształcie, który mieliśmy w PRL, w żaden sposób nie godzi się z naszym świadomym katolicyzmem. Przecież na KUL nikt nas nie ciągnął, to był nasz świadomy wybór, i próba pogodzenia tych dwóch rzeczy – to jest jakby godzenie ognia z wodą, czego pogodzić się nie da. My nie możemy udawać, że to się da zrobić na KUL-u, mamy też dawać świadectwo

prawdzie, a nie przystosowywać się do życia, jak sobie to inni wyobrażają. Wyznanie wyznaniem, wiara wiarą, a życie życiem? Więc to był główny argument. Drugi był już polityczny. Dokładnie statutu SZSP nie pamiętam, ale tam była mowa o sojuszu ze Związkiem Radzieckim, więc mówiłem, że to jest system zniewalający ludzi (była mowa o łagrach) i jak można tutaj odwoływać się do przyjaźni i do sojuszu, jeśli w tamtym kraju mamy do czynienia z bardzo wyraźnym zniewoleniem społeczeństwa. Ten wątek podnosiłem²⁴. Więcej nie pamiętam, ale było to emocjonalne wystąpienie, podobnie jak wszystkie inne – podważały one założenia całego systemu komunistycznego w Polsce. I z tego właśnie powodu władza domagała się relegowania [wypowiadających się] studentów.

Po naszych wystąpieniach w auli spodziewaliśmy się, że może zostaniemy aresztowani, bo były one bardzo ostre. Powiedziałem nawet moim rodzicom, że może się zdarzyć, że przyjdzie po mnie bezpieka i muszą się z tym liczyć. Pamiętam zmartwiałą twarz mojego ojca, który przyjął to jako coś bardzo

miało miejsce 17 marca 1973 roku. Brał w nim udział doc. Ryszard Bender, który jako przedstawiciel rektora o. Mieczysława Krąpca odczytał jego list do uczestników zebrania.

²⁴ W dokumentacji poesbeckiej zachowały się stenogramy niektórych wystąpień z wiecu w dniu 17 marca 1973 roku, w tym Janusza Krupskiego. Wątku sowieckiego w nim nie ma, ale zapewne w pamięci autora zlały się tezy wypowiedzi z dwóch wieców. Por. niniejszy numer „Scriptores”, s. 177.

poważnego. Właściwie nic mi nie odpowiadziało, ale widziałem, że ciężko go to uderzyło. Bezpieka na ulicę Gospodarczą 30/52, gdzie jeszcze wtedy mieszkałem, nie zawitała.

W osiągalnej przestrzeni przeciwstawić się komunizmowi

Myślę, że warto tutaj wspomnieć o atmosferze tego czasu, [o tym] jak my, ludzie, którzy nie zgadzaliśmy się z komunizmem, ten czas odbieraliśmy.

Początek lat 70. to była ofensywa ideologiczno-militarna systemu komunistycznego w świecie. My widzieliśmy, jak komunizm prze do przodu.

W Afryce kolejne kraje, na przykład Angola, były opanowywane przez Sowietów, przez komunistów, chociaż nie stacjonowały tam wojska radzieckie. [Trwała] marksistowska ofensywa w Ameryce Południowej i wojna w Wietnamie. Widzieliśmy, jak komunistyczny walec toczy się do przodu i mieliśmy poczucie [z jednej strony] zagrożenia, że komunizm pochłonie, opanuje świat, a [z drugiej, że] do nas należy, żeby w możliwych miejscach, osiągalnej przestrzeni przeciwstawić się komunizmowi, nie dać mu się rozwijać. Nasze zaangażowanie i aktywność traktowaliśmy jako obronę przed komunizmem, który widzieliśmy jako wzrastające zagrożenie dla świata i Kościoła. Staraliśmy się, tak jak mogliśmy, przeciwstawić, nie zgadzając się chociażby na przyjmowanie kolejnych narzucanych przez władzę rozwiązań. Nie byliśmy w stanie obronić Wietnamu [Południowego] przed Vietkongiem i ofensywą Wietnamu Północnego, ale mogliśmy nie pozwolić na stworzenie SZSP na KUL.

Wspominając prymasa i Episkopat, podsunął nam pewien pomysł

Dla nas najważniejszy w statucie SZSP był zapis, że organizacja ta reprezentu-

je na zewnątrz studentów całej uczelni, czyli: ludzie z SZSP mogą występować w moim imieniu. Ja się na to nie zgadzałem. Mogli reprezentować samych siebie, a ja nie byłem bynajmniej w mniejszości. Większość studentów KUL określiła swój stosunek wobec SZSP [jako] niechętny, a w myśl statutu mieliby być reprezentowani przez tę organizację. Zdarzyła się nawet zabawna [dywersyjna] sytuacja, że Piotrek Jegliński któreś nocy odkręcił z drzwi lokalu Rady Uczelnianej [SZSP], która mieściła się w drewnianym baraku, w miejscu dzisiejszej stołówki akademickiej²⁵, tabliczkę z nową nazwą i wyrzucił – chyba na śmietnik.

Ja natomiast chodziłem do rektora, o. [Mieczysława] Krąpca, z pretensjami, że dopuścił do działania SZSP na KUL, mimo że większość studentów była temu przeciwna i przedstawiła, wydawałoby się, argumenty zrozumiałe dla władz uczelni. Wtedy ojciec rektor powiedział mniej więcej tak: „No tak, ale KUL musi jakoś w całym tym systemie działać i takie demonstracje przeciwko władzom są dla KUL-u bardzo niedobre. Taka organizacja, jak wcześniej ZSP, umożliwiła na przykład załatwienie do stołówki KUL dostaw mięsa”. Nie wiem, na czym polegało to załatwianie przez ZSP dostaw mięsa do stołówki KUL... Wtedy powiedziałem: „Może przejdziemy na ryby?”. A on odpowiedział: „Na ryby nie przejdziecie. Może ja mam się ustawiać w kolejce po mięso i mam je w siatkach przynosić?”. Tak wyglądały rozmowy z o. Krąpcem.

W trakcie jednej z nich, bo było ich kilka, powiedział, że on nie jest władny, żeby tutaj podejmować jakieś wiążące decyzje i być może będzie się musiał wypowiedzieć na ten temat prymas albo Episkopat.

Wspominając prymasa i Episkopat, podsunął nam, zupełnie nieświadomie, pewien pomysł. Postanowiliśmy, dogadując się z Kołem Polonistów i Teo-

²⁵ Dokładniej, lokal Rady Uczelnianej od końca lat 60. mieścił się w zachodnim, murowanym baraku.

²⁶ Prymas Wyszyński nie był Wielkim Kanclerzem KUL (był nim zawsze ordynariusz lubelski, w tym wypadku bp Piotr Kałwa), ale jako przewodniczący Komisji Episkopatu ds. KUL miał wpływ w sprawie lubelskiej uczelni i mógł wpływać na różne decyzje.

²⁷ Jan Żaryn zbierał materiały do historii Kościoła polskiego po 1945 roku (*Dzieje Kościoła Katolickiego w Polsce (1944-1989)*, Warszawa 2003).

logów, zorganizować delegację do ks. prymasa [Stefana] Wyszyńskiego, który był Wielkim Kanclerzem KUL²⁶, i przedstawić mu nasze argumenty przeciwko istnieniu SZSP.

Koło Teologów poprzez swoje księzowskie kontakty taką audiencję u księdza prymasa załatwiło. Chyba w kwietniu w pięć osób – pamiętam tylko, że oprócz mnie byli tam [Bogdan] Borusewicz, Joanna Lubieniecka i dwóch studentów: jeden z Koła Naukowego Teologów, a drugi z Koła Naukowego Polonistów – pojechalśmy do Warszawy. Ksiądz prymas przyjął nas, ale było widać, że ma do nas bardzo chłodny stosunek. Stwarzał dystans. Był postacią majestatyczną i szczególnie [jako] studenci mieliśmy poczucie tego dystansu między nami a wielkim mężem polskiego Kościoła. Odczuwalny był dla nas pewien chłód, którego nie potrafiliśmy zrozumieć.

Siedzieliśmy po jednej stronie stołu, a on po drugiej. Bez większego wstępu wskazywał ręką na każdego z nas i każdy miał przedstawić swoją kwestię, swój argument. Pamiętam, że mówiłem, iż przesądzającym powodem, żeby nie do-

puścić do utworzenia SZSP na KUL, jest to, że SZSP miałyby reprezentować nas wszystkich, a my na to nie możemy się zgodzić. Ksiądz prymas nas wysłuchał i powiedział, że on rozumie nasze argumenty, że tak jak my myśli młodzież z całego kraju i że Episkopat nie opuści swojej młodzieży. Powiedział kilka zdań, pobłogosławił nas i wyszedł. Nie bardzo wiedzieliśmy, jak odebrać to bardzo krótkie i dosyć chłodne wystąpienie. Dowiedzieliśmy się później, że od razu następnego dnia ojciec rektor został wezwany do Warszawy, a potem pojawił się zakaz działalności SZSP na KUL. Był też list Episkopatu w sprawie młodzieży, w którym Episkopat bardzo krytycznie odniósł do narzucania młodzieży ideologicznych organizacji. Można więc było to odebrać jako wielki sukces naszego wyjazdu do księdza prymasa, a sprawa tego wyczuwalnego chłodnego przyjęcia, które nas tak bardzo nurtowało, wyjaśniła się niedawno. Mianowicie, tymi sprawami zajmował się jeden z historyków IPN, [Jan] Żaryn²⁷, i on, pracując nad materiałami Episkopatu, znalazł dokumenty, któ-

Studenci historii KUL. W pierwszej ławce Ilona Stepek i Maciej Sobieraj, w tle m.in. Stanisław Olczak, Ewa Zając, Ludomir Bińkowski i Lidia Müller. Zbiory prywatne Macieja Sobieraja.



re mówiły o naszej sprawie i o tym, że ksiądz prymas z jednej strony przyjazd młodzieży akademickiej przyjął dobrze, bo młodzież walczyła o słuszne cele, ale z drugiej strony odebrał nasz przyjazd jako wystąpienie przeciwko zwierzchnikowi – rektorowi uczelni. W Kościele wystąpienie przeciwko rektorowi, przeciwko hierarsze Kościoła, a tak to ksiądz prymas potraktował, nie jest godne pochwały i stąd chłód. Z kolei wezwanie ojca rektora było po to, by mu zakomunikować decyzję księdza prymasa i Episkopatu. Wyszyński miał pretensje do rektora, że dopuścił do stworzenia sytuacji, w której młodzież musi wystąpić przeciwko rektorowi.

W ten sposób został zamknięty etap, który polegał na tym, że wystąpiliśmy – mówię w liczbie mnogiej, bo to było już pewne środowisko – publicznie i bardzo wyraźnie zajęliśmy stanowisko w konkretnej kwestii. Zostaliśmy zauważeni nie tylko przez Służbę Bezpieczeństwa, ale przez cały KUL i od tego momentu wokół Koła Naukowego Historyków zaczęła się rozwijać bardzo ożywiona działalność.

Współpraca kół naukowych

Największym problemem, który staraliśmy się jakoś rozwiązać po naszym sukcesie w walce z SZSP, było nawiązanie jakiejś formy kontaktu środowiska KUL-owskiego z innymi uczelniami. Taką formą mogła być współpraca kół naukowych KUL z odpowiednimi kółami studenckimi na innych uczelniach. W naszym przypadku były to Koła Naukowe Historyków Studentów. Staraliśmy się od tego czasu, by przedstawiciele naszego Koła jeździli na wszelkie konferencje kół naukowych, na które mieliśmy zaproszenia – bo nie wszystkie uczelnie nas zapraszały, na przykład Koło Naukowe Historyków Studentów UMCS nie zapraszało nas na żadne swoje imprezy. Tu był chyba bardzo wyraźny zakaz władz UMCS [i obawa] przed

sąsiedzkimi kontaktami, niejako przez miedzę. Nie było też mowy o żadnej formie kontaktu na przykład z Uniwersytetem Śląskim w Katowicach.

Zdobycie we własnym zakresie środków na taki zakup

Rok 1975 był bardzo ważny dla kształtowania się naszego środowiska – środowiska „Spotkań”. Przygotowywaliśmy się do podjęcia podziemnej działalności wydawniczej i czekaliśmy na sygnał z Paryża, czy [Piotrowi] Jeglińskiemu udało się zdobyć powielacz.

Sprawa była trudna, bowiem środowisko emigracyjne nie było przekonane do tego pomysłu. Zarówno Jan Nowak-Jeziorański, jak i Jerzy Giedroyc byli przeciwni naszemu pomysłowi, uznawali bowiem, że koszty uruchomienia [nielegalnej] działalności mogą być bardzo wysokie, to znaczy represje, które mógłby podjąć aparat bezpieczeństwa w Polsce wobec takiej działalności, mogły być bardzo surowe²⁸. Nie na próżno komuniści stworzyli i pilnowali monopolu słowa, by z niego łatwo zrezygnować. Pojawia się pytanie – czego nie zdołaliśmy zweryfikować – czy Jegliński budził zaufanie na tyle, żeby mu wierzyć. Nie można wykluczyć, że panowie obawiali się jakiejś prowokacji. [Chociaż ja] myślę, że nie.

Piotrek Jegliński, który pojechał do Paryża, poprzez znajomości swojej rodziny dotarł do obydwu czołowych przedstawicieli polskiej emigracji politycznej. Przekazał im nasz plan. Liczyliśmy na to, że dla tych osób i instytucji, z którymi byli związani, zorganizowanie i zakup takiego powielacza nie będą wymagały żadnego wysiłku. W skali materialnej nie był on wielki, niemniej dla chłopaka, który wyjeżdżał na Zachód i nie miał tam przygotowanych żadnych warunków do życia, zdobycie we własnym zakresie środków na taki zakup było bardzo dużą trudnością i Jegliński musiał na coś takiego się zdobyć. Musiał

²⁸ Jan Nowak-Jeziorański był faktycznie przeciwny, o czym pisał w liście do Jerzego Giedroycia: „Zabiegam więc o fundusze na publikowanie książek pisanych w kraju, o nagrody, stypendia i zaproszenia dla niekonformistycznych pisarzy i artystów, wystawy ich książek czy dzieł sztuki, filmów itd. O uzyskaniu wprost środków na takie cele, jak powielacze, kseroksy itd. mowy nie ma. W obecnym klimacie wszystko, co zatracą jakkolwiek *covert operation*, czyli podziemną robotą, budzi zagrożenie” (Jan Nowak-Jeziorański, Jerzy Giedroyc, *Listy 1952-1998*, oprac. Dobrosława Platt, Wrocław 2001, s. 421). Stanowisko Giedroycia było znacznie bardziej przychylne, o czym świadczy fakt, że ufundował powielacz, który we wrześniu 1976 roku przemyśli do Polski ludzie ze środowiska Ruchu (pisze o tym Justyna Błażejewska w książce *Papierowa rewolucja. Z dziejów drugiego obiegu wydawniczego 1976-1989/1990*, Warszawa 2010, s. 48).

²⁹ Książka ukazała się w 1977 roku jako 44 zeszyt serii „Dokumenty” i 276 pozycja książkowa Instytutu Literackiego.

³⁰ Wit Wojtowicz (ur. 1953) – absolwent historii sztuki KUL (1982), aktor Sceny Plastycznej KUL (1974–1976), członek środowiska „Spotkań”, w wydawnictwie zajmował się techniczną stroną druku. Od 1990 roku dyrektor Muzeum-Zamku w Łańcucie; odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (2008).

Wit Wojtowicz demonstruje, jak rozcina się skalpelem okładkę książki, żeby przemycić w niej mikrofilmy. 2006. Fot. Wioletta Wejman. Archiwum TNN.



zapewnić sobie mieszkanie, utrzymanie i dopiero z zarobionych pieniędzy mógł zakupić ten sprzęt.

Nazywanie sprzętu „rower”

Czas, który minął od wyjazdu [Piotra] do przysłania tego pierwszego powielacza, nie był czasem straconym. Byliśmy w kontakcie telefonicznym ze sobą, co prawda bardzo rzadkim. Chciałbym zwrócić uwagę na to, że w Lublinie właściwie nie dysponowaliśmy telefonem, do którego byłby swobodny dostęp i który zapewniałby bezpieczną rozmowę. Zakładaliśmy, że aparaty telefoniczne, którymi może interesować się SB, będą na podsłuchu – ale przede wszystkim my nimi nie dysponowaliśmy. Telefony w naszym środowisku to był wielki rarytas i żeby o czymś porozmawiać, musiałem jeździć do domu czy do Warszawy. Licząc się z tym, że telefon może być na podsłuchu, jechałem [do Warszawy], żeby w ogóle [móc] rozmawiać.

W rozmowach przez telefon stosowaliśmy kod, myślę, że nietrudny do rozebrania przez analityków, którzy na tym się dobrze znali. Były pseudonimy osób, nazywanie sprzętu „rower”, nadawanie innych nazw ludziom czy rzeczom. Podając terminy, daty, dodawało się siedem

dni lub odejmowało siedem. Czasem pewne sytuacje mogły być czytelne tylko dla nas, tylko ze względu na nasze doświadczenia. Ktoś trzeci nie mógłby się zorientować z kontekstu, o co chodzi, bo odwoływaliśmy się do doświadczeń niepowtarzalnych i to powodowało, że decydowaliśmy się niekiedy prowadzić rozmowy przez telefony, o których wiedzieliśmy, że były na podsłuchu.

Mistrzem w tym fachu był Wit Wojtowicz

Przyjęliśmy [jeszcze inny] system komunikowania się, czasochłonny, ale myślę, że bezpieczny. Nic mi nie wiadomo, żeby w tamtym czasie aparat bezpieczeństwa na to wpadł. Był to system przekazywania informacji w ten sposób, że listy i korespondencje, które wymienialiśmy między sobą, były mikrofilmowane, podobnie jak dokumenty związane z życiem politycznym w kraju, którymi interesowały się Wolna Europa i paryska „Kultura” i które przekazywaliśmy na Zachód. Znaczną ich część przesyłaliśmy do tych ośrodków przez Jeglińskiego. Wiele z nich ukazało się w książce *Ruch oporu*, wydanej w Instytucie Literackim w Paryżu w 1976 lub 1977 roku²⁹. Mikrofilmy wprowadzaliśmy do grubych, twardych okładek. Były tak preparowane, że można było kilka wprowadzić do okładki, nie zostawiając żadnego śladu. Taką książkę można było wręczyć jakiegokolwiek osobie, która jechała na Zachód. Po prostu dostawała książkę, album czy jakąś powieść z prośbą o przekazanie znajomej osobie na Zachodzie. Było to powszechnie praktykowane, że przez osoby wyjeżdżające podawało się tego rodzaju prezenty. Osoby te nawet nie wiedziały, co tam w środku jest – książka jak książka.

Bezpieka, dopóki nie wiedziała, że istnieje tak forma przekazywania [informacji], to jej nie kontrolowała. Nawet jak przeglądali książki, to patrzyli tylko, jaki jest tytuł, [a nie] jak [ona] wyglądała.

Od strony zewnętrznej nic nie wzbudzało podejrzeń. Te książki były naprawdę dobrze preparowane. Mistrzem w tym fachu był Wit Wojtowicz³⁰, który robił to naprawdę dobrze.

Czasem, gdy nie było osoby, która mogłaby przekazać książkę dalej na Zachód, wysyłaliśmy ją pocztą na wskazany adres, opakowaną jak prezent, niekiedy z liścikiem, karteczką z pozdrowieniem skierowanym do jakiejś osoby. Szło to na Zachód i docierało.

Najpierw [wysyłaliśmy] z Lublina, później z Gdańska czy Sopotu – i to były przesyłki od [Bogdana] Borusewicz. Mam wrażenie, że w pewnym momencie poczta Borusewicz została namierzona, bo niektóre książki nie dochodziły na wskazany adres. W innej korespondencji mówiliśmy, że książka została wysłana wtedy a wtedy na [dany] adres i zorientowaliśmy się, że przesyłki, szczególnie te z Gdańska, zaczęły wpadać.

Dokumenty przekazywane na Zachód odnosiły się głównie do debaty konstytucyjnej, a więc [były to] różnego rodzaju listy protestacyjne, [ponadto] komunikaty, informacje dotyczące więźniów politycznych, na przykład Staszka Kruszyńskiego, studenta teologii KUL, który został zatrzymany przez SB właśnie po sprawdzeniu prywatnej korespondencji, którą kierował do kogoś z rodziny, gdzie informował o debacie na temat SZSP na KUL-u w sposób bardzo emocjonalny i opatrzył [to] jakimiś hasłami antykomunistycznymi. Był proces, który się odbył w Lublinie w 1975 roku, z wyrokiem skazującym Kruszyńskiego na rok lub półtora roku więzienia³¹. Została wtedy zorganizowana cała akcja protestacyjna, taka „solidarnościowa” ze Staszkiem Kruszyńskim.

Pierwsza ulotka

Myśleliśmy również o innych formach działania. Jedna z ważniejszych akcji, którą przeprowadziliśmy jeszcze przed

czerwcem 1976 roku, to była operacja przeprowadzona w Pałacu Kultury. Toczyły się tam wtedy obrady chyba pod hasłem: „Demokratyczni studenci Europy”³². Na konferencję zjechali się przedstawiciele różnych organizacji studenckich, zarówno z Europy Wschodniej, jak i Zachodniej.

Konferencja była organizowana w ramach porozumienia podpisanego w Helsinkach (Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie), gdzie w tak zwanym trzecim koszyku było zobowiązanie sygnatariuszy Konferencji do przestrzegania praw człowieka i wolnego przebiegu informacji. W związku z tym chcieliśmy [przez ulotkę] poinformować studentów Europy Zachodniej o faktach łamania praw człowieka i o istnieniu więźniów politycznych w Polsce. Władze PRL-u utrzymywały bowiem, że w Polsce nie ma więźniów politycznych. Uznaliśmy, że dla lepszego efektu naszej deklaracji pod tekstem powinien być podpisany jakiś podmiot, więc wymyśliliśmy nazwę: Studencki Komitet do spraw Przestrzegania Ustaleń Konferencji Współpracy w Helsinkach³³. Później wyprodukowaliśmy na powielaczku kilka ulotek sygnowanych przez wspomniany wyżej Komitet.

Informacje o więźniach politycznych mieliśmy z różnych źródeł. Były procesy polityczne, bynajmniej nie tajne, braci Kowalczyków³⁴, procesy [członków] Ruchu i wyroki z tym związane. Zebrałiśmy razem te wszystkie informacje, które zostały opracowane i opublikowane. O innych więźniach politycznych być może nie wiedzieliśmy, ale poinformowaliśmy o znanych przypadkach. Ulotka została powielona w kilku egzemplarzach i na konferencję do Warszawy pod Pałac Kultury (obrazy toczyły się w Sali Kongresowej) wyjechało kilka grup studentów z KUL-u, tam między innymi Marian Piłka³⁵, Krzysztof Żórawski³⁶ i jego siostra Hania³⁷ oraz jeszcze kilka osób, na przykład [Magda]

³¹ Wyrokiem Sądu Rejonowego w Lublinie z dnia 27 marca 1976 roku Stanisław Kruszyński skazany został „za rozpowszechnianie fałszywych i szkodliwych dla interesów PRL wiadomości” na dzień miesiąc więzienia z zaliczeniem okresu aresztowania.

³² Poprawna nazwa to Zgromadzenie Młodzieży i Studentów Europy.

³³ Nazwa grupy miała różne warianty, między innymi Komitet Młodzieży Polskiej ds. Przestrzegania Postanowień KBWE, Młodzieżowy Komitet ds. Przestrzegania KBWE w Helsinkach.

³⁴ Ryszard i Jerzy Kowalczykowie 6 października 1971 roku, na znak protestu przeciwko krwawo stłumionej demonstracji na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku, wysadzili w powietrze aulę WSP w Opolu, gdzie nazajutrz miała się odbyć akademicka ku czci MO i SB. Jerzy został skazany na karę śmierci, a jego brat Ryszard na 25 lat więzienia. Ostatecznie, po licznych protestach, Jerzemu zamieniono wyrok na dożywocie. Obydwaj zostali zwolnieni z więzienia w latach 1983–1985.

³⁵ Marian Piłka (ur. 1954) – absolwent historii KUL, działacz opozycji demokratycznej, uczestnik duszpasterstwa akademickiego o. Ludwika Wiśniewskiego, członek Ruchu Młodej Polski, działacz ROPCiO, w stanie wojennym internowany, dziennikarz prasy katolickiej; w wolnej Polsce

polityk partii prawicowych, między innymi prezes ZChN, poseł na Sejm kilku kadencji.

³⁶ Krzysztof Żórawski (ur. 1957) – absolwent historii KUL, uczestnik duszpasterstwa akademickiego prowadzonego przez o. Ludwika Wiśniewskiego, drukarz „Spotkań” i innych wydawnictw niezależnych, kolporter, w okresie „Solidarności” rzecznik prasowy ZR Zachodniopomorskiego w Szczecinie, zbierał materiały do wydań grudniowych na zachodnim Pomorzu; w wolnej Polsce działacz samorządowy na Lubelszczyźnie.

Powielacz spirytusowy zaprezentowany na wystawie towarzyszącej kongresowi *W drodze do wolności*. Pierwszy powielacz przywieziony z Londynu był tej samej marki i miał niebieską obudowę. 2009. Fot. Ireneusz Sobieszczyk. Archiwum „Kombatanta”.

Górska³⁸. Umówiliśmy się, że te osoby miały w momencie, kiedy uczestnicy konferencji wychodzili z Pałacu Kultury, a język, w którym rozmawiali, i ubranie wskazywałyby na to, że to studenci z Zachodu, wręczyć taką ulotkę i bardzo szybko oddać się.

O tej konferencji dowiedziałem się od [Piotrka] Jeglińskiego. Przesłał mi najpierw informację na ten temat, potem przetłumaczoną już na język angielski ulotkę (na mikrofilmie), w której informowaliśmy o więźniach politycznych w Polsce, których było chyba dziesięciu, między innymi wspomniani: Staszek Kruszyński, bracia Kowalczykowie i członkowie Ruchu, którzy odsiadali wtedy wyroki więzienia.

Wyjazd naszych kolegów ze studiów przygotowałem w porozumieniu z Jeglińskim, natomiast inne grupy przygotowywał do wyjazdu Borusewicz. Staraliśmy się wykorzystać, jak to było możliwe, reguły konspiracji, i rzeczywiście studenci z Europy Zachodniej takie ulotki dostali. Władzom bezpieczeństwa nie udało się nikogo złapać przy ich wręczaniu. Te ulotki zostały później odczytane na sali obrad i organizatorom nie udało się temu zapobiec. Była taka sy-

tuacja, że student Niemiec – a musimy pamiętać, że dyskutant miał tylko trzy minuty na wyłuszczenie swojej kwestii – kiedy skończył się mu czas, otrzymał jego prolongatę od studenta szwedzkiego, który oddał mu swoje trzy minuty. W ten sposób cała ulotka została odczytana. Na skutek debaty, która została wywołana przez tę ulotkę, nie doszło do podpisania komunikatu końcowego, co wywołało duże zamieszanie i konsternację komunistycznych działaczy studenckich. Więc to działanie było naszym dużym sukcesem i była to pierwsza ulotka sygnowana przez właściwie nieistniejący Młodzieżowy Komitet do spraw KBWE.

Udało mu się zebrać to wszystko w całość, skrócić i powstał powielacz

Ta ulotka i kilka następnych były drukowane na powielaczu, który w Lublinie pojawił się w lutym albo w marcu 1976 roku³⁹. Kilka miesięcy wcześniej dostałem wiadomość od [Piotra] Jeglińskiego, że już zakupił [nie]wielki powielacz i chce go przesłać do Polski, tylko pytał, czy nie jedzie ktoś z kraju, kto mógłby taki powielacz zabrać. Udało mi się porozumieć z kolegą, który wtedy był na trzecim lub czwartym roku studiów na historii [sztuki], Witom Wojtowiczem (tym, który „preparował” nam wcześniej kilka książek do wysyłki mikrofilmów), że on wyjeżdża właśnie na przełomie zimy i wiosny⁴⁰ do Londynu z teatrem akademickim, a konkretnie Sceną Plastyczną KUL [prowadzoną przez] Leszka Mądziaka. To był wyjazd autokarem. Jechała cała obsługa, aktorzy i dekoracje. Autokar był zaopatrzony bardzo różnym sprzętem i uznaliśmy, że to najlepszy sposób, żeby w niezauważony przez nikogo sposób taki powielacz przewieźć. Powielacz był nieduży, więc został rozebrany na części, które Wit rozłożył w wiadomych sobie miejscach, żeby nie zwrócili uwagi. Potem uda-



ło mu się zebrać to wszystko w całość, skrócić i powstał powielacz spirytusowy. Był on wielkości średniej maszyny do pisania, stosunkowo lekki, bo obudowę miał plastikową, a części drukujące chyba z aluminium.

Przekroczenie progu psychologicznego

Powielacz był mało wydajny, ale dzięki matrycom można było zrobić sto egzemplarzy. Chodziło nie tylko o to, że w ten sposób zwielokrotniano się teksty, ale [że] przełamywało się pewne podejście do tego typu działalności. Powielacze w Polsce były ściśle reglamentowane, przypisane do konkretnej organizacji, instytucji, ewidencjonowane i nie wolno było osobie prywatnej, bez zezwolenia, takiego sprzętu używać. Rosjanie, chcąc to podkreślić, omijali prawo zakazujące powielania informacji w ten sposób, że przepisywali teksty na maszynach poprzez kalki i to się nazywało „samizdatem”. Nie chcieli natomiast przekroczyć granicy tego zakazu, jakim było powielanie. My zdecydowaliśmy się [na] to. Oczywiście na maszynie można było też sto kopii uzyskać jednocześnie, ale przy pomocy stu maszynistek. Ważnym czynnikiem był próg psychologiczny i jego przekroczenie – [złamanie] pewnego zakazu. Zdecydowaliśmy się to zrobić i zrobiliśmy.

Pierwsze próby nie były specjalnie udane

Wit Wojtowicz, przewożąc powielacz w częściach, nikogo naturalnie nie informował, nawet Leszka Mądzika. Tak się umówiliśmy. Myślę, że dotrzymał słowa i z nikim się nie dzielił tą informacją. Powielacz dotarł do Lublina w okolicach marca, złożyliśmy go, co nie było rzeczą trudną, i usiłowaliśmy coś na tym powielaczu wydrukować. Najpierw były próby. Pamiętam, że jedną z nich było powielenie *Folwarku zwierzęcego* [George’a] Orwella. Matryce przepisywała Bożena

Balicka⁴¹, sympatia naszego kolegi Zdzisława Bradela⁴². Z kolei pierwszych prób powielenia dokonywałem ja.

Technicznie to wyglądało tak, że najpierw trzeba było przepisać na maszynie do pisania tekst na matrycę i tę matrycę nawijało się na bęben powielacza, wprowadzało do zbiornika denaturat – albo inny zabarwiony alkohol (denaturat był najtańszy, więc on był używany) – i składało się pojedyncze kartki papieru maszynowego w formacie A4, a następnie drukowało się tekst.

Pierwsze próby, które podejmowaliśmy, nie były specjalnie udane, nie umieliśmy jeszcze robić dobrych matryc, nie potrafiliśmy odpowiednio regulować nacisku bębna na papier. Powstawały często plamy, litery bardzo się rozmywały, ale po różnych testach udało się w końcu uzyskać w miarę przyzwoite efekty, czyli czytelny druk na kartce papieru. Kiedy przyszło przygotować ulotki na konferencję studentów demokratycznej Europy [Zgromadzenie Młodzieży i Studentów Europy], a później kiedy doszło do rozruchów w Bytomiu, mogliśmy [już] opracowywać i powiełać w niewielkiej ilości teksty, które podpisywaliśmy jako komunikaty Studenckiego Komitetu do spraw Przestrzegania Konferencji KBWE⁴³. Te ulotki można przeczytać w książce *Ruch oporu*. Jeszcze przed powstaniem KOR-u pierwsze ulotki sygnowane przez nasz „komitet” były rozrzucane na mieście, ale w bardzo niewielkich ilościach, najwyżej kilkadziesiąt egzemplarzy. Staraliśmy się też tak to konspirować, żeby nie zostało odkrytym przez SB, na przykład nie rozprawdzaliśmy ulotek w Lublinie, żeby nie wskazywać na ewentualne miejsce, z którego one mogą pochodzić. Rozwozili je nasi koledzy-studenci, którzy jechali do domów gdzieś w Polsce, na przykład do Warszawy, Szczecina (Krzyścio Żórawski), Gdańska (Piotrek Kałużyński⁴⁴). Być może te ulotki zachowały się w bibliotece KUL.

³⁷ Anna Samolińska z d. Żórawska (ur. 1956) – studentka filozofii KUL, aktywnie zaangażowana w działalność opozycyjną na rzecz KOR, środowiska „Spotkań”, duszpasterstwa akademickiego o. Ludwika Wiśniewskiego i w kolportaż niezależnych wydawnictw; pracowniczka IPN w Lublinie.

³⁸ Magdalena Górską z d. Żylicz (ur. 1956) – studentka filozofii KUL, działaczka opozycji demokratycznej.

³⁹ Bardziej prawdopodobne, że był to maj 1976. Por. kolejny przypis.

⁴⁰ Wit Wojtowicz w swojej relacji dla Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” wspomina, że był to maj: „W dniach 3-8 maja 1976 roku Scena Plastyczna uczestniczyła w IV Międzynarodowym Tygodniu Teatrów Amatorskich organizowanym przez Questors Theatre na Ealingu w Londynie. Ten mój wyjazd do Londynu postanowiliśmy z Januszem Krupskim wykorzystać do sprowadzenia do Polski powielacza.”

⁴¹ Bożena Balicka (ur. 1952) – studentka teologii KUL; wykonywała między innymi matryce do pierwszych numerów „Zapisu” i „Spotkań”, za swoją działalność inwigilowana była przez SB.

⁴² Zdzisław Bradel (ur. 1950) – student polonistyki KUL, działacz opozycji demokratycznej w PRL, redaktor „Spotkań”, działacz „Solidarności”, publicysta, poeta; w wolnej Polsce działacz samo-

Pierwszy numer „Komunikatu” KOR z 29 września 1976 roku, „Komunikat” nr 1-3 został powielony przez przepisywanie na maszynach do pisania („samizdat”), prawdopodobnie już od numeru czwartego powielano go mechanicznie – w Lublinie. Zbiory Biblioteki Uniwersyteckiej KUL.

rzadowy.

⁴³ Por. przyp. 33.

⁴⁴ Piotr Kałużyński (ur. 1957) – student teologii KUL, redaktor w Redakcji Wydawnictw KUL, pracownik ZR NSZZ „Solidarność” w Lublinie, współpracownik „Spotkań”, uczestnik duszpasterstwa akademickiego oo. dominikanów; w wolnej Polsce między innymi rzecznik pasowy wojewody gdańskiego, dziennikarz lokalnej prasy na Wybrzeżu.

⁴⁵ Dokładniejszych informacji o panu Boruckim nie udało się ustalić.

⁴⁶ „Komunikat” nr 1 ma datę 29 września 1976.

⁴⁷ Antoni Macierewicz (ur. 1948) – działacz opozycji demokratycznej, współzałożyciel KOR, następnie twórca własnego środowiska politycznego, więzień polityczny; w wolnej Polsce polityk prawicowy, między innymi minister spraw wewnętrznych w rządzie Jana Olszewskiego, wiceminister obrony narodowej w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, poseł na Sejm kilku kadencji.

⁴⁸ Trudno ze stuprocentową pewnością ustalić, który „Komunikat” został jako pierwszy odbity na powielaczu. Można

Mamy niemal pewność, że był to pierwszy powielacz

Oczywiście mieliśmy przekonanie, że nasz powielacz jest pierwszy. Nie słyszeliśmy bowiem o żadnym innym i nie zetknęliśmy się z żadnym tekstem powielanym tą drogą. Dlatego mamy niemal pewność, że był to pierwszy powielacz, który pojawił się w kraju.

Macierewicz nie miał takich skrupułów jak Kuroń

Kiedy mieliśmy już w Lublinie powielacz, pomyśleliśmy o robieniu czegoś więcej niż tylko jednokartkowych ulotek – [chcieliśmy] robić prasę niezależną. Trzeba było zastanowić się nad zdobywaniem tekstów, zorganizować redakcję i w końcowym efekcie przekazywać tą drogą jakieś myśli.

Pomysł powielania na naszym powielaczu prasy poza cenzurą chcieliśmy skonsultować z warszawskim środowiskiem opozycyjnym. Było to jeszcze przed czerwcem 1976 roku. W tym celu umówiliśmy spotkanie z Jackiem Kuroń. Wzięli w nim udział Borucki⁴⁵, ja i Kuroń. Powiedzieliśmy Kuroniowi, że mamy pomysł – nie mówiliśmy, że mamy powielacz, ale że jest pomysł, żeby ściągnąć i uruchomić powielacz, na którym można by było wydawać niezależną prasę. Kuroń, podobnie jak [Jerzy] Giedroyc i [Jan] Nowak-Jeziorański, zdecydowanie sprzeciwił się temu pomysłowi. Powiedział, że on ma taki pogląd na działanie opozycyjne, że należy zmuszać do przestrzegania prawa, konstytucji [takiej] niedoskonałej, jaka jest, bo [choć] władze komunistyczne łamią prawo, nie należy tworzyć faktów, które byłyby jawnym łamaniem obowiązującego prawa [przez opozycję].

Zrozumieliśmy, że nie możemy liczyć na poparcie ze strony Kuronia, nie informowaliśmy go zresztą, że powielacz posiadamy. Postanowiliśmy go jednak uruchomić. Wychodziliśmy z założenia, że nie będziemy przestrzegali PRL-ow-

skiego prawa, które dla nas było bezprawiem. Postanowiliśmy ograniczenia przekraczać i łamać prawo, na przykład powielać ulotki, o których wcześniej wspomniałem. KOR natomiast zaczął wydawać „Komunikaty” przepisywane na maszynie na przebitkowym papierze, o błękitnym odcieniu⁴⁶. Te „Komunikaty” KOR-u były rozprowadzane między ludzi i powielane na maszynach. W ten sposób rozprowadzano ich może kilkadziesiąt. Pamiętam, że wtedy [Bogdan] Borusewicz powiedział, że powielacz będący w naszym posiadaniu mógłby służyć powielaniu tych „Komunikatów” i skontaktował mnie w tej sprawie z [Antonim] Macierewiczem⁴⁷, który zresztą był w KOR. Rzeczywiście dogadaliśmy się. Macierewicz nie miał takich poglądów czy takich skrupułów jak Kuroń. On mi przekazywał „Komunikaty”, po które często przyjeżdżałem do Warszawy. One były powielane w Lublinie i w całości doręczane do Warszawy⁴⁸. W Lublinie „Komunikatów” nie rozprowadzaliśmy, [ale] one często trafiały z Warszawy do Lublina. Bardzo pilnowaliśmy, żeby безпеca nie rozpoznała źródła powielania. Już nie pamiętam, jaką liczbę tych „Komunikatów”, a później „Biuletynów” KOR-u przekazywaliśmy do Warszawy.

Wracam do domu i w moim pokoju stoi powielacz

Kiedy otrzymaliśmy, bodajże w grudniu 1976 roku, większy powielacz, postanowiliśmy robić na nim obszerniejsze teksty. Powielacz ten, czyli „Zuzię”, dostaliśmy [również] od [Piotra] Jeglińskiego. Przywiozł go jakiś jego znajomy i pod moją nieobecność zostawił w moim domu. [Z Piotrem] omawialiśmy najpierw jakąś drogę przekazania go przez Warszawę, ale w końcu [wysłał] zupełna niespodzianka. Któregoś dnia wracam do domu i w moim pokoju stoi powielacz. Zastanawiałem się, jak go niepostrzeżenie wyprowadzić z domu

Komunikat nr 1

Wszelkie informacje podane poniżej dotyczą jedynie wypadków sprawdzonych. Ponieważ ciągle nie została ujawniona publicznie statystyka represji poczerwcowych, trudno powiedzieć cokolwiek na temat ich zasięgu. W wypadku informacji, co do której nie mamy pewności, będziemy podawali źródło lub przesłanki, które doprowadziły nas do danych przypuszczeń.

1. Zakres pomocy udzielonej robotnikom Ursusa i Radomia

Ursus

W Ursusie pełnej liczby represjonowanych nie udało się nam dotychczas odpowiedzialnie ustalić. Liczba znanych wypadków sięga 126 osób. Z tego kolegia do spraw wykroczeń skazały 59 osób, sądy - 19 /12 za zabór mienia tj. rozdanie zawartości dwu wozów dostawczych z cukrem i jajmi, 2 procesy pruszkowskie/, a w więzieniu pozostałe jeszcze 13 osób. W stosunku do 2 osób uchylono ostatnio areszt tymczasowy. 32 osoby zostały "tylko" usunięte z pracy. Jak dotąd stałą pomocą udało się objąć zaledwie 67 rodzin. Jak wiadomo wszyscy represjonowani zostali usunięci z pracy. W ostatnich 2 tygodniach sytuacja zmieniła się: 10 osób otrzymało pracę, w tym jedna w Zakł. Mech. Ursus, 2 zaś przyjęto z powrotem w wyniku orzeczenia Sądu Pracy oraz Terenowej Komisji Odwoławczej. Przywrócono więc pracę łącznie 12 osobom, w tym 3 w ZM Ursus /spośród 126/. Do pozostałych wypadków nie udało nam się dotrzeć.

Sytuacja finansowa nie jest najlepsza. Dotąd, o ile wiadomo, udzielono w Ursusie pomocy na sumę 139200 zł. Ciągle jeszcze nie pokryto kosztów obrony. Nawet ci adwokaci, którzy traktują obronę jako obowiązek społeczny zobowiązani są do przyjmowania wpłat na zespół adwokacki. Pomoc stała dla 67 rodzin pochłaniania miesięcznie około 51000 zł, co nie może pokryć potrzeb tych rodzin. Licząc więc, iż w ciągu miesiąca obejmie się prawdopodobnie pomocą stałą około 200 rodzin, na październik potrzeba będzie co najmniej ok. 200.000 zł.

Radom

Przypuszczalny zasięg represji w Radomiu to około 2000 zatrzymanych /oczywiście wszyscy oni zostali usunięci z pracy/. Nie mamy niestety żadnych danych, by określić przypuszczalną choćby liczbę osób, które zostały jedynie usunięte z pracy. Podając liczbę zatrzymanych opieramy się przede wszystkim na danych z więzień w Radomiu, Białymstoku, Kielcach, Warszawie /więzienie na Grochowie/ oraz Komend Milicji w Radomiu, Grójcu i Białobrzegach. Tak np. przypuszcza się, iż w więzieniu białostockim znajdowało się około 1100 robotników radomskich: jest tam 45 cel, a w każdej przebywało minimum 25 robotników. Prawdopodobnie w więzieniach na lubelszczyźnie przetrzymywano również robotników z Radomia. Objętych informacją jest obecnie zaledwie 70 osób, a stałą pomocą 30 rodzin. Spośród objętych informacją - 13 osób zostało skazanych przez kolegia /do 3 miesięcy aresztu i grzywny/, 44 wyrokami sądowymi na ponad rok więzienia o siedmiu wiadomo jako o przebywających nadal w areszcie. Krążą niesprawdzone jeszcze pogłoski, że zostało zabitych w związku z wypadkami 25 VI pięć osób. Nazwiska i okoliczności śmierci 2 z nich są już znane: ksiądz Roman Kotlarz zabity przez nieznaną sprawców w wymieszaniu w ok. 2 tygodnie po 25 VI, po przedstawieniu mu przez władze zarzutu, że bił demonstrantów i po zwolnieniu; i Janusz Brożyna, lat 28 zmarły na ul. Koszarowej wskutek pobicia pałkami. Spośród znanych 70 osób wszyscy byli bici, właściwie torturowani /niektórzy przechodzili "ścieżkę zdrowia" - szpaler bijących pałkami milicjantów - 4 razy/. O 6 osobach wiadomo, że przebywały dłuższy czas w więziennym szpitalu.

Wśród 57 skazanych 10 oskarżono o zabór mienia, 42 - o pobicie milicjanta, naruszenie porządku publicznego, podpalanie Komitetu Wojewódzkiego PZPR itp. Przynajmniej 5 osób dwukrotnie sądzono w tej samej instancji za ten sam czyn, przy tych samych świadkach oskarżenia. Wyrok poprzedni był za każdym razem prawomocny. Nie zważając na to sąd wydawał orzeczenie po raz drugi.

Pierwszy znany proces tego typu odbył się 16 VIII 1976. Kompletowi sędziowskiemu przewodniczyła w tych procesach przeważnie sędzia K. Dobrowolska. Procesy takie mają się jeszcze odbywać w październiku.

założyć, że był to nr 4 (22 listopada 1976). W aktach SB zachowała się notatka: „został powielony metodą spirytusową [...] [z zastosowaniem] konwencjonalnego powielacza spirytusowego”. Za: Justyna Błażejowska, *Papierowa rewolucja...*, s. 46.
⁴⁹ „Imię” powielacza pochodzi z piosenki *Kowboj zwany Zuzia* wykonywanej przez Mieczysława Czechowicza: „Dobry papcio mój od świtania już Toczył z flaszka bój do wieczornych zórz. [...] Papcio w dłonie wziął whisky flaszki pół, Na głowinę mą wylał krople dwie I wykonał gest, który zna Far West, A ten gest to jest fest kowbojski chrzest I rzekł: »Chłopcze, ja ciebie Zuzia chrzczę«”.
⁵⁰ Rzeczywiście, przez ponad trzydzieści lat środowisko „Spotkań” było przekonane, że „Zuzia” przepadła, jednak we wrześniu 2009 roku legendarny powielacz odnalazł się w składziku państwa Borczów w miejscowości Sonina (było to jedno z miejsc druku); wraz z „Zuzią” był tam jeszcze jeden powielacz, prawdopodobnie identyczny z „Francuzką” oddaną Antoniemu Macierewiczowi, która po przekazaniu do Warszawy faktycznie przepadła. Obecnie „Zuzia” znajduje się w zbiorach Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” i będzie pokazywana na stałej wystawie dotyczącej niezależnego ruchu wydawniczego w Lublinie.

na zupełnie inny adres, biorąc pod uwagę, że dom może być obserwowany, bo przecież ja byłem wtedy osobą aktywną, i to się udało.

Drugi powielacz był gabarytowo większy, mniej więcej pół metra na pół metra. Wyglądał trochę jak sklepowa kasa, ważył kilkanaście kilogramów. Pamiętam, że nazwaliśmy ten powielacz pieczęciowym imieniem „Zuzia”, ale nie wiem dlaczego⁴⁹.

Najprawdopodobniej te [pierwsze] powielacze nie zachowały się⁵⁰. Pierwszy powielacz przekazałem – po otrzymaniu drugiego, już większego – do Warszawy. Osobiście odbierał go ode mnie Marcin Gogulski⁵¹, który współpracował wtedy z Antonim Macierewiczem; to środowisko, wtedy związane z KOR-em, przejęło od nas ten powielacz.

Pojawia się mianowicie pismo niezależne

Byliśmy nastawieni na robienie rzeczy większych. Zorganizowaliśmy zespół, w którym był [Wojtek] Butkiewicz i Wit Wojtowicz, studenci historii sztuki, Janek Stepek⁵² z historii, a ponadto Hania Żórawska i [jej brat] Krzysztof Żórawski. Mając większy powielacz, po pierwsze przekazałem ten mniejszy do Warszawy, po drugie umówiłem się znowu z Antkiem Macierewiczem, że możemy już robić rzeczy zdecydowanie większe niż tylko „Komunikaty” czy „Biuletyny” KOR-u. Początkowo myślałem o tym, żeby powielić pierwszy tom *Archipelagu Gułag*, który wtedy pojawił się w Bibliotece Instytutu Literackiego w Paryżu. To była duża, kilkusetstronicowa książka, ale w trakcie którejś z rozmów, chyba w lutym 1977, Macierewicz powiedział mi, że ma inny pomysł. Pojawia się mianowicie pismo niezależne, a on postara się je wydobyć od redaktorów i dostarczyć mi, żebym mógł je powielić.

Stwarzało to poważne problemy finansowe i organizacyjne. Pamiętam, że pismo „Zapis” dostałem na początku maja

1977 roku, ponieważ jakiś czas trwało przekonywanie redaktorów i autorów pisma, żeby ono zostało powielone, a nie przepisane na maszynie, do czego tamci skłaniali się bardziej⁵³. W końcu Macierewiczowi udało się ich przekonać i w maju dostałem materiały do Lublina. Pojawił się [wtedy] problem finansowy. Po prostu nie było funduszy na ten cel. Trudno było chodzić po znajomych, prosić o pieniądze, nie mówiąc w jakim celu, żeby nie zdradzić tajemnicy. Zdecydowałem się wtedy zlikwidować książeczkę oszczędnościową, którą mi założyli rodzice jako wkład na mieszkanie. Dawało to największe gwarancje bezpieczeństwa całej operacji. Za te pieniądze zakupiłem potrzebną ilość papieru, a więc około stu ryz. Matryce przepisywała Bożena Balićka, robiła to w mieszkaniu [Zdzisława] Jamrozka⁵⁴ – inwalidy z Lublina, który mieszkał przy ulicy Hutniczej. Zrobiła to dobrze i w czerwcu mogliśmy przystąpić do powielania.

Dysponowałem pieczęcią w dowodzie

[Piotr] Jegliński zaproponował mi spotkanie w Dreźnie, ponieważ bał się wjeżdżać do kraju – miał paszport ze znacznie przekroczonym terminem powrotu do Polski. Wiedział, że jeśliby wjechał do kraju, zabraliby mu paszport i już więcej nie mógłby wrócić na Zachód. Z kolei ja nie mogłem liczyć na otrzymanie paszportu, żeby wyjechać na Zachód, natomiast dysponowałem pieczęcią w dowodzie osobistym i mogłem pojechać bez większego problemu do NRD. Wtedy jeszcze nie było komputerów, skomputeryzowanego systemu przekraczania granic, więc problem polegał tylko na tym, żeby można było granicę przekroczyć, nie ciągnąc za sobą jakiegoś „ogona”, czyli szpicla. W każdym razie taki wyjazd do Berlina czy Drezna był możliwy. Z kolei [Piotr Jegliński] mógł bez większej kontroli przekroczyć granicę Republiki Federalnej

Niemiec i NRD. Polaków wracających z Zachodu do Polski kontrolowano dopiero na granicy niemiecko-polskiej, nie sprawdzano ich na granicy niemiecko-niemieckiej, bo Niemcy nie wpadli jeszcze na pomysł, że może to być możliwość kontaktu emigracji z Polakami, którzy nie mogli na Zachód wyjechać.

Znałem dzień, w którym miałem się z Jeglińskim spotkać. Dostałem [też] adres spotkania, którym był międzynarodowy akademik dla studentów w Dreźnie, pamiętam, że to było przy ulicy Lumumby. To było mieszkanie, pokój w akademiku, w którym mieszkał student spod Warszawy, z Ursusa, znajomy Jeglińskiego, Kazimierz Charzewski⁵⁵.

Kiedy wszedłem do akademika, w holu wrażenie robiła ogromna mapa, na której był rysunek, jak bagnety Palestyńczyków wpychają Izrael do morza. Więc to było na powitanie. Bez problemu trafiłem do wskazanego pokoju, gdzie na drzwiach witał z kolei ogromny portret Edwarda Gierka. Było przyjęte, że studenci z różnych krajów Europy Wschodniej musieli tak honorować I sekretarzy i pokazywać swoją lojalność wobec systemu. Wszedłem do tego pokoju, gdzie już byli Jegliński, a także Charzewski. Piotrek siedział dosłownie na stosie książek, a ja mu powiedziałem: „Jeżeli sobie wyobrażasz, że ja to zabiorę za jednym razem, to jesteś w błędzie”. On przywiózł ogromny plecak, a ja, gdybym miał wywozić podobnej wielkości [bagaż], od razu wzbudziłbym na granicy zainteresowanie celników, którzy podejrzewaliby mnie może nie tyle o przewożenie literatury bezdebitowej czy materiałów do powielania, co o przewożenie ogromnych zakupów na handel, bo to było zakazane. Ja powiedziałem od razu, że tego nie zabiorę.

Poza tym w czasie rozmowy z Jeglińskim ustaliliśmy, że ja nie zabrałem ze sobą z kraju dokumentów, które [miałem przywieźć]. Porozmawialiśmy parę



godzin, po czym Jegliński i Charzewski odprowadzili mnie po południu na dworzec w Dreźnie (był jakiś pociąg, który odchodził późnym popołudniem do Warszawy). Wróciłem do Warszawy i do Lublina, nie zahaczając w ogóle o mój dom, zabrałem te materiały, wsiałem ponownie do pociągu, przyjechałem do Drezna i tam [spędziłem] jeszcze jeden czy dwa dni na rozmowach z Jeglińskim. [Omawialiśmy] różne problemy związane z komunikowaniem się, współpracą, problemy techniczne i polityczne.

Powiedziała z dumą, że jest takie pismo wydawane w Warszawie...

Na następne spotkanie, które umówiliśmy jeszcze chyba w czerwcu 1977 roku, przyjechałem w towarzystwie Wita Wojtowicza. Na tym spotkaniu poinformowaliśmy [Piotra] Jeglińskiego, że proces powielania pierwszego numeru „Zapisu” jest już zaawansowany. Pamiętam, że prowadziliśmy rozmowy w Galerii Drezdeńskiej, bo tam w tłumie turystów było najbezpieczniej, i wtedy Jegliński zwrócił nam uwagę na to, że jeśli powielamy ten „Zapis”, to może warto byłoby pismo opatrzyć nazwą wydającej go oficyny. Wymyśliliśmy wtedy nazwę „Nieocen-

Powielacz spirytusowy „Zuzia” – drugi z powielaczy przekazany przez Piotra Jeglińskiego z Paryża. Powielono na nim „Zapis” nr 1. Obecnie przechowywany jest w Izbie Drukarstwa Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”. 2010. Fot. Alicja Magiera. Archiwum TNN.

⁵¹ Marcin Gugulski (ur. 1958) – działacz opozycji demokratycznej, początkowo związany z KOR-em, następnie współpracownik Antoniego Macierewicza tworzącego środowisko skupione wokół czasopisma „Głos”, którego był redaktorem; w wolnej Polsce działacz ZChN, rzecznik prasowy rządu premiera Jana Olszewskiego.

⁵² Jan Andrzej Stepek (1951-1996) – absolwent historii KUL, drukarz, kolporter, redaktor „Spotkań”, działacz „Solidarności”, w stanie wojennym ukrywał się, ale został zatrzymany i internowany, od 1983 na emigracji we Francji, gdzie pracował w Editions Spotkania,

Część I. Sylwetka

redaktor kwartalnika „Libertas”, korespondent RWE w Paryżu, specjalizował się w stosunkach polsko-ukraińskich; w wolnej Polsce redaktor naczelny dziennika „Nowiny Rzeszowskie”.

Okładka pierwszego numeru „Zapisu” (1977), projekt graficzny – Wit Wojtowicz. Zbiory prywatne Pawła Nowackiego.

zurowana Oficyna Wydawnicza” i taka nazwa została wpisana w pierwszym numerze „Zapisu”.

Pierwszy numer pojawił się chyba na początku lipca 1977 roku. Było to w czasie, kiedy część działaczy KOR-u siedziała w areszcie, między innymi [Antoni] Macierewicz. Zakończyliśmy powielanie „Zapisu”, ale nie pamiętam, w jakiej liczbie – było to między 400 a 500 egzemplarzy⁵⁶. To była duża ilość, pierwszy numer liczył bowiem 250 stron, ale żeby zapewnić lepszą czytelność tego

pisma, powielaliśmy te strony jednostronnie, a nie dwustronnie. Przy tej technice, jaką wtedy dysponowaliśmy, format mógł być tylko A4.

Żeby zapewnić bezpieczeństwo, konspirację temu przedsięwzięciu, podobnie jak „Komunikaty” KOR, postanowiliśmy cały nakład „Zapisu” wysłać do Warszawy i dopiero stamtąd ściągnąć pojedyncze numery do Lublina. Po nakład przyjechał samochodem z Warszawy Stefan Starczewski⁵⁷, wtedy go zresztą poznałem. Trzymaliśmy się sztywno zasady, że wszystkie egzemplarze jadą do Warszawy. Wszystkie z wyjątkiem jednego – ten egzemplarz został w Lublinie i zasilił zbiory Biblioteki Uniwersyteckiej KUL. Pamiętam to dobrze, wręczyłem go panu Andrzejowi Paluchowskiemu⁵⁸, dyrektorowi biblioteki.

Kilka egzemplarzy [faktycznie] trafiło z Warszawy do Lublina, między innymi pokazała mi je Danusia Filarska⁵⁹, która była moją koleżanką na seminarium u profesora [Jerzego] Kłoczowskiego. Powiedziała z dumą, że jest takie pismo wydawane w Warszawie, mogłem nawet u niej to pismo obejrzeć, dała mi do przeczytania. Była przekonana, że to pismo jest wydane w Warszawie.

Po wydaniu pierwszego numeru „Zapisu”, co działo się na początku lipca, zostali zwolnieni z więzienia – w połowie lipca – działacze KOR-u. Spotkałem się wtedy raz jeszcze z [Antonim] Macierewiczem, który powiedział mi, że od tego momentu zmienia się organizacja KOR-u i poszczególni ludzie dzielą się odpowiedzialnością za różne sprawy. Zakomunikował, że od tego momentu w sprawach powielania mam się kontaktować z Mirkiem Chojeckim⁶⁰. Spotkałem się z Mirkiem w Warszawie. Zaproponował, że KOR zaangażuje się w większym niż dotąd stopniu w proces powielania, że ma większe środki materialne i organizacyjne, chociaż nie dysponuje sprzętem. Myślał, że my będziemy wspierać technicznie Warsza-



wę, co po części się stało, ponieważ w międzyczasie dostarczyliśmy im kilka powielaczy, w tym farbowy (był to pierwszy tego typu powielacz w Polsce), gdyż uznaliśmy, że „Zuzia” nam zupełnie wystarcza.

„Zapis” był pierwszym pismem społeczno-literackim

„Zapis” był pierwszym pismem literackim wydawanym poza cenzurą. „Komunikaty” i „Biuletyny” KOR-u były pismami ściśle informacyjnymi, natomiast „Zapis” był pierwszym pismem społeczno-literackim. W tym piśmie można było publikować zarówno teksty wstrzymane w PRL – na przykład w pierwszym numerze znalazł się fragment książki Jacka Bocheńskiego, której cenzura nie chciała puścić do druku⁶¹ – [jak] też teksty pisane specjalnie dla czasopisma wychodzącego poza cenzurą.

Teksty do „Zapisu” powstawały w warszawskim środowisku intelektualnym i literackim. Pojawienie się tego pisma, które stanowiło nową jakość w działalności podziemno-opozycyjnej i w życiu intelektualnym, spowodowało, że zaczęto myśleć o kolejnych tytułach. Powstawały projekty pism zarówno literackich [jak i politycznych]. Niedługo po ukazaniu się „Zapisu” pojawiło się drugie pismo literackie „Puls”, które wydawało głównie środowisko łódzkie. Redaktorem był Jacek Bierezin⁶², który zresztą przez pewien czas studiował ze mną na KUL-u. Ale pojawiło się pismo „Głos”, o charakterze polityczno-społecznym. Kolejne periodyki, które [wychodziły w drugim obiegu] [również] zawierały teksty odrzucone przez cenzurę – bo cenzura dosyć dużo tekstów albo w znaczącym stopniu kwestionowała, albo w ogóle nie dopuszczała do druku w pismach pierwszego obiegu. Były też artykuły pisane już specjalnie z myślą o tym, że nie będą przedkładane cenzurze do akceptacji, tylko znajdując się w drugim obiegu.

Przyjąłem pomysł, żeby oficynę nazwać „niezależną”

O własnym piśmie niezależnym zaczęliśmy też myśleć w Lublinie, ale póki co przygotowywaliśmy się do powielenia drugiego numeru „Zapisu”. Doszliśmy do takiego porozumienia z KOR-owskim środowiskiem w Warszawie, reprezentowanym przez Mirka Chojckiego i jeśli się nie mylę, Konrada Bielińskiego⁶³, że środowisko warszawskie i lubelskie stworzy wspólne wydawnictwo, na którego czele stanie [Tadeusz] Mazowiecki⁶⁴ i ja. Będziemy silniejsi organizacyjnie, można będzie nadać temu działaniu znacznie większy rozmach, niż robiąc to tylko w Lublinie. Przyjęliśmy, że będziemy się co pewien czas spotykać i omawiać program wydawniczy oraz związane z tym problemy techniczne. Umówiliśmy się, że do powielonego w Lublinie drugiego numeru „Zapisu” okładki, metodą fotograficzną, przygotuje już Warszawa. Zaakceptowałem propozycję Mirka Chojckiego, żeby zmienić nazwę oficyny wydawniczej, którą przyjęliśmy w Lublinie przy sygnowaniu pierwszego numeru „Zapisu”, [odtąd] miała nie nazywać się „Nieocenzurowana Oficyna Wydawnicza” tylko „Niezależna Oficyna Wydawnicza”. Chojcki słusznie zwrócił uwagę na to, że nie cenzuruje się oficyny, tylko konkretny druk. Była to trafna uwaga, którą zaakceptowałem i przyjąłem pomysł, żeby oficynę nazwać „niezależną”. W Warszawie zostało wymyślone logo Niezależnej Oficyny Wydawniczej – „N”, które już później towarzyszyło [wydanym przez nią] niezależnym publikacjom. Przez pewien czas prowadziliśmy działalność wspólnie.

Myśleliśmy już w Lublinie o wydawaniu nowego pisma

[Kiedy] pracowaliśmy nad trzecim numerem „Zapisu”, byliśmy w bardzo trudnej sytuacji, bo Służba Bezpieczeństwa wyraźnie zaczęła się nami interesować.

⁵³ Pierwsze numery „Zapisu”, datowanego na styczeń 1977, zostały faktycznie powielone metodą samizdatu (nakład między 5 a 8 egzemplarzy. Por. Justyna Błazejowska, *Papierowa rewolucja...*, s. 54-55).

⁵⁴ Zdzisław Jamrożek (1942-1989) – działacz opozycji demokratycznej, współzałożyciel ROPCiO, KPN; w jego mieszkaniu był punkt konsultacyjny tych środowisk.

⁵⁵ Kazimierz Charzewski (ur. 1952) – student Technischeschule w Dreźnie. Według ustaleń Małgorzaty Chomy-Jusińskiej został zwerbowany do współpracy z SB 5 października 1977 roku. Po wypełnieniu drezdeńskiego zadania wysłano go do Piotra Jeglińskiego do Paryża, gdzie został zdemaskowany i aresztowany przez francuską policję 6 października 1978 roku, następnie w ramach wymiany „szpiegów” powrócił do Polski 22 grudnia 1978 roku.

⁵⁶ Było to 400 egzemplarzy (360+40) – taka informacja znajduje się na okładce „Zapisu”.

⁵⁷ Stefan Starczewski (ur. 1935) – socjolog kultury, działacz opozycji demokratycznej, członek KOR, założyciel Komitetu Helsińskiego, autor publikacji w prasie drugoobiegowej; w wolnej Polsce wice-minister kultury i sztuki w rządzie Tadeusza Mazowieckiego.

⁵⁸ Andrzej Paluchowski (ur. 1933) – absolwent polonistyki KUL, bibliotekarz, współpracownik „Spotkań”, kurier prze-

wożący przesyłki polskiej opozycji do Paryża i Monachium; dzięki jego zapobiegliwości Biblioteka Uniwersytecka KUL posiada prawie komplet wydawnictw emigracyjnych oraz znaczną liczbę obcojęzycznej literatury sowietologicznej. Jako dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej umożliwił przechowywanie w jej magazynach podziemnych publikacji, które w wolnej Polsce zasiliły jej zbiory. W stanie wojennym zatrudnił w bibliotece kilku redaktorów „Spotkań”, co uczyniło z tej instytucji jedną z głównych placówek opozycji lubelskiej.

⁵⁹ Danuta Filarska, 1° voto Winiarska, 2° voto Kuroń (ur. 1949) – uczestniczka opozycji demokratycznej, współpracowniczka „Spotkań”, działaczka podziemnej lubelskiej „Solidarności”.

⁶⁰ Mirosław Chojecki (ur. 1949) – działacz opozycji demokratycznej, członek KOR, organizator Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWa, więzień polityczny, w latach 80. przebywał na emigracji we Francji, gdzie wydawał miesięcznik „Kontakt” i organizował pomoc dla Polski; honorowy prezes Stowarzyszenia Wolnego Słowa.

⁶¹ W numerze pierwszym Jacek Bocheński opublikował artykuł *Wiara i kalkulacja*, natomiast fragment, o którym mowa w relacji, pojawił się w numerze drugim, nosił tytuł *Prospekt* i był częścią powieści *Tyberiusz Cezar*.

⁶² Jacek Bierezin (1947–1993) – działacz opo-

Właśnie wtedy, po wydaniu drugiego numeru „Zapisu”, zostało „spalone” mieszkanie, które wynajmowali nasi koledzy na Czechowie i trzeci numer był powielany częściowo gdzieś na stacjach, a częściowo w akademiku na ulicy Sławińskiego⁶⁵. Także był robiony naprawdę z wielkim wysiłkiem. Poza tym myśleliśmy już w Lublinie o wydawaniu nowego pisma. Prowadziłem na ten temat rozmowy z panem Adamem Stanowskim, który powiedział mi, że w Warszawie istnieje możliwość wydawania niezależnego katolickiego pisma, że środowisko skupione wokół „Znaku”, „Więzi” i Klubów Inteligencji Katolickiej myśli o takim periodyku, ale ten projekt poza pomysł nie wychodzi. Więc ja powiedziałem, że to jest bardzo ciekawa myśl, żeby wydawać pismo katolickie poza cenzurą, że jesteśmy środowiskiem katolickim i możemy to robić. Byłoby to [pismo] w rodzaju „Więzi” czy „Znaku”, ale bez cenzury. Do środowisk „Znaku”, „Więzi” i KIK-u było nam blisko, [także] poprzez profesorów, którzy nas wspomagali, chociaż mieliśmy świadomość, że [ich wydawnictwa] są koncesjonowane przez władzę.

Zaczęliśmy myśleć już o pierwszym numerze i o materiałach do niego. W tej sprawie rozmawiałem z Bogdanem Borsewiczem, który już wtedy był w Sopocie, swoim rodzinnym mieście. Powiedziałem Mirkowi Chojeckiemu, że w ramach NOWej będzie niedługo wydawane pismo katolickie. I wtedy Chojecki oprotestował ten pomysł. Powiedział: „No, my się umawialiśmy wcześniej, że ta oficyna wydawnicza będzie ponadpolityczna, niezorientowana wyraźnie ideowo. Pismo katolickie wskazuje na wyraźną orientację ideową”. [Powiedział], że on nie byłby zwolennikiem wydawania takiego pisma w NOWej. Ja byłem trochę zaskoczony taką postawą, ale powiedziałem: „No, nie musimy”.

Współpraca z Warszawą była coraz trudniejsza, środowisko warszawskie

było zdecydowanie silniejsze organizacyjnie, miało poważne środki finansowe, nie mogliśmy się z nim równać. Coraz częściej polityka wydawnicza NOWej nie była z nami konsultowana, a Mirek Chojecki wprowadzał tytuły, nie informując nas o nich. Doszedłem do wniosku, że mając już na względzie własny tytuł, nie ma sensu dogadywać się z Warszawą i wchodzić w spór, który mógłby mieć później charakter publiczny i być gorszący. W takiej sytuacji lepiej było się odłączyć, niech NOWa zostanie w Warszawie przy KOR-ze, a my będziemy robić coś nowego – pismo „Spotkania”.

Wyjście na spotkanie drugiego człowieka

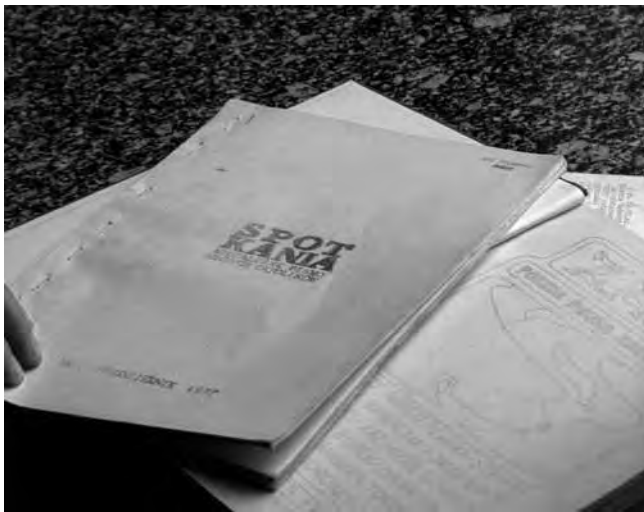
Tytuł „Spotkania” wymyśliliśmy, dlatego że najlepiej odzwierciedlał naszego ducha. Byliśmy młodzi, byliśmy postrzegani jako katolicy, ale czuliśmy się ludźmi poszukującymi, [choć] mieliśmy bardzo wyraźnie określone poglądy polityczne. Chcieliśmy się angażować i angażowaliśmy się w sprawy polityczne, ale nie chcieliśmy temu nadawać określonej formuły. Byliśmy zwolennikami prowadzenia dialogu z ludźmi inaczej myślącymi. Wiedzieliśmy bowiem, że tylko drogą dialogu, zrozumienia, współpracy, będziemy mogli przezwyciężyć totalitarny system, który starał się wszystko ujednolicić, narzucić określony sposób myślenia, postępowania i system, który stosował zasadę „dziel i rządź”. Byliśmy zdania, że należy porozumiewać się z ludźmi inaczej myślącymi, na przykład reprezentującymi inny światopogląd, inne pochodzenie, po to, by ten system można było solidarnie kontestować. Poza tym byliśmy ludźmi, którzy często pochodzili z rodzin nieinteligentnych, nie mieliśmy tego intelektualnego bagażu wyniesionego z domu, więc była w nas potrzeba samodzielnego pogłębiania wiedzy, poszukiwania ideowej busoli. Takich osób, wbrew pozorom, na

KUL-u było sporo. Istotne też było wyjście na spotkanie drugiego człowieka, zwłaszcza inaczej myślącego, odmiennie przeżywającego swoją wiarę albo indyferentnego religijnie. Ten kierunek chyba najlepiej wyrażał naszą postawę i z takim przesłaniem chcieliśmy redagować nasze pismo.

Tytuł pisma wymyśliłem w czasie narady, jaką mieliśmy ze Zdzisławem Bradelem i Krzysztofem Paczuskim⁶⁶ (już dzisiaj nieżyjącym). Właśnie wtedy wpadłem na to, że to będą „Spotkania”, bo to muszą być spotkania po prostu – i zostało to tak zaklepane. Było to w moim mieszkaniu przy ulicy Gospodarczej. Trudno mi sobie dzisiaj przypomnieć, czy rozmawialiśmy otwartym tekstem, ale chyba nie, bo przypuszczałem, że mieszkanie może być na podsłuchu. O pewnych sprawach rzeczywiście rozmawialiśmy bez ograniczania się, ale o bardziej konkretnych kwestiach, jak sprawy naszego pisma, wymienialiśmy uwagi na karteczkach, które następnie niszczyliśmy.

Pismo zostało bardzo dobrze przyjęte

Pierwszy numer „Spotkań” składałem głównie przy współpracy ze Zdzisławem Bradelem, ale konsultowałem go też z Bogdanem Borusewiczem; on zresztą dostarczył swój duży tekst o zwalczaniu opozycji w Polsce przez Służbę Bezpieczeństwa. Rozmawiałem na ten temat z panem Zdzisławem Szpakowskim⁶⁷ (który dostarczył nam kilka tekstów nieprzepuszczonych przez cenzurę w „Więzi”), panem Adamem Stanowskim, z Januszem Bazydłą⁶⁸, który wtedy, kiedy robiliśmy pierwszy numer, wyjechał do Londynu na dwa miesiące, więc nie brał udziału przy pracach nad pismem, ale wiedział, że powstaje. Jeden czy dwa wiersze dostarczył Krzysztof Paczuski. Matryce sporządziła Bożena Balicka. O powstaniu pisma wiedział Piotrek Jegliński, który przysłał



nam zresztą z Zachodu kilka tekstów do publikacji, między innymi nieznany szerzej w Polsce list Lenina mówiący o zwalczaniu, prześladowaniu Cerkwi i wyznania religijnych w Rosji sowieckiej. Ale główny kształt temu pierwszemu numerowi nadałem ja.

„Spotkania” pojawiły się na przełomie października i listopada 1978 roku, mimo że były sygnowane datą październikową. Równoległe ukazały się wtedy „Głos” i „Puls”, potem „Bratniak” – pismo Ruchu Młodej Polski, wcześniej jeszcze „W Drodze”, pismo wydawane przez Ruch Niepodległościowy skupiony wokół [Leszka] Moczulskiego. To były pierwsze pisma drugiego obiegu w PRL-u. Pracowaliśmy intensywnie nad kolejnym numerem, „Spotkania” bowiem zostały bardzo dobrze przyjęte przez różne środowiska. Było to pismo otwarte. W pierwszym numerze podejmowaliśmy sprawy mniejszości narodowych i naszych sąsiadów⁶⁹, sprawy związane z Żydami – poprzez tekst [Janusza] Bazydły, którego cenzura nie puściła w „Więzi”, a który nosił tytuł *Sprawa Żydów czy antysemityzm*⁷⁰. Był artykuł Ludwika Hassa związany z problematyką II Rzeczypospolitej⁷¹, teksty odnoszące się do opozycji w Rosji⁷², ar-

Pierwszy numer „Spotkań” (1977) i pierwszy numer „Zapisu” (1977). Fot. Wioletta Wejman. Archiwum TNN.

zycji demokratycznej w środowisku łódzkim, poeta, współpracownik organizacji Ruch, objęty zakazem druku od 1974 roku, więzień polityczny, od 1982 roku na emigracji we Francji, współpracownik paryskich oficyn wydawniczych i RWE.

⁶³ Konrad Bieliński (ur. 1949) – działacz opozycji demokratycznej w Warszawie, matematyk, członek KOR, drukarz NOWej.

⁶⁴ Tadeusz Mazowiecki (ur. 1927) – działacz katolicki, poseł na Sejm w ramach grupy „Znak”, założyciel i redaktor naczelny „Więzi” w latach 1958-1981, redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność”, działacz warszawskiego KIK-u, pierwszy niekomunistyczny premier polskiego rządu (1989-1991).

SPIS TREŚCI	
1p	str.
1. Od redakcji	2
2. Witold Zdzisławski, rozmowa ewangeliczna. Czyja to rzecz?	3
3. Janusz Topacz, O co chodzi?	6
4. Krzysztof Sadana, Ballada o jutrze	12
5. Jacek Caborowicz, Sprawy żydów czy antysemityzm?	14
6. K.Y.Z. Ukraińcy wobec przemian w polskości	29
7. Witold Zdzisławski, Wspomnienie o Jcu na 17 września 1939 r.	43
8. Szymon Siupnicki, Walka na fiolety. "Bo" na planie dydaktyki i terapii, konkluzja	44
9. Jerzy Górecki, "Orlejsko" z Kościoła św. Marcina	47
10. Bogdan Borusiewicz, Metody walki z opozycją w Polsce	55
11. Krzysztof Sadana, List otwarty pasterzom do brzoła Krakowa; Ballada o Justynie i brzoła	63
12. Niepublikowany list Lenina	71
13. "Akty, wydarzenia, opinie"	74

Spis treści pierwszego numeru „Spotkań” (1977). Pismo w zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej KUL.

⁶⁵ Trzeci numer „Zapisu” drukowany był w Zagnańsku koło Kielc.

⁶⁶ Krzysztof Paczuski (1956-2004) – absolwent polonistyki KUL, poeta, redaktor „Spotkań”, redaktor „Akcentu”.

⁶⁷ Zdzisław Szpakowski (1926-2006) – socjolog, dziennikarz, podczas II wojny światowej członek AK, po wojnie działacz PSL Stanisława Mikołajczyka, długoletni redaktor miesięcznika „Więź”, założyciel

tykuły historyczne⁷³, informacja dotycząca wydarzeń w Bloku Wschodnim⁷⁴.

Jak już wspomniałem, pismo zostało bardzo dobrze przyjęte, więc przystąpiliśmy do pracy nad następnymi numerami. Wydawanie „Spotkań” oznaczało przerwanie współpracy naszego środowiska ze środowiskiem NOWej. Poszliśmy własną drogą, a [w NOWej] z czasem nawet zapomnieli, gdzie byli korzenie oficyny, ale nie był to czas na roztrząsanie tej krótkiej historii.

„To nie chcesz, żeby to było pismo katolickie?”

Pismu nadaliśmy tytuł „Spotkania”, ale zastanawialiśmy się nad podtytułem, który by jakoś bardziej je określał, identyfikował, podkreślał jego katolicką orientację. Były argumenty za i przeciw

temu, na przykład czy to nie będzie niewygodne dla Kościoła i czy z kolei dla nas nie będzie w jakimś sensie ograniczające, bo katolicyzm w Polsce miał też różne oblicza. Wiedzieliśmy, że hierarchia stara się zachowywać dystans wobec działań niezależnych, czasem nie mając przekonania do tej formy działalności. Była to ostrożność [stosowana], by nie identyfikować Kościoła z określoną formą działalności politycznej.

To były te nasze dylematy. Pamiętam, że udałem się z tymi wątpliwościami do o. Ludwika Wiśniewskiego⁷⁵. On wtedy zapytał mnie wprost: „To nie chcesz, żeby to było pismo katolickie?”, mówię: „Ja chcę”. „No to niech będzie”. W ten sposób o. Ludwik przełamał tę wątpliwość i w podtytule przyjęliśmy formułę: „Niezależne Pismo Młodych Katolików”, co miało wskazywać na niezależność pisma i środowiska, zarówno od hierarchii kościelnej, jak i od innych środowisk opozycyjnych – o tym myśleliśmy, używając słowa „niezależne”. Chcieliśmy przemawiać własnym głosem. Wyrazem naszej postawy był mój tekst programowy pt. *O co chodzi?!*, pisany jeszcze pod pseudonimem – Janusz Topacz. Oprócz tego wspólnie z Bradelem i Paczuskiem przygotowywaliśmy krótki tekst od redakcji.

Bezpieka i tak już wie, kto to pismo robi

Pierwszy numer „Spotkań” powielany był na „Zuzi”, a więc tym większym powielacz, natomiast nakład wahał się między 400 a 500 egzemplarzy, tyle ile było kartek papieru w ryzie minus ubytki⁷⁶. Pierwsze „Spotkania” były prowadzone w Lublinie, ale nie miały jeszcze stopki redakcyjnej, ponieważ nie chcieliśmy wkleić w to wszystko KUL-u – środowisko nasze w dużej mierze wywodziło się z tej uczelni i to zarówno studenci, jak i wykładowcy czy pracownicy. Zbyt jednoznaczne wskazanie na uczelnię mogło spowodować

jakieś formy represji, a tego chcieliśmy uniknąć. Dlatego niektórzy autorzy, zwłaszcza etatowi pracownicy KUL, swoje teksty pisali pod pseudonimem, na przykład Janusz Bazydło (Jacek Zaborowski), Jan Krzemiński⁷⁷ (Szymon Słupnicki).

Pismo było kolportowane poprzez duszpasterstwa akademickie, Kluby Inteligencji Katolickiej w Warszawie i Krakowie, wykładowców KUL. Nakład pierwszego numeru rozszedł się bardzo szybko.

Od drugiego numeru pojawiła się w „Spotkaniach” stopka redakcyjna, co było następstwem naszej dekonspiracji. Kiedy przygotowywaliśmy materiały do drugiego numeru, zostaliśmy namierzeni przez Służbę Bezpieczeństwa. Numer był przygotowywany do powielania w mieszkaniu Stefana Szaciłowskiego⁷⁸, ponieważ już przy robieniu pierwszych „Spotkań” porozumieliśmy się i on bardzo chętnie współpracował w wydawaniu pisma, ponadto miał dobre warunki mieszkaniowe, mieszkał niedaleko KUL-u z matką, zgodził się także przechowywać materiały potrzebne do powielenia. W trakcie przygotowań do wydania drugiego numeru Służba Bezpieczeństwa wkroczyła do mieszkania i zabrała głównie materiały redakcyjne⁷⁹.

W momencie, kiedy Służba Bezpieczeństwa weszła do mieszkania Stefana Szaciłowskiego i skonfiskowała kilka artykułów [do] drugiego numeru „Spotkań”, uznaliśmy, że sprawa jest oczywista, безпеaka i tak już wie, kto to pismo robi, wobec tego nie ma przeszkód, żeby ujawnić adres redakcji i nazwiska osób redagujących. Wtedy zdecydowaliśmy się podpisać drugi numer pisma we trzech: Bradel, Szaciłowski i ja, a na adres redakcji zostało wskazane moje mieszkanie. Oczywiście, ja nie trzymałem materiałów redakcyjnych, żeby nie dać Służbie Bezpieczeństwa możliwości ich skonfiskowania w razie rewizji.

Wyrośnie mu kaktus na dłoni, jeśli nam się uda

Drugi numer został przygotowany już w większym gronie. Do współpracy dołączył znany wtedy pisarz lubelski Bogdan Madej⁸⁰, pracownicy z polonistyki KUL-u, dostaliśmy też teksty z Zachodu, więc ten drugi numer był obszerniejszy, lepiej przygotowany od pierwszego.

Służba Bezpieczeństwa bardzo zaczęła się naszą działalnością interesować i ścigać. Udało im się namierzyć przygotowania do powielenia drugiego numeru „Spotkań”, przy czym wpadły zarówno materiały przeznaczone do druku, jak i część materiałów technicznych, na przykład papier. Po rewizji zakończonej sukcesem Służby Bezpieczeństwa zostałem zatrzymany na komendzie przy ulicy Narutowicza; oficer Służby Bezpieczeństwa, o ile się nie mylę [Krzysztof] Chabrowski⁸¹, powiedział, że wyrośnie mu kaktus na dłoni, jeśli nam się uda wydać kolejny numer „Spotkań”. Byli pewni swojego sukcesu, tego, że tak głęboko nas ugodzili, iż następnego numeru „Spotkań” nie wydamy.

Materiały wpadły, ale były kopie

Natomiast [my] już wtedy byliśmy dużo lepiej zorganizowani i mieliśmy zapas materiałów redakcyjnych. Materiały wpadły, ale były kopie, także udało nam się dość szybko przygotować [nowe] matryce tego numeru. On miał chyba nieco inny kształt niż ten numer, który był przygotowywany, a został przechwycony przez Służbę Bezpieczeństwa.

W zaistniałej sytuacji postanowiliśmy się zerwać z oczu bezpieki i nie powiełać tego numeru w Lublinie. Porozumiałem się co do tego z Maciejem Sobierajem⁸², który miał mieszkanie w samodzielnie stojącym domu w Zagnańsku pod Kielcami i zgodził się do tego domu sam ściągnąć papier⁸³ i powielacz (mieliśmy zapasowy powielacz)⁸⁴ oraz przy-

lubelskiego oddziału „Więzi”, działacz opozycji demokratycznej, współpracownik „Spotkań”, wykładowca Uniwersytetu Łatającego działacz „Solidarności”, w stanie wojennym internowany, następnie uczestnik wielu podziemnych inicjatyw politycznych, wieloletni wykładowca KUL.
⁶⁸ Janusz Bazydło (ur. 1943) – absolwent historii KUL, pracownik Międzywydziałowego Zakładu Leksykograficznego na KUL, jeden z redaktorów „Spotkań”, członek NSZZ „Solidarność”, organizator lubelskiej Wszechnicy Związkowej, w stanie wojennym internowany; w wolnej Polsce sekretarz komisji zajmującej się Polską diasporą w Kancelarii Senatu i pracownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych (Wydział Współpracy ze Stowarzyszeniami i redakcja „Kombatanta”).

⁶⁹ X.Y.Z. [Henryk Krzeczkowski], *Ukraińcy wobec państwowości polskiej*.

⁷⁰ Został opublikowany pod pseudonimem Jacek Zaborowski.

⁷¹ Tekst Ludwika Hassa, „*Depozytariusz prawdy*” i *populizm*, został opublikowany w numerze trzecim; autor był specjalistą od historii wolnomularstwa i masonerii w Polsce i Europie Wschodniej.

⁷² *Apel Narodowego Związku Rosyjskich Solidarystów*.

⁷³ Witold Zdziechowski [Zdzisław Bradel], *Wspomnienia ojca na 17 września 1939 r.*

⁷⁴ Być może chodzi o którąś z notek opub-

Część I. Sylwetka

likowanych w dziale „Fakty, wydarzenia, opinie”.

⁷⁵ O. Ludwik Wiśniewski (ur. 1936) – dominikanin, duszpasterz akademicki w Gdańsku, Lublinie i Wrocławiu, duchowy opiekun środowiska „Spotkań”, kapelan „Solidarności”. W latach 90. pracował na parafii w Petersburgu. W 2005 roku wrócił do Lublina. Prowadzi duszpasterstwo młodzieży.

„Spotkania” nr 7/8 (1979) i nr 17/18 (1982) z edycji paryskiej. Nr 17/18 ma format kieszonkowy (dłuższy bok 14 cm). Fot. Wioletta Wejman. Archiwum TNN.

jąc mnie i Pawła Nowackiego, tak żeby szybko ten numer powielić.

Wykorzystując to, że w duszpasterstwie akademickim o. Ludwika Wiśniewskiego była przygotowana duża sesja, w której uczestniczyło wielu ludzi, i mając na uwadze, że Służba Bezpieczeństwa, [która] stale nas śledziła, też tą sesją bardzo się interesowała, uznaliśmy, że to jest dobra okazja, żeby im się urwać. Sesja była w klasztorze Dominikanów, więc umówiłem się z o. Ludwikiem, że w tłumie kotłujących się ludzi w pewnym momencie my się dyskretnie oddalimy do innych pomieszczeń w klasztorze, a on nas wyprowadzi. Była taka boczna furtka, która wychodziła na skarpę nad ulicą Podwale, był wieczór, a może nawet noc, i o. Ludwik wyprowadził nas tą boczną furtką. Zbiegliśmy na dół i po-

szeliśmy obrzeżami Lublina już nie na dworzec główny, tylko na przystanek pod Lublinem dla pociągów podmiejskich⁸⁵. Stamtąd udało nam się odjechać w kierunku Kielc (Zagnańsk usytuowany jest pod Kielcami) i jakimś autobusem dotrzeć do domu rodzinnego Maćka, który już na nas czekał⁸⁶.

W ciągu całego dnia i nocy udało nam się powielić sto kilkadziesiąt egzemplarzy drugiego numeru „Spotkań”, który też od razu wywieźliśmy z Zagnańska. Każdy z nas wziął po jednej partii nakładu i różnymi drogami dowiózł w określone miejsca. Ja pojechałem prosto do Warszawy. Te kilkadziesiąt egzemplarzy, które wiozłem ze sobą, straszliwie pachniały – a raczej śmierdziały – denaturatem i ludzie w pociągu dziwnie mi się przyglądali. Ja wyglądałem na człowieka lekko podpitego, cuchnęło ode mnie



alkoholem, a potworne zmęczenie potęgowało ten efekt.

Pamiętam, że ileś egzemplarzy tego nakładu zostawiłem od razu u Antka Macierewicza, część zaniósłem do KIK-u, parę egzemplarzy przywiozłem przez Warszawę do Lublina. Od tego skonfiskowania materiałów do drugiego numeru „Spotkań” do jego wydania nie minął, myślę, nawet jeden miesiąc, a więc było to bardzo szybko. Ze względów ambicjonalnych zależało nam, żeby zademonstrować fakt, iż tak łatwo nie damy się Służbie Bezpieczeństwa zdławić. I to się udało.

Nakład od stu kilkudziesięciu do nawet trzech tysięcy egzemplarzy

„Spotkania” były kwartalnikiem, ale kwartalnikiem nieregularnym, czasem nawet bardzo nieregularnym. Kilkakrotnie wydawaliśmy numery podwójne i z kwartalnika robił się półrocznik.

Pismo, [choć] nieregularnie, ukazywało się do 1989 roku i w stanie wojennym też nie zaprzestało działalności, mimo aresztowania lub internowania wielu naszych kolegów [z redakcji]. W sumie wydaliśmy trzydzieści pięć numerów „Spotkań” w nieregularnych odstępach czasu. Nakład był różny: od stu kilkudziesięciu do nawet trzech tysięcy egzemplarzy, ale przeciętnie było to tysiąc egzemplarzy. Zmieniały się też szata graficzna i format. Z początkowego formatu A4 przeszliśmy na format A5, z powielacza spirytusowego na farbowy.

Obok pisma wydawaliśmy Bibliotekę „Spotkań”. Pierwszą publikacją, co musiało nastąpić na przełomie 1978 i 1979 roku, była książka Bogdana Madeja *Polska w orbicie Związku Radzieckiego*, mówiąca o uzależnieniu Polski od ZSRR. Druga była książka, którą dostaliśmy z Krakowa od kardynała [Karola] Wojtyły. Były to wspomnienia zamówione przez niego u ks. [Władysława]

Bukowskiego. Ks. Bukowski był polskim kapłanem, który całe lata przebywał w sowieckich łagrach, a w późniejszych latach życia był duszpasterzem wśród Polaków i Niemców w Kazachstanie. Tytuł jego wspomnień brzmiał *Wspomnienia z Kazachstanu*. [Książka] pokazywała, w jak niezwykle trudnych warunkach można było prowadzić pracę duszpasterską wśród ludzi. To była druga publikacja, która zresztą miała kilka różnych wydań⁸⁷.

Równoległe wydawnictwo

Warto podkreślić, że pismo – nie wszystkie numery – było wydawane na Zachodzie. Drukował je [Piotr] Jegliński. Utworzył też równoległe wydawnictwo, które się nazywało Editions Spotkania i początkowo zajmowało się przedrukiem „Spotkań” i książek, które ukazywały się w Polsce. Potem [Jegliński] rozwinął działalność już niezależnie od polskiego ośrodka i wydawał własne rzeczy, własne tytuły. Po stanie wojennym znaleźliśmy się w trudnej sytuacji, bo środowisko zostało... może nie tyle rozbite, co osłabione przez emigrację kilku kolegów; z kolei ja wyjechałem z Lublina. W zaistniałej sytuacji było bardzo trudno prowadzić działalność na taką skalę jak wcześniej, a szczególnie za czasów „Solidarności”, dlatego nastawiliśmy się na wspieranie działalności na Zachodzie i część materiałów, po wcześniejszym opracowaniu, wysyłaliśmy do Paryża.

Pismo prowadziliśmy z dużym rozmachem

Od drugiego numeru pismo zawierało nazwiska kilku redaktorów, ale potem, bodajże od piątego numeru, doszło trzech kolegów z Krakowa – Wojtek Oracz⁸⁸, Józef Ruszar⁸⁹ i Tadeusz Konopka⁹⁰. Z Warszawy współpracowali z nami koledzy z kręgu Sekcji Kultury warszawskiego KIK: Marek Zieliński⁹¹ i Janek Chomicki⁹². Jak widać, nasze

⁸⁶ Na „Zuzi” można było odbić w miarę czytelnie maksymalnie 300 egzemplarzy, ale przy dwóch matrycach (a takie przypadki były) ten nakład mógł sięgać nawet 600 egzemplarzy. Problem polegał na tym, że po wydrukowaniu trzech „Zapisów” wałki były dość mocno wyrobione i docisk pozwalał powielić nie więcej niż 300-350 egzemplarzy pisma.

⁸⁷ Jan Krzemiński (1943-2010) – pracownik naukowy KUL (filologia klasyczna), działacz opozycji demokratycznej, współpracownik i autor tekstów w „Spotkaniach” (jako Szymon Słupnicki).

⁸⁸ Stefan Szaciłowski (ur. 1954) – absolwent polonistyki KUL i reżyserii Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie, współtwórca grupy teatralnej Scena Słowa (1975-1983), współpracownik „Spotkań”, reżyser.

⁸⁹ Powielacz nie wpadł, bo niewiele wcześniej został przeniesiony w inne miejsce.

⁹⁰ Bogdan Madej (1934-2002) – pisarz lubelski, autor między innymi książki *Maść na szczury*, którą wydał pod własnym nazwiskiem w paryskiej Bibliotece „Kultury”. W Bibliotece „Spotkań” opublikował w 1978 roku książkę *Polska w orbicie Związku Radzieckiego*. W 1980 roku doszło do konfliktu między Madejem a środowiskiem „Spotkań”. W specjalnym liście zarzucił Januszowi Krupskiemu i Januszowi Bazydle, że ulegają swoim mentorem: Adamowi Stanowskiemu i Zdzisławowi

Żspakowskiemu. Żal Madeja wynikał jednak z czegoś innego, mianowicie odmowy reedycji jego spotkania-wy książki w Editions Spotkania.

⁸¹ Krzysztof Chabrowski (ur. 1935) – absolwent UMCS, do grudnia 1980 roku funkcjonariusz sekcji II (kulowskiej) Wydziału IV KW MO w Lublinie, a następnie do 1990 roku Wydziału Paszportów, gdzie doszedł do stopnia majora i stanowiska zastępcy naczelnika; w wolnej Polsce pozytywnie zweryfikowany podjął pracę w Policji, którą zakończył w 2007 roku.

⁸² Maciej Sobieraj (ur. 1951) – absolwent historii KUL, związany ze środowiskiem „Spotkań”, działacz lubelskiej „Solidarności”, redaktor „Informatora »Solidarność« Regionu Środkowo-Wschodniego”; pracownik lubelskiego IPN.

⁸³ Papier w dużych ilościach został zakupiony w Kielcach dzięki koneksjom rodzinnym Macieja Sobieraja w sferach handlowych. W Zagnańsku drukowane były drugi i trzeci numer „Zapisu” oraz drugi i trzeci numer „Spotkań”.

⁸⁴ Był to ten sam powielacz, czyli „Zuzia”, której podczas rewizji u Szaciłowskiego nie było.

⁸⁵ Był to przystanek w Stasinie Polnym.

⁸⁶ Autor relacji nie jest precyzyjny w tym opisie. Wtedy do Zagnańska żadne autobusy nie dochodziły. Można było się dostać albo własnym samochodem (co nie wchodzi w grę w przypadku Janusza i Pawła),

środowisko rozrastało się. Zwiększała się ilość materiałów, wzrastał poziom pisma.

Teksty zdobywaliśmy na przykład w Warszawie, bo tamtejsi koledzy byli dobrze ulokowani w warszawskim KIK-u, i w ogóle w środowiskach intelektualnych, i duszpasterstwach, między innymi oo. dominikanów. Krakowskie środowisko – to środowisko „Tygodnika Powszechnego”, krakowskiego KIK-u i bardzo żywego duszpasterstwa u sióstr norbertanek i u dominikanów. Z pismem współpracowało szereg znanych osób, intelektualistów, także duchownych. Były w „Spotkaniach” niepublikowane gdzie indziej homilie kardynała Wojtyły związane z obchodami rocznicy śmierci świętego Stanisława męczennika. Było szereg tekstów [księdza Józefa] Tischnera, teksty o. Ludwika Wiśniewskiego i ks. [Tadeusza] Stycznia⁹³, który był bliskim współpracownikiem kardynała Wojtyły, prowadził po nim wykłady etyki na KUL-u, [artykuły] ks. [Andrzeja] Szostka⁹⁴, o. [Aleksandra] Hauke-Ligowskiego⁹⁵, ks. Stanisława Małkowskiego⁹⁶. Dostawaliśmy też teksty z zagranicy: publikowaliśmy [Władimira] Maksimowa⁹⁷, rosyjskiego pisarza, teksty Ukraińców.

Pismo prowadziliśmy z dużym rozmachem, były teksty dotyczące polityki, kultury, religii, sytuacji Kościoła i wyznań w Europie Środkowej, [artykuły] związane z różnymi mniejszościami, naszymi sąsiadami, teksty dotyczące Żydów, przygotowaliśmy (ale to już było po stanie wojennym) cały numer poświęcony dialogowi polsko-żydowskiemu i katolicko-żydowskiemu, podobnie jak był cały numer poświęcony problematyce ukraińskiej.

„Spotkania” były recenzowane i omawiane w Wolnej Europie, w paryskiej „Kulturze”, zresztą [Jerzy] Giedroyc w korespondencji, którą prowadził z [Janem] Nowakiem-Jeziorańskim, z poważnych czasopism najwyżej oceniał

„Spotkania” jako pismo jemu najbliższe⁹⁸.

Na ogół nie należeliśmy do „Solidarności”, mimo że ją wspieraliśmy

Po wprowadzeniu stanu wojennego część naszego środowiska czy prawie wszyscy zaangażowali się w działalność „Solidarności”. Chcę tutaj podkreślić, że na ogół nie należeliśmy do „Solidarności”, [mimo że] ją wspieraliśmy, współpracowaliśmy, pracowaliśmy dla niej – ja byłem na przykład pracownikiem etatowym, prowadziłem Biuro Historyczne „Solidarności” w Gdańsku. Z różnych powodów nie chciałem się wpisywać do tego związku, nie chciałem między innymi uczestniczyć w sporach, które już wcześniej dzieliły wiele opozycyjnych środowisk. Podobnie jak ja myślała większość moich kolegów. Już nie pamiętam, kto z nas należał do „Solidarności”, natomiast wielu z „Solidarnością” współpracowało.

Wspomniane Biuro Historyczne „Solidarności”, które utworzyliśmy w Gdańsku, [powstało] głównie na skutek rozmów, które prowadziłem z [Bogdanem] Borusewiczem. Chodziło o to, żeby wykorzystać potencjał związku i możliwości, które dawał, do tego, by udokumentować, opisać wydarzenia Grudnia 1970 roku, które wywarły duży wpływ na powstanie „Solidarności” i [na fakt], że ten zryw miał swój organizacyjny początek właśnie w Gdańsku, na Wybrzeżu, gdzie pamięć o Grudniu była bardzo żywa.

Falę strajków wesprzeć w inny sposób

Kiedy w Lublinie wybuchł Lipiec, byliśmy z kolegami z lubelskich „Spotkań” i innych współpracujących ze „Spotkaniami” ośrodków w Małym Cichym. Prowadziłem naradę, w jakim kierunku miały pójść „Spotkania”, nie jako pismo – ono rozwijało się bardzo dobrze – ale jak rozwijać działalność społecz-

ną? W Lublinie byliśmy związani z duszpasterstwem akademickim o. Ludwika, środowiskiem na KUL-u, lubelskim oddziałem „Więzi”, mieliśmy kolegów w Krakowie i w Warszawie. Myśleliśmy jednak o nadaniu temu jeszcze większego rozmachu. „Spotkania” kontaktowały się z Ruchem Światło-Życie i ks. [Franciszkiem] Blachnickim⁹⁹, [który] był jednym z autorów [piszącym do] „Spotkań”. Dzisiaj wiem, że [nasza] działalność była dla tego ruchu inspirująca, a była to organizacja o ogromnym rozmachu, więc myśleliśmy też, w jaki sposób współpracować z nimi. Jak orientować się bardziej na ruch duszpasterski?

W czasie tych debat dowiedzieliśmy się, że w Lublinie zaczęły się strajki. Postanowiliśmy rozwiązać nasze spotkanie i część ludzi udała się do Lublina, część rozjechała się do innych miast. Kiedy dojechalismy, strajki [w Lublinie] dogasały. Po lubelskim Lipcu wyjechalismy ponownie na naradę w sierpniu 1980 roku, żeby kontynuować przerwane spotkanie i wtedy dowiedzieliśmy się o wybuchu strajków na Wybrzeżu. Doszliśmy do wniosku, że mimo kontaktów, jakie mieliśmy w Gdańsku – dobrze znałem [Bogdana] Borusewicza i współpracowaliśmy ze sobą ciągle – nie będziemy jechać do Gdańska, żeby angażować się w strajk, ale postaramy się tę falę strajków wesprzeć w inny sposób – upowszechnić je w Polsce.

Pod płaszczem biskupa Tokarczuka

W tym czasie mieliśmy bardzo bliskie kontakty z ks. biskupem [Ignacym] Tokarczukiem¹⁰⁰ z Przemyśla. Ks. Tokarczuk był biskupem, który wyraźnie sympatyzował ze „Spotkaniami” i wspierał je. Pierwszy tekst biskupa katolickiego – właśnie biskupa Tokarczuka – pojawił się w piątym numerze „Spotkań”. Nosił on tytuł *Perspektywy rozwoju Kościoła w Polsce*. Tekst, który wygłaszał w czasie wykładów dla duchowieństwa na KUL-u, przekazał nam do publikacji w „Spotkaniach” bez najmniejszego oporu, a później wspierał nas w różny sposób – finansowo i organizacyjnie. Wyjeżdżaliśmy kilka razy na spotkania do diecezji przemyskiej, na przykład do Kraśniczyzna do ks. [Stanisława] Bartmińskiego, rodzonego brata wykładowców UMCS – Jerzego¹⁰¹ i Floriana¹⁰². Tam mogliśmy pod płaszczem biskupa Tokarczuka spokojnie odpoczywać i omawiać różne zagadnienia.

Nie przegłodziliśmy się specjalnie

Wpadliśmy na pomysł, żeby zorganizować w diecezji przemyskiej głódówkę [wyrażającą] solidarność ze strajkującymi na Wybrzeżu. Biskup Tokarczuk zaproponował, żeby odbyć ją w kościele w Stalowej Woli¹⁰³. Proboszczem i dziekanem tego kościoła był dzisiejszy

albo pociągiem.

W godzinach wieczornych jedyny osobowy pociąg, który zatrzymywał się w Zagnańsku, odchodził około godziny 20:00 z Dębina do Gliwic, w Zagnańsku był około godziny 23:00. Krupski i Nowacki podmiejskim pociągiem z Lublina dostali się do Dębina, a tam przesiadli się w pociąg do Gliwic. Na dworcu w Zagnańsku odebrał ich Maciej Sobieraj.

⁸⁷ Ksiądz Bukowski napisał swoje wspomnienia podczas kilkumiesięcznego pobytu w Polsce, gdzie przebywał w celu podratowania zdrowia. Oprócz kilku krajowych wydań *Wspomnienia z Kazachstanu* miały podwójną reedycję (1979 i 1981) w Editions Spotkania w Paryżu.

⁸⁸ Wojciech Oracz (ur. 1952) – absolwent

Marek Zieliński, Janusz Krupski, Janusz Bazydło i Jan Stepek podczas głódówki w kościele w Stalowej Woli. Na zdjęciu nie ma Jana Sudola, który również brał udział w akcji. Sierpień 1980. Zbiory prywatne Stefana Szaciłowskiego.



UJ, działacz opozycji demokratycznej, współzałożyciel krakowskiego SKS, uczestnik duszpasterstwa akademickiego u krakowskich dominikanów; po 1981 roku zaprzestał działalności opozycyjnej; w wolnej Polsce znany krakowski marszand.

⁸⁹ Józef Ruszar (ur. 1952) – absolwent polonistyki UJ, uczestnik duszpasterstwa akademickiego oo. dominikanów w Krakowie, tzw. „Beczki”, działacz opozycji demokratycznej (KOR, KIK), współzałożyciel Studenckiego Komitetu Solidarności w Krakowie po śmierci Stanisława Pyjasa, współpracownik „Spotkań”, w latach 80. przebywał w Warszawie; w latach 1984–1996 na emigracji; w wolnej Polsce związany z dziennikami „Super Express” i „Rzeczpospolita”.

⁹⁰ Tadeusz Konopka (1948) – absolwent UJ, działacz opozycji demokratycznej, ściśle współpracował ze środowiskiem „Spotkań” jako autor i kolporter wydawnictw drugiego obiegu w latach 1976–1989; inwigilowany przez SB.

⁹¹ Marek Zieliński (ur. 1950) – krytyk literacki, publicysta, między innymi miesięcznika „Więź”, współpracował z pismami opozycji: „Wezwanie” i „Spotkania” oraz Instytutem Literackim w Maisons-Laffitte (w latach 1985–1991); w wolnej Polsce

biskup sufragan sandomierski Edward Frankowski. W jego kościele odbyła się głódówka, w której wzięło udział kilka osób z Lublina i z Warszawy związanych ze środowiskiem „Spotkań”. Byli to oprócz mnie między innymi Jasiak Stepek i Marek Zieliński. Ta głódówka była też prowadzona z myślą o oddziaływaniu na liczne w tamtym regionie zakłady przemysłowe. Trwała sześć dni, bo szóstego dnia głódówki zostały ogłoszone Porozumienia Gdańskie i mogliśmy ją zakończyć, więc nie przegłodziliśmy się specjalnie.

Jak wesprzeć ruch, który się tworzył

Po tej głódówce powstał problem, jak wesprzeć ruch, który się tworzył i który przybrał nazwę „Solidarności”? Postanowiliśmy go wspomagać intelektualnie, organizacyjnie. Porozumiałem się z [Bogdanem] Borusewiczem i w Gdańsku na przełomie 1980 i 1981 roku powstała przy zarządzie Regionu Gdańskiego „Solidarności” Sekcja Historyczna, która miała zbierać materiały, relacje i dokumenty związane z Grudniem '70 i doprowadzić do [ich] opracowania i publikacji na temat [tego]

wydarzenia ważnego dla Polski, a szczególnie dla tamtego regionu.

Koledzy angażowali się również w tworzenie Wszechnicy Związkowej w Lublinie i w tworzenie poligrafii dla lubelskiej „Solidarności”. Znaczna część środowiska angażowała się też w działalność „Solidarności” właśnie w tym zakresie¹⁰⁴. Wspieraliśmy „Solidarność” w tych regionach kraju, w których byli nasi koledzy, tak jak w Warszawie czy w Krakowie. Bardzo dużo wtedy jeździłem między Gdańskiem, Warszawą i Lublinem. W ogóle rok 1981 był niezwykle pracowity, mnóstwo czasu spędziłem w pociągach, nie tylko do Warszawy, Gdańska czy Lublina, także do Szczecina. Bywaliśmy w różnych miejscach, zaliczaliśmy odczyty, dużo spotkań. Współpracowaliśmy z Wszechnicą Związkową w Gdańsku, na przykład na wykłady do Gdańska przyjeżdżał wykładowca z filozofii KUL-owskiej, Wojciech Chudy¹⁰⁵; tych działań było bardzo dużo.

Warto byłoby spróbować wyjazdu na Zachód

Jesienią czy w okresie wakacji 1981 roku porozumiałem się z Piotrkim Jegliń-

Siedziba „Solidarności” przy ulicy Królewskiej 3. 1981. Fot. ze zbiorów Jacka Kmieciana. Archiwum TNN.



skim, że może warto byłoby spróbować wyjazdu na Zachód, wykorzystując sytuację, że władze PRL-u, by rozładować atmosferę, chętnie dawały paszporty, zwłaszcza dla młodych ludzi – skorych do buntu. Pomyśleliśmy, że może warto wystąpić o paszporty i że będę mógł wtedy wyjechać, spotkać się na Zachodzie nie tylko z Jeglińskim, ale i z innymi ludźmi, i zastanowić nad dalszą działalnością. Rzeczywiście, bez najmniejszego problemu na początku października 1981 roku wyjechałem do Paryża, Rzymu, Frankfurtu (na Targi Książki). Byłem tam do 20 listopada, a następnego dnia wróciłem do kraju. To było w moje imieniny i dlatego dobrze ten dzień zapamiętałem. Do stanu wojennego i całej epopei z tym związanej zostało już niewiele czasu.

Punktualnie o 7:00 usłyszałem komunikat

Momentu wprowadzenia stanu wojennego nie pamiętam, bo w tamtej chwili byłem w pociągu. Wracałem wtedy z Gdańska, a raczej z Gdyni, do Lublina. To był dzień, a właściwie noc, z soboty na niedzielę. Wcześniej byłem w Gdańsku i pracowałem z kolegami z zespołu historycznego nad opracowaniem na temat Grudnia 1970 roku na Wybrzeżu i w Polsce. Ponieważ trwał wtedy zjazd „Solidarności”, a w domu mój ojciec był ciężko chory, postanowiłem na niedzielę przyjechać do domu, spotkać się z ojcem i po niedzieli wrócić do Gdańska. Nie chciałem, głównie może [ze względu] na sytuację w domu i na to, że w Gdańsku w Zarządzie Regionu wszystko było nastawione na ten zjazd, [zostawać na Wybrzeżu], więc niedzielę postanowiłem spędzić w Lublinie. Ze względu na to, że pociągi nocne relacji Gdańsk–Warszawa były mocno przepełnione, to żeby zająć jakieś miejsce siedzące, trzeba było jechać do Gdyni i tam około 23:00 pociągi ruszały do Warszawy. Zająłem miejsce i chy-

ba zapadłem w drzemkę, bo zbudziłem się rano, wcześniej rano na dworcu Warszawa Wschodnia. W Warszawie jeszcze nie wiedziałem, co się dzieje. Z dworca Warszawa Wschodnia udałem się pieszo na dworzec autobusowy, skąd odchodziły autobusy do Lublina. Pamiętam, że szedłem na autobus, który odchodził do Lublina o 7:00 rano. Przy kasach dworcowych słyszałem tylko, że ludzie rozmawiali o tym, iż na ulicach Warszawy pojawiły się samochody pancerne, ale bez dalszego komentarza.

Nie wiedząc jeszcze o tym, co się wydarzyło, wsiadłem do autobusu, [w którym] było tylko kilka osób, i punktualnie o 7:00 usłyszałem komunikat, że został wprowadzony stan wojenny, i mowę generała Jaruzelskiego, która była przez cały czas powtarzana. Poczułem się nieswojo, ale nie miałem pomysłu na to, co robić w Warszawie, [więc] nie wyszedłem z autobusu i postanowiłem dojechać do Lublina, ale już nie na dworzec autobusowy, tylko wysiąść na przystanku, który był na Sławinku. Poszedłem do znajomych zorientować się, co się dzieje. Tam dowiedziałem się, że właśnie są zatrzymania i rewizje. Zacząłem się umawiać z ludźmi, którzy nie zostali zatrzymani. Dość szybko dotarłem do Antka Mężdyły¹⁰⁶, który wtedy studiował w Lublinie. Ponieważ był w mieście od niedawna, Służba Bezpieczeństwa nie miała jeszcze adresu stacji, na której mieszkał. Dowiedziałem się, że u mnie w domu była rewizja i że mnie szukali, więc zacząłem się zastanawiać, co robić dalej. Jedna ze studentek z KUL-u powiedziała, że zna panią samotnie mieszkającą na LSM-ie, która pewnie zatrzymałaby mnie na noc i tam się udałem późnym popołudniem czy wieczorem. Okazało się, że ta pani o niczym wcześniej nie wiedziała, ale jak się przedstawiłem, powiedziała, że mogę się u niej na jakiś czas zatrzymać.

dyplomata.

⁹² Jan Chomiccki był członkiem Sekcji Kultury Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie, następnie członkiem Zarządu KIK; współpracował ze „Spotkaniami”.

⁹³ Ks. Tadeusz Styczeń (1931–2010) – uczeń i bliski współpracownik kard. Karola Wojtyły na KUL, współpracownik „Spotkań”.

⁹⁴ Ks. Andrzej Szostek (ur. 1945) – marianin, profesor i kierownik Katedry Etyki KUL, współpracownik „Spotkań”, redaktor „Ethosu”, w latach 1998–2004 rektor KUL.

⁹⁵ O. Aleksander Hauke-Ligowski (ur. 1936) – dominikanin, teolog, w latach 70. blisko związany z kręgami opozycji, uczestnik głódówki (w związku z aresztowanymi członkami KOR) w kościele św. Marcina w Warszawie, działał w Towarzystwie Kursów Naukowych; współpracownik „Spotkań”.

⁹⁶ Ks. Stanisław Małkowski (ur. 1944) – działacz opozycji, kapelan „Solidarności”, zaangażowany w ruch obrony życia i duszpasterstwo więzienne.

⁹⁷ Władimir Maksimow (1930–1995) – pisarz rosyjski, od 1974 roku na emigracji w Paryżu, założyciel i redaktor naczelnego czołowego emigracyjnego rosyjskiego kwartalnika „Kontynent”.

⁹⁸ Giedroyc napisał: „Z tej prasy samizdatowej najbardziej cenię »Spotkania«, wydawane przez niezależnych katolików w Lublinie. Ukazały się już trzy numery »Spotkań«,

ale – niestety – prawie nieczytelne, w każdym razie nienadające się do powielania. Przepisują to ludzie dobrej woli, ale nie wiadomo, kiedy to skończą, no i mam nadzieję, że po parokrotnych reklamacjach przyślą mi te teksty w stanie możliwym” (Jan Nowak-Jeziorański, *Jerzy Giedroyc, Listy 1952-1998*, oprac. Dobrosława Platt, Wrocław 2001, s. 466).
99 Ks. Franciszek Blachnicki (1921-1987) – założyciel ruchu Światło-Życie (popularnie zwanego Oazą), w latach 1964-1972 pracownik naukowy KUL (Instytut Teologii Pastoralnej), zwolennik odnowy soborowej i eklezjalizmu, od 1981

Strajk w WSK, PZL – Świdnik”. 1981. Fot. Sławomir Smyk. Archiwum TNN.



Coś dalej robić – taki jest sens bycia na wolności

Przez najbliższe tygodnie nawiązywałem kontakty z tymi znajomymi, którzy nie zostali zatrzymani i zastanawiałem się, co robić. Istotne było, że ilekroć wychodziłem na ulicę, żeby się przejść, spotykałem znajomych, którzy bardzo serdecznie się ze mną witali. Ponieważ byłem poszukiwany, uznałem, że mogę spotkać w Lublinie nie tylko moich dobrych znajomych, przyjaciół, ale i tych, którzy mnie szukają. Doszedłem do wniosku, że dłuższy pobyt w tym mieście mija się z celem; jeśli dalej myślałbym o prowadzeniu jakiejś działalności opozycyjnej, to musiałbym bardzo dużo czasu poświęcić na to, żeby w Lublinie uniknąć nawet przypadkowego aresztowania. W zaistniałej sytuacji szybko zacząłem myśleć o tym, żeby przenieść się z Lublina do innego miasta.

Wiedziałem, że na poszczególnych komendach czy posterunkach milicji są umieszczone zdjęcia ludzi, których Służba Bezpieczeństwa chce zatrzymać,

a ja należę do tych osób, które w Lublinie są znane, i jeśli pojawię się gdzieś na ulicy, to nawet w sposób zupełnie przypadkowy mogę zostać rozpoznany i zatrzymany przez patrol albo ktoś na mnie doniesie. Oczywiście można było wyobrazić sobie, że będę siedział w mieszkaniu w Lublinie, nie będę z tego mieszkania wychylał nosa, ale tego typu rozwiązanie miało się z celem, bo człowiek, który nie może poruszać się swobodnie, nie może specjalnie dużo działać. Ja myślałem o tym, żeby nie tylko przetrwać, uniknąć zatrzymania, ale żeby coś dalej robić – taki jest sens bycia na wolności. Dlatego ważne było, żebym mógł się swobodnie poruszać. Można było pomyśleć o jakiejś charakterystyce, ale to raczej rzeczy typu teatralnego, a ja nie byłem zwolennikiem takiego kamuflażu. Pomyślałem, że najlepszym sposobem, żeby z jednej strony prowadzić działalność, z drugiej dosyć swobodnie się poruszać, jest zmiana miejsca pobytu. Ponieważ miałem mnóstwo znajomych w Warszawie, pomyślałem, żeby dość szybko tam się przenieść.

Nie miałem też ochoty, żeby dołączyć do któregoś ze strajkujących zakładów pracy, chociaż strajkowało FSC, Świdnik (tam znalazło się kilka osób z naszego środowiska, wyrażając w ten sposób solidarność z robotnikami)¹⁰⁷. Wiedziałem, że prędzej czy później te zakłady padną, a osoby, które tam się znajdują, zostaną zatrzymane. Nie chciałem trafiać do miejsca, które uznałem, że może po upływie paru dni stać się dla mnie pułapką. Tak się zresztą stało, że te zakłady po paru dniach zostały zajęte przez ZOMO czy wojsko. Część ludzi zatrzymali, część jakoś uciekła.

W Lublinie byłem przez miesiąc, do połowy stycznia, zmieniłem [kilka razy] mieszkanie i myślałem o wyjeździe do Warszawy. Ten wyjazd ułatwiła mi moja znajoma, dzisiaj żona, Joanna¹⁰⁸, studentka psychologii na KUL-u. To była

dziewczyna bardzo aktywna społecznie, zajmowała się wtedy działalnością w ruchu Foi et Lumière¹⁰⁹ – francuskiej organizacji [gromadzącej] ludzi spotykających się z osobami niepełnosprawnymi, głównie z ludźmi z zespołem Downa.

Bała się tego, że ja się u niej ukrywam

Jeżeli chodzi o mieszkania, w których ukrywałem się, to pierwsze, o którym była mowa wyżej, znajdowało się u emerytki, która pochodziła z Kresów Wschodnich, miała doświadczenia z Sowietami z II wojny i była przerażona tym, co się stało. Cały właściwie czas płakała czy rozpaczała, mówiła, że jak się dostanę w ręce komunistów, to na pewno zostanę rozstrzelany – taką miała wizję tych wydarzeń. Widziałem, że mój pobyt u niej dużo ją kosztuje, że się boi. Nie chciała mi wymawiać mieszkania, ale bardzo się bała tego, że ja się u niej ukrywam.

Porozumiałem się z moją rodziną. Okazało się, że mamy krewnych, kuzynów mieszkających na wsi niedaleko Lublina, więc udałem się na kilka dni na wieś. [Zostałem] chyba dwa czy trzy dni, bo ta rodzina była [bardzo] wystraszona, że ktoś ze znajomych zauważy obcą osobę w domu, doniesie i będą kłopoty. Tam mieszkalem najkrócej i musiałem znowu wracać do Lublina. Następnie znalazłem się w mieszkaniu, które wynajmowały dwie siostry, studentki KUL-u. To mieszkanie stało puste, ponieważ studentki te wyjechały na święta do domu i jeszcze nie wróciły. Mogłem zająć jeden z pokoi i tam znowu przez kolejny tydzień czy półtora tygodnia pobyć. Dwa ostatnie mieszkania, w których się zamelirowałem, znajdowały się na LSM, na osiedlu Prusa i Piastowskim.

Nic innego, tylko dalej wydawać „Spotkania”

Joanna, rodowita warszawianka, znalazła mi mieszkanie u naszych współ-

nych znajomych, młodego małżeństwa działającego w warszawskim KIK-u, które specjalnie nie angażowało się politycznie. Jechałem z duszą na ramieniu pociągiem z Lublina do Warszawy, bo były patrole na dworcu i w pociągu. Bałem się, że jeżeli te patrole zaczną kontrolować ludzi, a w dowódzie osobistym miałem pieczętą z zatrudnieniem w Zarządzie Regionu w Gdańsku, co było mocno podejrzaną, to mogłem wpaść. Jakoś szczęśliwie dojechałem do Warszawy, pojechałem na osiedle Piaski i tam mieszkalem przez kilka miesięcy u owych znajomych.

W Warszawie postanowiłem nawiązać kontakt z ludźmi, z którymi wcześniej współpracowałem, których znałem i wiedziałem, że nie są notowani przez Służbę Bezpieczeństwa. Te kontakty pozwoliły mi kontynuować działalność, a także utrzymywać jakiś kontakt z Lublinem, Gdańskiem i budować sobie zaplecze osób niespecjalnie może wybijających się i znanych – i [dzięki temu] dających poczucie bezpieczeństwa. Pobyt w Warszawie dawał mi też możliwość swobodnego poruszania się, choć unikałem oczywiście centrum miasta, gdzie było dużo patroli. Nie pojawiałem się na żadnych patriotycznych manifestacjach, bo to nie było moim celem. Myślałem o tym, jak w tych warunkach działać i jak kontynuować wydawanie „Spotkań”.

Pierwszy kontakt, który nawiązałem po upływie kilku tygodni, to był kontakt z Elżbietą Nalewczyńską¹¹⁰. To była dziewczyna, która działała w Sekcji Kultury warszawskiego KIK-u i współpracowała z grupą kolegów z Warszawy, którzy tworzyli warszawski oddział „Spotkań”. Bliżej poznałem ją w Paryżu.

W czasie, kiedy pojechałem do Paryża, ona też tam trafiła. Mieszkała przez pewien czas u Piotra Jeglińskiego, gdzie i ja się zatrzymałem. Nabrałem do niej zaufania i po wprowadzeniu stanu wojennego, po przyjeździe do Warszawy

roku na emigracji w Rzymie i Carlsbergu. W 1995 roku rozpoczął się jego proces beatyfikacyjny.

¹⁰⁰ Bp Ignacy Tokarczuk (ur. 1918) – kapłan archidiecezji lwowskiej, absolwent KUL, biskup przemyski w latach 1965-1992 i arcybiskup w latach 1992-1993, znany ze swojej bezkompromisowości wobec systemu komunistycznego. Inicjował budowę wielu kościołów bez zezwolenia władz, przychylnie nastawiony do opozycji demokratycznej, którą wspierał, dał przyzwolenie na głodówkę protestacyjną kilku redaktorów „Spotkań” w sierpniu 1980 roku (kościół w Stalowej Woli). Pomagał ukrywać się na terenie diecezji w różnych parafiach kilku redaktorom „Spotkań”. Na łamach „Spotkań” ukazywały się jego kazania, a ich większy zbiór został wydany w Editions Spotkania. Od 1993 roku arcybiskup senior archidiecezji przemyskiej.

¹⁰¹ Jerzy Bartmiński (ur. 1939) – profesor polonistyki UMCS, kierownik Zakładu Tekstologii i Gramatyki Współczesnego Języka Polskiego; inicjator i działacz Ruchu Solidarności Rodzin oraz działacz lubelskiej „Solidarności”, internowany w stanie wojennym.

¹⁰² Florian Bartmiński (ur. 1947) – profesor psychologii UMCS, działacz uniwersyteckiej „Solidarności”.
¹⁰³ Głodówka rozpoczęła się 25 sierpnia w Stalowej Woli w kościele pw. św. Ducha, a jej uczestnikami ze

Okładka *Zaplutego karła reakcji* Piotra Woźniaka, jednej z książek wydanych przez „Spotkania” w stanie wojennym (1982). Zbiory Biblioteki Uniwersyteckiej KUL.

środowiska „Spotkań” byli, oprócz osób wymienionych, także Janusz Bazydło i Jan Sudoł (z Przemyskiego Komitetu Obrony Ludzi Wierzących). Głódówka trwała do podpisania Porozumienia Gdańskiego 31 sierpnia 1980 roku.

¹⁰⁴ Już podczas lubelskiego Lipca w 1980 roku informacje o strajkach zbierali i przekazywali Jackowi Kuroniowi Hanna i Wojciech Samoliński. W Zarządzie Regionu „Solidarności” w Lublinie pracowali między innymi Wojciech Samoliński jako rzecznik prasowy, Maciej Sobieraj jako szef Biura Informacyjnego i redaktor „Informatora” ZR, Stefan Szaciłowski w Sekcji Kultury, Teresa Podgórska we Wszechnicy Związkowej; Krzysztof Wasilewski, Paweł Nowacki, Dana Winiarska i Piotr Kałużyński organizowali poligrafię dla „Solidarności” Rolników Indywidualnych; Zdzisław Bradel został redaktorem naczelnym solidarnościowego tygodnika; w wydawanie miesięcznika „Miesiące” zaangażowani byli między innymi Wojciech Chudy (jako redaktor naczelny) i Janusz Drob; doradcą ZR był Adam Stanowski.

¹⁰⁵ Wojciech Chudy (1947–2007) – filozof,



myślałem, że to będzie osoba, przez którą będę mógł dalej kontaktować się z innymi ludźmi i kontynuować działalność. Ona mieszkała przy alei Niepodległości, na stacji, gdzie mieszkał też Marek Zieliński, kolega z warszawskiego środowiska „Spotkań”, który został internowany. Myślę, że poznałem ją właśnie przez Marka Zielińskiego. Ona z kolei po rozmowie ze mną powiedziała, że może wciągnąć do współpracy Hankę Borucką¹¹¹, mężatkę w trakcie pisania pracy magisterskiej, którą już wcześniej poznałem. [Hanka] miała dużo wolnego czasu i mogła go poświęcić na działalność opozycyjną. Zgodziłem się. Spotkałem się z Hanką Borucką i tak rozpocząłem konspirowanie w Warszawie. Chciałem stworzyć zaplecze, które umożliwiłoby dalej wydawanie „Spotkań”. To sobie postawiłem za główny cel, nic innego, tylko żeby dalej wydawać „Spotkania”, zwłaszcza w sytuacji, kiedy w Lublinie część naszych kolegów została zatrzymana, część się ukrywała – Paweł Nowacki i Janek Stepek aż w diecezji przemyskiej. Myślałem o tym, żeby tych ludzi pozbierać i żebyśmy wspólnie kontynuowali działalność. To się stopniowo zaczęło dziać.

Hanka Borucka była bardzo aktywna

Co było rzeczą ciekawą, w pierwszym okresie mojego ukrywania się Hanka Borucka była bardzo aktywna, miała mnóstwo kontaktów, twierdziła, że może przekazywać i odbierać korespondencję, na przykład do Paryża i z Paryża. Po pewnym czasie moją uwagę [przykuł] i pewien niepokój wywołał list od Piotra Jeglińskiego. Otrzymałem go sposobem, który stosowałem kiedyś, a więc w oprawie książki. W książce była niewielka bibułka i tam było napisane (chyba mlekiem, bo to się odczytywało, prasując bibułkę żelazkiem i wtedy wychodziły takie brązowe litery), że on jest bardzo zainteresowany zebraniem informacji dotyczących szkolenia partyzantów palestyńskich w Polsce przez polskie służby specjalne. Bardzo mnie zdziwiło i zaniepokoiło zainteresowanie Piotra tym tematem. Pomyślałem sobie, że chyba zwariował. Nie ma czym się martwić teraz, tylko ustalać tego typu rzeczy? Po pierwsze, nie mam o tym pojęcia, a po drugie, niby jak miałbym to ustalić? I co to w ogóle znaczy? Ten list zniszczyłem od razu po przeczytaniu, bo wiedziałem, że nawet gdyby w jakiejś przypadkowej rewizji coś takiego przy mnie znaleziono, byłby to list obciążający mnie dość mocno: ktoś chce uzyskać informację, którą później można byłoby potraktować jako dowód współpracy z obcym wywiadem.

Wysłałem tę książkę do Paryża jako dowód na to, że zaczynamy sobie radzić

Następnie Elżbieta Nalewczyńska powiedziała, że ma kontakt z podziemną drukarnią, która może szybko wydrukować jakąś naszą rzecz. Akurat wtedy dopiero myślałem o drukowaniu kolejnego numeru „Spotkań”, to był luty lub

marzec. Mieliśmy natomiast w Lublinie przygotowane blachy offsetowe książki Andrzeja czy Adama Woźniaka, *Zapłuty karzeł reakcji*¹¹². Wydobyłem te blachy z Lublina [i] dałem Nalewczyńskiej, [która] bardzo szybko przyniosła mi gotową książkę.

Wydanie tej książki w Lublinie nie było w tamtym momencie możliwe, ale w Warszawie takie możliwości szybko się znalazły. Bardzo się z tego ucieszyłem, ponieważ to był koniec lutego może początek marca 1982 i wydawało mi się, że to jest pierwsza książka wydana po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. Oczywiście było całe mnóstwo ulotek, gazetek, ale książki jeszcze się nie pojawiały. To była dobrze wydana książka. Szybko też, właśnie przez Nalewczyńską, wysłałem tę książkę do Paryża jako dowód na to, że zaczynamy sobie radzić podczas stanu wojennego. Trochę byłem zaskoczony, ale mile zaskoczony tym, że tak to bardzo sprawnie poszło i książka została bardzo szybko wydana. Zacząłem wtedy myśleć o robieniu następnego numeru „Spotkań”, ściągałem materiały – bo mieliśmy w różnych miejscach artykuły, które nie weszły do wcześniej wydanych numerów – miałem też kontakty z ludźmi, którzy obiecali coś napisać. Na wiosnę 1982 roku zaczęliśmy już montować nowy numer „Spotkań”. Pamiętam, że z Krakowa ściągnąłem tekst od profesora [Jacka] Woźniakowskiego¹¹³, [zdobyłem] artykuł jednego z bardzo znanych francuskich poetów (teraz nazwiska nie pamiętam) pt. *Poezja i dobro*¹¹⁴. W stanie wojennym taki duży tekst literacki był pewną fanaberią. Pamiętam rozmowę z Hanką Borucką na ten temat. Ona mówi: „Słuchaj, tutaj stan wojenny, różne problemy, trzeba zdecydowanie walczyć z komunizmem, a tu tekst *Poezja i dobro*?”. A ja mówię: „Może właśnie takich tekstów nam potrzeba w tym czasie?...”

W stanie wojennym, w 1982 roku, ukazały się dwa numery „Spotkań”, po-



nieważ jeszcze przed nim nie został rozprowadzony nakład, w którym brakowało kilku stron. Paweł Nowacki¹¹⁵ i Krzysiek Wasilewski¹¹⁶ dodrukowali brakujące strony i numer „Spotkań” był gotowy. Został rozprowadzony chyba w drugiej połowie 1982 roku. W każdym razie, kiedy zostałem zatrzymany 22 października, miałem przy sobie kilka egzemplarzy tego właśnie numeru datowanego na rok 1981.

Wygłądało na to, że miała dużo czasu

Kiedy pracowałem nad kolejnym numerem „Spotkań”, najczęściej kontaktowałem się z Elżbietą Nalewczyńską i Hanką Borucką. Przychodziłem często do mieszkania Boruckiej. Była mężatką, jej mąż był inżynierem i pracował, więc przychodziłem do niej zwykle przed południem czy w godzinach południowych. Wyglądało [na to], że miała dużo czasu. W pewnym momencie zaczęła mi mówić, że jest zainteresowana wyjazdem do Francji. Powiedziała, że dobrze zna francuski i może bardziej przydałaby się we Francji niż tutaj, i czy nie

Okladka „Spotkań” nr 18/19 (1982) zaplanowanych na grudzień 1981, wydanych już w stanie wojennym. Zbiory Biblioteki Uniwersyteckiej KUL.

wykładowca KUL, współpracownik „Spotkań” i autor tekstów. Autor monografii „Spotkań” *Męstwo bycia chrześcijaninem. Rekonstrukcja programu ideowego pisma „Spotkania” (1977-1987)*, Lublin 1987 (dotychczas nie wydana).

¹⁰⁶ Antoni Mężydło (ur. 1954) – działacz opozycji demokratycznej w Toruniu, współpracownik KOR, współzałożyciel Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, działacz „Solidarności”, współpracownik „Spotkań”, w stanie wojennym brutalnie represjonowany przez SB; w wolnej Polsce działacz polityczny, poseł na Sejm RP dwóch kadencji. ¹⁰⁷ W FSC i WSK Świdnik znaleźli się między innymi Dana Winiarska, Maciej Sobieraj, Jan Stepek, Paweł Nowacki. Byli redaktorami „Biuletynu Strajkowego” w WSK Świdnik.

¹⁰⁸ Joanna Puzyna-Krupska (ur. 1959) – absolwentka psychologii KUL, zaangażowana w pomoc osobom niepełnosprawnym (wspólnoty Muminików), uczestniczka duszpasterstwa akademickiego o. Ludwika Wiśniewskiego; działaczka w Związku Dużych Rodzin „Trzy Plus”.

¹⁰⁹ Ruch Wiara i Światło znany też jako wspólnoty Muminków został założony w latach 70.

we Francji przez Marie-Hélène Matieu i Jean Vaniera.

¹¹⁰ Elżbieta Nalewczynska-Kulińska (ur. 1953) – agentka SB, zwerbowana w Krakowie w latach 70. w środowisku duszpasterstwa akademickiego oo. dominikanów; znajoma Józefa Ruszara, współpracownika „Spotkań”, po jego przeprowadzeniu się do Warszawy również się tam przeniósł i weszła w krąg znajomych Janusza Krupskiego.

¹¹¹ Hanna Borucka pracowała w SB na etacie niejawnym, rozpracowywała duszpasterstwo akademickie oo. dominikanów w Krakowie; kiedy Józef Ruszar, współpracownik „Spotkań”, przeprowadził się do Warszawy, także Borucka przeszła do Warszawy i tam zajmowała się rozpracowywaniem środowiska „Spotkań”.

¹¹² Autorem książki *Zapluty karzeł reakcji. Wspomnienia AK-owca z więzień PRL* był Piotr Woźniak. Książka w kraju ukazała się w 1982 roku i miała kilka wydań. W paryskich Editions Spotkania ukazały się cztery jej wydania, w tym dwa w formie miniaturowej.

¹¹³ Jacek Woźniakowski (ur. 1920) – absolwent studiów polonistycznych i filozoficznych UJ, żołnierz września, podczas okupacji członek AK, po wojnie związał się z „Tygodnikiem Powszechnym”, gdzie był między innymi sekretarzem redakcji, dyrektor Społecznego Instytutu „Znak”, członek ZLP i polskiego PEN-Clubu

udałoby się jakoś przygotować takiego wyjazdu, żeby mogła trafić do Piotra Jeglińskiego. Poprzedniego dnia o takim samym wyjeździe mówiła mi Nalewczynska. Ja jednak stwierdziłem, że one potrzebne są tutaj, ponieważ we Francji jest dużo nowych ludzi i świetnie dają sobie radę.

„Niech Krupskiemu się nie wydaje, że się ukrywa”

Zacząłem się kontaktować z osobami z KUL-u, między innymi z dyrektorem Biblioteki Uniwersyteckiej Andrzejem Paluchowskim. Późną wiosną lub na początku lata 1982 roku z Lublina i z KUL-u zaczęły docierać do mnie informacje o tym, że władze uczelni rozmawiają z władzami stanu wojennego na temat zatrzymanych i ukrywających się studentów czy pracowników KUL-u. Służba Bezpieczeństwa zaproponowała, niczego w zamian nie żądając, żeby ukrywający się studenci (ja byłem wtedy doktorantem KUL) wrócili do domów. Należało przez to rozumieć, że nie będzie się kontynuowało działalności podziemnej. Powiedziałem, że ja z takiej propozycji nie skorzystam, bo gdyby była skierowana do wszystkich ludzi ukrywających się, można byłoby ją rozważyć i uznać, że jakiś etap tej batalii został rozstrzygnięty; [teraz] wracamy do domu i zastanawiamy się, co dalej z tym robić. Jeśli natomiast spotkałem się z sytuacją, że części ukrywających się ludzi proponuje się pójście do domu, część się ściga dalej, a [nawet] mówi się o tym, żeby niektórych w ogóle z kraju deportować, na przykład kilku działaczy KOR-u, to uznałem, że jest to sposób na rozbijanie naszej konspiracji, solidarności i więzi między ludźmi, którzy w tej konspiracji się znaleźli.

Na początku lata spotkałem się z profesorem [Jerzym] Kłoczowskim, moim promotorem, który jeszcze raz skierował do mnie w imieniu władz uczelni propozycję, że mogę pójść do domu,

zaprześcić działalności i kontynuować pisanie doktoratu. Podziękowałem za zainteresowanie i chęć pomocy, ale odmówiłem. Później z profesorem Kłoczowskim spotkałem się jeszcze raz w górach, to chyba było we wrześniu, już niedługo przed moim zatrzymaniem. Profesor Kłoczowski miał tam [w Małym Cichym] dom letniskowy, który wynajmował od górala.

Wtedy [w lecie 1982] też usłyszałem, jakoby [Czesław] Kiszczyk¹¹⁷ miał powiedzieć: „Niech Krupskiemu się nie wydaje, że się ukrywa, bo my dobrze znamy każdy jego krok”. Stwierdziłem, że skoro Służba Bezpieczeństwa „zna każdy mój krok”, to może mnie zatrzymać [...] w każdej chwili. Potraktowałem tę informację poważnie, ponieważ już byłem zaniepokojony korespondencją, która przychodziła do mnie z Paryża, z sugestią zbierania materiałów o charakterze szpiegowskim, o czym wcześniej wspominałem.

W tym samym czasie, kiedy sondowano moją osobę, władze prowadziły także sondażowe rozmowy z przedstawicielami Ruchu Młodej Polski, środowiskiem, z którym nasze środowisko „Spotkań” miało bliski kontakt. W okresie wakacji 1982 roku władze ogłosiły, że ukrywający się działacze Ruchu Młodej Polski zaprzestają prowadzenia działalności konspiracyjnej i idą do domu – czyli pozytywnie zareagowali na propozycję, która w tym czasie była skierowana między innymi do mnie i do naszego środowiska. To zrobiło wielu ludzi, może z wyjątkiem Olka Halla¹¹⁸ i jeszcze jednej osoby.

Ono przecież niekoniecznie musi się ukazywać w podziemiu

W tym czasie Służba Bezpieczeństwa prowadziła rozmowy z naszym internowanym kolegą Januszem Bazydłą nie tylko w sprawie ujawnienia środowiska, ale też legalizacji „Spotkań”. Jeżeli chodzi o drugą propozycję, to powiedzieli, że



bardzo dobrze oceniają pismo, które wydajemy i że ono przecież niekoniecznie musi się ukazywać w podziemiu, może wychodzić legalnie. Służba Bezpieczeństwa nie ma nic przeciw temu i proponuje takie właśnie rozwiązanie sprawy.

Szybko skontaktowałem się z kolegami, którzy się ukrywali, między innymi z [Jankiem] Stepkiem, [Pawłem] Nowackim, Krzyskiem Wasilewskim – byliśmy jednomyślni, że tej koncepcji nie podejmujemy, bo to byłoby wyłamanie się z frontu oporu. Takim rozwiązaniem był zainteresowany Janusz Bazydło i prowadził w tym kierunku rozmowy w ośrodku internowania, gdzieś na północy kraju. Doszło zresztą do spotkania z nim, bowiem dostał w tym celu specjalną przepustkę. Przyjechał do swojej teściowej do Zakopanego i zaproponował spotkanie gdzieś w okolicach, żeby jeszcze raz porozmawiać na temat tej oferty, którą złożyła Służba Bezpieczeństwa. Chcieliśmy uniknąć sytuacji konfliktowej i rozłamów w środowisku, dlatego postanowiliśmy się spotkać. W tym spotkaniu, które odbyło się w połowie września, wzięli udział: [Janusz] Bazydło, Paweł Nowacki, Krzysiek Wasilewski, Jasiek Stepek



i ja. Powtórzyliśmy mu nasze stanowisko w kwestii ujawnienia się naszego środowiska i legalizacji „Spotkań”. Powiedzieliśmy także, żeby dalej rozmów ze Służbą Bezpieczeństwa w sprawie legalizacji „Spotkań” i ujawniania się nie prowadził i on obiecał, że się do tego zastosuje.

„Ona jest jak najbardziej godna zaufania, była na pielgrzymce”

Postanowiliśmy podczas tego spotkania trochę się przeorganizować. Chodziło o to, żeby [Jan] Stepek i [Paweł] Nowacki, którzy ukrywali się w okolicach Rzeszowa, [dostali] coś [do roboty] i w tym celu powinni mieć sprzęt poligraficzny. Próba dostarczenia go wcześniej nie powiodła się z powodu konfiskaty przez SB. Warto tę historię tutaj opisać, ponieważ rzuca ona światło na osaczenie mojej osoby przez agenturę.

Mieliśmy zakonspirowany powielacz, który chciałem im przekazać poprzez Hankę Borucką, żeby oni coś na tym powielaczu zaczęli drukować. Było to chyba w lipcu 1982 roku. Borucka zabrała ten powielacz do samochodu, po czym kilka dni później powiedziała mi, że samochód został zatrzymany przez

Paweł Nowacki i Jan Stepek; w stanie wojennym ukrywali się na terenie diecezji przemyskiej i próbowali kontynuować działalność Wydawnictwa Spotkania. Zdjęcia z lat 70. Zbiory prywatne Pawła Nowackiego. Zbiory prywatne Stefana Szaciłowskiego.

i wielu międzynarodowych organizacji, profesor historii sztuki KUL, współpracownik „Spotkań”.

¹¹⁴ Pierre Emanuel, *Poezja i dobro*, „Spotkania” nr 19/20 (1982).

¹¹⁵ Paweł Nowacki (ur. 1956) – absolwent historii sztuki KUL, działacz opozycji demokratycznej, drukarz „Spotkań” i innych wydawnictw niezależnych, kurier, współpracownik WZZ w Gdańsku, działacz podziemnej „Solidarności”, w stanie wojennym ukrywał się, następnie pracował w Bibliotece Uniwersyteckiej KUL; w wolnej Polsce dziennikarz radia i telewizji.

¹¹⁶ Krzysztof Wasilewski (ur. 1952) – absolwent historii sztuki KUL, współpracownik „Spotkań” (drukarz i współtwórca szaty graficznej), w stanie wojennym wziął na siebie wydanie „Spotkań” nr 17/18, działacz „Solidarności” i wydawca kilku tytułów związkowych, twórca podziemnego wydawnictwa Wolna Spółka Wydawnicza (inne nazwy: Medium, Komietywa, Radiator, Reset); w wolnej Polsce pracownik między innymi Radia Lublin.

¹¹⁷ Gen. Czesław Kiszczak (ur. 1925) został w 2004 roku skazany za

milicję, a powielacz przejęła Służba Bezpieczeństwa. Jak spotkałem się później ze Stepkiem w Murzasichlu, to dowiedziałem się, że w tym samym czasie SB weszła do mieszkania, w którym oni czekali na ten powielacz, ale udało im się uciec. Wyglądało to wszystko bardzo niewesoło. Można było sądzić, że jesteśmy obserwowani.

Ja już wcześniej miałem przekonanie, że jestem, jak to się mówi, pod kloszem. Zacząłem nabierać coraz większych podejrzeń wobec Hanki Boruckiej i nawet kiedyś na ten temat rozmawiałem z [Elżbietą] Nalewczynską, ale ona powiedziała: „Borucka?! Ona jest jak najbardziej godna zaufania, była na pielgrzymce”. Ta pielgrzymka akademicka na Jasną Górę była opisywana wiele razy. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa podrzucali tam różne kompromitujące materiały, prowadzili wobec tych pielgrzymek dywersję. Otrzymałem jednak informację, że ona bardzo pobożnie uczestniczyła w pielgrzymce, Nalewczynska była jej jak najbardziej pewna i miała do niej zaufanie.

Kontakty, które mam, są spalone, a ja jestem w potrzasku

Wspominałem wcześniej, że jesienią postanowiliśmy się przeorganizować, wykorzystując spotkanie z [Januszem] Bazydłą. Chcieliśmy przerzucić dwóch naszych kolegów – [Pawła] Nowackiego i Jaśka Stepka – do Warszawy, żeby razem na miejscu coś robić. Umówiliśmy się, że będziemy z tego spotkania z Bazydłą wracać do Warszawy różnymi drogami. Stepek miał jechać pociągiem z Zakopanego do Warszawy i dalej dotrzeć na wskazany adres, ale umówiliśmy się wcześniej, że się jeszcze spotkamy i porozmawiamy na ulicy. Ja z kolei miałem jechać z Pawłem Nowackim do Warszawy pociągiem z Poronina.

Tak zrobiliśmy. Z Murzasichla szliśmy do tego Poronina przez Małe Ciche.

W tej miejscowości było bardzo wyraźnie widać, że jesteśmy obserwowani, że jest jakiś samochód z kilkorgiem ludzi, którzy nadają przez radiostację. To było rzucające się w oczy, wręcz demonstracyjne.

Wyglądało to wszystko mało zachęcająco, ale dojechaliśmy do Warszawy i na dworcu pożegnaliśmy się. [Paweł] Nowacki pojechał na wskazany adres, gdzieś pod Warszawę, a ja miałem spotkać się przed południem z Jaśkiem Stepkiem. Umówiliśmy się na ulicy Broniewskiego. Ja miałem czekać na niego koło jednego z przystanków tramwajowych, on miał wysiąść na przystanku wcześniej i dojść, tak żebym miał dobre pole do obserwacji, czy nie ciągnie za sobą jakiegoś „ogona”. Czekałem o umówionej godzinie i się nie doczekałem. Złorzeczyłem trochę na niego, [zastanawiałem się] czy on czegoś nie zawalił. Potem spotkałem go już na Zemborzyckiej¹¹⁹ i opowiedział mi, jak się wybierał na to spotkanie. Kiedy wysiadał z tego tramwaju, tak jak się umawialiśmy, na wcześniejszym przystanku, poczuł na plecach luźę pistoletu i kpt. [Grzegorz] Piotrowski¹²⁰, który go osobiście zatrzymał, zaprowadził go do samochodu, którym został odprawiony do Lublina i internowany. Natomiast ja jeszcze przez około miesiąc cieszyłem się wolnością, chociaż miałem wtedy przekonanie, że atmosfera wokół mnie gęstnieje. Byłem pewien, że Służba Bezpieczeństwa ma mnie w ręku, że jestem osaczony.

O zatrzymaniu Stepka dowiedziałem się parę dni później. Zastanawiałem się, co robić dalej. Myślałem o tym, żeby wyrobić sobie nowe dokumenty i w ogóle urwać się, a więc spalić wszystkie te kontakty, które miałem dotąd, wyjechać poza Warszawę i myśleć o jakimś jeszcze innym działaniu, innym rozwiązaniu. Miałem przecucie, że te kontakty, które mam, są spalone, a ja jestem w potrzasku. Ważyłem każdy ruch, zastanawiając

zbrodnie stanu wojennego na dwa lata więzienia w zawieszeniu.

¹¹⁸ Aleksander Hall (ur. 1953) – historyk, publicysta, działacz gdańskiej opozycji demokratycznej w PRL, w wolnej Polsce minister w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, poseł na Sejm I i III kadencji.

¹¹⁹ Przy ulicy Zemborzyckiej w Lublinie, a konkretnie przy ulicy Południowej (boczna Zemborzyckiej) znajduje się areszt śledczy i w nim Janusz Krupski spotkał się ze Stepkiem po aresztowaniu ich obu.

¹²⁰ Kpt. Grzegorz Piotrowski (ur. 1951) – funkcjonariusz SB, kierownik specjalnej komórki „D” w Departamencie IV MSW, której zadaniem było prowadzenie działań dezintegracyjnych wobec ludzi Kościoła; Piotrowski i dwaj inni funkcjonariusze w październiku 1984 roku uprowadzili ks. Jerzego Popiełuszkę; aresztowany i skazany na 25 lat więzienia; w osobnym procesie na początku lat 90. osądzony także za porwanie Janusza Krupskiego.

się, co robić, a czego nie robić, żeby się nie zdradzić, że ja wiem, w jakiej jestem sytuacji. Chodziły mi też po głowie myśli, żeby całkowicie zerwać z działalnością podziemną i gdzieś w zaciszu pisać doktorat, oczywiście w dalszym ciągu jako osoba ukrywająca się.

Kontaktowałem się dalej z [Elżbietą] Nalewczyńską i [Hanką] Borucką; by nie tracić czasu ściągałem z Gdańska pojedynczo teksty relacji z 1970 roku, które miały później wejść do przygotowanego zbioru dokumentów, opracowań dotyczących Grudnia, i opracowywałem [je]. Materiały te sprowadzałem głównie przez Ewę Dering, koleżankę, która była zatrudniona w zespole Grudnia '70 w Gdańsku; ona już niestety od kilku lat nie żyje. Ona te materiały przywoziła, zatrzymywała się u Hanki Boruckiej, a ja [je] odbierałem. Część z nich przekazywałem też Adamowi Paszkowskiemu, chłopakowi, który był studentem polonistyki, chorował na niedowład nóg, więc poruszał się na wózku inwalidzkim, a związany był z kolei z grupą Foi et Lumière, o której już wcześniej wspominałem.

„Byłeś w Malborku”

W pewnym momencie, żeby mieć więcej informacji o tym, co dzieje się w Gdańsku, postanowiłem skontaktować się z ukrywającym się tam Bogdanem Borusewiczem. Nie pojechałem do samego Gdańska, tylko do Malborka, gdzie mieszkał z mamą mój serdeczny kolega z KUL-u, Janusz Krzemiński¹²¹. Wiedziałem, że Krzemiński i jego siostra mają kontakt z Borusewiczem, i będę mógł od niego uzyskać różne informacje [na temat] tego, co się dzieje. Ponieważ miałem już dużo podejrzeń, co do kontaktów warszawskich, postanowiłem nikomu nie mówić o wyjeździe do Malborka i wysilając tak jak mogłem swoją spostrzegawczość, pragnąłem tak tam dojechać, żeby zgubić ewentualny „ogon”. Do Malborka dotarłem i wydało mi się, że nikt mnie nie śledzi.



Jan Krzemiński. 1973. Archiwum Uniwersyteckie KUL.

Byłem u Krzemińskiego kilka dni. Był to taki spokój... idealna sielanka, nie duże miasto, nic się nie działo, bardzo spokojna boczna uliczka. Nie odebrałem żadnego sygnału, że coś może się dziać wokół tego domu, wokół mieszkania. Po tych kilku dniach wróciłem do Warszawy. Ciekawe, że w pociągu, którym wracałem, spotkałem jakąś znajomą osobę, nie pamiętam nawet kogo, ale to spotkanie wzbudziło mój niepokój. Dojechałem jednak do Warszawy spokojnie i następnego dnia rano poszedłem do Hanki Boruckiej. Pamiętam, że ze sobą miałem wtedy w płócienniej torbie *Historię dyplomacji polskiej* i *Historię Niemiec*, dwa duże tomy. Już nawet nie pamiętam, dlaczego je zabrałem ze sobą. U Boruckiej, gdzie z kolei spodziewałem się odebrać najnowszy numer „Spotkań”, który mógł być wydany w Lublinie, byłem rano. Te numery włożyłem do torby, porozmawiałem z nią, wypiliśmy dwie filiżanki kawy i w pewnym momencie Borucka mówi: „Byłeś w Malborku”. O tym wyjeździe jej nie mówiłem i nie mówiłem nikomu, a ona mi mówi: „Byłeś w Malborku”. Byłem wstrząśnięty tą informacją, bo nabrałem przekonania,

¹²¹ Chodzi o Jana Krzemińskiego, por. przyp. 77.

że ona jest rzeczywiście jakimś agentem, gdyż ta wiadomość nie miała prawa do niej dotrzeć. Nie wiedziałem też, dlaczego mi o tym powiedziała, wyglądało [to] tak, jakby zdradziła pewną informację, której z kolei agencji czy funkcjonariusze raczej nie zdradzają osobie rozpracowywanej.

Pomyślałem sobie, że to jest dziwne zachowanie. [Czy] to jakieś ostrzeżenie, czy ma mnie tak po prostu dobić, osłabić moje morale. Dostałem [tę] informację w sytuacji, w której wysiliłem swoje zdolności kontrolowania, ukrywania się, żeby dotrzeć do miejsca, w którym spotkałem się z kolegą. Okazało się, że Służba Bezpieczeństwa wiedziała. Ja nie widziałem żadnego... poza tym sygnałem w pociągu – ten znajomy, którego spotkałem, wzbudził mój niepokój, uznałem, że to nieszczególnie przypadkowe. A Borucka, która nie miała prawa wiedzieć o moim wyjeździe, mówi mi: „Byłeś w Malborku”. To było dla mnie zaskoczenie, ale powiedziałem: „Tak, byłem” i nie rozmawiałem z nią już więcej, pożegnałem się.

Zatrzymanie wyglądało bardzo spektakularnie

Hanka Borucka mieszkała w ogromnym bloku przy ulicy Balzaka, gdzieś w okolicach Chomiczówki, blisko Huty Warszawa. Pamiętam, że kiedyś dość dobrze obejrzałem sobie ten blok i wiedziałem, że na ostatnim piętrze jest możliwość przemieszczania się między klatkami schodowymi. Pomyślałem sobie wtedy, że może należałoby przejść górą i wyjść zupełnie inną klatką schodową. Coś mnie tknęło, że to jest ten właśnie krytyczny moment, ale zszedłem na parter.

Było chyba południe i piękna pogoda, wzdłuż bloku stały dość ciasno ustawione samochody i był raczej normalny ruch. Udałem się w kierunku przystanku, chyba na ulicę Broniewskiego i w pewnym momencie słyszę: „Ręce do góry!”. Oglądam się za siebie i widzę, że ktoś biegnie z wyciągniętym pistole-

tem. Usiłowałem uciekać, ale naprzeciwko mnie wyrósł postawny mężczyzna (jeden z tych, którzy zamordowali ks. [Jerzego] Popiełuszkę), miał rozpostarte ramiona i ja mu w te ramiona wpadłem. To, co jeszcze zdołałem zaobserwować, to potworne zaskoczenie ludzi, bo to była scena jak z filmu. Ludzie byli zdumieni – zatrzymanie wyglądało bardzo spektakularnie. Wsadzili mnie do samochodu, koło mnie usiadł pan Grzegorz Piotrowski, który się zresztą przedstawił, i ruszyliśmy. Piotrowski zwrócił się do mnie: „No to, panie Januszu, może pan powie, gdzie pan był? No i porozmawiamy o »Spotkaniach«”. Ja mówię: „Proszę pana, gdzie byłem, nie powiem, a o »Spotkaniach« też rozmawiać nie będę, bo ja teraz mam już wolne, niech »Spotkaniem« martwią się inni”.

Z ulicy Balzaka trafiliśmy do Pałacu Mostowskich¹²², gdzie zostałem zaprowadzony na tzw. dołek. Pan Grzegorz Piotrowski bynajmniej nie był agresywny, bardzo grzecznie usiłował ze mną rozmawiać, ale w Komendzie Stołecznej czekał już inny oficer Służby Bezpieczeństwa, który [już] był bardzo wrogi. Stwierdziłem w tej sytuacji, że jak coś będę odpowiadał, to mogę oberwać, więc nic się nie odzywałem. Po pewnym czasie ten oficer sprowadził mnie na dół, gdzie siedziała jakaś pani, która przyjmowała aresztantów. Musiałem jej dać rzeczy osobiste, a więc dowód, różaniec przekazany przez kolegów z Paryża, który dostałem od Ojca Świętego, dolary, których nawet sporo miałem przy sobie, bo było takie przekonanie wśród osób ukrywających się, że jeśli na przykład natrafi się na jakiś przypadkowy patrol, który będzie legitymował i coś wzbudzi jego podejrzenie, to jak się wręczy kilka dolarów, to puszczą wolno. Te sto dolarów, [które] ja też miałem, ta pani brała z jakimś wielkim obrzydzeniem.

Trafiłem w ten sposób na tzw. dołek, gdzie spędziłem dwa dni i po tych dwóch dniach przyszło dwóch oficerów

¹²² W Pałacu Mostowskich przy ulicy Nowolipie 2 mieściła się Komenda Stołeczna MO.

Służby Bezpieczeństwa i powiedzieli, że zabierają mnie do Lublina. Spytałem, czy mnie mają skuć w kajdanki, czy nie będę im uciekał, jeżeli nie, to obejdzie się bez kajdanek. Ja im powiedziałem: „Jak panowie sobie życzą, to jest już panów decyzja”. I mnie nie skuli. Obok mnie siedział śledczy kapitan [Antoni] Bogusz¹²³ i usiłował rozmawiać ze mną na temat przyszłości „Spotkań”. Powiedziałem, że na ten temat nie chcę rozmawiać, ponieważ nie czuję się człowiekiem wolnym i nie mogę swobodnie podejmować decyzji. On z kolei powiedział, że nie wie, co będzie ze mną dalej, bo wiezie mnie do Lublina do dyspozycji komendanta lubelskiego i się okaże na miejscu, czy zostanę aresztowany.

Mówili, że stan wojenny trzeba było wprowadzić

Wspominałem wcześniej, że miałem przy sobie *Historię dyplomacji*, *Historię Niemiec* oraz kilka egzemplarzy „Spotkań”, które dostałem od Boruckiej. Kiedy oficer w Pałacu Mostowskich wyjął je z torby i zobaczył rok wydania, powiedział: „Abolicja”. Chodziło o to, że były one wydrukowane przed stanem wojennym i z tego powodu nie obejmowało ich prawo wojenne, które za drukowanie czy nawet posiadanie druków wydanych po 13 grudnia karało więzieniem. Natomiast posiadanie wydawnictw sprzed stanu wojennego nie było karane. Ucieczyło mnie to nawet, bo wcale się do wyroku i siedzenia w więzieniu nie paliłem. Ta abolicja była nawet dobra, ale to stwierdził oficer w Warszawie, natomiast nie wiedziałem, jak podejść do tego esbecy w Lublinie.

W samochodzie, w czasie jazdy do Lublina [esbecy] zaczęli ze mną rozmawiać; zamieniłem z nimi kilka zdań na temat stanu wojennego, ale takich, z których nic nie wynikało, bo oni mówili, że stan wojenny trzeba było wprowadzić, a ja to niejako rozumiałem. Zresztą wiedziałem, że „Solidarność”



zostanie rozbita, byłem o tym przekonany, więc stan wojenny nie był dla mnie specjalnym zaskoczeniem. Powiedziałem im: „Działaliście bardzo brutalnie, czołgi...”, a oni mówią: „No, to jak się dostawać do zakładów pracy? Przecinając ogrodzenia nożycami? Uruchamialiśmy czołgi... i tak było prościej”. Ale to było dosłownie parę zdań takiej rozmowy. Dojechaliśmy do Lublina, gdzie trafiłem do aresztu przy ulicy Północnej (jeszcze w tym areszcie wcześniej nie byłem), i czekałem na decyzję komendanta milicji.

„Żadne doktoraty. To ma być uczciwa praca”

Kończył się stan wojenny. Więzienie, w którego części był pawilon dla osób internowanych, opuściłem 8 grudnia 1982 roku. Wtedy, po wyjściu, dostałem wezwanie na komendę przy ulicy Narutowicza 73 na rozmowę. Przeprowadził ją ze mną porucznik Berger¹²⁴, który powiedział mi, że Służba Bezpieczeństwa żąda ode mnie zaprzestania działalności opozycyjnej i podjęcia pracy. Mó-

Urząd Miasta w Lublinie, miejsce, do którego trzeba było się zgłaszać w stanie wojennym w poszukiwaniu pracy. Lata 70. Fot. Edward Hartwig. Archiwum TNN.

¹²³ Kpt. Antoni Bogusz nie był oficerem śledczym tylko operacyjnym i kierował w tym czasie Sekcją II Wydziału IV KW MO w Lublinie, która rozpracowywała KUL.

¹²⁴ W wykazie funkcjonariuszy SB brak osoby o takim nazwisku.

wił: „Musi pan podjąć uczciwą pracę”. Ja mówię: „Proszę pana, ja teraz robię doktorat”. On mówi: „Żadne doktoraty. To ma być uczciwa praca”. Zapytałem: „To co mam robić?”. „No, zgłosi się pan do wydziału czy urzędu zatrudnienia – on mieścił się wtedy w ratuszu – i dostanie pan jakąś pracę”. W trakcie tej rozmowy zapytałem: „No, a jak nie zaprzestane działalności, to co będzie? Dostanę dziesięć lat czy co?”. I on wtedy spojrzał na mnie zimnym wzrokiem i powiedział: „Niech pan nie podsakuje”. Na tym zakończyła się rozmowa, a ja wyszedłem.

Byłem, zgodnie z komunistyczną definicją, „pasożytem społecznym”

Rzeczywiście następnego dnia lub parę dni później poszedłem do ratusza, do tego urzędu, zgłosiłem się tam w okienku do pani z dowodem osobistym i mówię, że Służba Bezpieczeństwa skierowała mnie tutaj, żebym dostał jakieś skierowanie do pracy. Pani poprosiła o dowód, obejrzała i w dowodzie wyczy-

tała, że jestem zatrudniony – tam była taka pieczęć zatrudnienia w Zarządzie Regionu „Solidarności” w Gdańsku. I ta pani mi tłumaczy: „Proszę pana, my możemy pana zatrudnić, jeśli pan zostanie zwolniony w poprzednim miejscu pracy”. No to pytam, co mam robić. „No, musi pan pojechać do Gdańska, uzyskać takie zwolnienie i wtedy pana zatrudnimy”.

Pojechałem więc do Gdańska do Zarządu Regionu, gdzie urzędował komisarz wojskowy, zgłosiłem się tam do sekretariatu. Komisarza nie było, ale była sekretarka, przedstawiłem się, powiedziałem, o co chodzi. Ona mówi: „Pan Krupski, tak? Proszę pana, my panu wysłaliśmy dyscyplinarne zwolnienie z pracy, bo pan ją porzucił”. Według tej pani, 14 grudnia 1981 roku zamiast się ukrywać, ja powinienem się stawić do pracy w Zarządzie Regionu. Niestawienie się do pracy zostało uznane za jej porzucenie. Mieli to skwitować dyscyplinarnym zwolnieniem z pracy, ale muszę powiedzieć, że ja tego zwolnienia nie dostałem i czekałem na nie bardzo



Pałac Kultury i Nauki od strony placu Defilad. Tu Janusz Krupski został porwany, kiedy wychodził z księgarni ORPAN (znajdującej się wtedy w PKN na pierwszym piętrze). 2010. Fot. Anna Kiszka.

długo, a w takiej sytuacji żadnej innej pracy nie mogłem podjąć. I tak do 1989 roku byłem, zgodnie z komunistyczną definicją, „pasozystem społecznym”, chociaż na brak zajęć nie narzekałem.

Do Warszawy przyjechałem 20 stycznia rano

Porwanie związane było z moim przejazdem do Warszawy. To było w dniach 20 i 21 stycznia 1983 roku. Wybrałem się wtedy na dwa dni do Warszawy, chciałem odwiedzić znajomych – osoby, u których się ukrywałem. Było dla mnie oczywiste, że te mieszkania były już wcześniej namierzone przez Służbę Bezpieczeństwa, więc nie miałem żadnych oporów, żeby tam się udać. Zdawałem sobie sprawę, że mogą za mną chodzić. Chciałem też drugiego dnia spotkać się z Elżbietą Nalewczynską. Umówiłem się z nią w mieszkaniu Magdy Jeglińskiej¹²⁵, chciałem doprowadzić do konfrontacji i mieć jasność, czy ona jest współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa, czy nie. Co do niej miałem pewne wątpliwości, których nie miałem, jeśli chodzi o Hanke Borucką.

Do Warszawy przyjechałem 20 stycznia rano i już na dworcu w Warszawie zorientowałem się, że ktoś za mną jedzie. Odprowadziłem na przystanek autobusowy moją późniejszą żonę Joannę, która pojechała do siebie, do domu rodziców, a sam, wykorzystując różne zaułki, które były pod rondem na ulicy Chałubińskiego, pozbyłem się tak zwanego „ogona” (był to młody człowiek) i wyruszyłem w Warszawę. Zrobiłem to bardziej dla sportu niż dla utajnienia moich adresów, ponieważ one już były SB znane. Spędziłem dwa dni w Warszawie w różnych miejscach.

„Przy tak zażyłej znajomości pani nie wie, gdzie jest pan Krupski?”

Już po wszystkim dowiedziałem się, że kiedy pozbyłem się „ogona”, czyli około

godziny 11:00, do mieszkania rodziców Joasi¹²⁶, moich przyszłych teściów, przyszło trzech oficerów Służby Bezpieczeństwa. Jak się okazało, jednym z nich był kpt. Grzegorz Piotrowski. Zapytali, czy wiadomo jest, gdzie ja przebywam. Joanna odpowiedziała, że nie wie, ponieważ rozstała się ze mną na dworcu. Kpt. Piotrowski powiedział: „Przy tak zażyłej znajomości pani nie wie, gdzie jest pan Krupski?”. Powiedział, że chce przeprowadzić ogląd mieszkania, nie rewizję, tylko tak zwany ogląd, czyli mniej więcej chcieli się zorientować, co w tym mieszkaniu jest. Do przeprowadzenia takiego oglądu nie jest konieczny nakaz prokuratorski i zrobili to, po czym wyszli.

Uświadomiłem sobie, że ta droga prowadzi do lasu

Ja, po przeprowadzeniu rozmów w tych rodzinach, u których się ukrywałem, około godziny 14:00 poszedłem do mieszkania na Mokotowie, które wynajmowała Magda Jeglińska i gdzie spodziewałem się zastać Elżbietę Nalewczynską. Zauważyłem, że na wysokości tego mieszkania stoi Fiat 125 z kompletem młodych mężczyzn w środku, widziałem więc, że to mieszkanie jest pilnowane, a moje wejście tam obserwowane. Nie doczekałem się jednak Nalewczynskiej. Wydaje mi się, że to była jakaś odgórna decyzja Służby Bezpieczeństwa, żeby nie dopuścić do takiej właśnie konfrontacji. Posiedziałem mniej więcej godzinę, rozmawiając z Magdą Jeglińską, po czym, mając jeszcze godzinę czasu do spotkania z Joasią, z którą miałem wracać do Lublina, poszedłem do Pałacu Kultury, do księgarni ORPAN-u¹²⁷. Kiedy stamtąd wychodziłem, około godziny 16:00, przez obrotowe drzwi zobaczyłem grupę mężczyzn, z których dwóch było odwróconych plecami, a jeden stał zwrócony do mnie twarzą i to był oficer Służby Bezpieczeństwa, który kilka razy przeprowadzał u mnie w mieszkaniu rewizję. Znałem go z widzenia.

¹²⁵ Magdalena Jeglińska (ur. 1955) – siostra Piotra, absolwentka polonistyki KUL, współpracowniczka „Spotkań”, w latach 80. przebywała we Francji.

¹²⁶ Rodzice Joanny Puzyny to Czesław i Jadwiga Puzynowie.
¹²⁷ ORPAN – Ośrodek Rozpowszechniania Polskiej Akademii Nauk, największa naukowa księgarnia w Polsce, mieścił się na wysokim parterze głównego wejścia do Pałacu Kultury.

Później dowiedziałem się, że był to por. [Alfred] Szewera¹²⁸. Pomyślałem wtedy, że to spotkanie nie jest pewnie przypadkowe i że raczej nie dotrę na dworzec, a prędzej na komendę milicji, bo tak się z reguły takie spotkania kończyły. Gdy wyszedłem z Pałacu Kultury i schodziłem ze schodów na podjazd, usłyszałem z tyłu pytanie: „Krupski?”. Nawet nie zdołałem odpowiedzieć i już znalazłem się w środku samochodu marki Fiat 125p. Zostałem tam wepchnięty i samochód ruszył w stronę Żoliborza.

W samochodzie był kierowca, natomiast po obu moich stronach, na tylnym siedzeniu siedziało tych dwóch oficerów, którzy mnie do samochodu wepchnęli. Początkowo myślałem, że może [jedziemy] na komendę w Pałacu Mostowskich, ale minęliśmy go i jechaliśmy w stronę Huty Warszawa, po drodze mijając dom, w którym mieszkała Hanka Borucka.

Myślałem, że może mnie wiozą do jej mieszkania na jakąś, nie wiem, konfrontację, ale minęliśmy i ten dom i skierowaliśmy się do Puszczy Kampinoskiej. Kiedy mijaliśmy Izabelin Laski, uświadomiłem sobie, że ta droga prowadzi do lasu i że to może być droga tylko w jednym kierunku – bez powrotu. Zacząłem się wtedy zastanawiać, czy rzeczywiście to nie jest jakiś koniec wędrówki. Jechaliśmy w milczeniu. Przez całą drogę nie rozmawiałem [z nimi] i oni mnie o nic nie pytali, ale kiedy już minęliśmy Izabelin Laski, zapytałem ich: „Czy zamierzacie mnie tutaj rozwalić?”. I jeden z nich odpowiedział: „Nie. My jedziemy do Gdańska, ale pomyliliśmy drogę. Jedziemy do Gdańska, tam gdzie pan zdradził swoich kolegów”. To, co powiedzieli, było tak absurdalne, że wzruszyłem ramionami i przestaliśmy znowu rozmawiać. Nadal jednak nie wiedziałem, co będzie się dalej działo.

Wjechaliśmy wtedy do miejscowości Truskaw, której wcześniej nie znałem. Zauważyłem, że jest tam rondo, przysta-

nek autobusowy linii 708, z którego droga – leśna przecinka – prowadziła w głąb lasu. Po drodze minęliśmy zaledwie kilka domów. Obecnie wiem, bo byłem tam stosunkowo niedawno, że to jest bardzo już zabudowany teren, wtedy wyglądało to jednak inaczej. Minęliśmy tych kilka domów, wjechaliśmy w głąb lasu i wtedy samochód się zatrzymał. Jeden z tych porywaczy powiedział: „To wysiadamy”. Ja wysiadłem z samochodu. Obok mnie stanął też drugi z porywaczy. Samochód cofnął się kilkanaście metrów i reflektorami oświetlał nas, stojących na tej przecince. Nie była to noc, bo z Warszawy, spod Pałacu, wyjechaliśmy kilkanaście minut po godzinie 16:00, a jechaliśmy może pół godziny, więc to było przed godziną 17:00, ale było ciemno, bo to był przecież styczeń. Było też bardzo zimno, mroźno, a w lesie leżał śnieg. Kiedy opuściliśmy samochód, jeden z porywaczy, chyba porucznik [Ryszard] Skokowski¹²⁹, powiedział mi, żebym wyjął to, co mam w kieszeniach. Byłem ubrany w półkozuszek, w torbie miałem książkę, chyba *Robotnicy '80* [Jana] Małanowskiego¹³⁰, którą kupiłem w księgarni ORPAN, kilka jakichś drobiazgów, natomiast nic takiego, co mogłoby wzbudzić szczególne zainteresowanie oficerów Służby Bezpieczeństwa. Kiedy tak stałem, Skokowski trzymał mnie za ramię, a w drugiej ręce miał pojemnik z – jak byłem przekonany – gazem paraliżującym. Zapewne w sytuacji, gdybym się szarpał, wrywał, mogłem się spodziewać, że dostanę z tego pojemnika po oczach i w ten sposób zostanie obezwładniony. Ja jednak zdecydowałem się z nimi nie szarpać [i nie] wrywać, w gruncie rzeczy byłem przygotowany na wszystko, co może mnie wtedy spotkać. Drugi z nich wyciągnął z torby butelkę o pojemności ponad jednego litra, myślę, że około półtora litra, kazał mi zdjąć kurtkę, pod kurtką miałem lekki sweter i koszulę, następnie kazali mi zdjąć buty. Rozwiązałem buty, ściągnąłem, postawiłem. Kazali mi się

¹²⁸ Por. Alfred Szewera (ur. 1949) – magister fizyki UMCS, funkcjonariusz Sekcji II (rozpracowywanie operacyjne środowiska KUL) Wydziału IV SB w Lublinie; w 1984 roku odszedł ze służby ze względów zdrowotnych.

położyć twarzą do ziemi, właściwie na śniegu. Wtedy miałem wrażenie, widząc w ich rękach tę butlę, że w niej może być benzyna i oni mnie podpalą. Takie myśli przebiegały mi po głowie. Kiedy już leżałem na śniegu, poczułem taki strasznie piekący ból od szyi po pośladki i praktycznie nawet nie wiem, co wtedy się stało. Mogłem ze strachu zamknąć oczy, może na chwilę straciłem przytomność. Ja tego momentu nie potrafię już odtworzyć. W każdym razie poczułem na plecach... nawet nie pieczenie, to paliło – i kiedy podniosłem po chwili głowę, ich już nie było. Poza ogromnym palącym bólem pleców poczułem też cuchnący zapach. Ale byłem na szczęście na tyle przytomny, że zobaczyłem także w butach tę ciecz, [którą mnie polali,] podobnie na kurtce od wewnętrznej strony. Oni musieli wylać resztkę tego płynu do butów i na kurtkę. Mimo tego włożyłem buty, włożyłem kurtkę, rozejrzałem się i zobaczyłem, że w pewnej odległości od tego miejsca, gdzie oni mnie zostawili, jest ta pętla autobusowa linii 708. Akurat stał tam autobus. Mimo pieczenia, mimo bólu podbiegłem, żeby zdążyć przed jego odjazdem. W środku była może jedna lub dwie osoby, wszedłem do środka i do nikogo się nie odezwałem. Stałem bliżej drzwi. Autobus szybko ruszył i pojechaliśmy w stronę Warszawy. Po drodze autobus zabierał pasażerów na przystankach. Wokół mojej osoby rozchodził się ten okropny zapach, ale ludzie nic nie mówili, choć patrzyli się na mnie, a ja byłem mocno speszony sytuacją. Nie wiem, jak oni mnie odbierali, zwłaszcza ten cuchnący zapach.

Kiedy dojechaliśmy do rogatek Warszawy, zobaczyłem, że przy przystanku jest postój taksówek. Postanowiłem wyskoczyć z autobusu i dalej podjechać taksówką do mieszkania na Żoliborzu, gdzie mieszkała ciocia Joasi. Powiedziałem taksówkarzowi, że zostałem porwany i dlatego tak wyglądam, że porwała mnie Służba Bezpieczeństwa. On wtedy

tylko zaklął i podwiózł mnie na ten żoliborski adres. Nie była to nawet duża odległość. [Ciocia] na szczęście była w domu. Wszedłem do mieszkania przy placu Henkla. Otworzył brat Joasi, Staszek, a kiedy wchodziłem, miał wrażenie, że jestem pijany. Powiedziałem, że zostałem porwany, więc zaprowadzili mnie do łazienki, zdjęliśmy tam ubranie. Sweter, przez który mnie oblewali, nie miał uszkodzeń, tylko widoczna na nim była jakaś zawieszina, natomiast koszula pod nim była całkowicie przepalona, praktycznie w tym miejscu nie zachował się żaden jej kawałek. W lustrze obejrzałem swoje plecy i zobaczyłem, że mam pas od szyi do pośladków całkowicie czarny, a może to był brąz przechodzący w czerń. To była spalona skóra.

Wezwane zostało pogotowie, które bardzo szybko dotarło do mieszkania. Lekarze, wchodząc, zapytali, co się stało. Powiedziałem w kilku zdaniach, że zostałem porwany, a oni wtedy powiedzieli, że są z „Solidarności” i od razu został między nami nawiązany kontakt, takie porozumienie. Zawieźli mnie do szpitala na ulicy Banacha, tam zostałem opatrzony, dostałem jakieś zastrzyki, przy czym ci lekarze powiedzieli, że zupełnie nie mają pojęcia, co to za płyn został na mnie wylany: „Musi zostać przeprowadzona jakaś analiza. Nie mamy pojęcia, co to jest – czy na przykład jakaś trucizna, czy tylko środek, który miał poparzyć i wywołać ten straszny smród – my nie wiemy”. Zapytali mnie, czy chcę zostać w szpitalu. Powiedziałem, że ja przecież się poruszam i nie chcę. Odpowiedzieli mi, żebym w przypadku mdłości, jakichkolwiek objawów [zatrucia] od razu zgłosił się na najbliższe pogotowie lub przyjechał do szpitala. Zapytali mnie też, czy mogą zadzwonić na komendę milicji, żeby złożyć informację, że mają pacjenta, który został porwany. Ja powiedziałem: „No, jeśli to musicie zrobić, bo to jest wasz obowiązek, to dzwońcie. Ja nie mam nic przeciwko temu”. Ci le-

karze dzwonili przy mnie na komendę. Powiedzieli: „Mamy w szpitalu pacjenta, który nazywa się tak i tak, jest poparzony. Mówi, że został porwany i wywieziony”. Jedyne pytanie, które padło z drugiej strony, [to] było: „Czy pacjent jest pijany?”. „Nie – odpowiedziano – pacjent jest trzeźwy”. I tak wyglądało przyjęcie meldunku przez milicjanta na tej komendzie. Nawet nie pamiętam, na którą komendę dzwonili.

Jak dotąd dobrze się trzymałem

Po przenocowaniu postanowiłem pojechać do Lublina. Tam od razu udałem się do mieszkania [Jana] Stepka. Niejechałem do siebie do domu, tylko do jego mieszkania, żeby przekazać mu relację o tym, co mnie spotkało¹²⁹. Informacja o porwaniu już wieczorem tego dnia została przekazana do Wolnej Europy. Chciałem też złożyć obszerniejszą relację któremuś z kolegów i to się odbyło u Stepka. Pamiętam, że był sobotni poranek.

Potem postanowiłem udać się do domu, a następnego dnia, w niedzielę, mieliśmy się spotkać na mszy świętej za ojczyznę. Stepkowi powiedziałem, że pojadę do siebie i że w niedzielę rano spotkamy się na mszy, która miała być odprawiana w jednym z lubelskich kościołów. Ale po południu moja mamusia zmieniała mi opatrunek.

[Mama] była [w tym czasie] w wielkiej rozpacz, bo kilka miesięcy wcześniej zmarł mój ojciec. Ja o jego śmierci dowiedziałem się dopiero po dwóch tygodniach, bo byłem wtedy w okolicach Zakopanego, nie miałem kontaktu z domem, on był ciężko chory na raka, dostał krwotoku i zmarł. Nie mogłem go odwiedzić w szpitalu, bo byłoby to niebezpieczne. Zdawałem sobie sprawę, że szpital może być obserwowany i jeśli poszedłbym tam, mogliby mnie zatrzymać, więc nie byłem przy jego chorobie i przy jego śmierci.

Kiedy moja mamusia zmieniała mi opatrunek, oderwał się kawałek skóry,

[który] był przyklejony do tego opatrunku – i ja wtedy zemdlałem. Jak dotąd dobrze się trzymałem, ale moment tego zdarzenia skóry spowodował, że wszystko we mnie puściło. Poczułem się bardzo słaby, odrętwiały i już następnego dnia nie pojechałem na mszę za ojczyznę.

Odwiedziła mnie wtedy w mieszkaniu pani profesor Ewa Łupina¹³², która działała w „Solidarności”, a znaliśmy się dobrze, bo moja mamusia była pomocą domową u nich w mieszkaniu. Pani Łupina przywiozła jakieś lekarstwa, obejrzała mnie i powiedziała, że będzie się mną opiekować. Po niedzieli zawiozła mnie na badania i analizy do szpitala. To chyba był szpital Bonifraterów¹³³. Wtedy zostały zrobione analizy tej zawiesiny, która została na moim ubraniu, i badania wykazały, że to była jakaś mieszanina ługu, fenolu, lizolu, a więc połączenie truczyny ze środkiem żrącym. Istniała obawa, że ta trucizna dostanie się do organów wewnętrznych i zostaną one zaatakowane, co mogłoby się źle skończyć. W końcu okazało się, że poza ogólnym rozstrojem i wyłączeniem mnie na pewien czas z aktywnego życia, organizm – na szczęście – nie został dotkliwie uszkodzony.

„Nieznani sprawcy”

Pani Łupina poszła też ze mną do Zakładu Medycyny Sądowej w szpitalu na ulicy Jaczewskiego, bowiem uznała, że powinno się stworzyć dokumentację mojego przypadku. W tym Zakładzie pracowała pani profesor Tomaszewska, która powiedziała, że może stworzyć taką dokumentację, ale byłoby dobrze, żeby w mojej relacji, która będzie częścią tej dokumentacji, nie było wskazania na SB jako sprawców tego porwania, bo wtedy ten materiał nie utrzyma się w archiwum. Natomiast, jeśli użyję znanego skądinąd pojęcia „nieznani sprawcy”, to będzie mogło przetrwać. Zgodziłem się z tą sugestią i w zachowanym dokumen-

¹²⁹ Por. Ryszard Skokowski (ur. 1953) – funkcjonariusz komórki „D” w Departamencie IV MSW.

¹³⁰ Chodzi o książkę wybitnego polskiego socjologa Jana Małanowskiego, *Polscy robotnicy* (Warszawa 1981).

¹³¹ Drugą osobą, do której przyszedł Janusz, był Maciej Sobieraj.

¹³² Chodzi o Iwonę Żebrowską-Łupinę (ur. 1935), obecnie profesor Uniwersytetu Medycznego w Lublinie. Ewa to jej córka (po teologii).

¹³³ Szpital Bonifraterów mieści się przy ulicy Biernackiego w dawnym klasztorze karmelitów trzewickowych.

cie są to właśnie „nieznani sprawcy”. Posiadam kopię tego dokumentu.

Wiedziałem, że to, co mnie dotknęło, wzbudza przede wszystkim strach

Rekonwalescencja trwała kilka tygodni. Przez kilka dni leżałem, poruszałem się z trudem, byłem bowiem bardzo osłabiony. Praktycznie zupełnie nie mogłem funkcjonować. Oczywiście rozmawiałem o tym ze znajomymi i z kolegami. Wiedziałem, że to, co mnie dotknęło, wzbudza przede wszystkim strach. Wiem też, że ludzie niechętnie o tym rozmawiali. Ja oczywiście się z tym nie narzucałem.

Kilka dni po porwaniu przysłała do mnie do mieszkania przy ulicy Gospodarczej Joasia ze swoją koleżanką, Joanną Turnau, córką dziennikarza, wtedy redaktora „Więzi”, Jana Turnau¹³⁴, i powiedziała, że jej ojciec przyjeżdża do niej, że wie o wszystkim. Będzie się widział z kimś z Episkopatu i dobrze byłoby, żeby napisał list z dokładnym opisem okoliczności tego porwania. Uznałem jednak, że lepszą formą od listu będzie sporządzenie informacji bez jakiegokolwiek wartościowania. Po przeczytaniu takiej informacji każdy będzie mógł zrobić z nią, co zechce. Sporządziłem odręcznie pisany dokument i (także odręcznie) kopię. To była relacja z tego, co się stało. Na tę moją relację nie spotkałem żadnego odzewu, ale nie oczekiwałem tego.

Natomiast w naszym środowisku prowadziliśmy rozmowy, jak interpretować to, co się stało. Interpretacje były różne: może to jest takie bardzo poważne ostrzeżenie, żeby zaprzestać działalności; może to jest jakaś niedoróbka, może oni mnie po prostu w ten sposób chcieli zabić. Nie można było wtedy oczywiście mieć pewności, o co chodziło porywaczom z SB.

Część kolegów zawiesiła swoją działalność

Po tym groźnym incydencie w Puszczy Kampinoskiej, w Lublinie toczyliśmy



intensywne rozmowy w gronie przyjaciół, co robić dalej. Część kolegów była zdania, że może zrobić przerwę w działalności, zawiesić ją, żeby każdy z nas uporządkował swoje sprawy. W tym czasie Janek Stepek złożył już wniosek o wyjazd na Zachód, bo stwierdził, że nie ma tutaj w Polsce warunków do tego, by normalnie mieszkać i utrzymać rodzinę. Był żonaty, miał dwoje dzieci i wyjechał chyba w lutym 1983 na Zachód, do Francji, do Paryża. Inni też zastanawiali się, jak w tej nowej sytuacji układać sobie życie i część kolegów była zdania, że może należałoby zaprzestać działalności. Ja byłem zwolennikiem dalszego wydawania „Spotkań” i byłem zdania, że mimo wszystko działalność kontynuować trzeba, aczkolwiek niektórzy z nas uważali, że to porwanie należy potraktować jako sygnał ostrzegawczy, że jeżeli będziemy kontynuować działalność, to może to dla nas skończyć się jeszcze gorzej. Część kolegów zawiesiła swoją działalność w „Spotkaniach” lub bardzo ją ograniczyła. Zawiesili działalność Janusz Bazydło, Krzysiek Wasilewski,

Okladka „Spotkań” nr 21/22 (1983). Zbiory Biblioteki Uniwersyteckiej KUL.

¹³⁴ Jan Turnau (ur. 1933) – teolog, publicysta, wieloletni współpracownik miesięcznika „Więź”, członek warszawskiego KIK-u; w wolnej Polsce redaktor „Arki Noego”, dodatku w świątecznej „Gazecie Wyborczej”.

Wojtek Samoliński. [Janek] Stepek wyjechał. Znaleźli się jednak nowi ludzie.

Działalność, która była prowadzona do 1989 roku

Zaraz po moim porwaniu, kiedy część kolegów postanowiła nie kontynuować działalności, przenieśliśmy redakcję „Spotkań” do mieszkania wykładowcy KUL-u, Wojciecha Chudego. Wtedy był chyba po doktoracie. On powiedział, że udostępni swoje mieszkanie i sam gotów jest wspomagać redagowanie „Spotkań”. I tak zaczęliśmy działalność po stanie wojennym, w już zupełnie nowych warunkach – działalność, która była prowadzona do 1989 roku.

Pierwszy numer „Spotkań” po stanie wojennym ukazał się chyba w lecie 1983 roku. Jego zredagowanie i wydanie wymagało czasu. Numer powstał przy

pomocy i w mieszkaniu Wojtka Chudego, natomiast powieleniem zajął się Zygmunt Kozicki. Obok wydaliśmy też kolejną pozycję z Biblioteki „Spotkań”. Robili to nowi ludzie lub tacy, którzy dawniej stali w drugim czy trzecim szeregu, a teraz zdecydowali się na większe zaangażowanie. Dotyczyło to zarówno techniki, jak i redakcji „Spotkań”.

Pismo utrzymało swoją dotychczasową linię, choć naturalnie pojawiły się jakieś odniesienia do stanu wojennego. Generalnie jednak byliśmy wierni przyjętej orientacji ideowej do ostatniego numeru naszego pisma.

Relacja nagrana 10, 16, 17 i 24 maja 2005

Nagranie: Wioletta Wejman

Transkrypcja: Magdalena Ładziak,

Piotr Krotofil i Wioletta Wejman

Redakcja: Maciej Sobieraj

Część II

Wspomnienia opowiedziane

Janusz Bazydło

Początki kontaktów

Janusz znalazł mnie wtedy, kiedy część młodzieży na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim potykała się z Socjalistycznym Zrzeszeniem Studentów Polskich. On był rzecznikiem niepowoływania tego typu instytucji na uniwersytecie. Pytał mnie o opinię w tej sprawie.

Te stosunki – rzadkie – zmieniły częstotliwość, kiedy w latach 70. powołano w Lublinie oddział miesięcznika „Więź”. Wtedy kontaktowaliśmy się częściej, zapraszałem Janusza i jego kolegów: Bogdana [Borusewicza], kolegów z Warszawy, na spotkania z autorami i nie tylko z autorami, których zwoził do Lublina Zdzisław Szpakowski. Łątwo przyszło nam znaleźć wspólny język, kiedy chłopcy zdecydowali się na podjęcie (udanej) próby powołania niezależnej poligrafii, co jest wydarzeniem bez precedensu w historii Polski.

W środowisku „Spotkań”

W „Spotkaniach” funkcjonowało kilka grup, także wiekowych. Istniała grupa seniorów, do których należeli tacy ludzie jak Adam Stanowski, najbliższy nam z tej racji, że związany z Lublinem i z KUL-em, Jacek Woźniakowski z Krakowa, Zdzisław Szpakowski z Warszawy, Władysław Bartoszewski. [W grupie była także] niezwykła młodzież – ja nie znam innych [takich] środowisk czy to Uniwersytetu [Marii Curie-Skłodowskiej] w Lublinie, czy innych uniwersytetów – i z perspektywy czasu patrząc, trudno nie docenić [jej] walorów, skoro stać ich – a potem „nas” – było na zrobienie tego, co zrobiliśmy.

Janusz wśród nich był osobą wiodącą z racji przewodzenia młodzieży skupionej wokół kół naukowych na [KUL-u]. Narzucał swoje pomysły środowisku, które się wokół niego skupiło – nie bez jego aktywności, bo ściągnął tutaj [na przykład] Janka Stepka z Sanoka, który po skończonych studiach wrócił do swojego miasta. Tam miał mieszkanie i rodzinę, oparcie, i pracę, a pomimo to rzucił to wszystko, zjechał do Lublina, wynajął mieszkanie i przez wiele miesięcy funkcjonował bez żadnego zabezpieczenia finansowego, poza tym, co mu potem co miesiąc wypłacano.

Źródła utrzymania

Janusz z wielu względów nie chciał albo nie mógł podejmować pracy, a jeśli ją podejmował, to na krótko i kończyło się to zawsze w taki sposób, że korzystać musiał ze źródeł utrzymania innych niżli praca etatowa w państwowych firmach. Miał jakieś zajęcia w którejś ze szkół, ale bardzo krótko. Jego związek z uniwersytetem na pewno nie był etatowy, a status doktoranta do niczego obu stron nie zobowiązywał; trwał też relatywnie krótko i nie pociągał za sobą żadnych skutków.

Miejsca, w których mieszkał

Do dzisiaj pamiętam ten pokój. Janusz był bibliofilem i z chęcią kupował książki. Nie wiem, ile by się tam [ich] zmieściło, natomiast pamiętam, że jak się jego wersalkę rozkładało, to nie można było w ogóle poruszać się po tym pokoju, chyba że w jakiś tam sposób bokiem, bo to było takie malutkie [pomieszczenie]. Więc warunki miał nietęgę.



Janusz Bazydło. 2005. Fot. Wioletta Wejman. Archiwum TNN.



Janusz Krupski, Wojciech Samoliński i Jan Andrzej Stepek (z córeczką Karoliną) na dziedzińcu KUL. Ok. 1977. Fot. Janusz Kolasa. Zbiory prywatne Anny Samolińskiej.

Potem pamiętam pokój wynajęty przez [Joannę i Janusza], fragment jakiegoś domku w Wólce Lubelskiej, przewoziłem tam ich rzeczy, było tego niewiele.

Znam także jego późniejsze warszawskie mieszkanie, udostępnione przez teściów. Najpierw mieszkali razem z teściami, a potem już osobno – to mieszkanie [było] czteropokojowe, ale w standardzie socjalistycznym, z małymi pokojkami. Znam także jego, już prawie skończony, dom w Grodzisku, do którego [Janusz] doszedł z wielkim trudem dzięki pomocy teściów.

Zapamiętany obraz – człowiek prawy i szlachetny

[Cechowała go] pewna niezwykła prawość i niewerbalizowana szlachetność. To był człowiek prostolinijny. Bywało, że się troszeczkę zaciętrzewiał w stosunku

do ludzi, których nazbyt łatwo przekreślał, ale to wyjątki od reguły, bo z reguły był ufny i z ducha chrześcijański.

Niech za przykład takiego podejścia do sprawy posłuży przygoda z ostatnich lat, kiedy to zadzwoniła do niego Hanna Borucka, jedna z dwóch agentek, które funkcjonowały w naszym środowisku. Ona zadzwoniła, bo ze spektaklu albo z innego rodzaju obecności Janusza w mediach dowiedziała się o tym, że to po wyjściu od niej został on aresztowany. To było tak, że Janusz przyjmował wtedy jakichś kombatanów, Hanka zadzwoniła do jego sekretariatu z płaczem i sekretarka, nie wiedząc, co [ma] robić, weszła do gabinetu i powiedziała Januszowi, że dzwoni jakaś pani, bardzo chce rozmawiać i płacze. Krupski spłoszony poprosił, żeby go połączono, przeprosił swoich gości i za chwilę rozmawiał

z Hanką Borucką, która mu powiedziała: „Janusz, ja nic nie wiedziałam o tym, że oni cię mieli aresztować po wyjściu ode mnie i ja nie miałam z tym nic wspólnego. Bardzo jest mi przykro – to ciągle płacząc – i bardzo cię proszę, czy ty możesz mi wybaczyć to, co ja robiłam?”. Spytałem Krupskiego: „I co jej powiedziałaś?”. On na to: „Co ja miałem powiedzieć? Powiedziałem: »Wybaczam«”.

Ale nie zawsze tak się działo. W stosunku do kilku bliskich nam osób pozostawał w dużej rezerwie i nie życzył sobie kontaktów. Uczulony był na dwie sprawy, mianowicie na uczciwość, także w wymiarze finansowym, i – to chyba rys, który pogłębił się w IPN-ie – na współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa. To były sprawy, [przez] które ludzi z jego kręgu i ludzi, którymi się zajmował z racji urzędu, który piastował, potrafił przekreślić bez względu na okoliczności. Był na ten temat wyczulony niezmiennie.

Prawość i szlachetność, brak potrzeb finansowych w większym wymiarze. Pieniądze nie stanowiły dla niego problemu, bo z reguły ich nie miał, a jeśli miał, to wydawał na książki, ale te książki [też] potem sprzedawał. Był taki okres, kiedy wszyscy cienko przedliśmy, były kłopoty z drukiem, z pieniędzmi na druk i wtedy Krupski to, co gromadził, sprzedawał i przekazywał mi skrupulatnie wszystkie rachunki do akceptacji i przechowania.

Kwestia sprzedawania „Spotkań”

Pamiętam nasze rozmowy na temat sprzedawania i kolportażu „Spotkań”. To była różnica postaw i mentalności. Krupski wykluczał jakikolwiek udział środków finansowych przy kolportażu „Spotkań”, potem trochę zmienił zdanie, bo okazało się, że są ludzie, którzy potrafią na tym robić interes i to, co dostają, sprzedają za jakieś tam nieraz duże pieniądze. Ja zaś byłem zdania, że powinniśmy za [„Spotkania”] brać ja-

kieś pieniądze, co nie znaczyło, że my te pieniądze będziemy przeznaczать na jakieś niezbożne cele, bo można było za to utrzymywać jakieś rodziny wielodzietne, o których pisaliśmy i którymi się po trosze zajmowaliśmy, [albo] przekazywać na jakiś dobry cel charytatywny czy społeczny. Ale to życie samo załatwiło te sprawy, bo ja się nigdy tym nie zajmowałem, Janusz też, a ci, którzy robili pismo i kolportowali je, znaleźli własne sposoby na to, żeby coś na tym zarobić. Tak było i rozwinęło się to potem znacząco.

Zachowanie

Janusz był niechętny biesiadom, jadł tyle, co kot napłakał, z reguły nie pił, a jeśli, to symbolicznie zupełnie; nie przeklinał. Nie bawiły go sytuacje typowe dla mieszkańca dużego w końcu miasta.

Wiara i stosunek do Kościoła

Jeśli chodzi o wiarę, to bardziej się ją czuło, niżli wynikało to z jego deklaracji czy słów, które wypowiadał. To była wiara bez ostentacji, ale głęboka. Wyrażała się w różnego rodzaju podejmowanych działaniach, dla których pewnym oparciem był Kościół i jego struktury, z którymi Krupski miał do czynienia w tych latach i którym pozostał wierny do końca.

Aktywność społeczna i polityczna

Spotykaliśmy się od czasu do czasu w Małym Cichem, gdzie on prowadził wakacyjne obozy dla młodzieży niepełnosprawnej umysłowo i fizycznie. Ten rys jego charakteru i idąca za nim działalność – to było i jest coś niezwykłego.

[...] [wiele do myślenia daje] przygoda z opieką nad niepełnosprawnym osiemnastolatkiem, czyli miesiąc przedślubny [Joanny i Janusza]. To niby nic, ale jak rzadko to komukolwiek przychodzi do głowy i jak wielkie było to wyrzecze-

nie, działanie wbrew temperamentowi, jak bardzo to było szlachetne, a miało przecież swój ciąg dalszy w postaci organizacyjnych działań w ruchu [Foi et Lumière], któremu Janusz i Joanna sprzyjali przez wiele lat.

Więc jeśli się zważy na te różne formy okazywanej przez niego – przez nich – miłości do ojczyzny, na sytuację rodzinną [którą stworzyli, czyli] kochających się, zatroskanych o dobro dzieci rodziców, jeśli się zważy na wsparcie Kościoła, które było ich udziałem – dwustronne, bo i dla Kościoła, i od niego – jeśli się zważy na działalność obywatelską Janusza, głęboko patriotyczną, nie deklaratywną, a rzeczywistą, no to jest to kawał tęgiego działacza i społecznego, i politycznego.

[Choć] polityki się bał. W tym lęku przed polityką był także element troski o własną rodzinę. Miał [politykę] za sprawę trochę brudną, a uprawiał [ją] tylko wtedy, kiedy musiał, związany jakimś sprawami urzędowymi. Musiał być obecny na rynku polityki, dbać nie tyle o swoje interesy, ile o interesy grupy, którą reprezentował – mam na myśli kombatanów i osoby represjonowane – taką to ma urzędową definicję. Za tą szeroką i otwartą definicją kryją się losy, życiorysy i przyszłość ludzi, którzy są solą naszej ziemi, bo to osoby, które działały w czasie okupacji czy w okresie pookupacyjnym i płaciły za swoją pracę dla ojczyzny cenę najwyższą. Janusz był tych ludzi reprezentantem, zaiste godnym, zaiste pełnym ofiarności, który, jak mi mówił, w ciągu roku spędzał dwa, trzy weekendy w domu. No siło go z jednego końca Polski na drugi. Wiele godzin w samochodzie, po czym udział w jakiejś uroczystości i znowu wiele godzin w samochodzie. A podobną robotę przecież robił w IPN-ie, gdzie był oddelegowany do różnego rodzaju wizyt, udziału w uroczystościach i tym podobnych.

Głowa rodziny

Każdy zachowuje się inaczej wśród bliskich, a nieco inaczej wtedy, kiedy bliskim towarzyszą inne osoby. Ten podział u Krupskich chyba był minimalny i to, co się rzucało w oczy, to ogromny szacunek i miłość – w słowach, w sposobie zwracania się i mówienia o najbliższych i do najbliższych.

Pamiętam wspólną podróż z Lublina do Warszawy przy jakiejś okazji, ich samochodem. Samochód prowadziła Joanna, bo Janusz po wypadku (w czasie pracy w warszawskim wydawnictwie „Spotkania”) nie prowadził samochodu zupełnie, zapomniał, jak się to robi i nie chciał do tego wracać. Zwracał jej uwagę na znaki drogowe, na zakręty i ona znosiła to z anielską cierpliwością, bez żadnych komentarzy. Było to normalne, [jakby] uświęcone tradycją: on siedział obok kierowcy, mówił: „Joasiu, ograniczenie szybkości”.

To [było] zgodne małżeństwo, nieco patriarchalne, ojciec był tam w ogromnym szacunku. [Janusz był] swoistym guru, ale on się do tego nadawał przez taką – to nie najlepsze określenie – pewną, może nieraz pozorną sztywność i hieratyczność.

Sposób wypowiedzania się

W uszy rzucała się specyficzna forma [jego] wypowiedzi – mówił jednostajnym głosem, nieco kostycznie, bez zaangażowania, które by się wyrażało w zmianie intonacji, ale do tego można się było przyzwyczaić. To oczywiście cecha zupełnie neutralna, ani dobra, ani zła, normalna. Taki był ten Krupski, „Krupiszon”, jak mówili niektórzy, „Krupa”.

Niespodziewane skutki porwania

Na pewno nie była to osoba, która mówiła o [swoim porwaniu] po to, żeby to w jakikolwiek sposób zdyskonto-

wać. Wtedy, kiedy trzeba było, [to] tak, ale to bardziej, [kiedy] go pytano, niżli publicznie czy też w towarzyskich sytuacjach. Bo to nie był człowiek, który wykorzystywał tego typu fragmenty życiorysu, tak jak to się teraz robi.

Po porwaniu w Warszawie oglądał go lekarz, do którego go skierowano – doktor Janusz Szajewski, specjalista w [swojej] dziedzinie. I ta przygoda, która się wtedy zaczęła, ma niezwykle ciąg dalszy. Po latach Janusz wpadł na pomysł, żeby skorzystać z jego umiejętności – to jest już chyba emerytowany [doktor], pracujący w szpitalu praskim i zajmujący się starszymi osobami w przychodni dla kombatanów. Janusz, pamiętając o ich znajomości i o jego kwalifikacjach, poprosił go o przygotowanie książeczki na temat leków dla osób w poważnym wieku. Pan doktor Szajewski taką książeczkę napisał, a my ją opublikowaliśmy i dołączyliśmy do któregoś z numerów „Kombatanta”, żeby [czytelnicy] mogli

sobie przeczytać, jak powinno się brać leki. To ma pewnie ze sto stron, jest napisane bardzo przystępnym, normalnym językiem, który pozwala zrozumieć niektóre mechanizmy, jakie się dzieją w organizmach pod wpływem leków.

Pola współpracy

Pracowaliśmy ze sobą, ale ja nigdy nie wykorzystywałem naszej znajomości i komitywy do czegokolwiek. Uznałem, że będzie nieźle, jeśli go odciążę od spraw, które prowadziłem, nie będę mu nimi zawracał głowy – i tak też było. Bywało zatem, że się nie widywaliśmy całymi miesiącami.

Nieco wcześniej obaj aktywnie przygotowywaliśmy wnioski i odznaczenia dla środowiska, na szczęście Janusz zdążył je podpisać przed katastrofą i [kilkadziesiąt] wniosków już załatwionych czeka na ciąg dalszy w Kancelarii Prezydenta. Przy [najbliższej] okazji to środowisko w Warszawie bądź w Lub-



Uroczystość w Senacie RP podsumowująca obchody Roku gen. Władysława Andersa. Od lewej: Janusz i Joanna Krupscy, Karolina i Ryszard Kaczorowscy, o. gen. bryg. Adam Studzinski. Luty 2008. Fot. Mariusz Kubik. Archiwum „Kombatanta”.

linie zostanie uhonorowane, skromniej niżli jakiegokolwiek inne, bo Janusz pod tym względem był bardzo powściągliwy. [Sam], pomimo tego, że miał sygnały, iż może zostać odznaczony, nie życzył sobie tego; sądził, że sprawując ważne funkcje państwowe, nie wypada mu przyjmować jakiegokolwiek odznaczenia.

[Gdy przygotowywaliśmy wnioski,] nasze kontakty były ożywione. Mogłem się wtedy przekonać o niektórych elementach jego [sposobu] myślenia. Był bardzo ostrożny przy niektórych wnioskach. Jeden z nich dotyczył [człowieka], którego pieniądze sprawiły, że w latach 70. do Polski dotarły pierwsze powielacze. Janusz był przeciwny, nie chciał się podpisać pod wnioskiem o odznaczenie dla niego, a to dzięki temu, że ktoś nieopatrznie przy nim powiedział, że te pieniądze to pieniądze amerykańskiego wywiadu – Krupski był na tym punk-

cie wyczulony. Druga sprawa dotyczyła Tomka Turowskiego, zastępcy ambasadora w Moskwie, do którego Krupski miał pretensje, że na jego ślubie byli jacyś oficerowie Informacji Wojskowej. Tomek był wysokim urzędnikiem MSZ-u, po czym zastępcą ambasadora w Moskwie za [Stanisława] Cioska, następnie ambasadorem na Kubie i ponownie zastępcą ambasadora w Moskwie, więc mówiłem [Januszowi]: „Stary, przecież to osoba najwyższego wtajemniczenia w Polsce, co się czepiasz?”. Ale trudno go było przekonać. To dowód na to, jak ostrożnie – nawet za bardzo ostrożnie, ale odpowiedzialnie – traktował niektóre sprawy. Kilka miesięcy potem okazało się, że to on miał rację.

Relacja nagrana 8 listopada 2010

Autoryzowana

Nagranie: Wioletta Wejman

Transkrypcja i redakcja: Piotr Krotofil

Bogdan Borusewicz

Pierwsze spotkanie

Pierwsze spotkanie z Januszem Krupskim utkwiło mi w pamięci, ponieważ kiedy przyszedłem na KUL i mieliśmy pierwszy wykład czy spotkaliśmy się z całym rokiem, ja zacząłem się rozglądać, bo nie przyjechałem tylko studiować, ale coś robić na tym KUL-u, stworzyć jakąś grupę, działać wspólnie – i szukałem ludzi. I widziałem, że on też tak spoglądał na boki i starał się szukać podobnych jak on, wyczułem to, widziałem, że troszkę też mnie obserwuje, bo wiedział, że jestem z Gdańska. Szybko się porozumieliśmy; zobaczyłem, że on ma takie same poglądy jak ja i że też chce coś robić. Nie wiedzieliśmy jeszcze, co będziemy [robić], ale wiedzieliśmy na pewno, że będziemy szukać dostępu do literatury emigracyjnej, że spróbujemy prowadzić jakąś działalność w Kole Historyków i szybko w tej sprawie się porozumieliśmy.

Zapamiętany obraz – uczciwy i bardzo inteligentny

Uczciwość – taka kryształowa. Inteligencja. Janusz był człowiekiem bardzo inteligentnym, mającym duże możliwości analizy, a także syntezy. Nie zawsze ci, którzy posiadają możliwość analizy, są dobrzy w syntezie – Janusz był świetny. I patrzyłem z podziwem na to, jak zajmował się – wydawało mi się [to] rzeczą bardzo nieciekawą – historią zakonów u profesora [Jerzego] Kłoczowskiego. Ale [Janusz Krupski] wyciągnął z tego bardzo interesujące rzeczy, zresztą był pod kierunkiem dobrego naukowca, który znał się świetnie na tym i nawiązywał do francuskiej szkoły socjologizującej, szkoły Annales.

Dla nas była ona odkryciem; czytaliśmy [Marca] Blocha – twórcę tej szkoły, [jego] analizę historiozoficzną, to, jak należy uprawiać historię. To było bardzo ciekawe, chociaż najpierw wydawało się dość nudne. Nas interesowały raczej fakty historyczne, chcieliśmy dowiedzieć się, jak było naprawdę, jak [się to] wydobywa. Wydawało nam się, że historia jest jedna, ale okazało się, że nie – mogą być różne podejścia do historii, to podejście socjologizujące było bardzo interesujące. Bardzo też interesujące było uprawianie czy pisanie historii – to może być zaskakujące, że my, którzy zajmowaliśmy się działalnością polityczną, uważaliśmy, że podręczniki historii powinny być podręcznikami historii kultur, a nie historii politycznej, która się zmienia co jakiś czas w ramach różnych interpretacji. Oczywiście wiedzieliśmy, że interpretacja historii kultury też się może zmieniać, ale to wydawało nam się bardziej trwałe. W związku z tym [pojawiła się] też fascynacja „serią ceramowską” – świetną serią albumową (tłumaczeniami historyków francuskich), z których ukazały się między innymi monografie starożytnego Egiptu, rewelacyjne. To nas oczywiście bardzo interesowało.

Widziałem, jak Janusz, robiąc pracę na temat zakonów, wydobywał, jak wyglądały ówczesne struktury społeczne, zaangażowanie na przykład mieszczaństwa, chłopstwa; albo [robił] ocenę poziomu gospodarczego poprzez księgi zakupów, informacje [o tym], co podawano na stoły czy [jak wyglądało] życie codzienne. To było wtedy ciekawe i bardzo modne. Na przykład opis ży-



Bogdan Borusewicz. 2010.
Fot. Alicja Magiera. Archiwum TNN.

cia codziennego, to dla nas było nowe podejście do historii; nie wielkie bitwy, wielcy wodzowie, ale życie codzienne. W Polsce ukazywała się cała seria [książek] na temat życia codziennego w średniowieczu, w Indiach, w Japonii – to było bardzo interesujące.

Oprócz tego, że Janusz był niesamowicie uczciwy, bardzo inteligentny, to jeszcze był bardzo konsekwentny i pracowity. Potrafił pisać referaty – prace w zasadzie wspólnie pisaliśmy, tylko główny ciężar spoczywał na nim. Na przykład przez trzy dni i przez trzy noce pisał referat na konferencję kół historycznych, która się odbyła w schronisku Rozтока w Tatrach. Był bardzo konsekwentny – jak się podejmował czegoś, robił to i ja miałem do tego pełne zaufanie.

Wyjazdy do NRD

W pewnym momencie, w 1973 czy pod koniec 1972 roku, Janusz był [jednocześnie] szefem Koła [Naukowego] Historyków [Studentów KUL] [i] szefem – tworzonego przez nas wspólnie, ale szczególnie to na nim ciążyło – studenckiego samorządu na KUL-u. To był pierwszy samorząd niezależny. Jednocześnie [był] kurierem, który przewoził książki, powielacze, między Berlinem (potem Dreznem) a Lublinem. Książki te do NRD przetrzucał z Paryża nasz kolega Piotr Jegliński, który tam wyjechał, a w zasadzie został wysłany przez nas, bo tak ustaliliśmy – on co prawda chciał wyjechać, ale miał spełniać rolę naszej ekspozytury za granicą. To było w czasie, kiedy już nasze działania na różnych płaszczyznach miały charakter planowany.

Janusz jeździł [do Berlina i Drezna], nieraz był w drodze trzydzieści godzin bez spania, bez noclegu, przejmował książki, wiozł te książki; granica, to oczywiście stres i tak dalej. [Początkowo] albo ja mogłem jeździć, albo on, ale mnie w pewnym momencie anulowa-

wano pieczętkę do NRD i ja w ogóle nie mogłem wypełnić takiej roli, w związku z tym [tylko] on został. Nie chcieliśmy nikogo innego dopuścić do tego ze względów konspiracyjnych. Rzeczy, które robiliśmy, groziły więzieniem. I Janusz jeździł tam wielokrotnie, kilka czy kilkanaście razy odbył takie podróże. Raz oblażył go wszy – stwierdził: „Wiesz co, oblażył mnie wszy. Trzy razy prałem mój sweter. Okazało się, że mam wszawicę na swetrze” – a on nie rozbrajał się, nie mył przez trzydzieści godzin. To wszystko, [co] robił, to był olbrzymi wysiłek.

Jednocześnie fizycznie był słabszy ode mnie, był bardziej typem intelektualisty, naukowca. On się nadawał na naukowca – szkoda, że go z KUL-u usunęli. On się nadawał, bo bardzo lubił to robić, bardzo lubił pisać i miał świetny umysł – analityczny i syntetyczny.

Człowiek przyzwyczajony do pracy

Janusz był nie tylko konsekwentny, ale jednocześnie bardzo samodzielny. To była taka samodzielna osobowość. Nie musiałem ustalać z nim, co on robi, [a] co ja robię. Omawialiśmy pewne rzeczy, dyskutowaliśmy i on po prostu to robił, a ja robiłem swoje. To była działalność uzupełniająca się, dlatego mogliśmy tak dużo zrobić; ja mu powiedziałem: „Pomogę ci w tym samorządzie, ale na początku, a potem się muszę wyłączyć, bo w dwójkę jak wsiąknijemy w ten samorząd, to w ogóle nic innego nie będzie można zrobić. A ty musisz ten samorząd ciągnąć, ponieważ on jest ważny”.

[Kiedy] zablokowaliśmy powstanie SZSP, rektor, na takiej zasadzie, że ci najwięksi chuligani powinni pilnować porządku, powiedział: „Zablokowaliście powstanie SZSP, to proszę bardzo, teraz stwórzcie samorząd”.

Jak trzeba było, robiliśmy wszystko. Na przykład zrobiliśmy zabawę na KUL-u, pierwszą zabawę studencką,

po to, żeby mieć pieniądze na samorząd. Wszystko robiliśmy [sami], od wnoszenia i wynoszenia ławek do pilnowania porządku, czyli odbierania butelek z wódką w ubikacjach. Janusz robił wszystko, a ja jednej rzeczy nie zrobiłem, powiedziałem, że nie zrobię. Po zabawie okazało się, że studenci nie umieją się obchodzić z papierem toaletowym, używali całych rolek i jak zakończyliśmy już tę zabawę, Janusz wszedł do ubikacji i powiedział, że tam jest po kostki wody i że trzeba posprzątać – trzeba zdjąć buty, skarpetki. Powiedziałem, że tego ja już nie zrobię, więc Janusz sam wziął szczotkę i przepychał wszystkie ubikacje. Oczywiście, klęliśmy strasznie na to, [że] wszystko musimy robić sami.

Janusz był naprawdę człowiekiem tytanicznej pracy, przyzwyczajonym do pracy.

W ogóle na nic nie narzekał, a byliśmy biedni jak przysłowiowe myszy kościelne.

Dyskusje o „Spotkaniach”

Janusz miał mały pokój, małe mieszkanie z rodzicami na Tatarach – mogę powiedzieć, że to była uboga rodzina, nawet chyba biedniejsza niż moja. W pokoju stał jakiś połamany strasznie tapczan. Jak tam nocowałem i kładłem się na podłodze, to w ogóle już nie można było się ruszyć, takiej wielkości był to pokój. A jednak codziennie byłem u niego, dyskutowaliśmy albo pół nocy, albo do rana.

Pamiętam, jak dyskutowaliśmy nad nazwą „Spotkania” – całą noc – jak nazywać to pismo. I to pierwszy numer „Spotkań” najbardziej oddawał nasze poglądy, to, co nas interesowało i o czym rozmawialiśmy wcześniej – stosunki polsko-ukraińskie, polsko-żydowskie – bardzo ważne dla nas tematy, których nikt wtedy jeszcze nie podejmował. Oczywiście to był wpływ „Kultury” paryskiej, [Juliusza] Mieroszowskiego i [Jerzego] Giedroycia, bo już wtedy czy-

taliśmy „Kulturę” paryską, którą Janusz przerzucał.

Dyskutowaliśmy; to były nie tylko teoretyczne dyskusje, [ale] na przykład [o tym], czy możemy ukraść powielacz i maszynę do pisania z jakiegoś biura. Zastanawialiśmy się, czy jest sens, czy to jest etycznie słuszne. Doszliśmy do wniosku: może to jest etycznie słuszne, ale jak nas złapią, to będziemy siedzieli za włamanie i kradzież, a nie za ulotki, więc tego nie zrobimy.

Problemy z bezpieczeństwem

Po raz pierwszy też zetknęliśmy się na KUL – ja nie po raz pierwszy, ale to środowisko i Janusz – z działalnością bezpieczeństwa. Jeden z naszych kolegów z Wrocławia powiedział, że do niego bezpieczeństwa podchodzi. Chce go zwerbować.

Blok przy ulicy Gospodarczej 30, gdzie mieszkał Janusz Krupski. Zdjęcie z nagrania dla Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”. Na zdjęciu, oprócz Janusza Krupskiego, Karolina Kryczka i Łukasz Kowalski. 2007. Fot. Tomasz Czajkowski. Archiwum TNN.



Na sąsiedniej stronie: spływ kajakowy duszpasterstwa akademickiego o. Ludwika Wiśniewskiego. Na zdjęciu (od lewej): Janusz Krupski, Jerzy „Słoma” Słomiński, Anna Żórawska (ob. Samolińska), Przemysław Jasiński, Wiesław Parchimowski i Krzysztof Żórawski. 1977. Zbiory prywatne Anny Samolińskiej.

wać. Pracowaliśmy wspólnie, żeby się obronił. Mieliśmy różne tego typu problemy.

Brak potrzeb

Nie mówię o problemach życiowych, bo nie mieliśmy żadnych problemów życiowych, nie mieliśmy żadnych potrzeb. Jakiś obiad, zupa, trochę chleba, jabłko. Albo cebularz lubelski – smakował mi bardzo. Nieraz zjedliśmy po dwa cebularze i uważaliśmy, że zjedliśmy obiad. Można powiedzieć, że pod względem życiowym to byliśmy nawet nie tyle abnegatami, ile zakonnikami rewolucji.

Konferencja w Opolu i obóz w górach

W pewnym momencie nasze dziewczyny na roku zaczęły się martwić, bo na czwartym roku były jeszcze pannami, a tu takich paru chłopaków się marnuje. Próbowaliśmy nas złowić i nawet zorganizowały obóz w górach. To było w styczniu [1975 roku], już kończyliśmy studia i to był z ich strony rzut na taśmę. My tego [tak] nie odczuwaliśmy, dla nas nie był to w ogóle problem; widzieliśmy te dziewczyny, ale nie widzieliśmy, że dla nich [nasz brak zainteresowania] jest problemem. Co prawda mówiono, że na KUL mężczyźni przychodzą po to, żeby uniknąć wojska, a kobiety po to, żeby dobrze wyjść za mąż... To była teoria, śmialiśmy się z tego.

A one się zorganizowały. Okazało się też, że my mamy jechać z referatem do Opoła do Wyższej Szkoły Pedagogicznej na konferencję dotyczącą powstań śląskich. Z KUL-u zawsze tam jeździliśmy i zdobywaliśmy nagrody. Te konferencje były dla nas interesujące z dwóch względów: po pierwsze, były tam nagrody pieniężne, więc półtora tysiąca czy tysiąc wpadało – to były niezłe pieniądze – a po drugie, 92% studentów Wyższej Szkoły Pedagogicznej to były dziewczyny, więc można było oko nacieszyć. Więc chcieliśmy tam jechać,

a tutaj raptem nasze dziewczyny chciały koniecznie w czasie przerwy semestralnej na obóz. Musieliśmy napisać referat, więc pojechaliśmy tylko na trzy dni i wróciliśmy.

[Na obozie,] idąc na przełaj na Przegibek – to był Beskid Żywiecki – zabłądziliśmy. Okazało się, że musimy nocować w lesie w górach. Zima, minus dziesięć, minus piętnaście stopni. I tam Janusz pokazał swoją klasę – wspólnie tych ludzi zorganizowaliśmy. Wszyscy leżeli już na śniegu, zorganizowaliśmy ognisko, zostawiliśmy [ich] przy nim i poszliśmy po pomoc. Sami też zabłądziliśmy; mało co nie zamarzliśmy, ale jakoś udało nam się przeżyć. Janusz tam pokazał, że w sytuacji kryzysowej się nie poddaje. Wspólnie chyba uratowaliśmy całą tę grupę.

Działalność na wielu płaszczyznach

Jednocześnie działaliśmy na różnych płaszczyznach – Koło Historyków, samorząd studencki, klub „Więzi”, który zorganizował [Zdzisław] Szpakowski, duszpasterstwo akademickie o. Ludwika Wiśniewskiego. To duszpasterstwo było dla nas wyjściem poza getto KUL-owskie, bo wszystko [pozostałe] działo się na KUL-u. Wprawdzie klub „Więzi” był na zewnątrz KUL-u, jednak przychodziła tam większość KUL-owców. Do „Więzi” przychodziło tylko kilka osób, to było bardzo elitarne, a my szukaliśmy dojścia do mas, dojścia do Lublina.

Książki ze ZBoWiD

Pamiętam naszą radość, kiedy dotarły do nas pierwsze egzemplarze książek historycznych wydawanych na emigracji. Zdobył te książki Piotr Jegliński, który je ukradł z biblioteki ZBoWiD-u w Warszawie. Jakiś znajomy go dopuścił, powiedział: „Może pan pożyczyć dwie książki”, ale dopuścił go do szafy, która była zavalona tymi książkami. Oczy-



wiecie do ZBoWiD-u wysyłała [je] bezpieka, która książki konfiskowała, i celnicy. Książki nie były katalogowane, leżały na kupie, więc Piotruś szybko rozpiął płaszcz, marynarkę i napakował za koszulę chyba z dwadzieścia pozycji. Wyszedł gruby i okrągły. Daliśmy mu rozgrzeszenie: „Piotruś, to była kradzież słuszna, więc jak się jeszcze raz

dorwiesz, to nie miej żadnych zahamowań etycznych”. Niestety, już drugi raz go nie dopuścili¹.

Relacja nagrana 25 listopada 2010

Autoryzowana

Nagranie: Wioletta Wejman

Transkrypcja i redakcja: Piotr Krotofil

¹ Piotr Jegliński w swojej relacji dla Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” wspomina, że był w bibliotece ZBoWiD kilkakrotnie i większość książek jednak oddał – chociaż nie wszystkie.

Bożena Iwaszkiewicz-Wronikowska

Początki

Tym, który nas ze sobą skontaktował, był Jan Michał Krzemiński, ale kiedy i w jakich okolicznościach – zupełnie nie pamiętam. Myślę, że to musiało być w 1975 albo raczej w 1976 roku, kiedy powstawało pismo „Spotkania”.

Wtedy bardzo wiele się działo – spotykaliśmy się na KUL-u w gronie osób zaangażowanych w działalność opozycyjną. To na ogół wyglądało tak, że jak przychodziłam rano do pracy na KUL, to zaczynałam od rozejrzenia się po korytarzach – zawsze gdzieś stało kilka osób, które intensywnie dyskutowały. Czasami to było na dziedzińcu, czasami w słynnym barku KUL-owskim, który niestety już dziś nie istnieje, potem coraz częściej w celach konspiracyjnych spotykaliśmy się w katedrze pani profesor [Barbary] Filarskiej, która była osobą wyrozumiałą, a poza tym zaprawioną w konspiracyjnych działaniach, więc patrzyła na to przychylnie. W Katedrze Historii Sztuki Starożytnej i Archeologii Klasycznej – tak to miejsce wówczas się nazywało – wypijaliśmy hektolitry herbaty i rozmawialiśmy, rozmawialiśmy... I to się w ten sposób rozwijało. Dopiero potem zaczęły się spotkania u mnie w domu, najpierw bardzo kameralne, kilkuosobowe, potem coraz liczniejsze. Janusz był głównym motorem tych spotkań. Jemu przede wszystkim zależało na tym, żebyśmy się po pierwsze spotykali, po drugie, żeby te spotkania miały charakter nie tylko towarzyski, ale też formacyjny. I to dzięki niemu taki charakter przybrały. Coraz więcej było spotkań tematycznie związanych z samokształceniem. Słowem, Janusz był tego głównym sprawcą.

Niepozorny lider

Wszyscy podkreślają [jego] skromność, niepozorność. On był nawet fizycznie niepozorny – ubierał się zawsze tak samo. To był w tamtych czasach stały zestaw: czarny golf i na to marynarka w kolorze musztardowym; zawsze ubierał się w sposób niewyszukany. Nie przywiązywał najmniejszej wagi nie tylko do ubrań, ale też do tego, co jadł. Kiedyś zrobił mi przykrość. Próbowалам nakarmić go jakąś bardzo wyszukaną potrawą – miałam mieszkanie, byłam już osobą dorosłą, a oni, ci młodzi ludzie, którzy do mnie przychodzili, często prowadzili trochę cygański tryb życia, więc starałam się ich niekiedy nakarmić. Poczęstowałam Janusza jedzeniem, z którego byłam dumna, on jadł, a w trakcie posiłku rozmawialiśmy o wszystkim, jak zwykle, i ponieważ nie wyraził żadnej aprobaty dla mojej wyrafinowanej kuchni, zapytałam, czy mu smakowało. „Tak, a co to było?” – zapytał Janusz. On po prostu nie wiedział ani co je, ani w co się ubiera i nie było to dla niego ważne.

Czy był „charyzmatyczny”? To jest termin już dzisiaj trochę wyświechtany, wiele osób nazywa się charyzmatycznymi. Jeżeli chodzi o to, czy był przywódcą, to na pewno tak. Był osobą, którą nazwać można liderem naszego środowiska, ale nie przez cechy rzucające się w oczy, raczej przez to, co robił. On rzeczywiście skupiał wokół siebie ludzi i to było bardzo wyraźnie odczuwalne. Skupiał ludzi – na jakie sposoby? Tym, co robił i tym, co mówił, bo on mówił bardzo dużo.

Przez to, co mi powiedział w ciągu tych paru lat, stał się jedną z kilku naj-



Bożena Iwaszkiewicz-Wronikowska. Zbiory prywatne.

ważniejszych osób, jakie w życiu spotkałam. Potem wyjechał, ożenił się z Joasią i spotykaliśmy się sporadycznie, co kilka miesięcy, czasami nawet jeszcze rzadziej, ale to niczego nie zmieniło, bo nawet po wielu latach to on właśnie został ojcem chrzestnym mojej najmłodszej córki, nadal był tą osobą, którą uważałam za jedną z najważniejszych i za jednego z niewielu moich naprawdę ważnych przyjaciół. Właśnie to, co mówił, zmieniło moje postrzeganie świata. Mój sposób myślenia o historii, o Kościele w bardzo wielkim stopniu zmienił się dzięki temu, co od niego usłyszałam, i dzięki temu, co on robił później razem z innymi.

Jeżeli chodzi o stronę ideową, to za [liderów] uchodzili wtedy w naszym środowisku dwaj panowie starsi, czyli Adam Stanowski i Zdzisław Szpakowski. Oni byli mentorami. Janusz Bazydło mówił znacznie mniej, ale myślę, że był nie mniej ważną postacią, tyle tylko, że nie miał takich jak Krupski umiejętności gromadzenia ludzi wokół siebie i w związku z tym to jednak Janusz [Krupski] był tą osobą pierwszoplanową.

[Janusz Krupski] nadawał kierunek naszym dyskusjom. Ja zapraszałam osoby, o których wiedziałam, że mogą być w tych dyskusjach przydatne. Czasami on sugerował, kogo powinnam zaprosić. On też w trakcie tych dyskusji był oso-

bą, która mówiła najwięcej, która najczęściej zabierała głos i z której głosem trzeba było się liczyć. Nawet jeżeli nie zawsze się zgadzaliśmy, to na pewno był to głos znaczący.

Dyskusje o książkach, spory o historię Polski

Wszędzie, gdzie się spotykaliśmy, natychmiast wchodziliśmy w poważne dyskusje. Kiedyś na korytarzu KUL-owskim rozmawialiśmy o czymś i wtedy wydało się, że ja nie czytałam *Rodowodów niepokornych* Bohdana Cywińskiego. I pamiętam, jak Janusz spojrzał na mnie zgorzony i powiedział: „Co? Nie czytałaś? Jak mogłaś tego nie przeczytać? Przecież to jest takie ważne”. No więc oczywiście potem natychmiast to przeczytałam, bo „to jest takie ważne”. To była jedna z wielu lektur, które przeczytałam dzięki niemu – dzięki temu, że on mi je w ogóle pokazał. Ja przyjechałam ze środowiska, które w ogóle się nie interesowało takimi sprawami. Studiowałam w Warszawie na uniwersytecie archeologię śródziemnomorską i nasze zainteresowania były bardzo odległe od spraw takich jak historia Polski, a tutaj okazało się, że to jest ważne. Pamiętam na przykład, jak kłóciliśmy się o Katyń, bo Janusz uważał, że to jest sprawa pierwszej wagi. Interesował

Janusz Krupski przed blokiem na ulicy Weteranów 17, gdzie w mieszkaniu Bożeny i Janusza Wronikowskich odbywały się cotygodniowe spotkania tzw. salonu „Spotkań”. 2007. Fot. Tomasz Czajkowski. Archiwum TNN.



się Katyniem i na różne sposoby próbował nas też [tym] problemem zaabsorbować, a ja byłam zdania, że Katyń to jest jedna z wielu zbrodni komunistycznych i niekoniecznie największa. Pamiętam, żeśmy się bardzo zażarcie kłócili o to i właśnie te kłótnie, te dyskusje powodowały, że weszłam w zupełnie inny świat. Okazało się, że to właśnie jest sprawa najwyższej wagi – to nasze zainteresowanie historią – po to, żeby przeobrazić rzeczywistość, żeby zmienić teraźniejszość. Ja interesowałam się historią od dziecka, ale w inny sposób. Interesowała mnie bardziej Polska Piastów niż okres dwudziestolecia międzywojennego czy czasy powojenne, kiedy nasza rzeczywistość się kształtowała. A potem okazało się, że aby to zmieniać, trzeba wiedzieć o historii znacznie więcej. Wtedy dopiero zaczęło się czytanie książek na temat czasów rozbiorów, powstania, dwudziestolecia międzywojennego, okresu powojennego, słowem – żeby zrozumieć to, co się działo wówczas, trzeba było troszeczkę doksztalcć się od strony historii najnowszej.

Zaangażowanie w życie Kościoła

Ja zawsze byłam katoliczką, ale moje zaangażowanie ograniczało się w najlepszym razie do duszpasterstwa akade-

mickiego – byłam związana z jezuitami w Warszawie, ale tylko na tyle, na ile mnie to było potrzebne, do rozwiązywania takich moich całkiem osobistych duchowych problemów; chodziłam sobie tam na spotkania, jeździłam na pielgrzymki akademickie i tyle. Nigdy wcześniej natomiast nie przyszło mi do głowy, że my jesteśmy za Kościół odpowiedzialni jako katolicy. A tutaj okazało się, że jesteśmy bardzo odpowiedzialni i że w związku z tym musimy interesować się tym, co się dzieje w Kościele. Czytaliśmy wtedy pilnie wszystkie sprawozdania z Konferencji Episkopatu, wszystko, co dotyczyło Kościoła. To też było dla mnie coś zupełnie nowego, wręcz zaskakującego na początku i bardzo interesującego – właśnie takie zaangażowanie, na różne sposoby, w życie Kościoła. I stąd też ten cykl spotkań w naszym domu dotyczących różnych ruchów wewnątrz Kościoła: młodzieżowych i intelektualnych, które rozwijały się w okresie międzywojennym i w czasie wojny.

Gotowość do niesienia pomocy

Był człowiekiem dobrym, to znaczy takim, którego stosunek do innych ludzi był odpowiedzialny i jednocześnie pełen empatii. Ja byłam w trudnej sytuacji rodzinnej o tyle, że mój mąż pracował poza



domem i sama musiałam sobie radzić z dwójką wówczas małych dzieci. Pracowałam i zdarzało mi się dość często, że nie miałam nikogo, kto tymi dziećmi mógłby się zająć, ale zwykle sobie jakoś tam radziłam. Raz była sytuacja, w której absolutnie sobie nie poradziłam, to znaczy nie znalazłam nikogo, żadnej opiekunki do dzieci, a musiałam pójść do pracy. Janusz bardzo często przychodził do mnie – myśmy rzeczywiście bardzo wiele godzin przegadali – i w czasie jednej z tych rozmów zauważył, że coś jest nie tak. Ja mu powiedziałam, jaki mam problem, i on zaproponował: „No, to ja zostanę”. Dlaczego to było takie zaskakujące? Dlatego, że on nie miał w ogóle wyobrażenia o tym, co się robi z małymi dziećmi. Jego stosunek do spraw codziennych był kompletnie nieracjonalny, zupełnie te sprawy dla niego nie istniały; ja nie wiem, jak on w ogóle funkcjonował w życiu codziennym, w każdym razie na pewno nie miał pojęcia, co się robi z małymi dziećmi. Moja córka była wtedy zupełnie malutka, miała kilka miesięcy, jeszcze nie chodziła. Ja go zostawiłam z tą właśnie malutką Klarą i mam w oczach obraz Janusza, który siedzi na krześle i zeszytniały z emocji trzyma na kolanach tę moją małą Klarę. Został, bo wiedział, że potrzebuje pomocy. Szczęśliwie, jak wróciłam do domu, zastałam ich oboje w dobrej kondycji, bardzo sobie dobrze poradzieli. To był dla mnie moment, w którym przekonałam się, że to jest człowiek, na którego można liczyć w potrzebie. To jest bagatelne, taka anegdotka, ale dla mnie to było niesłychanie ważne wtedy. Prosiłam o pomoc różnych znajomych i każdy miał ważniejsze sprawy. Janusz też miał ważniejsze sprawy, ale widocznie uznał, że trzeba mi pomóc – i to zrobił. To jest tylko jeden z bardzo wielu przykładów ilustrujących właśnie tę jego cechę.

Wiem, że pomagał wielu osobom, czuł się zobowiązany do wspierania swoich

przyjaciół, swoich kolegów, zwłaszcza ze środowiska „Spotkań”. I to też trzeba o nim powiedzieć – on chciał, żebyśmy byli czymś więcej niż tylko grupą znajomych. Chciał stworzyć tutaj środowisko ludzi, którzy razem coś robią, których wiąże jakieś poważniejsze niż przygodna znajomość relacje i myślę, że to mu się udało, bo my do dzisiaj jesteśmy związani, chociaż spotykamy się bardzo rzadko. Ale to niczego nie zmienia – czujemy tę więź. I Janusz troszczył się o to. Dbał o nas wszystkich, interesował się tym, jak sobie radzimy. Jeżeli ktoś sobie nie radził, to [Janusz] był pierwszym, który był chętny do pomocy na tyle, na ile mógł to zrobić, właśnie tak jak z tą Klarą.

Moim zdaniem gotowość do pomocy przyjaciółom na różne sposoby to była jedna z jego najważniejszych cech.

Małżeństwo Krupskich

W stanie wojennym te spotkania, które odbywały się u mnie na ulicy Strzeleckiej, już były coraz mniej „spotkaniowe”, bo wszyscy koledzy rozproszyli się po różnych „internatach” i Janusz też się ukrywał. Ja wtedy właśnie, przy okazji którejś akcji w stanie wojennym, poznałam Joasię.

Pamiętam też, że Janusz dawał mi jakieś polecenia, które miałam jej przekazać, bo to, że się ukrywał, nie przeszkadzało mu przychodzić do nas na ulicę Strzelecką, do mieszkania, które było infiltrowane. Ale nie znałam ich wcześniej jako pary. Inni moi znajomi wspominają właśnie ten okres, kiedy oni byli parą narzeczeńską, ale ja już wtedy wyjechałam na dłużej, ponadto początek lat 80. to był czas, kiedy nasze spotkania już były zdecydowanie sporadyczne. Pamiętam Joasię jako bardzo piękną panienkę i właśnie taką, która też od początku była zaangażowana w różne sprawy i dość szybko najwyraźniej odnaleźli się na KUL-u.

Ich małżeństwo było w moich oczach związkiem idealnym w tym sensie, że

znakomicie się uzupełniali, robili mnóstwo ważnych rzeczy razem. Byłam na ich ślubie w Laskach, do dzisiaj to pamiętam jako piękną, wspaniałą uroczystość, nie tylko sam ślub, bo wesele też było fantastyczne, z udziałem tak zwanych Muminków, tych wszystkich, którymi się oboje opiekowali.

Od tamtej pory to już „oni”. Parę razy byli z dziećmi u nas na kolędowaniu i to zawsze były spotkania dla mnie ważne. Nawet jeżeli były tylko przelotne i niedługie, to zawsze były istotne i nawet krótka rozmowa z nimi była dla mnie niezmiennie czymś ważnym.

Zaangażowanie w sprawy publiczne

[Przez lata] nic się nie zmienił. Nadal był zaangażowany – w Muminki (już z Joasią), potem w pracę w „Solidarności”, potem w kombatantów – to była wciąż ta sama aktywna postawa. Cały czas był człowiekiem zaangażowanym w sprawy publiczne, do końca. Kiedy widziałam na [jego] pogrzebie kombatantów i słyszałam to, co mówili, przekonałam się po raz kolejny, że tutaj nic się nie zmieniło.

Musiał myśleć o rodzinie, więc na pewno sprawy tak zwane bytowe też

znalazły miejsce w jego horyzoncie, ale to chyba wciąż nie było jedynie ważne. Bardzo jestem ciekawa, jak Joasia to wszystko organizowała, myślę, że ona musiała go w pewnym sensie przymusić do tego, żeby zszedł na poziom spraw bardziej codziennych, ale tego już nie wiem, tego już z bliska nie widziałam. Natomiast wiem, że był do końca zaangażowany w sprawy istotne.

Tak się stało, że jak już założył rodzinę, to musiał przenieść się do Warszawy i tam nadal współpracował ze „Spotkaniami” – już nowymi, to znaczy Editions Spotkania. Kontakty, bardzo bliskie i znacznie częstsze niż ze mną, utrzymywał z innymi kolegami, którzy mieszkali bliżej. Wiem, że na różne sposoby starał się im pomagać.

Ostatnie spotkanie, ostatnia rozmowa

Ostatnie nasze spotkanie miało miejsce na zjeździe zorganizowanym w grudniu ubiegłego roku [2009] przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, którym Janusz kierował w Warszawie. [Było to] spotkanie opozycjonistów z opozycji jeszcze przedsierniowej i tam nasze grono „spotkaniowe” było licznie reprezentowane. Rozstali-



Kombatanci zgromadzeni na mszy żałobnej w intencji Janusza Krupskiego w kościele św. Marcina w Warszawie. 2010. Fot. Mariusz Kubik. Archiwum „Kombatanta”.

śmy się, postanawiając, że trzeba dalej organizować spotkania, bo są nam wszystkim potrzebne. Ta idea spotkania, nie tylko [środowiska] „Spotkań”, ale też w ogóle idea spotykania się ludzi, była czymś, co on do końca próbował nam przekazać jako coś ważnego. I ostatnia nasza rozmowa [twarzą w twarz] była na temat następnego spotkania, które musi być, bo są to wciąż ważne rzeczy.

A ostatnia moja rozmowa z nim [w ogóle] to już tydzień przed wypadkiem – dzwonił jak zwykle z życzeniami przed świętami Wielkiej Nocy, w Wielką Sobotę. Ja mu przerwałam dosyć niegrzecznie, bo śpieszyłam się bardzo, byłam zajęta przygotowaniami – szykowałam koszyczek ze święconym. Mówię mu: „Szybko mów, bo ja właśnie biegnę do kościoła”. On na to: „Wiesz, ja też cały czas się śpieszę i nawet w weekendy jestem zajęty, pracuję, to tak nie powinno być”. I to była nasza ostatnia rozmowa, właśnie o tym, że żyjemy w zbyt wielkim pośpiechu.

Zapamiętany obraz – człowiek w akcji

Przypominam sobie różne momenty, w których Janusz zawsze jest w akcji. Nigdy nie jest zrelaksowany, spokojny. Kiedy oglądałam niedawno jego zdjęcia z rodziną i widziałam, jak sobie siedzi w słomkowym kapeluszu w otoczeniu swoich dzieci, to patrzyłam na te zdjęcia z przyjemnością, ale i zdziwieniem, bo oglądałam go właśnie w zupełnie innej roli, niż ta, z której ja go znałam. A ja znałam go jako człowieka, który cały czas coś mówi, coś robi, gdzieś pędzi, z kimś dyskutuje, rozmawia – to jest obraz, który mam, i tak było zawsze, innego Janusza nie pamiętam.

Stosunek do rzeczywistości

Nie sądzę, żeby był spokojnym człowiekiem, ja zawsze miałam wrażenie, że cały czas w nim buzuje. On był zewnętrznie opanowany, ale widziałam go wiele

razy w sytuacjach, w których nie tylko był zdenerwowany, ale reagował bardzo emocjonalnie. Poza tym, ponieważ był człowiekiem niewątpliwie bardzo wrażliwym, to na rozmaite sytuacje reagował silnymi emocjami... które rzeczywiście opanowywał... ale my spędziliśmy ze sobą tyle godzin, że dzięki temu (tak myślę) umiałam zobaczyć jego pierwsze emocje i jego reakcje. Był opanowany, ale to były tylko takie zewnętrzne pozory. Nie był spokojnym człowiekiem, takim, o którym można było powiedzieć, że jest mu na przykład wszystko jedno czy ze stoicko znosi różne rzeczy. Nie, chyba nie.

W Lublinie i w Warszawie

Lublin jako miasto na pewno [miał dla niego znaczenie], bo nie dość, że tutaj się wychował, skończył szkoły, to jeszcze [tu był] KUL, ważny na pewno dla niego jako miejsce, w którym dojrzał i w którym kształtowały się jego poglądy polityczne. To, że tutaj powstały „Spotkania”, było istotne do końca, to znaczy nawet wtedy, kiedy już nie mieszkał w Lublinie. Ilekroć się spotykaliśmy, miałam wrażenie, że on jest jakby na emigracji. A może to jest tylko moje wrażenie, bo ja do niego miałam pretensje o to, że wyjechał do Warszawy?

Wiadomo, że tak było trzeba, ale żał mi było trochę nie tylko tego, że on stąd musiał wyjechać, ale też tego, że tam w Warszawie nie był już tak ważną osobą, jaką był tutaj. Tutaj rzeczywiście go docenialiśmy, dla nas był osobą zdecydowanie wyróżniającą się w lubelskim środowisku, a w Warszawie to już było coś innego. Myślę, że mógłby znacznie więcej znaczyć, gdyby został tam właściwie doceniony, a tak chyba się nie stało. To, co robił, było bardzo ważne, ale myślę, że mógłby zdziałać jeszcze więcej.

Relacja nagrana 31 maja 2010

Autoryzowana

Nagranie: Wioletta Wejman

Transkrypcja i redakcja: Piotr Krotofil

Joanna Krupska*

Dobra atmosfera KUL-u

Wybrałam psychologię na KUL-u, bo odpowiadał mi jej profil filozoficzny. W tamtym czasie psychologia była specjalizacją na Wydziale Filozoficznym i przez pierwsze dwa lata realizowany był program filozoficzny: metafizyka, logika, historia filozofii etc. Dopiero na drugim roku dochodziły przedmioty psychologiczne. Wtedy miałam bardzo intelektualne podejście do świata, interesowała mnie antropologia, bardziej niż być psychologiem, chciałam zrozumieć, kim jest Człowiek.

Bardzo dobrze zdałam egzamin wstępny, miałam poczucie sukcesu. To był dla mnie rodzaj inicjacji w dorosłe życie. Na KUL-u czułam się dobrze. Podobał mi się bardzo budynek, piękne, przytulne podwórze, gdzie można było siedzieć na trawie. Panowała przyjacielska atmosfera i w gronie profesorów, i wśród studentów.

Na pierwszym roku zaangażowałam się w działalność teatru Mądzika. Wcześniej, w liceum, pasjonowałam się teatrem, było to więc przedłużeniem moich teatralnych zainteresowań. Najlepiej pamiętam *Wilgoć*, którą przygotowywaliśmy, robiąc maski i wykonując scenografię, a potem [grając] przedstawienia w Lublinie i innych miastach. [Pamiętam] spotkania teatrów studenckich.

W końcu pierwszego roku zaręczyłam się z Jankiem Chomickim, którego znałam z Sekcji Kultury warszawskiego KIK-u.

Wakacje spędziłam w Belgii, opiekując się dziećmi w rodzinie, w której pracowałam już dwa lata wcześniej, oraz we wspólnocie l'Arche w Brukseli.

Ktoś istotny

Właśnie przez Janka Chomickiego, który współpracował ze „Spotkaniami”, poznałam Janusza. To była jesień 1978 roku. Janek przedstawił mnie Januszowi jako swoją narzeczoną, razem poszliśmy do kawiarni koło KUL-u. Janusz zupełnie nie zwracał uwagi na moją obecność. Omawiał jakieś ważne sprawy z Jankiem, a mnie traktował jak powietrze.

Wyglądał bardzo oryginalnie, chodził w czarnym, wielkim berecie, bardzo się tym wyróżniał. Czasami miał biały płaszcz – często stawał w bramie KUL-owskiej i czekał na różne osoby, z którymi się spotykał. Był elementem krajobrazu KUL-owskiego.

Poznając Janusza, miałam poczucie, że poznaję kogoś istotnego. Był osobą rozpoznawalną na KUL-u, wszyscy wiedzieli, że to jest Janusz Krupski, lider środowiska „spotkaniowego”. Otaczała go aura pewnej niezwykłości. Wiadomo było, że są osoby, które nie chcą mieć z nim do czynienia, że lepiej się trzymać z daleka, jak się nie chce mieć kłopotów.

W Lublinie

Mój związek z Jankiem Chomickim nie bardzo się kleił. W końcu, w grudniu, zerwałam zaręczyny. To było w Brańszczyku, byliśmy tam z wizytą większą grupą, w domu opieki społecznej.

Wracając z Brańszczyka, miałam wypadek samochodowy. Poważne uszkodzenie kolana i połamanie nogi. Początkowo ryzyko amputacji. Operacja, szpital. Po wyjściu ze szpitala włączyłam się w tworzenie wspólnoty „muminkowej” – „Wiary i Światła” w Warszawie. Jednocześnie, z nogą



Joanna Krupska. Fragment z s. 87.

* Treść tekstu tłumaczy się tym, że stanowi odpowiedź na pytania prowadzącej wywiad. Stąd między innymi tak rozbudowana część dotycząca mojej osoby [J.K.].

w gipsie, przyjeżdżałam do Lublina zaliczać egzaminy.

W Lublinie mieszkalam z koleżanką, Lucyną Mac, na stacji – było to dwu- lub trzypokojowe mieszkanko na Czechowie. Pamiętam, że pomalowałam sobie cały pokój w gałęzie, które zamiast liści miały oczy. Miałymy sporo znajomych i urządzaliśmy w naszym studenckim mieszkaniu różne spotkania. Obowiązywała zasada, że chyba od pół do dziewiętej do dziewiętej, już nie pamiętam dokładnie, było pół godziny ciszy. Niezależnie od tego, kto przychodził w gości, obowiązywała cisza.

Pamiętam taki dzień, kiedy przyszedł Janusz z kolegą, chyba Wojtkiem Oraczem, na opowieści na temat l'Arche – wspólnot z upośledzonymi umysłowo, które poznałam w Belgii. Spotkanie zakończyło się śpiewaniem pieśni patriotycznych, które intonował Janusz z Wojtkiem. Było wesoło.

Miałam wtedy bardzo dużo znajomych i przyjaciół, w tym także umysłowo upośledzonych. Coraz mocniej wciągało mnie życie wspólnoty „Wiary i Światła”, tzw. Muminków. W czasie wakacji przyjechała wspólnota belgijska, w której byłam poprzedniego lata, i razem z warszawską grupką „muminkową” pojechaliśmy na obóz do Białki.

Trzymiesięczny staż we Francji

Miałam problemy ze zrostem kości, nie było wiadomo, czy w ogóle się zrosną, bo zrobił się [tak zwany] staw rzekomy. Dostałam specjalny aparat, w którym chodziłam z dosyć dużym trudem. Nie było mowy o uczęszczaniu na zajęcia. Cekał mnie przeszczep kości, który dawał 50% szansy na jej zrost. Wydawało mi się, że ponieważ dobrze zaliczyłam poprzedni rok, to otrzymam pozwolenie na dalsze eksternistyczne studiowanie. Ale odmówiono mi. Było to dla mnie absolutnym szokiem i przeżyciem odrzucenia ze strony uniwersytetu. Pamiętam, że kiedy wyszłam z rozmowy, usiadłam

w tym całym aparacie na podłodze i płakałam. Wtedy pojawił się Janusz, siedział tam ze mną na tej podłodze i mnie pocieszał.

Wzięłam urlop dziekański na rok i pojechałam na trzymiesięczny staż do Francji. Kiedy wybierałam się do Francji, wezwano mnie na rozmowę do Urzędu Bezpieczeństwa. Rozmawiałam z jakimś urzędnikiem, który dał mi do zrozumienia, że powinnam bardzo uważać na swoje kontakty, bo następnym razem mogę nie dostać paszportu. Zrozumiałam, że to chodzi o osobę Janusza, że jeżeli chciałabym się z nim spotykać, to będę miała nieprzyjemności. Ten paszport wtedy dostałam, ale z takim ostrzeżeniem.

Pojechałam więc do Francji, do wspólnoty l'Arche w Trosly, gdzie spotkałam, wtedy siedemdziesięcioletniego, o. Thomasa Philippe'a, współzałożyciela l'Arche. Jego nauczanie i osoba wywarły na mnie ogromne wrażenie. Zaprosiłam o. Thomasa do Polski. Po pewnym czasie przyjechał poprowadzić rekolekcje w Łomży.

Przenikanie się środowisk

Po trzech miesiącach we Francji byłam z powrotem w Polsce. Kości się zrosły i mogłam wracać na studia. Bardzo chciałam, żeby w Lublinie powstała wspólnota „Wiary i Światła”.

Mieszkaliśmy wtedy z Asią Turnau w kawalerce na ulicy Szarych Szeregów. Na nasze pierwsze spotkanie założycielskie przyszli także Janusz Krupski i Antek Mężydło – koledzy z tamtych czasów. My z kolei z Aśką też czasami bywałyśmy u Wronikowskich na spotkaniach środowiska „Spotkań”. Studiowałam i byłam bardzo zaangażowana w kontakty z rodzinami z ludźmi upośledzonymi, nie bardzo miałam czas na cokolwiek innego. Potem były też pierwsze obozy wspólnoty lubelskiej. Pierwszym kapłanem był ks. [Romuald] Waszkinel, później ks. [Andrzej] Szostek – on był

z nami na pierwszym obozie. Później praktykowali u nas klerycy mariańscy.

Na te spotkania czasami przychodził też Janusz, nasza znajomość w tamtym okresie się zacieśniała. Pamiętam, że przychodził także do nas, do kawalerki, w której mieszkaliśmy z Aśką, na herbatki. Czasem przynosił coś do herbaty. W tamtym okresie szalenie się interesowałam ikonami. Z rodzinnych albumów wycinałam reprodukcje ikon, naklejałam na deski – i najczęściej rozdawałam jako prezenty. Kiedyś Janusz przyszedł z taką wielką deską i ofiarował mi ją na te ikony. Ale po dwóch dniach pojawił się znów: „Wiesz co, strasznie cię przepraszam, ale okazało się, że to była deska do prasowania mojej mamy. Czy możesz mi ją zwrócić?” – spytał. „Za późno, pościęta” – odpowiedziałam. Bardzo był zmartwiony.

Ja miałam swój krąg znajomych, Janusz swój, to były inne środowiska. One się jakoś spotykały, przenikały. U nas czasem pojawiał się Janusz, czasem Antek, u Bożeny Wronikowskiej Tesia Tomasiak-Śmiechowska albo Ula Koziarska.

„Spotkania” czytywałam, ale nie miałam czasu na to, żeby głębiej wejść i w tamto środowisko, i w treść wydawa-

nego pisma. Byłam wtedy bardzo mocno zaangażowana w życie osób upośledzonych, w życie naszej grupy. Był to okres, kiedy zastanawiałam się, że być może w ogóle nie będę zakładała rodziny, że będę się tylko tym w życiu zajmować.

To, co robił, było mi bliskie

Działalność Janusza, choć się w nią nie angażowałam, była mi bliska. Myślę, że [było tak] przez rodzinny atawizm i historię mojej rodziny od strony mamy mojej mamy, która była Rosjanką. Rosyjskie korzenie zawsze były bardzo istotne dla mnie, jeszcze w liceum przechodziłam przez fascynację kulturą rosyjską, prawosławiem, byłam nawet bliska przejścia na prawosławie. Na pierwszym i drugim roku studiów częściej chodziłam do cerkwi niż do kościoła. To o. Tomasz z powrotem przekonał mnie do katolicyzmu. W mojej rosyjskiej rodzinie żywy był jeszcze mit przodka dekabrysty, Lwa Dawydowa, który został zesłany na Syberię. Jego żona zostawiła czwórkę dzieci i pojechała za nim; tam na Syberii urodziła jeszcze czworo dzieci, później, kiedy umarł, ona wróciła do domu. Była legendą rodziny, otaczaną wielkim szacunkiem. Później bardzo



Ulica Puławska i osiedle, na którym znajdowała się stacja Joanny Pużyny i Joanny Turnau (na ulicy Szarych Szeregów). 1972. Fot. Marian Budzyński. Archiwum TNN.

istotne wydarzenie – mój pradziad, prawy człowiek, uczciwy przedsiębiorca rosyjski, jeden z bogatszych ludzi w Rosji przedrewolucyjnej, Mikołaj von Meck, syn pani Nadieždy von Meck, został przez komunistów zamordowany i ogłoszony zdrajcą narodu. Babcia po śmierci dziadka nie miała pozwolenia na przebywanie w Moskwie, jedna z jego córek przeszła przez więzienia, przez Syberię. Rodzeństwo Mikołaja w większości umarło na Syberii. Moi cioteczni dziadkowie zginęli jako białogwardziści w walkach z bolszewikami. Jakieś piętno, które odcisnęło się na mojej rodzinie, i we mnie pozostało. Dlatego te sprawy, sprawy wschodnie, którymi Janusz się zajmował, i jego antykomunizm, były czymś dla mnie ważnym, trafiały w coś głębokiego we mnie, coś może nawet wręcz podświadomego. Czułam, że to, co on robi, jest mi bardzo bliskie.

Dom otwarty u Wronikowskich

[Na spotkaniach u Bożeny Wronikowskiej] było bardzo sympatycznie, bardzo przyjacielsko. Bożena jest osobą szalenie ciepłą, otwartą, bezpośrednią. Janusz, jej mąż, zresztą też. Oboje byli bardzo gościnni. To był dom otwarty i wszyscy się czuli jak u siebie. Mieszkanie było niewielkie. Wchodziło się do przedpokoju, później do większego pokoju, prosto, skromnie urządzonego. Zwykle mieszkanie w domu, to nie był blok, ale kamienica¹.

Spotkania zaczynały się wykładem osoby zaproszonej, a potem była dyskusja. Ten schemat przypominał zebrania Sekcji Kultury w warszawskim KIK-u. Tutaj, ponieważ wszystko odbywało się w domu, w mniejszej przestrzeni, panowała atmosfera bardzo rodzinna i ciepła. Bożenka dbała o każdego gościa.

KUL

KUL był w pewnym sensie ojczyzną dla nas obojga. Dla Janusza bardziej, bo Janusz był dłużej czas z KUL-em i z wie-

loma ludźmi z KUL-u związany. KUL go uformował. Bardzo ciepło wspominał atmosferę tamtych lat [oraz] wielu ludzi, z którymi był do końca życia przyjaźniony; [traktował ich] prawie jak swoją rodzinę. Janusz był bardzo wierny w przyjaźni.

Z Januszem związałam się bliżej już w samym końcu studiów. KUL był miejscem, w którym się poznaliśmy, w którym spotykaliśmy się, w KUL-owskiej bramie pierwszy raz Go zobaczyłam.

Lublin – ulubione miasto

Po Lublinie dużo chodził. Nie używał środków lokomocji, z ulicy Gospodarczej, gdzie mieszkał, wszędzie docierał pieszo. Lublin był jego ulubionym miastem, był z tym miastem zrośnięty, znał wszystkie uliczki, zakamarki. Dla niego Lublin był miastem, w którym się urodził, wychował, uczył [się], studiował. Dla mnie [był] tylko miejscem studiów.

Potem, jako małżeństwo, jeszcze przez krótki czas mieszkaliśmy pod Lublinem – w okresie, kiedy pracowałam na KUL-u jako asystentka na Wydziale Pedagogiki – w wynajętym przez Janusza domku (a raczej baraku).

Stan wojenny

Jako para zaczęliśmy funkcjonować tuż przed wybuchem stanu wojennego. Nasze drogi się zaczęły zbliżać, zaczęliśmy myśleć o sobie poważnie. Kilka dni przed wybuchem stanu wojennego jechaliśmy razem we dwójkę pociągiem. Siedzieliśmy blisko siebie i całą drogę dyskutowaliśmy. On wtedy jechał do Warszawy, a potem gdzieś do Gdańska. Kiedy wybuchł stan wojenny i Janusz wrócił do Lublina, przyszedł do nas, do mnie i Aśki. Ja byłam wtedy w komitecie strajkowym KUL, bo w czasie strajku studenckiego organizowałam wyjścia grup studenckich do domów opieki społecznej i do domów dla osób upośledzonych umysłowo. Z powodu tej działalności zostałam wybrana

¹ Mieszkanie państwa Wronikowskich, w którym spotykało się środowisko „Spotkań”, znajdowało jednak w bloku przy ulicy Weteranów.

do komitetu strajkowego. Nie bardzo wiedzieliśmy, co w ogóle będzie dalej. Janusz powiedział, że aresztują różne osoby, nie wiadomo było, jak szerokie będą te aresztowania. Uważaliśmy, że ponieważ jestem wpisana w komitecie strajkowym, to bezpieczniej będzie, jeśli także zacznę się ukrywać. Po dwóch dniach stwierdziliśmy, że na pewno nie będę osobą poszukiwaną, więc normalnie wróciłam do domu, natomiast Janusz wtedy zatrzymał się u pewnej starszej pani.

Wspólna Wigilia 1981

Kiedy przeprowadził się z tego mieszkania u starszej pani, chyba godzinę później była tam rewizja. Potem mieszkał u moich znajomych. Wyjechałam do Warszawy, tam go zostawiając.

To był okres świąt, więc pomyślałam, że na te święta będzie sam i że jednak

spróbuję się wybrać do niego. Jakies lewe papiery musiałam sobie wtedy wyrobić, gdzieś tam nakłamać w urzędach, że do jakiegoś wujka jadę (bo wtedy tylko za przepustką można było zmieniać miejsca pobytu i tylko z powodów rodzinnych). Więc coś tam nakłamałam i dostałam przepustkę. Przyjechałam na Wigilię do Janusza, do mieszkania, gdzie się ukrywał. Tam robiliśmy sobie taką listę, kogo byśmy zaprosili na wspólną Wigilię. W pierwszy dzień świąt wróciłam do domu.

Ukrywanie się

Po moim powrocie do Lublina na studia spotykaliśmy się często. Zbliżaliśmy się do siebie. Zaczynaliśmy myśleć o wspólnej drodze. Ale nie wiadomo było, jak myśleć o przyszłości, co będzie dalej. Baliśmy się, że Janusza złapią, że ktoś go rozpozna. Pamiętam, że jak wychodził

Dziedziniec KUL. 1977. Fot. Janusz Kolasa. Archiwum Uniwersyteckie KUL.

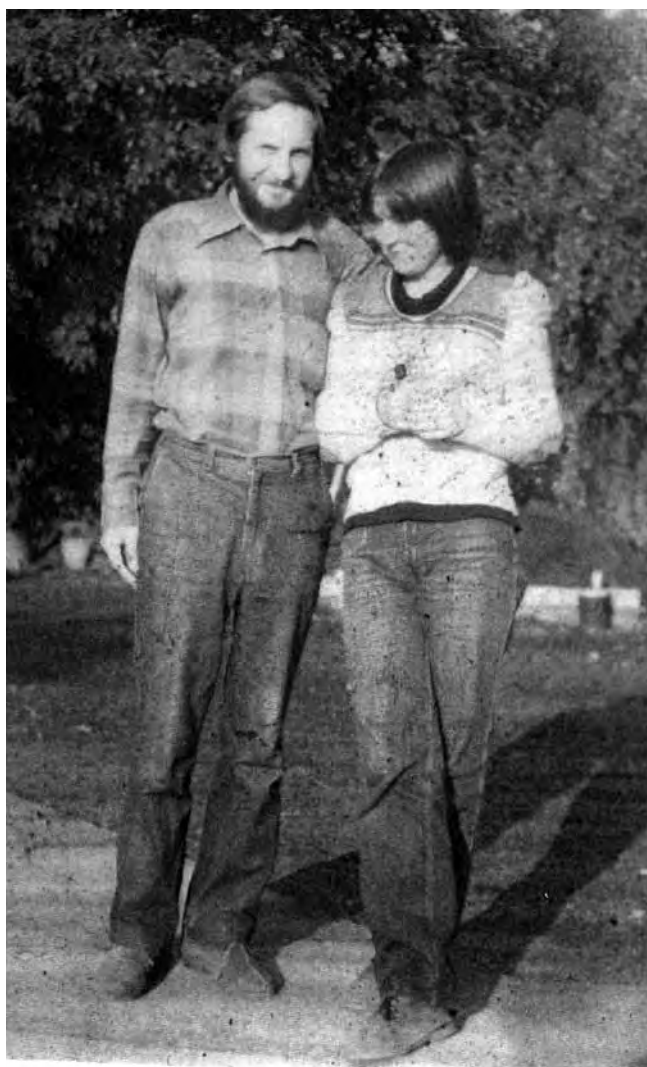


Część II. Wspomnienia opowiedziane

na spacer, robił się coraz bardziej napięty, w ogóle nie bardzo chciał wychodzić z domu. Jak kiedyś go namówiłam na wyjście, już było ciemno, z daleka na końcu ulicy ktoś się pojawił i on od razu chciał z powrotem wracać do domu.

Atmosfera z czasem robiła się ciężka, lęk narastał. Później stwierdziliśmy, że będzie bezpieczniej ukrywać się w Warszawie. Wydawało się, że tam będzie mniej rozpoznawalny. Jechaliśmy pociągiem – napięcie było straszne – być

Joanna Puzyna i Janusz Krupski jako para. Ok. 1980. Zbiory prywatne Joanny Krupskiej.



blisko ludzi, w tłumie, wszędzie może być ktoś, kto może go rozpoznać, wydać. Ogromne napięcie. Później, jakśmy przyjechali do Warszawy, nie chciał wsiąść do żadnego środka lokomocji. Bał się, że zostanie złapany w autobusie i że nie będzie mógł uciec. Szliśmy więc na piechotę przez całe miasto. Zrobił mi się po tej wycieczce stan zapalny w nodze – bo wciąż miałam w niej śruby. Musiałam pójść do szpitala na ich wyjęcie.

Janusz mieszkał dość długo u Krzyżków Jedlińskich. Na dłuższy pobyt przygarnęli go potem państwo Petykiewiczowie. Przez krótki czas mieszkał u Uli Gromysz. Zawsze z wdzięcznością myślał potem o tych osobach, które udzielały mu schronienia. Pamiętam sytuację, kiedy załatwiłam Januszowi u kogoś kryjówkę i dwa dni później miałam telefon, że bardzo proszą, żeby zabrać jednak Janusza, bo się boją, nie mogą sobie pozwolić na taki strach, że przyjdzie do nich milicja, że może po prostu się coś wydać, więc znowu trzeba było szukać miejsca. To był dla mnie bardzo trudny moment.

Jak się szło na takie spotkanie, czy w jakiegokolwiek miejsce, to trzeba było krążyć, zmieniać środki lokomocji, żeby w razie czego zgubić „ogon”. A potem okazało się, że i tak wszystko było na palu, wszystko było śledzone, a myśmy w taką grę grali, wierząc, że nikt o nas nie wie.

Pamiętam, jak Janusz przyjechał do Lublina, bo jego ojciec był w szpitalu chory na raka. Janusz bardzo chciał się zobaczyć z ojcem przed jego śmiercią. Musiał z Warszawy częściowo jechać, częściowo szedł polami do Lublina. Mówił, że gdzieś się w rowach chował, żeby żaden samochód go nie zobaczył. Przyszedł wtedy brudny, utyłany w błocie, jak dziki człowiek, że aż się przestraszyłam. Otrzymaliśmy jednak wiadomość, że cały szpital jest obstawiony i Janusz nie zdecydował się pójść na spotkanie z ojcem.

Pewien czas spędził w Śledziejowicach koło Wieliczki, we wspólnocie l'Arche. Później ukrywał się już w górach. Jak jego ojciec umarł – ja byłam też w górach, z obozem „muminkowym” – Janusz przyszedł do nas i pamiętam, że mu powiedziałam o śmierci ojca. Było to bardzo trudne dla niego, że nie spotkał się ze swoim ojcem przed jego śmiercią. Wiedział, że ojciec ciągle o niego pytał.

Trudne decyzje

Myśleliśmy o rodzinie. Chcieliśmy wziąć ślub, ale ksiądz nam odmówił, powiedział, że musimy najpierw załatwić sprawę w Urzędzie Stanu Cywilnego, bo taka jest procedura. Wtedy znalazł się ktoś, kto chciał zanieść nasze dowody osobiste do Urzędu Stanu Cywilnego i tam – przez znajomego urzędnika – zrobić wpisy o małżeństwie do dowodów. Ja się bardzo tego bałam, uważałam, że jest to rozwiązanie bardzo niebezpieczne dla nas, duże ryzyko dla naszego związku, miałam zresztą podejrzenia co do osoby, która proponowała nam takie rozwiązanie. Zupełnie nie wiadomo było, co robić. Chcieliśmy być razem, założyć rodzinę, nie wiedzieliśmy, jakie podjąć decyzje. Nie mieliśmy żadnych perspektyw. Ja marzyłam wtedy, żeby Janusz zaprzestał działalności, niechętnie się do niej odnosiłam właśnie ze względu na to, że stanowiła zagrożenie dla naszego związku. Wiedziałam, że Janusz nie ugąłby się nawet za cenę swojego osobistego szczęścia.

Istotna była dla mnie postawa o. Tomasza Philippe'a, który stanowił dla mnie ogromny autorytet. Ojciec podtrzymywał Janusza w tym, żeby nie zaprzestawać działalności. Jak tylko przyjeżdżał do Polski – a przyjeżdżał prawie corocznie aż do swojej śmierci – to przywoził pieniądze, przede wszystkim na działalność Janusza (nie były to wielkie sumy, były to dary od przyjaciół ojca dla Polski). Chociaż ojciec był związany przede wszystkim z ruchem „Wiara

i Światło”, to finansowo bardziej wspierał „Spotkania”.

Dwie rzeczywistości

Byliśmy zmęczeni całą tą sytuacją, osaczeni. Pełniłam wtedy rolę „odpowiedzialnej” za wspólnotę „Wiary i Światła”, normalnie funkcjonowałam w swoim środowisku i właściwie nikt nie wiedział, że utrzymuję kontakty z Januszem. Czułam się osamotniona. W grupach „muminkowych” panuje radosna, często wesoła atmosfera, więc dla mnie to było niezwykle trudne połączenie dwóch rzeczywistości: jednej, w której panuje zaufanie i radość, i drugiej, pełnej napięć i zagrożeń. Miałam wrażenie, że przebywam w świecie schizofrenicznym, że jestem poddana rozdwojeniu rzeczywistości, że mam dwa życia, dwie osobowości, zupełnie ze sobą niepowiązane. Fakt, że o. Tomasz, który był w tym moim środowisku, wiedział o Januszu, [i] wspierał także jego działalność, był dla mnie istotny. Było to też wsparciem dla naszego związku, ojciec jakby chronił wolność każdego z nas. Miał niezwykle dar spotykania się z drugim człowiekiem i [dar] wielkiego szacunku dla odrębności, inności. Uczył akceptacji, rozumienia, że ktoś zupełnie inny ma też inną drogę, uczył zawierzenia, ufności, że wszystko ma sens. I chociaż był rzadko w Polsce – raz w roku – to dawał ogromne wsparcie. Ojciec nazywał Janusza *mon ami intime* („mój bliski przyjaciel”).

Internowanie

Janusz cały czas wydawał „Spotkania”. W końcu został aresztowany i przewieziony do „internatu”. Powiedziałabym, że jak się dostał do więzienia, była to jakaś ulga. Skończyła się po prostu ta „choroba psychiczna”. Natężenie stresu związanego z ukrywaniem się ciężko było już znieść. Nastąpiła przynajmniej jakaś zmiana. Chodziłam do więzienia, mogłam wchodzić jako konkubina – nie

było formuły „narzeczona”. Przynosiłam paczki z żywnością (pamiętam, jak po raz pierwszy w życiu zrobiłam naleśniki – dla Janusza). Rozmowy były kontrolowane (siedział strażnik), odbywały się na dużej wspólnej sali. Przed widzeniami zawsze trzeba było się naczekać. Zdarzało się, że się czekało, a nie wpuszczano. Internowanie to był też trudny czas w naszej relacji. Ale pamiętam taki ważny moment: jechałam kiedyś w grudniu pociągiem z Warszawy do Lublina i miałam dziwne poczucie, że Janusz na mnie czeka na dworcu. Poczucie było tak silne, że kiedy pociąg dojeżdżał, wstałam, wyszłam na korytarz, żeby wyglądać przez okno, zobaczyć, w którym miejscu on stoi, chociaż przecież wiedziałam, że jest w więzieniu. I faktycznie stał. Wypuścili go. Była amnestia. Wracaliśmy, trzymając się za ręce. Było zimno. Dotąd pamiętam ciepło jego ręki.

Wokół porwania

Przyjechaliśmy razem z Lublina do Warszawy i rozdzieliliśmy się na rogu ulicy Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich. Ale już jak szliśmy podziemiami, to Janusz mówił, że mamy „ogon”. Ja miałam spotkanie z Beatrice, koleżanką z francuskiego l'Arche'u. Janusz gdzieś pojechał na swoje spotkanie – ja nie wiedziałam, gdzie i z kim on się spotyka, i nie chciałam tego wiedzieć, dla bezpieczeństwa.

Rozmawiałam z Beatrice w moim pokoju, w mieszkaniu na ulicy Egejskiej, kiedy zadzwonił dzwonek. Wszedł postawny mężczyzna w wielkim białym kożuchu z jeszcze dwoma panami. Powiedział: „Rewizja”. Przestraszyłam się, ale poprosiłam, żeby się wylegitymował (bo wiedziałam, że tak się robi). On pokazał mi swoją legitymację, ale wtedy nie zapamiętałam jego nazwiska, tylko później rozpoznałam na procesie, że to właśnie był [Grzegorz] Piotrowski. „Poszukujemy Janusza Krupskiego” – i od razu ci dwaj panowie pobiegli za-

glądać do szaf, za zasłonki, rozglądać się – nie ma. Wtedy Piotrowski zrewidował mój plecak. Akurat szczęśliwie nic nie wiozłam, żadnej bibuły. I [zrewidował] tę Francuzkę – zaczął przeglądać jej torebkę. Zauważył, że ma kosmetyki: „O, tutaj takim kosmetykiem to już mi ktoś po oczach psikał, to ja się znam na takich tam” – sugerował, że to jest jakieś niebezpieczne i podejrzane. W każdym razie poszli sobie po tej rewizji, a ja pojechałam do mojej cioci do mieszkania na placu Henkla. Tam nocowałam z moim bratem, Staszkiem. Następnego dnia po południu, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, otworzyłam i zobaczyłam Janusza, który się trzyma framugi i wygląda, jakby był pijany. Staszek wziął go do łazienki, tam rozebrał ze swetra, który na plecach miał wypalone wielkie dziury. Oglądaliśmy poparzenia. Zadzwoniliśmy po pogotowie. Pojechałam razem z Januszem do szpitala, gdzie go zbadano, wiem, że ze szpitala dzwoniono na milicję, ale milicja się tym nie zainteresowała. Później wróciliśmy i Janusz się uparł, że jedzie do Lublina.

I wrócił do Lublina.

Szok i poczucie zagrożenia

Porwanie Janusza to był szok, który zupełnie podkopał nasze poczucie bezpieczeństwa – a właściwie resztkę poczucia bezpieczeństwa. Zrozumieliśmy, że w każdym momencie możemy zostać zaatakowani, dosłownie w białą dzień, wśród ludzi, w samym środku Warszawy. Nigdzie nie można było być bezpiecznym. Porwanie sprawiło, że stale czuliśmy zagrożenie, jakąś przytłaczającą siłę państwa, które nas nie chce, które może zabić, zrobić krzywdę. To był duży psychiczny ciężar.

Po dosyć niedługim czasie podjęliśmy działania w kierunku zawarcia małżeństwa i we wrześniu (1983) wzięliśmy ślub w Laskach; w koncelebrze był też o. Tomasz.



Ślub Joanny i Janusza, sakramentu udziela ks. Andrzej Szostek. Wrzesień 1983. Zbiory prywatne Joanny Krupskiej.

Rodzice Janusza

Mama Janusza była prostą kobietą, tata pracował jako rzemieślnik. Mieszkali w suterenie przy ulicy Narutowicza, w bardzo ubogich warunkach: kuchnia i jedno większe pomieszczenie, ubikacja w podwórzu. Janusz miał trójkę starszego, przyrodniego rodzeństwa i jedną młodszą siostrę. Od dziecka spędzał czas nad książkami, które sam sobie wypożyczał. W gruncie rzeczy już w szkole podstawowej zdobył dużą wiedzę historyczną, czytając książki. Jego dziadek, ojciec taty, był oficerem, lekarzem wojskowym, mieszkał w Wieliczce, tam miał swoją kamienicę i przeniósł się później do Lublina. Ojciec Janusza niewiele o swojej rodzinie mówił.

Rodzice Janusza byli w stosunku do niego bardzo tolerancyjni. Mama Janusza była zawsze zapatrzona w syna i pełna zaufania do wszystkiego, co on robi, chociaż pewnie nie było jej łatwo, bała się o niego. Ojciec też bezwarunkowo Janusza akceptował. Rozmawiałam z nim tylko raz, w czasie kiedy Janusz się ukrywał. Nie wiedział, że jestem z Januszem związana, przekazywałam po prostu jakąś wiadomość. Był już wtedy

bardzo chory. Pytał o „Januszkę”. Był wysoki i bardzo chudy. Janusz był podobny bardziej do ojca, ale jego ojciec był dużo wyższy.

Mieszkanie na ulicy Gospodarczej

Kiedy Janusz miał czternaście lat, rodzina przeniosła się do mieszkania w bloku przy ulicy Gospodarczej. Były tam trzy pokoiki, jeden z nich zajmował Janusz. Był to niewielki pokój, skromnie, prosto urządzony, powiedziała-bym – ascetycznie. Mnóstwo książek, na ścianie duży drewniany krzyż (teraz wisi u nas w Grodzisku), jakieś wielkie radio na biurku, no i zagadkowe łóżko. Kiedyś miałam okazję zatrzymać się u Janusza na noc i przespać noc na tym łóżku. Niewątpliwie świadczyło ono o tym, że Janusz do wygod nie przywiązuje wagi. Miałam wrażenie, że spałam po prostu na stosie książek przykrytych kocem, w każdym razie, jeśli chodzi o komfort leżenia, to nie przypominało normalnego łóżka. Ale w całości pokój mi się bardzo podobał. Mimo pewnego nieładu, był gustowny i przytulny.

Zapamiętany obraz – lubił być w domu

Przeżyliśmy razem ogromny rozdział życia. Mamy siedmioro dzieci, dom. Trudno to streścić w krótkiej wypowiedzi.

Co lubił? Lubiał być w domu. Chociaż był w nim mało, bo dużo pracował, wyjeżdżał w delegacje, zawsze powtarzał, że chętnie byłby w tym domu dłużej. W domu się odprężał.

Bardzo lubił pić herbatę. To był rodzinny ceremoniał. Pretekst do rozmów. Przy herbacie omawialiśmy wszelkie rodzinne i społeczne sprawy. Najbardziej odpowiadały mu herbaty sypane. Słodził dwie lub trzy łyżeczki.

Lubił zajmować się ogrodem, kosić, przycinać drzewa, lubił również rąbać drzewo – zawsze w zimie palił nim w naszej kozie – a także lubił podlewać rośliny. Byłoby prościej, gdyby ku-

pił zwykłą pompę płwakową, ale on czerpał wodę ze studni wiadrem na drucie. Potem przelewał do konewki i cały ogród podlewał konewką – to sprawiało mu przyjemność.

Oczywiście bardzo lubił czytać książki, ale w ostatnim okresie życia nie miał na to czasu. Czytał prasę, przeglądał książki, doczytywał przed swoimi wystąpieniami różne rzeczy.

Słuchał rozmaitej muzyki. Doczekał się syna-muzyka, więc później starał się ze znanstwem ocenić, jak Paweł gra. Zawsze mówił, czy Paweł zrobił błędy, czy nie, chociaż była to dziedzina, na której zdecydowanie mniej się znał niż syn.

Relacja nagrana 2 lipca 2010

Autoryzowana

Nagranie: Wioletta Wejman

Transkrypcja i redakcja: Piotr Krotofil

Maciej Sobieraj

Spotkanie na KUL

Kiedy poznałem Janusza Krupskiego? To było dokładnie czterdzieści lat temu, w momencie, kiedy Janusz przyszedł na studia. Ja już wtedy studiowałem, bo zacząłem studia w 1969, a Janusz w 1970 roku. Byliśmy z tego samego rocznika, tylko że on kończył technikum mechaniczne. Technikum trwało pięć lat, więc trafił akurat w moment, kiedy w liceach ogólnokształcących reforma Kuberskiego weszła w życie i był tak zwany pusty rok, czyli nie było matur. Wtedy właśnie na KUL trafiła cała grupa bardzo dziwnych ludzi: ludzi po technikach, ludzi uwikłanych w wydarzenia marcowe i hippisów, którzy absolutnie nie mogli się znaleźć na państwowych uczelniach – dziwnym trafem przyszli na KUL, do dość konserwatywnego towarzystwa. To był ostatni rok zasiadania na krześle rektorskim ks. profesora Wincentego Granata, który odchodził, bo osiągnął wiek emerytalny, i który był szalenie dobrym człowiekiem, wbrew pozorom, bardzo tolerancyjnym. Myślę, że to zadecydowało, że ci ludzie mogli znaleźć swoje miejsce na KUL, niektórzy na całe pięć lat – albo dłużej – niektórzy na krótko. Dzięki temu Lublin stał się niezwykle malowniczy, a KUL tym bardziej.

Janusz przyszedł w 1970 roku i bardzo szybko, razem z kolegami – Bogdanem Borusewiczem, Piotrem Jeglińskim – wciągnął się w działalność Koła Naukowego Historyków, do którego ja również należałem i tam aktywnie działałem już od roku.

Przez swoją pewną niefrasobliwość repetowałem pierwszy rok. Byłem zwolniony ze wszystkich egzaminów,

bo miałem je pozdawane na piątki, ale musiałem chodzić w drugim semestrze na łacinę, ponieważ opuściłem za dużo godzin lektoratu. Zajęcia z języka łacińskiego prowadziła pani Zuzanna Zwolska, żona kultowego profesora Edwarda Zwolskiego. Miała specyficzny sposób ich prowadzenia, mawiała: „Trzy nieobecności macie prawo mieć, żadnych innych usprawiedliwień nie przyjmuję” – ja miałem ich trzynaście (!), w związku z tym kilkakrotnie podchodziłem do tego zaliczenia, ale później uniosłem się honorem, powiedziałem sobie, że nie będę już dalej próbował. W tamtym czasie nie powtarzało się pierwszego roku, ale dziekan zdecydował, że mogę go powtarzać, ponieważ miałem bardzo dobre oceny z egzaminów; nie mogli mnie relegować z uczelni za brak zwykłego zaliczenia. W drugim semestrze chodziłem tylko na lektorat, miałem więc bardzo dużo wolnego czasu – była to idealna sytuacja do działalności bardziej rozrywkowej. Oczywiście, zacząłem także chodzić na drugi rok, ale nie na wszystkie zajęcia, jedynie na te, które mi się podobały.

W drugim semestrze, kiedy zacząłem chodzić na łacinę, spotkałem tam Janusza, który uczestniczył w lektoracie na pierwszym roku. To pierwsza rzecz, która nas połączyła, drugą było Koło Naukowe Historyków, do którego Janusz bardzo szybko się wciągnął.

Działalność w Kole Naukowym Historyków Studentów KUL

Z inicjatywy Bogdana Borusewicza bodające (albo to nawet była wspólna inicjatywa) założyliśmy w Kole Naukowym



Maciej Sobieraj. 2005. Fot. Wioletta Wejman. Archiwum TNN.

Część II. Wspomnienia opowiedziane

Historyków Sekcję Historii Najnowszej, ponieważ tym byliśmy najbardziej zainteresowani. Intrygowały nas „białe plamy”, to, czego nie uczono w szkole, a co wiedzieliśmy z rodzinnej tradycji (jedni wiedzieli, inni nie). Niektórzy z nas mieli dostęp do literatury emigracyjnej, w związku z tym przyjęliśmy zasadę, że ktoś czytał książkę, ewentualnie pożyczaliśmy sobie wybrane książki i wspólnie czytaliśmy, i dyskutowaliśmy [o nich] na Sekcji Historii Najnowszej.

Były też różne inicjatywy, na przykład na cmentarzu przy ulicy Lipowej robiliśmy dokumentację tablic pamiątkowych poświęconych oficerom zamordowanym w Katyniu. Rodziny wystawiały tablice, czy dopisywały do już istniejących epitafiów, że ktoś z bliskich zmarł w Katyniu w 1940 roku. Robiliśmy dokumentację, bo te tablice były niszczone: zamazywane smołą albo rozłupywane przez Służbę Bezpieczeństwa – niestety, nic się z tej dokumentacji nie zachowało. Biegaliśmy po cmentarzu i pstrykaliśmy fotografie, żeby te inskrypcje uwiecznić. Tak wyglądała jedna z naszych wspólnych inicjatyw związanych z działalnością w Kole Naukowym Historyków.

Poza tym przygotowywaliśmy różne sesje naukowe, w których również uczestniczyliśmy. KUL, ze względu na budowę nowej fasady, nie miał wtedy

dużo pieniędzy. Wcześniej organizował ogólnopolskie sesje studentów, w tamtym czasie już nie, ale ambicją uniwersytetu był zawsze udział KUL-owców w sesjach naukowych historyków – i nie tylko [historyków], również poloniści uczestniczyli w swoich studenckich sesjach naukowych. Chodziło o to, żeby KUL mógł pokazać się na zewnątrz.

W związku z tym, że interesowaliśmy się historią najnowszą, staraliśmy się wybierać sesje naukowe, które by jej dotyczyły. Tradycyjnie Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Opolu (teraz Uniwersytet Opolski) organizowała sesje naukowe poświęcone powstaniom śląskim. KUL-owcy w nich uczestniczyli i zawsze dostawali nagrody; rzecz charakterystyczna – nigdy pierwszej. KUL-owiec nie mógł dostać pierwszej nagrody, mógł dostać najwyżej drugą, ale nasze prace naukowe były zawsze wyróżniane, rzeczywiście przykładaliśmy do nich dużą wagę. One były recenzowane przez naszych profesorów, przez kuratora, bo Koło miało zawsze kuratora, czyli opiekuna spośród pracowników naukowych, który merytorycznie oceniał pracę i kwalifikował, czy rzeczywiście taka praca nadaje się do wystąpienia publicznego.

Janusz jeździł, ja też jeździłem, na te sesje naukowe. Byliśmy w Poznaniu, w Roztoce koło Zakopanego, którą to sesję cała nasza trójka, czyli ja, Janusz i Bogdan, wspomina szczególnie, bo było to spotkanie trudne ze względu na jego uczestników. To było praktycznie seminarium, trwało tydzień, przed południem były referaty, dyskusje, a później mieliśmy czas wolny, czyli mogliśmy pójść w góry albo miło spędzić wieczorny czas w schronisku, gdzie się to wszystko odbywało. Fantastyczną atmosferę popsuli niestety nasi „koledzy” z UMCS-u, którzy podczas jednej z dyskusji powiedzieli, że KUL-owców powinno się rozstrzeliwać. Byli to zresztą późniejsi esbecy, którzy działali w Wy-

Studenci na dziedzińcu KUL. 1981. Fot. Jan Trembecki. Archiwum „Kuriera Lubelskiego”.



dziale IV. Oni – wiem to już z mojej aktualnej pracy – zgłosili akces do pracy w SB, będąc jeszcze na ostatnim roku studiów i zaraz po studiach zostali funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa. Jeden z nich, Zygmunt Kawecki, był nawet kierownikiem sekcji KUL-owskiej.

„Skazany” na KUL

Janusz był samoukiem, w sensie nie dosłownym oczywiście, ale sam praktycznie budował swój światopogląd. Czytałem jego wspomnienia i dowiedziałem się, że on koło KUL-u przechodził prawie jak koło seminarium duchownego przekonany, że tam w ogóle nie ma świeckich. To rzeczywiście mogło się tak kojarzyć, dlatego że KUL, owszem, funkcjonował w Lublinie, ale lublinianie prawie na nim nie studiowali. Studenci KUL-u to była, można powiedzieć, zbieranina z całej Polski. Dla Lublina był to jednocześnie duży plus, ponieważ do miasta przyjeżdżali ludzie z różnych środowisk, różnych miast, z reguły tacy, dla których KUL nie był wyłącznie jedną ze szkół wyższych, [ale] wybierali go w większości przypadków świadomie. Czasem trafiali się ludzie, którzy przychodzili, bo proboszcz im powiedział, że jest to prawomyślna uczelnia katolicka – tacy „bogobojni” studenci i studentki. Ale w większości przypadków wybór był bardzo świadomy. KUL ściągał ludzi z całej Polski.

Janusz, który pochodził z Lublina, trafił na KUL między innymi w związku z sytuacją, która się wytworzyła pod koniec lat 60., czyli wydarzeniami marcowymi w Polsce i w Czechosłowacji. To wszystko budziło w nim protest, bo wiedział, że to nie jest do końca wszystko prawda, co na ten temat pisze prasa, bo miał dobrych nauczycieli już w szkole podstawowej i w technikum mechanicznym, do którego uczęszczał, sam też dużo czytał. Była to lektura bardzo krytyczna, więc nie przyjmował propagandy, która była wtedy sączona, i w tym

momencie stało się dla niego oczywiste, że pójdzie na KUL. Poza tym nie mógł wyjechać do innego miasta ze względów finansowych, bo miał sporo rodzeństwa. Rodzina była duża, a tato był już w tym czasie bardzo schorowany. Prowadził warsztat ślusarski, ale *de facto* tylko po to, żeby mieć zajęcie: przychodził tam, posiedział, coś podłubał i wracał do domu. To go trzymało przy życiu, bo faktycznie bardzo słabo funkcjonował. Mama zarabiała pracą fizyczną i musiała utrzymać gromadkę dzieci. Starsze od Janusza rodzeństwo było już „na swoim” i też wspomagało tę rodzinę.

Janusz został w Lublinie, miał tutaj mieszkanie. KUL był dla niego dużym wyzwaniem. Miał chłonny umysł i bardzo szybko przyswoił [sobie to], co na KUL-u było najlepsze – kontakty środowiskowe z kolegami, którzy podobnie myśleli.

Droga na czoło środowiska

Myślę, że na początku „guru” naszej paczki był Bogdan Borusewicz. Janusz wysunął się na czoło dopiero później jako sprawny organizator, choć z jego charakteru to wcale nie wynikało. A jednak potrafił dobrać ludzi, którzy bardzo mu we wszystkim pomagali i w bardzo naturalny sposób stał się liderem gdzieś od połowy lat 70., może nawet około roku 1973, kiedy został prezesem Koła Historyków – po mnie, ja byłem nim wcześniej.

Pierwsze wystąpienie

Janusz po raz pierwszy wystąpił publicznie w 1973 roku, dokładnie 19 marca, na wiecu poświęconym Socjalistycznemu Związkowi Studentów Polskich, który miał powstać na KUL-u. Rektor sprzyjał temu. Miał na głowie rozbudowę i bał się, że mu ją zablokują za działania antysystemowe niektórych studentów, więc raczej wspierał ideę powstania SZSP na KUL-u. Liczył na to, że w takim systemie można będzie funkcjonować równie

Janusz Krupski na spływie kajakowym. Fragm. fot. ze s. 93.



dobrze – w tych sprawach o. Mieczysław Krąpiec był bardzo pragmatyczny. Janusz był znakiem sprzeciwu w tym momencie. Jego wystąpienie na wiecu – występowałem też ja, Bogdan, Staszek Kruszyński, który później był aresztowany – spowodowało, że Janusz zaczął być dostrzegany nie tylko w naszym ma-

łym historycznym gronie, ale przez całe bardziej świadome środowisko studenckie. Dzięki wiecowi lepiej poznaliśmy się ze studentami innych kierunków, a studenci poznali Janusza. On dawał nam rękojmnię funkcjonowania w bardzo uczciwy, w dużej mierze bezkompromisowy, ale nie fanatyczny sposób i tak stworzył wokół siebie grupę.

Później dołączył do niej Janusz Bazydło, który był starszy od nas, był po studiach, ale ciągnęły się za nim – ważne dla nas, młodych ludzi – więzienne perypetie. Tak samo imponowały nam perypetie więzienne Bogdana. Myśleliśmy: „O, to są nasi bohaterowie”. Byliśmy przecież młodymi chłopakami i dziewczynami, więc w sposób naturalny Ignieśliśmy do ludzi, którzy prowadzili praktyczną działalność antykomunistyczną. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy, trzymaliśmy się zawsze razem.

Życie towarzyskie na studiach

Nie należeliśmy do „środowiska balangowego”. Ja może najbardziej, bo miałem tam kolegów, Janusz był abstynentem, to nie za bardzo się nadawał, Bogdan był już bardziej zabawowy. Janusz dopiero później stał się w tym względzie bardziej otwarty, wcześniej był bardzo zasadniczy i trudno go było wyciągnąć na jakiegokolwiek studenckie balangi. Na różnego rodzaju „działalność rozrywkową” byli bardzo otwarci koledzy z historii sztuki. Ale tutaj nie stworzono „zakonu”, byliśmy pod tym względem bardzo tolerancyjni wobec siebie. Każdy funkcjonował w różnych środowiskach. To, co robiliśmy wspólnie, to robiliśmy wspólnie, a później każdy miał również czas prywatny i mógł sobie go zagospodarować w taki czy inny sposób.

Stopniowo wciągaliśmy Janusza w różne towarzyskie sprawy. Zaczął brać udział w spływach kajakowych w ramach duszpasterstwa akademickiego, które dawało możliwość spotkań nieformalnych. Tutaj Janusz dojrzewał do

funkcjonowania bardziej towarzyskiego, do uczestnictwa w imprezach, już nie był taki zasadniczy jak na początku. Przez to, że mieliśmy w swoim gronie historyków sztuki, którzy byli aktywni na polu rozrywkowym, imprezy zawiązywały się siłą rzeczy i Janusz zaczął brać w nich aktywny udział, aczkolwiek nigdy nie ciągnęło go w kierunku imprezowania. Podchodził do tego z dystansem.

Przewodniczący samorządu studenckiego

Janusz funkcjonował jako szef skonfederowanych stowarzyszeń akademickich i kół naukowych [Komisja Porozumiewawcza Kół Naukowych i Stowarzyszeń Akademickich KUL], bo takie właśnie ciało zostało powołane zamiast SZSP, i był pierwszym jego przewodniczącym.

Wizytówką działań tego stowarzyszenia, które reprezentowało studentów KUL-u, było zorganizowanie Kulażu [Kullages], czyli Wiosny Kulturalnej, w której wzięli udział ci wszyscy dziwni ludzie, hippisi i różni outsiderzy z całej Polski. Janusz, siłą rzeczy, musiał się w to wciągnąć. Na zakończenie Wiosny Kulturalnej zorganizowana została potańcówka – która w opowieściach urosła do rangi nie wiadomo jakiego balu studenckiego – to był 1974 rok. Później były kolejne [Kullages] i Janusz bardzo się w to wszystko wciągnął i brał udział w zabawie jednocześnie jako organizator i uczestnik.

Nie zauważał zakochanych w nim dziewczyn

Pamiętam doskonale, że podkochiwały się w nim dziewczyny. Był bardzo zdziwiony, kiedy dawały mu do zrozumienia, że są w nim zakochane. Strasznie się z tego śmialiśmy, bo widzieliśmy to, czego Janusz nie zauważał. Było nam bardzo wesoło, kiedy jakaś dziewczyna robiła awanse wobec niego, a on był zupełnie zdezorientowany, nie zdawał sobie z tego zupełnie sprawy. Nie an-

gażował się uczuciowo, pochłaniała go, zresztą jak nas wszystkich, zupełnie inną działalność. Rzeczywiście stroniliśmy trochę od tych dziewczyn, które liczyły na to, że się będzie z nimi chodziło na zabawy, potańcówki, prywatki – w to za bardzo nie wchodziliśmy. Pod tym względem niektóre dziewczyny plotkowały o nas. Z późniejszych opowieści wiem, jak byliśmy wtedy postrzegani, to było dość śmieszne.

Lider

Został liderem w sposób zupełnie nieformalny, bo nigdy nie miał natury lidera, był skromną osobą, nigdy się nie eksponował, nie był żadnym trybunem. Owszem, wyróżniał się w dyskusjach, ale nie na tyle, żeby być przywódcą. Jednak to on w sposób naturalny nadał sposób funkcjonowania naszemu opozycyjnemu wobec władzy środowisku, ukierunkował nasze wspólne myślenie. To się utarło w dyskusjach. Przecież byli starsi – Janusz Bazydło, mieliśmy też swoje autorytety – Adama Stanowskiego, Zdzisława Szpakowskiego, Władysława Bartoszewskiego, który w tamtym czasie zaczął wykładać na KUL-u (niestety, my już wtedy kończyliśmy studia, jeszcze chodziliśmy na wykłady, ale już prac magisterskich u niego nie pisaliśmy, na to było za późno).

Janusz zaczął aktywnie uczestniczyć w działalności Sekcji Kultury warszawskiego KIK-u (mówiło się „Sekcja Młodych”, ale formalnie to była Sekcja Kultury). Do Lublina przyjeżdżali ludzie związani z „Tygodnikiem Powszechnym”, „Więzią” i „Znakiem”, z którymi Janusz też miał kontakty; działał we wspomnianym wyżej duszpasterstwie u dominikanów – we wszystkich tych środowiskach wyróżniał się swoją ugruntowaną, a jednocześnie przyciągającą ludzi postawą. W sposób naturalny traktowaliśmy go jako lidera, chociażby przez to, że stał się redaktorem naczelnym „Spotkań”. Skoro był redaktorem naczelnym, nieformal-

nie oczywiście, było wiadomo, że kierował wszystkim i w naturalny sposób był liderem grupy. On sam nie uważał się za lidera, czuł się po prostu jednym z nas. To wynikało z jego charakteru. Dlatego nigdy – Janusz bardzo tego pilnował – nie staliśmy się partią polityczną. Bo w partii politycznej musi już być wyrazisty lider, który prowadzi swoją grupę do zwycięstwa czy do określonego celu. Natomiast środowisko „Spotkań” miało lidera w myśl zasady *primus inter pares*.

W środowisku czasem mocno się kłóciliśmy. Nie obrażaliśmy się na siebie, ale mieliśmy swoje poglądy, różne rozwiązania, jeden proponował to, inny coś innego i było ważne, żeby znaleźć wyśrodkowaną drogę.

Janusz pozostał liderem, mimo że byli wśród nas koledzy, którzy zrobili karierę naukową i z racji swoich intelektualnych zdolności mogli być takimi liderami.

Mieszkanie przy ulicy Gospodarczej

Bywałem u niego bardzo często do momentu, gdy ze względów konspiracyjnych przestałem przychodzić i widywałem go tylko na KUL-u. Starałem się o możliwość wyjazdu na Zachód, czyli o paszport, więc przestałem z nim się kontaktować prywatnie, ale wcześniej bywałem u niego w mieszkaniu dosłownie dwa, trzy razy w tygodniu.

Kto zna osiedle, na którym jest ulica Gospodarcza, [ten] wie, że to osiedle wybitnie robotnicze. Mieszkania w stylu późnego Gomułki: mała kuchenka z oknem pod sufitem, ciasne pokoiki, jeden większy pokój stołowy, wnąka. W tej wnące, zasłoniętej kotarką, spał tato Janusza. W większym pokoju się jadło. Pokój Janusza był wąski, niski, najwyżej 2,40 m – ręką można było dotknąć sufitu. Była jakaś szafa, wersalka pod ścianą, okno. Na ścianie, gdzie były drzwi, stał regalik. Było też radio, które dostał z Zachodu, na którym można było dobrze odbierać Wolną Europę. To

Piotrek Jegliński postarał się, żeby Janusz miał porządne radio. Nad łóżkiem wisiał ładny stylizowany krzyż. W regale były książki. I to praktycznie wszystko, co tam się znajdowało, bo więcej nic nie mogło się zmieścić, to był mały pokój.

W tym mieszkaniu mieszkała jeszcze siostra Janusza, mama i tato pozostałe rodzeństwo było już chyba poza domem.

Mieszkanie przy ulicy Narutowicza

Wcześniej Janusz mieszkał przy ulicy Narutowicza, w budynku na rogu ulicy Konopnickiej i Narutowicza, po prawej stronie, tam gdzie obecnie jest zegarmistrz.

Jego tata miał warsztat ślusarski na rogu ulicy Narutowicza i Okopowej – już nie istnieje, bo dom, w którym się mieścił, został rozebrany. Był to parterowy, czy jednopiętrowy, długi budynek i tam w suterynie był zakład ślusarski. Rodzice Janusza mieli jeszcze ogródek działkowy na Rusałce (biegnie tamtędy obecnie ulica Mościckiego). Tam, na działce pomagaliśmy Januszowi zbierać jabłka, owoce, bo tata nie był już zbyt sprawny, dosyć mocno chorował.

Sytuacja w domu rodzinnym

Mama bardzo się bała o Janusza, [o czym wiem] z tego, co mi opowiadał, aczkolwiek Janusz, już przez to, że studiował, dominował w domu. Tata był schorowany, już miał swoje lata, był po siedemdziesiątce, zresztą wkrótce umarł. Mama martwiła się trochę, że działalność Janusza przyniesie kłopoty pozostałym dzieciom, które już pracowały, ale one na szczęście były już poza domem. Janusz praktycznie był głową rodziny.

W pewnym momencie Janusz stał się gościem we własnym domu, zwłaszcza gdy zaczął bardzo często jeździć do Warszawy w drugiej połowie lat 70. Mieszkał już niemal poza domem, najczęściej nocował w Warszawie u przy-

jaciół. Później, jak już się ożenił, to całkiem się wyprowadził. Na początku krótko mieszkali z żoną w Wólce Lubelskiej, w nie najlepszych warunkach, ale później dosyć szybko przenieśli się do Warszawy.

Rodzina

Ja w 1978 roku się ożeniłem, więc już siłą rzeczy nie byłem tak oddany codziennym spotkaniom koleżeńskim. Musiałem też chronić rodzinę, bo żona nie była zupełnie zaangażowana w sprawy opozycji, teściowa tym bardziej. Dodatkowo, ponieważ miałem wyjeżdżać za granicę – starałem się o wyjazd, bo miałem stypendium [doktoranckie] – nie kontaktowałem się z Januszem poza uczelnią.

Pamiętam oczywiście narzeczeński okres Janusza i Joasi Puzyny. Joasia była asystentką na pedagogice specjalnej. Uczestniczyła we wszystkich naszych spotkaniach u Bożeny Wronikowskiej w końcówce lat 70., tam ją poznałem; ona była wtedy związana z Muminkami. [Joasia i Janusz] chodzili ze sobą, była z nich fajna para, to było naturalne w tym momencie, aczkolwiek trochę sobie nie wyobrażałem Janusza w roli męża i ojca. To było dla mnie – i nie tylko dla mnie – bardzo duże zaskoczenie, że Janusz, który raczej z dziewczynami nie chodził, nagle się ożenił. Mnie musiało nie być w tym czasie, bo ślubu nie pamiętam. Ślub był w Laskach, ale nie byłem na ślubie.

Okazało się, że niewykazywanie talentów opiekuńczo-ojcowskich nie przeszkodziło, żeby Janusz został znakomitym ojcem siódemki dzieci. Pamiętam, jak przyjeżdżałem do niego na ulicę Egejską w Warszawie, bo tam właśnie teściowie Janusza oddali im mieszkanie. Oni wtedy mieli już czterech chłopaków, jeśli się nie mylę, którzy chodzili Januszowi po głowie. Janusz podchodził do nich z dużym spokojem, flegmą, nie denerwował się specjalnie. Dla niego to



było zupełnie naturalne, że dzieci muszą się wyszumieć, nie karcił ich zbyt, więc bardzo fajnie to wszystko wyglądało. Ja myślę, że tutaj niezwykle ważną była rola Joasi, bo ona praktycznie trzymała ten dom. Owszem, Janusz był, starał się – jak tylko miał czas – pomagać, ale przy jego zaangażowaniu w opozycję cała opieka nad dziećmi i prowadzenie domu, siłą rzeczy, spadały na Joasie. Ona przerwała w końcu asystenturę na KUL-u, zajęła się domem i dziećmi, bo nie można było inaczej. Janusz niewiele zarabiał, bo praktycznie w ogóle nie pra-

Janusz i Joanna Krupscy z pierwszym synem Piotrem. 1985. Zbiory prywatne Joanny Krupskiej.

cował w tamtym czasie, korzystał z jakichś stypendiów, dotacji, ale nie miał stałej pracy. Na szczęście rodzice Joasi pomagali, bo inaczej byłoby Krupskim bardzo ciężko. Dzięki silnemu zaangażowaniu Janusza i Joasi ta rodzina funkcjonowała znakomicie.

Zapamiętany obraz – człowiek zdystansowany, tolerancyjny, zasadniczy

Kilka różnych obrazów się pojawia. Pierwszy zapamiętany obraz Janusza wiąże się z naszym funkcjonowaniem na KUL-u i jest to obraz Janusza dyskutującego, bo spotykaliśmy się na dziedzińcu, w barku i zawsze byliśmy w sytuacji jakiejś dyskusji. Janusz w sposób naturalny zabierał głos, nie emocjonował się, dyskutował z dużym spokojem. Były momenty, kiedy bardziej się angażował, ale z reguły trzymał pewien dystans.

Widzę Janusza zdystansowanego, takiego, który nie przywiązuje wagi do pewnych spraw. Do ubioru nie przywiązywał wagi zupełnie, chodził w starej marynarczce albo w jakimś sweterku, wolał wydać pieniądze na książki niż na ubranie. Podchodził z dystansem także

do różnych słabości ludzkich, nie potępiał. Był rzeczywiście pryncypialny w swoich poglądach, ale był też tolerancyjny wobec zachowań innych. Dlatego tak go cenimy i dobrze wspominamy, bo był tolerancyjny nawet w swojej pryncypialności. Jego zasadniczość ograniczała się do kwestii ideowych, światopoglądowych, a do ludzkich słabości podchodził z wyrozumiałością, aczkolwiek nie znosił kłamstwa i nieuczciwości – tutaj rzeczywiście był niezwykle rygorystyczny.

Problemy środowiska

Ponieważ przez naszą długą znajomość Janusz cenił moją osobę na tyle, że byłem arbitrem w trudnych sprawach, byłem świadkiem paru momentów, kiedy musiał prowadzić przykre rozmowy z kolegami. To już były lata 80., kiedy ludzie związani ze „Spotkaniami” w późniejszym okresie działalności zobaczyli stosunkowo łatwy dostęp do pieniędzy i możliwość „robienia na boku”, czyli dodatkowego zarobkowania kosztem zobowiązań wobec środowiska. Ja pamiętam takie dwa konflikty. W jednym przypadku chodziło o to, że ludzie, którzy prowadzili drukarnię i mieli wydawać „Spotkania”, nie wywiązywali się. Dostawali pieniądze, dolary, które ja zresztą przekazywałem. Janusz dowiedział się, że oni wydają za nie swoje książki, sprzedają je i zarabiają na tym. Doszło do przykrych rozmów. Janusz od tamtego momentu do końca zachował duży dystans do tych osób.

Inna sprawa dotyczyła samochodu. Janusz w latach 80. dostał pieniądze na samochód i kupił dużego fiata, który został niemal „sprywatyzowany” przez jedną czy dwie osoby, które miały prawo jazdy. I na tym tle też doszło do rozliczenia się Janusza z tymi osobami. Później oczywiście czas wyleczył rany, ale u Janusza pewna zadra została.

Niełojalność była dla niego niezwykle drażliwą sprawą, bo nie wiązały nas żadne statuty partyjne, łączyła nas pewna



Okładka książki o. Tomasza Rostworowskiego *Zaraz po wojnie*, wydanej w stanie wojennym (1982). Zbiory Biblioteki Uniwersyteckiej KUL.

idea, związki nieformalne, środowisko – a w takich związkach tego typu działania nie powinny mieć miejsca. Jeśli się zobowiązuje, dostaje na coś pieniądze, to mam się z tego wywiązać, a „robienie na boku” i „udawanie Greka” było dla Janusza nie do zaakceptowania. W tej kwestii był niezwykle rygorystyczny. Być może przez to narobił sobie wrogów, ale myślę, że miał rację, bo jednak to jest ważna sprawa. Środowisko było na tyle małe, że można się było zorientować, kto co robi. W drugiej połowie lat 80. deformacje dotknęły cały ruch wydawniczy, który przechodził metamorfozę z ideowości na zarabianie pieniędzy. To już była jawna działalność kupiecka, merkantylna, nieźle się zarabiano na tym. Co innego, gdyby ktoś sam ten sprzęt sobie załatwił i drukował... ale jeśli się funkcjonuje w pewnym środowisku i tylko dlatego posiada się ten sprzęt, to trzeba go wykorzystywać dla potrzeb tego środowiska, a nie na robienie pieniędzy „na boku”. Taka była opinia Janusza.

Ukrywanie się

W czasie stanu wojennego Janusz się ukrywał. Spotkałem się z nim wtedy, choć też się ukrywałem. Do spotkania doszło przez koleżanki Joasi, które mieszkaly w Lublinie. Dostałem adres na ulicę Kazimierza Wielkiego do Mariana Surdackiego i tam, w wielkiej konspiracji, dostałem adres Janusza w Warszawie, pod którym on się ukrywał w tym czasie.

Chcieliśmy błyskawicznie wydać jeden z tomów – to w zeszytach było – wspomnień o Tomaszu Rostworowskiego (jezuickiego duszpasterza akademickiego w Łodzi i Lublinie, więźnia stalinowskiego). Jechałem do Janusza, żeby uzgodnić pewne sprawy i jak najszybciej wydać te wspomnienia, które były zresztą związane z naszym środowiskiem, ponieważ występowali tam Adam Stanowski oraz Romuald i Tere-

sa Kukułowiczowie, aktywnie działający w studenckiej Sodalicii Mariańskiej – z tego powodu byli aresztowani i skazani na więzienie. Wydanie wspomnień o Rostworowskiego, duszpasterza jezuickiego, było ważne dla naszego środowiska.

I pamiętam spotkanie z Januszem na Żoliborzu, u takiej niewidomej dziewczyny ze środowiska Joasi. To było w takim wysokim wieżowcu, ale wcześniej spotkaliśmy się na placu Wilsona i stamtąd, zwracając uwagę na ewentualne esbeckie „ogony”, do tego mieszkania dotarliśmy. Później poszliśmy na starorzeczce Wisły, w pobliżu Bielani i tam przedyskutowaliśmy wszystkie sprawy związane z wydaniem wspomnień o Rostworowskiego i zorganizowaniem w Lublinie pewnych spraw. Niektóre nitki naszych powiązań pourywały się, ponieważ ludzie siedzieli jeszcze w „internacie” albo ukrywali się. Z tym były związane kłopoty. Ustaliliśmy także, że jeden zamelinowany powielacz przeźruciemy do Soniny koło Łańcuta, gdzie ukrywali się Jasiek Stepek i Paweł Nowacki, którzy na tym powielaczu mieli drukować jakieś rzeczy na potrzeby „Solidarności Wiejskiej” z tego terenu. Niestety, warszawskie środowisko „Spotkań” było infiltrowane przez SB, w czym aktywny udział wzięły dwie agentki (wcześniej działające w Krakowie: Elżbieta Nalewczyńska i Hanna Borucka), które w jakiś sposób zostały wprowadzone do naszego środowiska, co doprowadziło do wpadki tego powielacza, ale na szczęście Paweł i Jasiek nie zostali wtedy złapani. I to było właśnie w okresie ukrywania się Janusza, czyli przed internowaniem, a następnie porwaniem.

Internowanie

Janusz został internowany. Znalazłem w dokumentach esbeckich, że mieli go na celowniku przez cały czas, ale internowanie nastąpiło, ponieważ esbe-

cy z sekcji KUL-owskiej zostali zrugani za to, że źle działają w kwestii KUL-u, zajmując się Krupskim i „Spotkaniami”. Wtedy oni, żeby sprawę zakończyć, doprowadzili do internowania najpierw Jasia Stepka, a później Janusza Krupskiego, ponieważ przez Borucką i Nalewczyńską doskonale wiedzieli, gdzie oni się ukrywali. Wiem, że Jasiek Stepek przyjechał do Warszawy z Podkarpacia, gdzie się ukrywał, i tam został zgarnięty w dość widowiskowej scenie. Obydwa internowania miały miejsce w październiku 1982 roku.

Strach

Nie ma co się oszukiwać – wszyscy się baliśmy. Nie byliśmy chojrakami, działaliśmy, ale mieliśmy poczucie, że coś się może stać. Kiedy Janusz przyjechał do Lublina zaraz po porwaniu, przyszedł do nas – to był styczeń 1984 roku – i rzeczywiście zastanawiał się nad tym, czy może dalej tak funkcjonować i że może się to odbić na rodzinie. Miał wątpliwości. Ale myślę, że każdy z nas je miał, bo zawsze musiał się liczyć z tym, że „coś” mu się stanie. Sądzę, że bardzo mu pomogła Joasia i jej zgoda na jego tryb życia, która mogła wynikać z wychowania w bardzo patriotycznej, zaangażowanej i pryncypialnej rodzinie. Janusz miał zdecydowane wsparcie ze strony Joasi. Gdyby nie to, być może musiałby wybierać między rodziną a opozycją, wiele innych rodzin rozpadało się z tego powodu, bo presja była nie do wytrzymania. Oczywiście, kiedy jest się samemu, nie ma się dzieci, to jeszcze jako tako można wytrzymać, ale w momencie, kiedy pojawia się potomstwo – mieliśmy przecież przykład Stepków, Samolińskich, Wronikowskich – odpowiedzialność jest większa, wtedy już nie ma tego zaangażowania w sensie bezpośrednim, to znaczy, że się drukuje samemu i tak dalej.

Janusz w tym czasie już nie musiał się angażować bezpośrednio – co mogłoby spowodować jakieś drastyczne

uderzenie Służby Bezpieczeństwa. Oni wiedzieli, że Janusz w jakiś sposób przewodzi środowisku, ale nie mogli go złapać na konkretnych działaniach – na przykład drukowaniu. W działalności wydawniczej były już wyspecjalizowane grupy, które dostawały zlecenie na wykonanie określonych tytułów i tyle. Już nie trzeba było się bezpośrednio angażować, tak jak w latach 70., kiedy sami robiliśmy wszystko, bo było nas mało. W pierwszej połowie lat 70. ryzyko represji było poważne i zdawaliśmy sobie z tego sprawę – można było pójść do więzienia, jak Staszek Krużyński. W drugiej połowie lat 70., kiedy każde aresztowanie, każda rewizja była zaraz nagłaśniana przez Wolną Europę, a Edward Gierek związał sobie ręce, podpisując Kartę Praw Człowieka i Obywatela, represje nie były już takie straszne, to było nękanie po prostu. One były uciążliwe, ale do zniesienia jeszcze. Później „Solidarność” to wiadoma sprawa. W stanie wojennym wrócił strach, nie oszukujemy się, byliśmy przestraszeni i niespokojni o to, co będzie.

Rozproszenie środowiska „Spotkań”

Nasze środowisko w tamtym czasie już nie funkcjonowało. Owszem, wydawaliśmy „Spotkania”, ale rozproszyliśmy się trochę. Najlepiej funkcjonowaliśmy w Lublinie, Janusz tu przyjeżdżał, spotykaliśmy się od czasu do czasu, ale, generalnie rzecz biorąc, już nie mieliśmy bezpośredniego kontaktu, jak to miało miejsce w latach 70. Nasze środowisko funkcjonowało przez wydawanie „Spotkań”, a nie przez ciągłe przebywanie w gronie przyjaciół, bo to po prostu nie było możliwe. Osiedliśmy w różnych miejscach, chociaż w Lublinie było nas najwięcej. Stepkowie nawet wyemigrowali do Francji.

Sprawa jest dość prozaiczna. Na KUL-u studiowała młodzież spoza Lublina i w momencie ukończenia studiów,

gdy nie można było złapać jakiegś pracy na miejscu, to absolwenci rozjeżdżali się po prostu w swoje rodzinne strony. Stan wojenny, kiedy należało wylegitymować się jakimś stałym adresem, też wpłynął na to, że środowisko lubelskie „Spotkań” uległo pewnej dezintegracji. Niemniej ci, co zostali w Lublinie, dalej utrzymywali kontakt, dalej kolportowaliśmy „Spotkania” i inną bibułę.

W latach 80.

Janusz w latach 80. przyjeżdżał do Lublina przede wszystkim dlatego, że miał tu rodzinę. Był osobą bardzo rodzinną, a po śmierci taty czuł się też za tę rodzinę odpowiedzialny. Kiedy Janusz przyjeżdżał, zawsze się spotykaliśmy. Dość często bywał w Lublinie, odwiedzał wtedy „swoje miejsca” – dyrektora Andrzeja Paluchowskiego i inne osoby, które pracowały w Bibliotece KUL, nas, Wronikowskich, Bazydłów, Samolińskich. W latach 80. wciąż spotykaliśmy się – od czasu do czasu i w węższym gronie – u Bożeny, przychodziliśmy do jej mieszkania na ulicę Strzelecką (bliski Sławinek). Bożena zawsze dzwoniła: „Przyjeżdża Janusz, spotkajmy się”. Tak zwany „salon Wronikowskich” w dalszym ciągu funkcjonował, [choć] w bardziej ograniczonej formie. Bożena miała stosunkowo duże mieszkanie, więc łatwo było tam na Sławinku spotkać się towarzysko. Oczywiście, rozmawialiśmy też o sprawach ważnych, redakcyjnych i tym podobnych, zwłaszcza że w Lublinie funkcjonował Janusz Bazydło. Podział ról był następujący: Janusz Krupski bardziej się angażował w wydawanie książek w ramach Biblioteki „Spotkań”, Janusz Bazydło w redagowanie „Spotkań”, czyli prowadzenie naszego pisma.

W Lublinie przestało funkcjonować duszpasterstwo, bo o. Ludwik Wiśniewski wyjechał do Wrocławia, a on też był osobą integrującą nasze środowisko, w powstanie którego miał przecież znaczący wkład. Natomiast do Warszawy

nie było daleko, to jeździło się na spotkania w KIK-u przy ulicy Kopernika.

Ostatnie spotkanie

Przyjechałem do Warszawy uzgodnić z Januszem szczegóły spotkania i promocji książki *Kościół i opozycja na Lubelszczyźnie w dokumentach SB 1971-1983*, którą opublikowałem w Wydawnictwie IPN. Janusz miał być na tym spotkaniu ustalonym na 21 kwietnia, a wcześniej, 15 kwietnia, miał być także w Lublinie – i też mieliśmy się spotkać – na promocji książki Tamary Pietkiewicz *Jak buć bez pary* wydanej przez Benka Nowaka, którą finansował urząd Janusza [Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych]. Byłem u Janusza rano, pamiętam, że czytał przy mnie ar-

Kombatanci pełniący wartę przy trumnie Janusza Krupskiego podczas mszy żałobnej w kościele św. Marcina w Warszawie. 2010. Fot. Mariusz Kubik. Archiwum „Kombatanta”.



¹ Jacek Kowalski, *Krupska kontra państwo totalitarne*, „Wysokie Obcasy” 27 marca 2010, s. 10-17.

tykuł poświęcony Joasi, który miał się w ukazać „Wysokich Obcasach”¹, kwękał i mówił: „Trochę tu przesadzają, ja bym to inaczej napisał”. Przyszedł Janusz Bazydło i uzgodniliśmy ostatecznie sprawę odznaczeń dla naszego środowiska, bo jeszcze mieliśmy spory i dyskusje, kto ma je otrzymać. Janusz był przekonany, że te papiery już trafiły do Kancelarii Prezydenta, ale okazało się, że leżały na jego biurku przykryte innymi papierami, więc na drugi dzień miały już być dostarczone do odpowiedniej agendy. Pożegnaliśmy się: „Do zobaczenia w czwartek piętnastego”. Janusz mówił: „To ja namówię Bogdana, żeby koniecznie przyjechał”. 22 kwietnia Janusz i Bogdan mieli razem lecieć na uroczystości [rocznicowe] wyzwolenia Bolonii przez gen. Andersa.

Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

Janusz był naprawdę znakomitym szefem – bardzo wymagającym, ale jednocześnie bardzo dobrym. Jeśli ktoś dobrze pracował, nie dawał tej osoby skrzywdzić. Widziałem, jak swobodnie podchodził do pracowników, witał się, pytał o coś, zagadywał. Był bardzo dobrotliwym człowiekiem, aczkolwiek wymagającym i jednocześnie trochę roztrzepanym – trzeba mu było przypominać różne rzeczy. Przede wszystkim był bardzo zmęczony. W soboty i niedziele uczestniczył w rozmaitych uroczystościach. O trzeciej nad ranem wyjeżdżał,

wracał w nocy i o trzeciej rano wyruszał znowu w podróż. Trzeba mieć końskie zdrowie, żeby coś takiego wytrzymać. Był naprawdę potwornie zmęczonym człowiekiem, to już było bardzo widoczne. Dobrze, że miał zastępcę, który go trochę wyręczał, bo przez pierwsze dwa lata po prostu on sam wszystko ciągnął.

Jego dążeniem było – i taki postulat zgłosił do premiera – żeby wyłączyć Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych z podlegania pod Ministerstwo Pracy, bo tylko dwa są takie przypadki: w Polsce i w Estonii. Wszędzie poza tym urzędy tego typu podlegają Ministerstwu Obrony albo bezpośrednio premierowi i Janusz chciał, żeby nie podlegać pod instytucję od spraw socjalnych, ponieważ UdSKiOR to nie tylko sprawy socjalne, ale cały szereg innych rzeczy. Poza tym przygotował nową ustawę kombatancką, która objęłaby wszystkich, którzy w latach 70. i 80. działali w opozycji, a obecnie są w bardzo trudnej sytuacji finansowej. Janusz widział to i przygotował ustawę, która utknęła w Sejmie na razie, ale być może wejdzie w życie, co naprawdę pomoże bardzo wielu osobom, które będą miały na przykład dodatek do emerytury. To jest bardzo ważna sprawa.

Relacja nagrana 8 lipca 2010

Autoryzowana

Nagranie: Wioletta Wejman

Transkrypcja i redakcja: Piotr Krotofil

Część III

Wspomnienia publikowane

Pożegnanie ministra Janusza Krupskiego*

W asyście Kompanii Honorowej Wojska Polskiego na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach 26 kwietnia 2010 roku odbył się pogrzeb ministra Janusza Krupskiego, kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Mszę św. żałobną w warszawskim kościele św. Marcina sprawował wraz z innymi duchownymi metropolita lubelski abp Józef Życiński, który wygłosił także homilię. Wspominając Zmarłego w Jego czasach działalności opozycyjnej w Lublinie, podkreślił, że Janusza Krupskiego cechowała „bezinteresowność i kryształowa uczciwość”. „Nie szukał promocji,

słów uznania, awansów” – powiedział abp Życiński. Przypominając historię Jego życia – studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, działalność opozycyjną, działalność na rzecz środowiska osób niepełnosprawnych – zaznaczył, że Janusza Krupskiego cechowały „pasja, świadectwo poszanowania wolności”, a także „odwaga i konsekwencja”. „Delikatność i dyskrecja szła w parze ze skutecznością działania” – podkreślił.

Podczas uroczystości marszałek Senatu RP Bogdan Borusewicz wręczył wdowie po Januszu Krupskim, Joannie Puzynie-Krupskiej, nadany Mu pośmiertnie Krzyż Wielki Orderu Od-

* Ten i kolejne artykuły, jeśli nie zaznaczono inaczej, ukazały się w „Kombatancie” nr 4, 2010. Dziękujemy Redakcji „Kombatanta” za zgodę na przedruk.



Pogrzeb Janusza Krupskiego na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. 2010. Fot. Mariusz Kubik. Archiwum „Kombatanta”.

rodzenia Polski – Jego pierwsze odznaczenie państwowe. Przypomniął, że Zmarły już w latach 70. angażował się w działalność opozycyjną, za którą był prześladowany. „Gromadził ludzi otwartych, tolerancyjnych, takich, którzy myśleli o przyszłości. Zastanawiali się, jaka ta Polska będzie” – dodał Borusewicz. Podkreślił, że Janusz Krupski „był człowiekiem niezwykle skromnym”.

Minister pracy i polityki społecznej, Jolanta Fedak, powiedziała, że „był człowiekiem wiernym swoim ideałom jak nikt”. Dodała, że to, co robił kierownik Urzędu, było w harmonii z tym, co mówił.

Dominikanin, o. Ludwik Wiśniewski, nawiązując do śpiewanego podczas Mszy św. Psalmu, powiedział, że Janusz Krupski był „światłem” dla innych – dla rodziny, przyjaciół; dla tych, z którymi się spotykał.

Po modlitwie za zmarłych trumnę z ciałem Janusza Krupskiego przewieziono na Cmentarz Wojskowy na Powązkach, do kwatery, gdzie pochowano także inne ofiary katastrofy pod Smoleńskiem. Zmarłego pożegnał m.in. minister Jan Stanisław Ciechanowski, pełniący po śmierci swojego szefa obowiązki kierownika UdSKiOR.

Zbigniew Zieliński, pierwszy szef UdSKiOR w latach 1991-1992, w randze sekretarza stanu, nawiązał do tradycji rodzinnych Janusza Krupskiego: „Jego przodkowie walczyli w powstaniach i wojnach, wychowany w takim duchu poświęcił życie pracy dla Ojczyzny” – mówił.

Ministra Krupskiego żegnali także przedstawiciele kombatanów z kraju i zagranicy, przedstawiciele KUL, gdzie kończył historię (prof. Hubert Łaszkiewicz), a także pisma „Spotkania”, które wydawał (Janusz Bazydło).

Zastępca przewodniczącego Rady do Spraw Kombatanów i Osób Represjonowanych, Władysław Matkowski, podkreślił, że Janusz Krupski spotykał się z wieloma kombatanami osobiście. „Troszczył się zwłaszcza o tych żyjących w trudnych warunkach, za wschodnią granicą” – mówił. „Był człowiekiem wielkiej odwagi i prawości” – dodał.

W uroczystościach pożegnania ministra Janusza Krupskiego wzięli udział między innymi Jego bliscy, w tym żona Joanna i siedmioro dzieci, przedstawiciele administracji rządowej, parlamentu, harcerze. Obecni byli kombatanzi i poczty sztandarowe z całego kraju, a także z zagranicy, m.in. z Białorusi.

Władysław Bartoszewski [Janusza Krupskiego miałem **szczęście** poznać...]

Janusza Krupskiego miałem szczęście poznać w 1973 roku, w okresie Jego studiów historycznych na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Użyłem określenia „szczęście”, ponieważ należał On do tych moich słuchaczy, potem znanych, wreszcie przyjaciół ze środowiska uniwersyteckiego w Lublinie, których szczególnie ceniłem. Obok Bogdana Borusewicza – obecnego marszałka Senatu RP, który był w tej samej grupie przyjaciół i należał do najbliższych Krupskiemu ludzi.

W mojej pamięci zapisał się jako człowiek wybitny i wyrastający zachowaniem, postawą, umiejętnością postrzegania, przewidywania ponad to, czego można było oczekiwać od dwudziestokilkulatka urodzonego i wychowanego w prowincjonalnym mieście. Był jednym z nielicznych, na których zwrócono mi uwagę, bym się Nim i Jego przyjaciółmi zainteresował. Nie musiałem Go szukać, ponieważ Janusz Krupski sam się zgłosił na moje seminarium i wśród jego uczestników odgrywał rolę szczególną. Na krótko przed moją działalnością na KUL, Krupski był jednym z nielicznych studentów, którzy dzielnie, przy pomocy interwencji prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego wywalczyli to, że nie utworzono na KUL Socjalistycznego Związku Studentów Polskich.

Zainteresowania Janusza Krupskiego były wyraźnie ukierunkowane na najnowszą historię Polski. Już w 1974 roku, między innymi pod wpływem moich wykładów, rozumiejąc potrzebę zdobycia środków technicznych na niezależną od władz działalność poligraficzną, pod-

jął w tym kierunku działania. Teraz to się wydaje anachroniczne, ale wtedy to był wielki problem. Na początku 1976 roku, przy pomocy studiującego w Lublinie Piotra Jeglińskiego, który potem szybko wyjechał na Zachód, a który był tu niewątpliwie zasłużonym kooperantem, udało im się zdobyć powielacz; trafił on z zagranicy do Lublina. Na tym powielaczu zaczęto wkrótce, jesienią 1976 roku, powielać „Komunikaty” i „Biuletyn Informacyjny” KOR – bardziej usługowo, by działać na rzecz wolnej myśli i spo-

Władysław Bartoszewski jest członkiem Rady do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych przy kierowniku Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz sekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

Władysław Bartoszewski – wykładowca KUL. 1974. Archiwum Uniwersyteckie KUL.



Część III. Wspomnienia publikowane

leczeństwa obywatelskiego, a mniej ze względu na akces polityczny dla konkretnej grupy. Na tej samej zasadzie powielono również pierwsze trzy numery „Zapisu”.

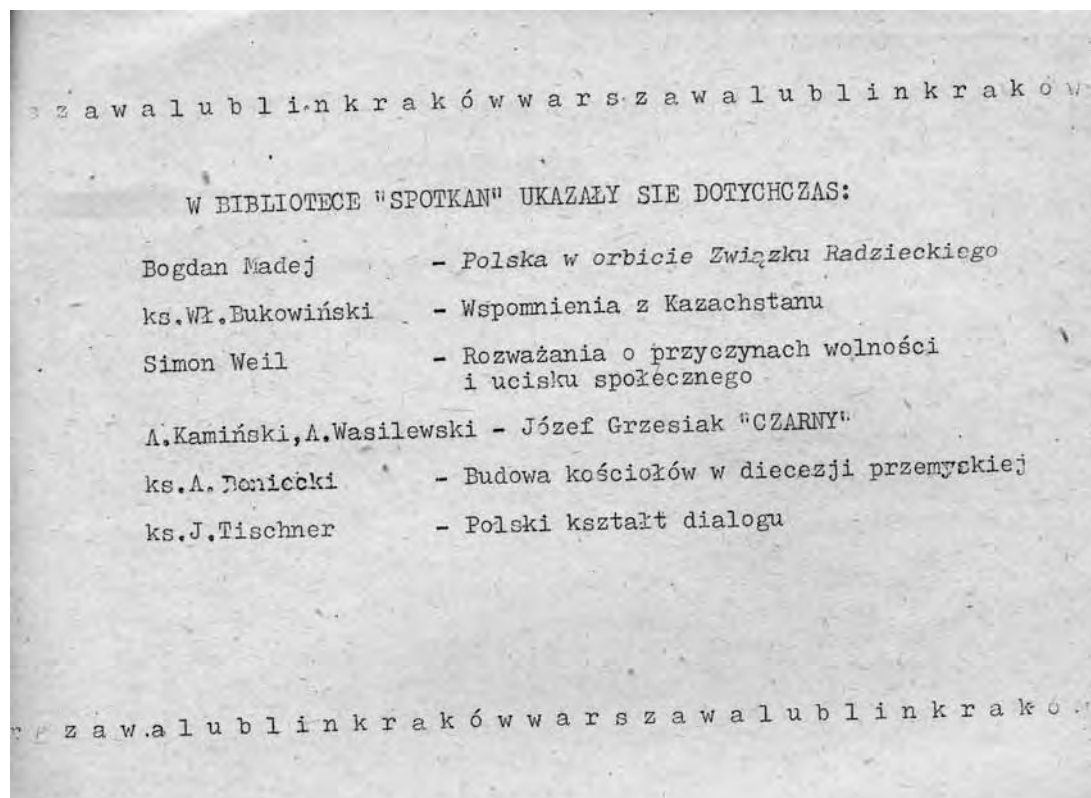
Kiedy zaczęły się spotkania dyskusyjne w mieszkaniu Bożeny Wronikowskiej w Lublinie (rodzaj tajnego klubu dyskusyjnego) i kiedy tworzone pismo „Spotkania” w 1977 roku, Janusz Krupski był już po studiach. Uczestniczyłem w pracach nad tworzeniem tego pisma, udzielałem porad jego redaktorom. „Spotkania” ukazywały się nieregularnie od jesieni 1977 roku, ciągle za to zwiększając objętość. Trzydzieści pięć numerów „Spotkań” oraz kilkadziesiąt książek Biblioteki „Spotkań” to było Jego dzieło. Autorami tam występującymi byli księża profesorowie, niektórzy o znanych nazwiskach, nawet księża biskupi i ar-

cybiskupi obok intelektualistów świeckich na ogół katolickich, ale nie tylko, bo byli wśród nich osoby niezwiązane z Kościołem.

Ta działalność oraz żywe zainteresowanie dla spraw naszych sąsiadów pokazują rozległość perspektyw Janusza, który w tym miejscu Europy, blisko granicy białoruskiej i ukraińskiej, chciał budować wspólnotę przyszłości, która kiedyś wyda owoce, w nawiązaniu do pięknych tradycji Rzeczypospolitej Jagiellońskiej.

Był wielokrotnie zatrzymywany, przesłuchiwany, na różne sposoby szykanowany, ale mimo to pozostał wierny wartościom i niezawodny. Później, kiedy powstała „Solidarność” – jako ruch formalnie akceptowany, był od jesieni 1980 roku koordynatorem Sekcji Historycznej przy Międzyzakładowym

Książki wydane w ramach Biblioteki „Spotkań”, stan na rok 1980, reklama w „Spotkaniach”.



Komitecie Założycielskim, a następnie w Zarządzie Regionu Gdańskiego. Jego działalność wyszła w ten sposób poza Lublin i stała się powiązana z sercem i centrum „Solidarności”, którym był Gdańsk i w pewnym stopniu Warszawa. Brał udział w tajnych i półtajnych działaniach, zwłaszcza edytorskich, „Solidarności”. Po wprowadzeniu stanu wojennego, gdy byłem internowany, z radością przyjąłem wiadomość, że wtedy uniknął internowania. Ukrywał się. Potem, krótko internowany, należał do tych, którzy się nie dali skusić obietnicom legalnego wydawania pisma za cenę jego oceniania.

Gdy w 1983 roku przebywałem w Berlinie, dowiedziałem się o dziwnej historii porwania Go na ulicy w Warszawie przez Służbę Bezpieczeństwa. Potem się okazało, że dokonała tego ekipa kpt. Grzegorza Piotrowskiego. Janusz Krupski był poważnie poparzony żrącą substancją i pozostawiony w lesie. Ocalał niemal cudem. Długie lata nie mógł się doczekać pełnej moralnej satysfakcji wymierzenia sprawiedliwości. Skończyło się na łagodnych formach ukarania sprawców łajdackich działań, które tylko przypadkiem zakończyły się szczęśliwie.

Janusz Krupski miał w życiu niezwykle szczęście, co Go umacniało i pozwalało iść dalej. Wzmocnił Go związek z Joanną Puzynianką, ze znakomitej starej, polskiej rodziny Puzynów. Joanna, córka wybitnej lingwistki, Jadwigi Puzyniny, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, wtedy studentka KUL, została Jego żoną. Był to związek uchodzący za źródło siły i satysfakcji dla nich obojga. Małżeństwo, z którego pozostało teraz osieroconych siedmioro dzieci i ich matka – wspierała działaczka laikat katolickiego. Joanna Krupska, która przychodzi mi bezustannie na myśl w rządzie najbardziej poszkodowanych Polaków przy każdym wspomnieniu tragedii smoleńskiej.

Janusz Krupski robił rzeczy ważne, usiłował w Polsce przełomu i potem podjąć działalność wydawniczą. Prowadził ją na własny rachunek, zajmował się sprawami związanymi z historią. Nie był człowiekiem interesu, przeciwnie – miał tę szlachetną naiwność prawych ludzi, którzy ufają innym.

Po powstaniu Instytutu Pamięci Narodowej był kilka lat jego wiceprezesem. Powszechnie szanowany, reprezentował IPN w działaniach publicznych, szczególnie tych związanych z kombatanami. Kilka razy towarzyszyłem Mu w podróżach. Pozostało to w moim osobistym wspomnieniu, jak bardzo był wrażliwy na kontakty z ludźmi, jak doceniał ich zaangażowanie i działanie na rzecz pamięci narodowej. Pozostał tej pamięci wierny, kiedy odszedł z własnej woli z IPN, gdy przegrał jednym głosem w konkursie na stanowisko prezesa. Bóg połączył Go tragicznego 10 kwietnia we wspólnej śmierci z Januszem Kurtyką, na którego rzecz przegrał wtedy tę konkurencję.

Został szefem Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, znajdując tam teren działania wśród pokolenia Jego rodziców, a nawet dziadków. Stykał się z ludźmi niekiedy obciążonymi bagażem urazów, trudnych doświadczeń, problemów i konfliktów. Taka jest polska rzeczywistość i taka jest rzeczywistość ludzi dotkniętych traumą II wojny światowej, którą rozumiał. Usiłował być człowiekiem porozumienia, łagodzenia konfliktów, znajdowania dróg wyjścia. W moim przekonaniu oraz z obserwacji wynikających z Jego zaufania do mnie i z rozmów prywatnych był w roli opiekuna kombatantów niezastąpiony. Byłem z nim umówiony 12 kwietnia, aby omówić planowaną osobną podróż do Kątyń. Nieformalnie, bo mnie w żadnej mierze nie podlegają sprawy kombatanckie. Do Rady do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych wszedłem

Część III. Wspomnienia publikowane

zaś dopiero w wyniku inicjatywy Janusza Krupskiego i ze względu na Niego, ponieważ należał do osób, których powodzenie szczególnie mnie interesowało. Wiedziałem, że da sobie radę, ale chciałem Mu pomóc.

Ten stosunek wzajemnego zaufania i pomocy wyklucza całkowicie obiektywne kreślenie Jego biografii, bo był dla mnie jednym z duchowych synów. A o biografii własnych synów trudno mówić obiektywnie.

Janusz Bazydło

Wystąpienie podczas pogrzebu ministra Janusza Krupskiego

Cmentarz Powązkowski, Warszawa, 26 kwietnia 2010 roku

Czas przeszły dokonany. W naszym języku bywa najbardziej okrutny. Jest przypisany historii. Od 10 kwietnia stał się, niestety, właściwy dla Janusza Krupskiego. Zatem był...

Był człowiekiem wiary. To ona kazała Mu podjąć studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a potem w trakcie studiów sprzeciwiać się utworzeniu na uczelni Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. Powołane i redagowane przez Niego pismo „Spotkania” stało się w okresie cenzury ważnym głosem Kościoła; to na ich łamach można było czytać ważne wypowiedzi hierarchów i wybitnych ludzi Kościoła.

Był człowiekiem nadziei. Ile jej trzeba było mieć, żeby w latach 70. uczestniczyć w powielaczowym spisku, którego rezultatem było zapoczątkowanie niezależnej poligrafii w Polsce. Wbrew beznadziei i złudnemu przekonaniu władz zadłużonego państwa o „Polsce rosnącej w siłę i ludziach, którym żyje się dostatniej”.

Był człowiekiem miłości. Do swojego kraju, swojej rodziny. Tej pierwszej miłości towarzyszyło przekonanie, że wybić się na niepodległość można tylko wspólnie z sąsiedzkimi narodami Europy. Owocem tej drugiej było siedmioro pięknych dzieci, którym wywalczył niepodległość. Niepodległość okupioną Jego udziałem w męczeństwie, którego doświadczył.

Każdy z nas ma swoje „kwiatki św. Franciszka”. Janusz i Joasia zasiali ich sporo.

Wspomnę o jednym, chyba najwcześniejszym, bo jeszcze przedślubnym. To wtedy wpadli na pomysł, żeby przedślub-

ny miesiąc spędzić z niepełnosprawnym młodym człowiekiem, którym trzeba się było opiekować bez przerwy, dzień i noc, karmiąc go i przewijając. Po to, żeby samotnie wychowującej go matce dać pierwszy raz możliwość odpoczynku. Nie sposób o tym zapomnieć. Tak się zaczęła ich wspólna droga... także do Muminków.

I jeszcze statystyka. Ta wymierna to: pierwsze „Biuletyny Informacyjne” i „Komunikaty” KOR, trzy pierwsze

Janusz Bazydło jest redaktorem pisma „Kombatant” wydawanego przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Był współredaktorem „Spotkań”. [Tę i inne informacje o autorach podano za „Kombatantem” (niekiedy uzupełniono). Przyp. Red.].



Janusz Krupski. Listopad 2007. Fot. Tomasz Czajkowski. Archiwum TNN.

Władysław Bartoszewski i Janusz Krupski na uroczystości wręczenia doktoratu *honoris causa* Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II prof. Bartoszewskiemu. Styczeń 2008. Fot. Mariusz Kubik. Archiwum „Kombatanta”.



numery „Zapisu”, 35 numerów „Spotkań”, 88 książek Biblioteki „Spotkań”, kilkadziesiąt książek Wydawnictwa Krupski i S-ka. Plus siedem zaczętych niezwykłych tomów o tytułach: „Łukasz”, „Piotr”, „Paweł”, „Tomasz”, „Jan”, „Maria” i „Teresa”.

Ta druga, niewymierna statystyka to kilka zrealizowanych pomysłów na Polskę, dzięki którym możemy się cieszyć wolnością. Właściwe dla niej pozostaje pytanie: ile było Januszowych prac i dni w dziele dochodzenia do niepodległości? Nie odpowiem na nie, poprzestanę na stwierdzeniu, że już samo postawienie takiego pytania jest zaszczytem.

Do zobaczenia, Januszu! Pozdrawiaj naszych zmarłych: Adama Stanisławskiego, powstańca warszawskiego, senatora I kadencji, naszego nauczyciela; Jaska Stepka, który z małą Karoliną i z Iloną, mając pracę i dom w Sanoku, zjechał w 1977 roku do Lublina, żeby robić „Spotkania”; Zygmunta Jędrykę, profesora Sorbony, który zafascynowany

przemianami roku 1989 przypłacił to załamałem; Adama Kondrackiego, szperającego na swoim stryszkach w papierach, z których powstawała nasza „Kronika krajów pod dominacją komunizmu”; Zdzisława Szpakowskiego, o którym historycy piszą, że był inwigilowany bez przerwy od 1945 do 1990 roku; Wojtkę Chudego, który na wózku, nieludzko okaleczony przez chorobę, robił w Polsce rewolucję...

Przed oczami mam Okęcie, piękne wiosenne popołudnie, dzień powitania Twojego ciała po powrocie z Katynia. Z szeregu rządowych osobistości odrywa się stary człowiek o lasce. Idzie z nami, żeby Cię powitać i pożegnać, a potem długo kłęczy przed trumną, oparty jedną ręką o wieko. To Twój przyjaciel... Władysław Bartoszewski, który we wspomnieniu o Tobie napisał, że traktuje Cię jak duchowego syna.

Chciałbym, żeby Państwo wynieśli ten właśnie obraz z uroczystości pożegnania Janusza Krupskiego.

Bogdan Borusewicz

Wystąpienie po mszy św. żałobnej

w kościele św. Marcina w Warszawie

Minister Janusz Krupski, kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, był moim najbliższym przyjacielem. Przez wiele lat, przez całą epokę byliśmy razem. Nawet w sytuacji, gdy mieszkaliśmy w różnych stronach Polski.

Znaliśmy się od 1969 roku, kiedy zetknęliśmy się na studiach historycznych, na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Zaprzyjaźniliśmy się dość szybko, bo istniało między nami silne przyciąganie. Widziałem, że Janusz szuka podobnych do siebie, szuka takich ludzi, którzy oprócz studiowania historii i dyskusji politycznych będą chcieli coś konkretnego zrobić dla narodu zniewolonego przez komunistów, więc Janusz robił. Wciskaliśmy się w każdą szparę działalności legalnej, półlegalnej. I szybko Janusz zanurzył się także w tę działalność nielegalną. Koło historyków na KUL, klub „Więzi”, duszpasterstwo dominikańskie w Lublinie. Wreszcie samorząd studencki, który Janusz powołał. Był pierwszym jego szefem. To były przeszerzenie, w których działał.

Jego zainteresowania polityczno-społeczne można zauważyć już w pierwszym numerze periodyku „Spotkania”, a także w książkach, które ukazały się w Jego późniejszym Wydawnictwie Krupski i S-ka. W latach 90. zajmował się historią Kościoła, a także Kościołem dnia dzisiejszego, szczególnie zaś eklezjologią. Bardzo bliskie Jego zainteresowań były stosunki polsko-żydowskie i polsko-ukraińskie. Uważał te zagadnienia za bardzo ważne, nie tylko ze względu na przeszłość, ale też ze względu na przyszłość.

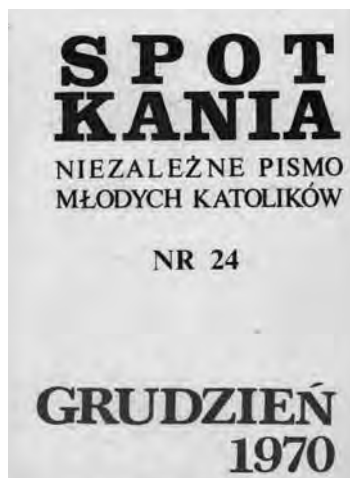
Jeżeli kogoś z tych, których znałem, będę wspominał jako wzór kryształowej uczciwości i skromności, to w pierwszym rządzie Janusza Krupskiego. Jego skromność była naprawdę zadziwiająca. Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski, który otrzymał pośmiertnie, to Jego pierwsze odznaczenie. Był tak skromny, że dla postronnych mógł sprawiać wrażenie niezaradnego. Nie umiał dbać o siebie, ale potrafił dbać o rodzinę, przyjaciół, kolegów. Był liderem grupy opozycyjnej, „kulowskiej” i lubelskiej. Był liderem grupy, która później stworzyła pismo młodych katolików „Spotkania”. Gromadził wokół siebie ludzi otwartych, tolerancyjnych i myślących o przyszłości. Zastanawiali się nie tylko, co robić, ale jaka ta Polska będzie.

Janusz był człowiekiem, który nadawał się na wiele stanowisk, miał także predyspozycje do zostania wybitnym naukowcem. W 1980 roku poprosiłem Go, aby zajął się dokumentacją Grudnia '70 w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie. Bez zwłoki przyjechał z Lublina i opracował pierwszą publikację naukową o tym strasznym doświadczeniu mieszkańców Wybrzeża.

Niestety, nie dane Mu było zostać naukowcem. Zaangażował się bez reszty w coś, co wydawało się, że nie jest w sferze Jego zainteresowań – pomoc niepełnosprawnym. Zaangażował się w zupełności i bez reszty, tak jak poprzednio angażował się we wszystko, co robił.

Janusz był człowiekiem otwartym, był człowiekiem tolerancyjnym, był człowiekiem kompromisu. Z jednym wy-

Bogdan Borusewicz jest marszałkiem Senatu Rzeczypospolitej Polskiej.



Okładki „Spotkań” z materiałami dotyczącymi Grudnia '70. Nr 23 (1983) zawiera relacje z wydarzeń w Gdańsku, nr 24 (1983) – w Gdyni, a nr 25 (1983) – w Szczecinie i Łodzi. Zbiory Biblioteki Uniwersyteckiej KUL.

jątkiem. Dla Niego nie było żadnego kompromisu z władzą komunistyczną i dlatego był przez nią znienawidzony. Na Nim grupa, która dokonała później straszliwej zbrodni, mordując ks. Jerzego Popiełuszkę, dokonała czynu, który dla Janusza także mógł się zakończyć śmiercią. Porwany, wywieziony w las, obłany żrącym ługiem z fenolem, pozostawiony sam sobie. Na szczęście przeżył. Ale to pokazuje, jaką nienawiść ówczesna władza, Służba Bezpieczeństwa, miała do Niego i do Jego środowiska. Ale to nie oznaczało, że Janusz chciał się mścić. Kiedy mówiłem: „Zajmij się tą sprawą, trzeba ją wyjaśnić, nie można jej tak zostawić”, odpowiadał: „A po co? Nic mi się nie stało, żyję, jestem zdrowy, po co?”

Nie wiedziałem, że Janusz jedzie z delegacją do Katynia. Mieliśmy wiele bieżących planów. W najbliższych dniach mieliśmy się spotkać w Lublinie, u oo.

dominikanów podyskutować na temat dwóch książek, które wydano o opozycji lubelskiej. Mieliśmy lecieć do Bolonii, aby razem z kombatanami uczcić wyzwolenie Bolonii przez 2. Korpus Polski gen. Władysława Andersa. Przypomnieć Włochom, że to zrobili Polacy. Mieliśmy lecieć tym samym Tu-154.

On jednakże poleciał wcześniej do Rosji. Chciał być ze swoimi weteranami, którzy dla Niego byli przykładem, jak należy zachowywać się w sytuacjach skrajnych, jak należy kochać Polskę. Miała to być krótka podróż – rano wylot, po południu w domu. Nikt nie wiedział, że jest to Jego i innych podróż ku wieczności. Ciężko nam wszystkim rozstać się z Januszem. Ciężko bardzo Joannie – Jego żonie, Jego dzieciom. Wiem, że był z Wami bardzo szczęśliwy. Wiem, że to dla Was straszna strata, straszne uderzenie. Ale to dla nas też niepowetowana strata. Strata dla całej Polski.

Jan Stanisław Ciechanowski Przemówienie na pogrzebie ministra Janusza Krupskiego

Cmentarz Powązkowski, Warszawa, 26 kwietnia 2010 roku

Drogi Januszu! Żegnamy dziś Ciebie, a właściwie mówimy „do zobaczenia” na tym lepszym świecie. Byłeś wybitnym patriotą, patriotą czynu, który często z pobłażaniem spoglądał na patos. Byłeś patriotą w każdej godzinie Twojego życia. Byłeś człowiekiem odważnym, niezłomnym. Dochowałś wiary tym wszystkim wartościom, które wyznaczały Tobie i Twojemu pokoleniu kierunek życia. Byłeś człowiekiem, który wiedział, co to służba, który znał definicję słowa „minister”, niezwykle wrażliwym na ludzką krzywdę, zawsze wiernym najwyższym wartościom. Niewielu jest takich ludzi.

Byłeś człowiekiem, który przez całą drogę kroczył w jednym wyznaczonym celu – ku wolnej Polsce. Doskonale wiedziałeś, że tę wolną Polskę po odzyskaniu niepodległości trzeba budować i umacniać. Wiedziałeś, że na marne pójdzie walka naszych czcigodnych weteranów; pokolenia walczącego o wolną Polskę podczas II wojny światowej i zaraz po jej zakończeniu, i że na marne pójdzie Wasza walka, jeżeli nie przekażecie tych najwyższych wartości młodzieży – pokoleniu, do którego i ja należę, i pokoleniom, które jeszcze przyjdą. To było dzieło Twojego życia. Tego nigdy nie zapomnimy.

Bóg nie dał siepaczom z SB, by Cię zamordowali rok przed ks. Jerzym Popiełuszką. Bóg wyznaczył Ci zadania, które spełniałeś najlepiej, jak umiałeś. Bóg wprowadził Cię do grona tych, którym zawdzięczamy wolną Polskę.

Zostałeś powołany do pełnienia warty katyńskiej. Dziś biało-czerwone skrzydła znów są połamane. Ale

przyjdzie taki dzień, gdy werble znów zagrają, przyjdzie taki dzień, w którym orzeł biały znów wzleci wysoko. Przyjdzie zmartwychwstanie.

Świat dzięki Waszej warcie nie zapomni, co to Katyń. Nie zapomni nigdy.

Drogi Januszu! Zostawiasz testament. My będziemy go realizować. Dzięki temu testamentowi, gdziekolwiek mnie losy rzucą, ja już zawsze do końca moich dni będę Twoim zastępcą. To dla mnie wielki zaszczyt móc tak blisko z Tobą pracować przez ostatnie cztery lata. Byłeś mi przyjacielem, byłeś mi nauczycielem. Niech Ci ta umiłowana polska ziemia lekką będzie. Jeszcze Polska nie zginęła! Spoczywaj w pokoju.

Jan Stanisław Ciechanowski jest pełniącym obowiązki kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Jan Stanisław Ciechanowski wpisuje się do księgi kondolencyjnej wystawionej przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, za nim Andrzej Bida (dyrektor generalny UDSKiOR). 2010. Fot. Mariusz Kubik. Archiwum „Kombatanta”.



Tadeusz Chwiedź [Tragedia naszego narodu...]

Tadeusz Chwiedź jest prezesem Związku Sybiraków.

Tragedia naszego narodu, spowodowana katastrofą pod Smoleńskiem, nieopodal Lasu Katyńskiego, przejęła nas wielkim smutkiem, żalem i bólem.

Ten ból i żal dotyka naszą społeczność kombatancką szczególnie tragicznie. Poza utratą w katastrofie przewodniczącego Rady Kombatantów i Osób Represjonowanych, prezesa Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej – ppłk. Czesława Cywińskiego, oraz sekretarza generalnego Związku Sybiraków – mgr. Edwarda Duchnowskiego, straciliśmy też powszechnie lubianego, szanowanego i cenionego kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, ministra Janusza Krupskiego. Cieszył się dużym autorytetem wśród kombatantów i ofiar represji; wiedzieliśmy, że nasze sprawy są we właściwych rękach i godnie reprezentowane.

Janusz Krupski całe życie poświęcił walce o wolną, suwerenną i niezależną Polskę. Za działalność konspiracyjną, trudną i niebezpieczną, był prześladowany i represjonowany przez tych, którzy później zamordowali ks. Jerzego Popiełuszkę.

Przetrwiał wszystkie szykany: aresztowania i internowanie, znęcanie się fizyczne i psychiczne i doczekał się takiej Polski, o jaką przez lata młodzieńcze walczył.

O szczegółach Jego konspiracyjnej walki dowiedzieliśmy się dopiero teraz, w dniach żałoby, po katastrofie, jaka się wydarzyła na „przeklętej ziemi”, w pobliżu Lasu Katyńskiego.

Choć wiele razy spotykaliśmy się, przeprowadziliśmy dużo rozmów na

różne tematy dotyczące naszych związków kombatanckich – nigdy o swojej działalności nie mówił; był człowiekiem skromnym, prawym i życzliwym, myślącym o innych, a nie o sobie.

Jego zaangażowanie i poświęcenie dla realizacji ideałów jest godne naśladowania. Na podstawie Jego życiorysu można uczyć młodych, jak kochać Ojczyznę, jak bardzo być Jej oddanym, jak ideały umiłowania Ojczyzny w swojej działalności uznawać jako powinność i wartość najwyższą.

„Rację mają ci, którzy walczą o wolność i prawdę” – miał powiedzieć na uroczystości w Katyniu prezydent RP, Lech Kaczyński. To twierdzenie nie było jednak wypowiedziane, tragiczna katastrofa to uniemożliwiła, ale jak bardzo pasuje ono do działalności konspiracyjnej i życiorysu ministra Krupskiego. W całej rozciągłości potwierdza słuszność postępowania i drogę, jaką kroczył przez życie.

Jako kierownik UdSKiOR uznał za priorytetowe bezpośrednie kontakty z kombatantami i osobami represjonowanymi. Rozmowy z nimi i wyciąganie wniosków z tych rozmów wytyczały kierunki Jego działania. Starał się uczestniczyć w uroczystościach patriotyczno-religijnych, upamiętnianiu ważnych wydarzeń historycznych.

Jak nikt inny był propagatorem upamiętniania historii, popierał budowę znaków pamięci wydarzeń historycznych, a zbrodni katyńskiej w szczególności. Jego wyjazd na uroczystości 70. rocznicy tej zbrodni ludobójstwa jest tego potwierdzeniem. Niektórzy uważali za niewłaściwe częste wyjazdy w teren

do kombatantów czy władz samorządowych w sprawach kombatanckich. Rada powołana jako organ doradczy kierownika Urzędu tę formę Jego pracy uznała za celową, a nawet konieczną.

Jako nasz minister był zdecydowanym obrońcą spraw kombatanckich. Pamiętam, jak na spotkaniu z kierownictwem Zakładu Ubezpieczeń Społecznych i Narodowego Funduszu Zdrowia stanowczo domagał się podjęcia natychmiastowych decyzji zapewniających pełną realizację postanowień znowelizowanej ustawy O świadczeniach opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych,

zatwierdzonej przez Sejm RP w 2007 roku. Tak zdecydowane stanowisko wynikało z napływających do Urzędu i Rady Kombatantów skarg od kombatantów i ofiar represji z całej Polski. Takie przykłady można by mnożyć, nie o ilość tych przykładów przecież chodzi, a o sposób reagowania i załatwiania tych skarg. Skromność, życzliwość i serdeczność dla kombatantów i osób represjonowanych, pełne oddanie sprawom i problemom, które nurtują ich środowisko, pozostaną na długo w naszej pamięci.

Zginął na posterunku dla spraw, które były celem Jego życia.

Przedstawiciele środowisk kombatanckich wpisujący się do ksiąg kondolencyjnych wystawionych przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych po śmierci Janusza Krupskiego. 2010. Fot. Mariusz Kubik. Archiwum „Kombatanta”.



Jerzy Kłoczowski [Był mi bardzo bliski od wielu lat...]

Prof. Jerzy Kłoczowski jest dyrektorem Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie.

Był mi bardzo bliski od wielu lat. Najpierw jako student i uczestnik mego seminarium, na którym przygotował pracę magisterską o dominikanach-obserywantach w Polsce przełomu XVII i XVIII wieku. Praca bardzo dobra i warta wydrukowania, może uda się to zrealizować w ramach wydawnictw dominikańskich, dziś szeroko rozbudowanych. Przy ogromnie żywym zaangażowaniu w studencki ruch opozycyjny – często był to temat naszych rozmów – wyniósł z tych lat uniwersyteckich głębokie zrozumienie wagi dziedzictwa narodowego, tradycji walk o niepodległość, a zarazem otwarcia na „innych”, od naszych sąsiadów poczynając. Żywą tradycję akowską i powstańczą przekazywali naszym studentom ich nauczyciele: Zdzisław Szpakowski, Władysław

Bartoszewski, Adam Stanowski i ja. Na prośbę Janusza i Jego kolegi ze studiów, marszałka Bogdana Borusewicza, przypomniałem to kilka miesięcy temu w Gdańsku podczas Światowego Zjazdu Polskich Kombatanów.

Po studiach zachowałem z Januszem – cały czas do ostatnich dni – bliskie stosunki, coraz bardziej przyjacielskie. Ceniłem Jego prawość, niezależność, zdolność do szerokiego widzenia spraw ludzkich bez ciasnych zahamowań. Prowadziliśmy długie rozmowy dotyczące spraw kraju, zawsze leżących Mu tak bardzo na sercu.

Niezbędne jest dobre opracowanie biografii Janusza, pokazujące różne okresy Jego życia. Zaangażowanego mądrze i odpowiedzialnie, zawsze skromnego, bez sztucznego wysuwania się na

Jerzy Kłoczowski ze swoimi studentami: Maciejem Sobierajem, Januszem Krupskim i Ewą Kurek. 1974. Zbiory prywatne Macieja Sobieraja.



świecznik, mającego poczucie służby i obowiązku, co, niestety, nie jest dzisiaj wystarczająco rozumiane i realizowane. Dobrze udokumentowana biografia ukaże zarówno trudności, z jakimi spotykał się w życiu publicznym, jak i ważne osiągnięcia. Miał w tym wszystkim mocne oparcie w jakże szczęśliwym małżeństwie i wspaniałej rodzinie, mógł też liczyć na dobrych przyjaciół w różnych kręgach bardzo Go ceniących.

Warto pamiętać o ambitnej działalności wydawniczej Janusza już w niepodległej Polsce. Podjął między innymi decyzję wydania – najlepszej dziś – historii powszechnej, ekumenicznie pojętej, poświęconej chrześcijaństwu. Rozumiał wagę poszerzenia horyzontów polskich chrześcijan, zbyt często wąsko patrzących na chrześcijaństwo światowe. Spośród liczącej czternaście tomów serii wydawniczej udało Mu się zrealizować niestety tylko dwa, za to wspaniałe wydane, lepiej od edycji francuskiej, niemieckiej czy włoskiej. Z wielkim żalem musiał zrezygnować z kontynuowania tej bardzo dobrze przyjętej edycji; czy znajdzie się następca gotów do tego dzieła?

Przez kilka lat zajmował ważne stanowisko w Instytucie Pamięci Narodowej. Doskonale rozumiał wagę pamięci i dziedzictwa.

Kierując Urzędem do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, wszedł bezpośrednio w świat kilku pokoleń ludzi walki z lat 1939-1945, później prześladowanych przez system komunistyczny. Wkładał ogrom pracy w rozpoznawanie sytuacji życiowych tych ludzi zarówno w kraju, jak i całym świecie. Uczciwa weryfikacja i udzielanie pomocy konkretnym ludziom i środowiskom narzucały się tu z całą oczywistością. Jakże ważne było osobiste, ludzkie podejście do osób często przez długi czas niedocenianych, skazywanych na margines albo prześladowanych. Istotną rzeczą była też pamięć i troska o dokumentację, o zachowanie zarówno śladów działań i zasług, jak i różnorodnych form represji.

Janusz Krupski ma ważne miejsce w pokoleniu, które można określić jako pokolenie „Solidarności”. W całym dojrzałym życiu służył ludziom i sprawom z największym oddaniem, skromnością i bezinteresownością. Zawsze można było na Nim polegać. Był człowiekiem łączącym głęboki patriotyzm i religijność z widzeniem innych ludzi, z otwartością i zdolnością do solidarnej współpracy. Jego biografia, która to konkretnie unaocznia, będzie długo służyła edukacji, nie tylko polskiej, i nie tylko chrześcijańskiej.

Grażyna Wiśniewska [Zaczęłam pracować w Urzędzie...]

Grażyna Wiśniewska
była sekretarką Janusza
Krupskiego.

Zaczęłam pracować w Urzędzie do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych w 1998 roku. W sierpniu 2007 roku oddelegowano mnie w zastępstwie koleżanki do sekretariatu ministra Janusza Krupskiego. Każdy dzień pracy sprawiał mi coraz większą przyjemność, więc z radością przyjąłam decyzję, że zostanę tam na stałe. To był najlepszy szef, jakiego miałam, takiego jak On nigdy już mieć nie będę.

Przychodził do pracy pół godziny przed czasem. Każdego dnia witał się ze mną serdecznie. Czekwały na Niego prasa i kawa. Do kawy lubił słone paluszki. Potem były liczne spotkania z weteranami, przedstawicielami stowarzyszeń kombatanckich, ofiarami represji, przedstawicielami Kancelarii Prezydenta i Premiera, dyplomatami i szefami departamentów Urzędu. Decyzje, spotkania, telefony, pisma, mnóstwo zaproszeń od kombatantów, zebrania z pracownikami, posiedzenia Rady do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych – tysiące spraw. By łatwiej mi było odczytać poprawiane rękopisy, przepisywał je wyraźnie. Każdego dnia dziękował mi za dzień pracy i życzył miłego popołudnia, mówiąc, że jutro też jest dzień.

Minister nigdy nie siadał za wielkim biurkiem, zajmował stałe miejsce przy stole. Zarówno gdy pracował, jak i podczas rozmów z kombatantami i pracownikami. Duże biurko Go krępowało. Zawsze skromny i życzliwy.

Wizyty kombatantów często trwały dłużej niż zaplanowano. Gdy ich przyjmował, musiały być pączki i owoce. Oni zaś podkreślali, że „to wielka przyjemność rozmawiać z Panem Ministrem i dlatego nie mogą spotkania tak po prostu zakończyć”. Jego gabinet jest pełen pamiątek: książek i albumów z dedyka-

cjami, obrazków, proporczyków i medali pamiątkowych, bo odznaczeń państwowych nigdy nie chciał przyjąć.

Szef bardzo często wyjeżdżał na uroczystości w kraju i za granicą, by upamiętnić polskich kombatantów. Odwiedzał rozsianych po świecie weteranów lub składał wieńce na grobach ich zmarłych kolegów. Pracował siedem dni w tygodniu, bardzo często nie wracał z delegacji, bo prosto z jednej wyjeżdżał w drugą. Przed każdym wyjazdem czy uroczystością zagłębiał się w tomy książek, opracowań i innych materiałów, by przygotować się do wizyty czy wystąpienia. Zawsze przemawiał z pamięci. Nie lubił, gdy Go fotografowano, bo uważał, że najważniejsi są kombatanci i to im należy się uwaga fotoreporterów.

Na początku kwietnia byli u ministra prezes Polskiej Fundacji Katyńskiej – Bożena Łojek, i prezes Komitetu Katyńskiego – Stefan Melak, by porozmawiać o wspólnej podróży do Katynia...

Minister był bardzo zmęczony, mimo to nie chciał zawieść kombatantów i do Katynia poleciał.

Poza pracą niezwykle ważna była dla Niego rodzina: żona Joanna, do której po latach małżeńskiego stażu wciąż mówił „Asieńko”, oraz dwie córki i pięciu synów. Gdy odszedł, zaprzyjaźniłyśmy się. W tym trudnym momencie możliwość pomocy pani Joannie jest dla mnie zaszczytem i przyjemnością. Emanują z Niej wewnętrzny spokój i ciepło, które udzielają się otoczeniu. Podobną aurę tworzył Janusz Krupski, mój kochany Pan Minister.

Polecono mi spakować rzeczy należące do Pana Ministra, które wciąż są w Jego gabinecie. To najtrudniejsze zadanie, jakie dostałam.

Jan Żaryn Wiceprezes*

Pana Janusza Krupskiego poznałem w latach 90., gdy wraz z prof. Barbarą Otwinowską przygotowaliśmy pracę zbiorową *Polacy wobec przemocy*. Pan Janusz był wówczas jednym z dyrektorów wydawnictwa „Spotkania”, z którym to wydawnictwem – pośrednio – łączyło mnie bardzo wiele. Gdy w drugiej połowie lat 80. mogłem już wyjeżdżać do Francji (gdzie mieszka moja najbliższa rodzina), spotkałem się m.in. z wielką miłośniczką Polski, panią Bernadettą Gradis – baronową, bogatą Francuzką mieszkającą w dzielnicy XVI Paryża, przy rue Jean Goujon. Za pieniądze baronowej jej francuski przyjaciel kupował polskie książki, w tym z logo Editions Spotkania, trzymał w przepastnej piwnicy swego domu, a następnie sukcesywnie przesyłał je różnymi drogami do Polski (w tym do naszych domów; pani Gradis była bowiem przyjaciółką mojej matki). Gdy przyjechałem do Francji bodaj w 1988 roku, zostałem przez niego zaproszony do wspomnianej piwniczki, gdzie mogłem zaczerpnąć z worka kilkanaście książek. Na własność.

Kiedy spotkałem się z Panem Januszem osobiście (z Piotrem Jeglińskim widywałem się częściej) bodaj w 1993 roku, zadziwiłem się miejscem, w którym wydawnictwo „Spotkania” egzystowało w wolnej Polsce. Był to skromny budynek przy ul. Żelaznej, z czerwonej cegły, pamiętającej czasy wojny, właściwie katakumby. Pan Janusz (dopiero w czasach IPN-owskich przeszliśmy na „ty”) siedział skromnie, rozmawiał na tematy bieżące – tak jakby Jego wspaniały życiorys i dzieje wydawnictwa nie mogły stanowić naturalnego kapitału wyjściowego w wolnej Ojczyźnie. Rozumiał twarde

wymogi rynku, fakt, że nie był beneficjentem przemian przyjmował z pokorą i dystansem. Ostatecznie w połowie lat 90. udało się nam wydać wspomniane dzieło, które nadal jest cytowane w pracach naukowych (znajdowały się tam m.in. szkice monograficzne Marty Fik, Zdzisława Szpakowskiego i innych); była to bodaj przedostatnia pozycja książkowa (ostatnią stała się książka Krzysztofa Kawalca o Romanie Dmowskim), która wyszła z logo tego zasłużonego wydawnictwa. Moje ówczesne środowisko, skupione wokół prof. Anny Sucheni-Grabowskiej oraz prof. Barbary Otwinowskiej, było bardzo zainteresowane dalszą współpracą, w tym wydaniem całej serii biografii „ludzi niezwykłych”. Ostatecznie projekt ten został zrealizowany przez konkurencję – zasłużone Wydawnictwo DiG.

Nasze drogi przecięły się powtórnie, gdy powstał Instytut Pamięci Narodowej; zostałem tam zatrudniony w grudniu 2000 roku na stanowisku głównego specjalisty w Biurze Edukacji Publicznej. Pracowaliśmy na dziewiątym i dziesiątym piętrze w budynku przy ul. Towarowej w Warszawie. Janusz, wówczas wiceprezes Instytutu, miał swój gabinet na dziewiątym piętrze, był zatem moim sąsiadem. Z roku na rok coraz częściej zapraszał mnie do swojego gabinetu; chciał porozmawiać. Zawsze delikatny, nienarzucający się, gdy mówiłem, iż tym razem nie mam czasu. Pełno roboty – jak to w IPN. Prosiłem często Jego sekretariat, by pomógł nam w przepisywaniu źródeł. Janusz zawsze udzielał swej zgody. Dziś nie potrafię szczegółowo odtworzyć rozmów. Jednym z częstych tematów omawianych podczas naszych spotkań były Jego opowieści

*Artykuł ukazał się w „Biuletynie Instytutu Pamięci Narodowej”, numerze specjalnym 112-113, 2010, s. 127-128. Dziękujemy Autorowi i Redakcji „Biuletynu” za zgodę na przedruk.

o okresie PRL, o wizycie u prymasa Stefana Wyszyńskiego, który wyrokiem salomonowym z jednej strony surowo upominał studentów KUL, by wykazywali więcej szacunku dla rektora o. Mieczysława Krąpca, z drugiej strony zaś – zgadzając się co do meritum z wnioskiem studentów – szybką interwencją doprowadził do anulowania decyzji rektora o utworzeniu na terenie katolickiej uczelni socjalistycznej organizacji akademickiej. Opowiadał o pierwszym powielaczu, z którego korzystali także działacze KOR drukujący „Biuletyn Informacyjny”, w końcu o swoim niechcianym spotkaniu z bandytami z SB, na czele z Grzegorzem Piotrowskim, którzy porwali Go zimą w stanie wojennym, oblali żrącym kwasem, a następnie porzucili w Puszczy Kampinoskiej. Dzięki dobrej współpracy z historykami BEP-u, Janusz napisał tekst-wspomnienie do jednej z publikacji wydanej w 2003 roku przez IPN: *Świadectwa stanu wojennego*. Na moją prośbę spotkał się także z grupą studentów UKSW, którzy przygotowywali pracę o gminie Izabelin (w 2009 roku wygrała konkurs na najlepszą

książkę o Mazowszu, organizowany od lat przez Mazowieckie Centrum Kultury). W formie szerokiego wywiadu opowiedział szczegółowo o zdarzeniu, które nierozzerwalnie wiązało Janusza z męczeńską śmiercią Księdza Jerzego.

W 2005 roku Kolegium IPN rozpisało konkurs na nowego szefa IPN; w praktyce tylko dwie osoby liczyły się w tym rankingu: Janusz Krupski i Janusz Kurtyka. Wygrać mógł tylko jeden. Pamiętam, że dla mnie każdy wynik tej konfrontacji byłby pozytywny. Janusz Krupski szybko znalazł nowe, równie odpowiedzialne stanowisko: kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Jego najbliższymi współpracownikami zostali m.in. ci, których rozpoznał i docenił z okresu wspólnej pracy w IPN. Zapamiętałem go siedzącego w swoim gabinecie lub przemawiającego w imieniu kierownictwa Instytutu. Gdy była taka potrzeba, wycofywał się z tą delikatnością człowieka, który nie narzucał swej osoby otoczeniu; gdy wiedział, że jest niezastąpiony, natychmiast znajdował się na czele, odpowiedzialny.

Posiedzenie Rady do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Od lewej: Czesław Cywiński (przewodniczący Rady w latach 2006-2010), Janusz Krupski, Władysław Bartoszewski. Grudzień 2007. Fot. Mariusz Kubik. Archiwum „Kombatanta”.



Część IV

Teksty Janusza Krupskiego

Janusz Topacz [Janusz Krupski] **O co chodzi?!**

Jednym z głównych źródeł obecnego kryzysu na świecie jest brak systemu wartości moralnych w praktyce politycznej, gospodarczej i społecznej. Porządek świata oparty jest na uzależnianiu słabszych od silniejszych. Głównymi architektami tego porządku są dwa supermocarstwa: USA i ZSRR, które wykorzystały zwycięstwo w II wojnie światowej dla wzmocnienia własnej potęgi. Dokonały tego kosztem nie tylko wrogów, ale i sojuszników. Miliony żołnierzy walczących w armiach sojuszniczych i w ruchu oporu w imię wolności, braterstwa i współpracy między narodami zostało oszukanych. Zdeptano pamięć milionów ludzi, którzy zginęli w obozach koncentracyjnych i więzieniach, rozstrzeliwanych w masowych egzekucjach, wierzących, że z ich męczeństwa wyrośnie sprawiedliwy świat. Trudno było oczekiwać innego rozwoju wydarzeń. Wszak „sprawiedliwość” wymierzał Związek Radziecki – państwo totalitarne, pierwszy sojusznik Niemiec hitlerowskich w agresywnej wojnie.

Wkrótce po zakończeniu wojny, USA i ZSRR rozpoczęły między sobą współzawodnictwo o podporządkowanie jak największej liczby państw nienaruszające bezpośrednio interesów obydwu państw i zachowujące *status quo* w Europie.

Głównym celem polityki amerykańskiej stało się zdobycie nowych rynków surowcowych i zbytu, korzystnych miejsc lokaty kapitałów. Stany Zjednoczone nie działały w próżni. W Trzecim Świecie weszły na obszar zainteresowań kapitałów europejskich państw kolonialnych. Zdominowanie kapitałów

europejskich nastąpiło bardzo szybko. Sprzyjały temu rozpad imperiów kolonialnych i słabość ekonomiczna zniszczonej wojną Europy. Dawne potęgi gospodarcze: Anglia, Francja, Niemcy potrzebowały pomocy w odbudowie. Tym razem popadły w zależność ekonomiczną od USA. Dolar awansował do roli najsilniejszej waluty, podstawy międzynarodowych rozliczeń finansowych. Stał się groźną bronią i symbolem ekspansji amerykańskiej. Motywacja ideologiczna i obrona wolnego świata przed komunizmem była tylko ostoją ekspansji. Romantyczne hasła o wyzwoleniu ludów uciskanych spod zaboru rosyjskiego rozwiały się. W ich realność wierzyli najdłużej chyba sami uciskani. Lata 50. przyniosły podważenie niekwestionowanej dotychczas przez nikogo politycznej pozycji USA. Trzeci Świat, politycznie bardzo niejednorodny, przebudził się do życia. Dojrzała świadomość społeczna, narodowa i rasowa ludów kolorowych. W konsekwencji nastąpił [trwający] do dnia dzisiejszego proces dekolonizacji obserwowany przychylnie przez Stany Zjednoczone. Formalnie niepodległe państwa Trzeciego Świata borykały się z rozlicznymi problemami. Nierówność społeczna, zacołanie gospodarcze, nędza i analfabetyzm olbrzymiej większości społeczeństw wymagały gwałtownej zmiany. Inwestycje amerykańskie, a później i innych państw kapitalistycznych, tylko pogłębiały istniejące trudności. Nastawione na maksymalną eksploatację bogactw naturalnych i siły robotniczej, budowały bogactwo Zachodu. Przyniosły nową formę uzależnienia – neo-



Artykuł ukazał się w „Spotkaniach” nr 1, 1977, s. 6-11. W tekście poprawiono najbardziej oczywiste błędy, wszystkie uzupełnienia w nawiasach kwadratowych pochodzą od Redakcji „Scriptores”.

kolonializm. Sojusznika znalazł [on] w rodzimej, reakcyjnej elicie władzy wodzącej się z oligarchii finansowej albo nowobogackiej, jak na Czarnym Lądzie, bezlitośnie okradającej fundusze rządowe. Przeciwko tym funduszom zwrócili się ruchy narodowowyzwoleńcze – społecznie radykalne i rewolucyjne.

Sytuacja ruchów narodowowyzwoleńczych była niezwykle skomplikowana. Tylko w Azji można było mówić o wspólnym działaniu inteligencji i mas ludowych. W Czarnej Afryce i Ameryce Południowej, gdzie proces dojrzewania świadomości mas ludowych postępował bardzo wolno, rewolucja bazowała na wąskich elitach intelektualnych. Różnorodna też była inspiracja ideologiczna tych ruchów. W Wietnamie i Korei partyzantka komunistyczna wykorzystywała nacjonalizm mas. Program reform społecznych łączyła z ideą zjednoczenia podzielonych narodów. Partyzanci koreańscy i wietnamscy otrzymali pomoc od Związku Radzieckiego i Chin Ludowych. Potęgde USA i kapitalistycznego Zachodu rzucono wyzwanie na Dalekim Wschodzie. Stany Zjednoczone zaangażowały się w długotrwałą wojnę w imię doktryny powstrzymywania komunizmu. W Korei odniosły połowiczny sukces, natomiast w Wietnamie porażkę militarną spotęgowała kompromitacja polityczna. W Wietnamie komuniści opanowali Kambodżę i Laos. W innych krajach ruchy narodowowyzwoleńcze w punkcie wyjścia niewiele miały wspólnego z ideologią komunistyczną, a często były jej przeciwnie. Tworzone przez inteligencję o obliczu liberalnym czy nacjonalistycznym, niejednokrotnie inspirowaną treściami religijnymi, prędej czy później znalazły się w orbicie wpływów radzieckich albo chińskich. Klasycznym przykładem jest rewolucja kubańska. Partyzanci Castro nie byli marksistami, gdy wkraczali do Hawany. Po piętnastu latach Kubańczycy stają się realizatorami imperialnych celów

ZSRR w Afryce. Zaciążyła na tym polityka amerykańska i innych państw zachodnich. Wszystko, co podważało ich egoistyczne interesy, nazywano komunistyczną zarazą i starano się wszelkimi metodami zwalczać. Zamiast likwidować społeczne, polityczne czy ekonomiczne przyczyny rewolucji, starali się zniszczyć samą rewolucję. Błędy tej polityki wykorzystali Rosjanie i Chińczycy, którzy udzielali i udzielają pomocy ruchom tego typu, jednocześnie uzależniając je od siebie i manipulując nimi. Przyjęcie imperializmu od jednego imperializmu przeciw drugiemu nie przyniosło i nie przyniesie zwycięstwa rewolucji, zepchnie ją, tak jak kubańską, na reakcyjne tory.

Inną słabością rewolucji w Trzecim Świecie jest nieuzasadniony względami walki partyzanckiej terrorizm i ślepy odwet. Negatywnie wpływa to na światową opinię publiczną i determinuje opór przeciwników. Sympatii i poparcia własnych społeczeństw nie przyniosło lekceważenie tradycji narodowych i kulturalnych.

Moralną odpowiedzialność za sytuację w Trzecim Świecie ponoszą nie tylko rządy, ale i społeczeństwa zachodnie. Wychowane w tradycji demokratycznej, pielęgnujące prawa i wolności we własnych krajach, żyjące w kręgu kultury chrześcijańskiej nakazującej czynną miłość bliźniego, wobec krzywdy innych w swej większości są milczącą społecznością. Zapatrzona w siebie, ujawniają swoisty kult materializmu praktycznego. Zdolne [są] czasem do akcji charytatywnych, które, jak każda jałmużna, nie likwidują niesprawiedliwości. Liczne organizacje demokratyczne należące do rządów i wielkich partii politycznych nie utworzyły wspólnego frontu pomocy dla Trzeciego Świata. Zabrakło ruchów podobnych do Młodej Europy w epoce romantyzmu. W działalności narodowowyzwoleńczej na południu Afryki zabrakło młodych Amerykanów i Eu-

ropejczyków cementujących sojusz ras i ludzką solidarność.

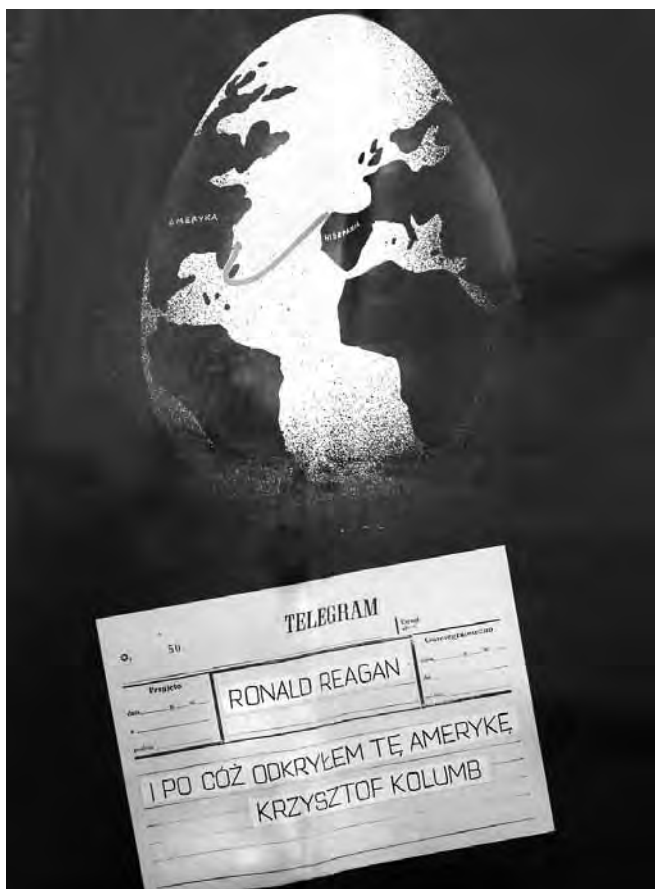
Narzucona przez Amerykanów zależność ekonomiczna i idąca za nią [zależność] polityczna była i jest kwestionowana nie tylko w łonie społeczeństw, ale i przez państwa. Pierwsze wyemancypowały się Europa Zachodnia i Japonia, obecnie coraz więcej państw Trzeciego Świata. Było to możliwe, bowiem Amerykanie respektowali niepodległość państwową. Jeżeli jakiś rząd zakwestionował obecność amerykańską, to nie groziła mu interwencja zbrojna. Amerykanie nie narzucali własnych urządzeń ustrojowych, ideologii i kultury utrwalających ich obecność w danym kraju. Duże nadzieje wiąże się z nową, opartą o przesłanki moralne polityką prezydenta Cartera. Czy faktycznie można nazwać tę politykę nową? Amerykanie niejednokrotnie odwoływali się do wartości moralnych. W chwili obecnej prezydent Carter zaangażował się w obronę praw człowieka. Wątpliwe jest jednak to, by towarzyszyło temu zakwestionowanie układów w Teheranie, Jałcie i innych stanowiących o niesprawiedliwym rządzeniu świata.

Podstawą polityki radzieckiej jest wielkomocarstwowy szowinizm. Najpełniejszy wymiar znajduje [on] w istnieniu wielonarodowościowego państwa terytorialnie (z niewielkimi zmianami) nawiązującego do tradycji Rosji carskiej. Totalitarny w polityce wewnętrznej, realizuje skrajny nacjonalizm przez stopniowe wynaradawianie narodów nierosyjskich na rzecz narodu jednolitego, narodu radzieckiego. Pozostaje pytaniem otwartym, czy jest możliwe wyzrdowienie [wynarodowienie?] już ukształtowanego narodu.

Brutalną politykę narodowościową Stalina spotkało genialne niepowodzenie, wbrew fali nacjonalizmów, w krytycznym dla ZSRR okresie wojny. Polityka Breżniewa jest bardziej wyrażona, ale jak na razie idea „naród”

radziecki „ego” [prawdopodobnie miało być: idea narodu radzieckiego] pozostaje na papierze. W imię tworzenia nowego narodu i człowieka podważono powszechnie przyjęty system moralny. W rezultacie osiągnięto daleko posuniętą destrukcję człowieka i społeczeństwa. Totalitaryzm bez reszty podporządkował człowieka państwu. Pozbawił go wszelkich wolności [i] własności – poza osobistą, pozostawił prawo do życia i nakaz pracy. Bezwzględna walkę wytoczono wszystkiemu, co podważa monopolistyczną rolę państwa i jego ideologii. Przeciwno życiu religijnemu, aspiracjom narodowym, duchowi liberalnemu i demokratycznemu zmobilizowano do monstrualnych rozmiarów

Plakat propagandowy. Lata 80. Zbiory IPN w Lublinie.



rozbudowane aparaty: partyjny, propagandowy i policyjny. Walka prowadzona jest bez względu na koszty pochłaniające znaczną część dochodu narodowego i nieunikniony niedorozwój gospodarczy wpływający na niską stopę życiową ludności. W Związku Radzieckim rośnie ruch oporu na wszystkich frontach prowadzonej przez system totalitarny walki. Dysydenci rosyjscy [liczą, że] odrodzenie życia religijnego wśród młodzieży [i] aspiracje narodów uciskanych stanowią potężniejącą siłę zdolną w przyszłości wstrząsnąć podstawami systemu. Nadzieję w tym pokładają nie tylko narody ZSRR.

Plakat propagandowy.
1967. Zbiory Biblioteki
Głównej UMCS.



Imperializm radziecki na mocy, w istocie swej bezprawnych, porozumień w Teheranie i Jałcie otrzymał tzw. strefę wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej. Politycy radzieccy uzasadniali to koniecznością obrony przed Niemcami i prawem ZSRR do wyjścia z międzynarodowej izolacji, w jakiej się znajdował w okresie międzywojennym. Związek Radziecki nie nadał tym państwom statusu republik związkowych. Zaważyło na tym zarówno niebezpieczeństwo rozkładowego wpływu tych państw na sytuację wewnętrzną ZSRR, jak i ryzyko wojny z Zachodem. Rosjanie, nie chcąc [c] tracić kontroli nad tym obszarem, wybrali rozwiązanie pośrednie – ograniczonej suwerenności nazywanej dumnie demokracją ludową. Realizację tej koncepcji zlecono miejscowym komunistom, którzy pod osłoną Armii Radzieckiej przeprowadzili głębokie przeobrażenia mające przystosować te państwa do roli wasali ZSRR. Społeczeństwa nie były zdolne stawić skutecznego oporu. Rozbijaniu istniejących niekomunistycznych centrów politycznych przez Armię Radziecką i komunistyczny aparat bezpieczeństwa towarzyszył wysunięty przez komunistów program reform wewnętrznych, których potrzebę silnie odczuwano. Opanowane przez komunistów kraje stały się terenem eksploatacji dla odbudowy i rozbudowy gospodarczej ZSRR i systematycznie wzmaganej ekspansji politycznej i ideologicznej. Celem totalnej ekspansji jest zmniejszenie do minimum tego, co odróżnia demokrację ludową od wielkiego sąsiada, tworzenie państw radzieckich z własnym językiem urzędowym. Pod wpływem społecznego oporu zmieniane są tylko środki na bardziej wyrafinowane. Charakterystyczne jest to, że przy tendencji rozpadu zachodnich imperiów kolonialnych, rosyjskie nie tylko nie zmniejszyło się, ale uległo powiększeniu.

Proces wewnętrznej konsolidacji imperium osłaniany jest głęboką dywersją polityczną w świecie, podważającą pozycję przeciwników Rosji: demokracji zachodnich i Chin. Rosjanie udzielają poparcia i starają się przeciągnąć na swoją stronę wszelkie siły (bez względu na ideologię), a więc stowarzyszenia społeczne, partie, ruchy wyzwolenicze, państwa, po to, aby nie znalazły się pod wpływami ich przeciwników, a tam, gdzie jest [to] możliwe, [by] użyć ich do walki z nimi. Żadne skrupuły nie obowiązują, pomoc otrzymują terroryści IRA i Hitler Afryki – Amin, Somalia i Etiopia, które teraz, jak na złość Rosji, walczą przeciw sobie.

Największymi rewizjonistami w polityce światowej okazali się Chińczycy. Zrywając w latach sześćdziesiątych z ZSRR na tle konfliktu ideologicznego i terytorialnego zakwestionowali amerykańsko-radziecką strefę wpływów. Odegrali ważną rolę w procesach uniezależniania się mniejszych państw od mocarstw i oderwania się szeregu partii komunistycznych od Moskwy. Nie zmienia to faktu, że społeczeństwo chińskie należy do najbardziej zniewolonych i izolowanych od reszty. W tym kontekście polityka kierownictwa chińskiego jest jeszcze jedną manipulacją służącą imperialnym celom państwa, nie idei powszechnego wyzwolenia człowieka.

Totalitarna w środkach i celach sowietyzacja przyniosła Polsce niepowetowane straty. Nadrzędność celów ideologii państwowych i monopolistyczna pozycja państwa w wielu strefach aktywności społecznej zaciążyły na rozwoju politycznym, gospodarczym i kulturalnym kraju. Zostawiły silny ślad na świadomości społecznej. Tragedię pogłębiało, że sowietyzacja dokonywana jest pod kierunkiem Kremla, ale rękami P[o]laków. Faktem jest istnienie szerokiej warstwy bezpośrednich wykonawców tej polityki, jak również silnej bazy społecznej stanowiącej dla niej oparcie. Składają

się na nią aparatczycy, policja, wojsko (korpus oficerski), następnie cała rzesza nominatów partyjnych w gospodarce narodowej i stowarzyszeniach społecznych. Władze mają „swoich” bezpartyjnych sojuszników w świecie naukowym, literackim, artystycznym, wśród katolików – PAX-u, CHSS-u, NeoZnaku i księży „patriotów”. Mało tego, władza, a raczej różne grupy frakcyjne w partii szukają (na razie bezskutecznie) sojuszników spośród ludzi zaangażowanych opozycyjnie. Udział we władzy lub współpraca z nią niesie ze sobą przywileje ekonomiczne i społeczne ostro odcinające nominatów od ogółu rządzonych. Tajemnicą poliszynela jest powiązanie wielu działaczy aparatu partyjnego i policji z prywatnym handlem i drobną wytwórczością, niejednokrotnie mającą znamiona działalności przestępczej. Ukrywanie przed społeczeństwem wielkich afer gospodarczych i przemysłowych też daje wiele do myślenia.

Ofensywność systemu komunistycznego w Polsce osłabiona jest wieloma walkami frakcyjnymi w łonie partii. Równoważone jest to z kolei dezintegracją społeczeństwa polskiego niezdolnego przez to do utworzenia zwartego frontu przeciwko sowietyzacji. Podtrzymywanie i inspirowanie procesów dezintegracyjnych leży w interesie partii i jest jednym z elementów jej strategii. Celowi temu służy likwidowanie i ograniczanie tych form więzi społecznej, które nie gwarantują skutecznej kontroli partyjnej. Wymienić tu można likwidację niezależnych partii i związków zawodowych, pełną kontrolę nad szkolnictwem wszystkich szczebli i środkami masowego przekazu, nieustanny nacisk w kierunku kolektywizacji rolnictwa, walkę z Kościołem, próby ingerowania w wewnętrzne życie rodziny.

Społeczeństwo polskie dezintegrują i odbierają mu jego naturalnych sojuszników za granicą różnego rodzaju antagonizmy przyniesione przez tradycję,

stanowiące owoc chorobliwej reakcji na sytuację w kraju, sztucznie wytwarzane przez władzę. Mam tu głównie na myśli nacjonalizm. Skali jego nie potrafimy określić. Silny w wielu rodowiadkach, w innych zupełnie nie występuje. Nie przewyżczyliśmy jeszcze antysemityzmu. Władze wykorzystały go nie bez powodzenia dla usprawiedliwienia pogromu ruchu studentów i intelektualistów w marcu 1968 roku. Usiłowały grać na uczuciach antysemickich podczas głódówki w kościele św. Marcina. Nastroje antyczeskie dały o sobie znać podczas inwazji na Czechosłowację w 1968. Udział wojska polskiego w tej akcji nie spotkał się ze społecznym potępieniem, natomiast wielu wyrażało zadowolenie z tego, że „pepiczki” dostali w skórę, zupełnie nie potrafiąc walczyć. Nastroje antylitewskie, antyukraińskie i antybiałoruskie występują na niewielką skalę, ostrzej w rejonach przygranicznych. Węcej problemów stwarzają hasła powrotu do Wilna i Lwowa, z których [to miast] oczywiście ani Litwini, ani Ukraińcy zrezygnować nie mogą. Stosunek do Rosjan to połączenie strachu z pogardą. Obraz Rosjanina w mentalności przeciętnego Polaka to typ pijaka, niechluj, idiota. Trudno jest oczekiwać w tej sytuacji entuzjazmu ze strony społeczeństwa rosyjskiego dla podejmowania współpracy z Polakami w walce z uciskającym nas wszystkich reżimem. Nie przysporzy nam sojuszników zasada egoizmu narodowego, wyrażająca się w dążeniu do niepodległości Polski, nie uwzględniając dążeń innych narodów.

Negatywny wpływ na świadomość społeczną wywiera brak silnej warstwy niezależnej inteligencji, takiej jaką mogliśmy się szczycić w okresie międzywojennym, która wspaniale zdała egzamin w czasie wojny i okupacji. Inteligencja wyszła z tej wojny osłabiona przez olbrzymie ofiary, emigrację zewnętrzną i wewnętrzną. Nie mogła przez to stać skutecznego oporu polityce władz,

a szczególnie opanowaniu przez nie szkolnictwa, a co za tym idzie, sowietyzacji młodzieży. Tragicznie przedstawia się dzisiaj sytuacja nauczycieli. Niewiele wśród nich znajdziesz pedagogów z prawdziwego znaczenia [prawdopodobnie miało być: zdarzenia]. Niewiele posiada takie cechy nierozłącznie związane ze statutem inteligenta, jak niezależność sądów, zdolność do nonkonformistycznego postępowania. Poczucie godności osobistej i morale nauczycieli pozostawiają wiele do życzenia.

O co chodzi? Ustalony porządek, a raczej szantaż silnych, sankcjonujący zniewolenie człowieka, całych państw i narodów, nie jest niewzruszony. Sprzecznym jest bowiem z prawem naturalnym, którego podstawową zasadą jest czynienie dobra. W imię tego prawa, wspólnego wszystkim ludziom, dążymy do zmian obejmujących równoległe doskonalenie człowieka i przekształcenie niesprawiedliwych struktur społeczno-politycznych. Siły starego porządku posiadają potężny aparat pomocy [prawdopodobnie miało być: przemocy] i psychologicznego nacisku: armię, policję, środki masowego przekazu. Przeciwstawić im można Nową Siłę, neutralizującą potencjał przemocy metodami walki *non violence*. Nowa Siła to idea wspólnej walki wszystkich uciskanych i solidaryzujących się z nimi ludzi na całym świecie.

W oparciu o międzynarodową współpracę możemy dążyć do podstawowego dla nas celu, jakim jest niepodległość i demokratyczna Polska. Wolna Polska w Wolnym Świecie. Bez niepodległości narodów Związku Radzieckiego nie odzyskamy i nie utrzymamy własnej niezależności.

Nowa Siła jest pewnym postulatem, który można realizować na bazie niezależnych od państw i wielkich instytucji ruchów religijnych, moralnych, społecznych, politycznych, narodowych

(nie nacjonalistycznych). Ruchów tego typu jest bardzo dużo, często dynamicznych, posiadających bogatą tradycję. Powstają ciągle nowe. Problem tkwi nie w różnorodności, bo to stanowi o bogactwie i dynamicznym rozwoju kultury. Problem tkwi przede wszystkim we wzajemnie niedostatecznej znajomości poszczególnych ruchów, niekiedy w partykularyzmie środowiskowym, nieufności do innych. Musimy się coraz lepiej poznawać i nawiązywać współpracę. Jeżeli istnieją rozbieżności, to musimy ich być świadomi, uczciwie o nich dyskutować, starając się znaleźć jakieś *modus vivendi* w imię nadrzędnej solidarności walczących ze złem. Tylko powszechna współpraca umożliwi skuteczną realizację dzieła odnowy, przebudowy, rozwinięcia idei uniwersalizmu, pozwoli na uniknięcie niebezpieczeństwa imperializmu duchowego, jaki towarzyszy zwykle monopolizowaniu prawdy. Ruchy moralne i religijne powinny zrozumieć konieczność zaangażowania się na rzecz politycznej przebudowy świata. Z kolei organizacje narodowe i polityczne powinny uświadomić sobie niezbędność

kierowania się przesłankami moralnymi w bieżącej praktyce politycznej. Dopiero na tej bazie możliwe jest utworzenie Nowej Siły postrzeganej nie jako jeszcze jedna organizacja, ale wspólny front naporu na siły starego porządku.

Oczywist[e] jest, że działanie stałych tylko grup niezależnych przeciwko władzom jest niewystarczające. Praktyka wykazuje bowiem, że trzon ruchów stanowią młodzież akademicka i intelektualści. Kontakt tych ruchów z młodzieżą robotniczą czy chłopską jest niewielki, niemalże żaden. Odbija się to negatywnie na tworzeniu niezależnej opinii publicznej, niezbędnej jako element nacisku na władze tak w państwach demokratycznych, jak i totalitarnych. Martin Luter King powiedział, że ludziom należy pokazać, w czym tkwi zło, wtedy zaczną z nim walczyć. Stąd kształtowanie świadomości społecznej, a co za tym idzie niezależnej opinii publicznej, powinno się znaleźć w centrum naszej uwagi. W państwach demokratycznych na większą skalę można wykorzystać możliwość docierania do masowego odbiorcy przez prasę i wydawnictwa,



Zadrukowane ryzy papieru w drugoobiegowej drukarni. 1989. Zbiory prywatne Janusza Rucińskiego. Dostępne w Archiwum TNN.

dostosowując je do poziomu przeciętnego czytelnika. W Polsce niezbędna jest większa ilość tytułów i większych nakładach pism typu „Opinii” i „Robotnika” [raczej powinno być: i większe nakłady pism typu „Opinia” i „Robotnik”]. Mimo zrozumiałych trudności, starać się docierać do młodych robotników i chłopów, zakładać wśród nich niezależne koła. Stanowi to najlepszą gwarancję rozpowszechniania niezależnej myśli w fabrykach i na wsi. Przekraczać barierę wyższych uczelni i trafić do młodzie-

ży szkół średnich. Koleżeńskie grupy samokształceniowe, łączące w sobie samokształcenie z aktywnym działaniem, uniemożliwią sowietyzację szkoły. Niezbędne jest odbudowanie w Polsce niezależnej warstwy inteligencji. Nowa Siła tylko wtedy będzie skutecznie realizować swoje cele, jeżeli połączymy działanie intelektualistów z innymi warstwami społeczeństwa, a obok przedsięwzięć doraźnych uwzględnimy [się] długofalowe procesy kształtowania świadomości społecznej.

Janusz Krupski

Ruch neofilarecki w latach 1903-1914

Działalność ideowa i organizacyjna młodzieży polskiej przed I wojną światową jest wciąż mało znana i nie zawsze doceniana nawet przez historyków. Władysław Tatarkiewicz, wspominając tę młodzież, użył określenia: Pokolenie Wielkiej Przemiany. Pokolenie to zaczynało życie w warunkach niewoli narodowej, walczyło o niepodległość Polski, a po jej odzyskaniu w 1918 roku przystąpiło z wielką energią do odbudowy państwa. To młodzież zainicjowała ruch, który rzucił wyzwanie nie tylko zaborcom, ale i własnemu społeczeństwu – jego daleko posuniętej apatii i bierności politycznej, zubożeniu na krzyżące potrzeby życia ekonomicznego i kulturalnego szerokich mas ludności miast i wsi. Nastrojom straceńczym i ujawniającemu się hedonizmowi przeciwstawiła zapał i aktywność. Obok rozwiniętej na wielką skalę pracy samokształceniowej studenci i uczniowie gimnazjów uczestniczyli w prowadzących akcję czynną organizacjach politycznych, oświatowych i innych, w których odegrali rolę wybitną, a często mieli udział niemal wyłączny. W tym szerokim ruchu nie zabrakło młodzieży katolickiej zorganizowanej w grupy etyczno-wychowawcze. Przez twórcze nawiązanie do ideologii romantycznej, tradycji filomatów i filaretów wileńskich, kierunek ten określono jako neofilarecki.

Zacznijmy od pojęć. Czym jest filaretyzm? Etymologicznie (gr. *phileo* + *areté* = *philareté* – umiłowanie cnoty) oznacza więc postawę. Antyczne *areté* obejmowało zarówno cnoty w znaczeniu moralnym, jak i w znaczeniu sprawności życiowej. Języki nowożytne zdecydowo-

wanie rozróżniły obydwa te znaczenia. Przyczynił się do tego zwłaszcza pozytywizm, który ugruntował pogląd o istnieniu antynomii między sprawnością działania – jednostkową i zbiorową – dającą powodzenie, a cnotą pojętą jako wartość moralna i religijna. Cnota miała być realizacją wiecznej tęsknoty do doskonałości i wyrazem potrzeby zbawienia duszy. O ile zbawienie jest perspektywą dla jednostki, to dla narodu, jako wartości czysto doczesnej, moralność tylko wtedy jest celowa, jeśli może zapewnić powodzenie doczesne. Konsekwencją było przekonanie, że zasady etyczne można realizować tylko w życiu prywatnym, w społecznym zaś panuje biologiczna zasada walki o byt.

Nowe prądy duchowe epoki przyniosły zmiany i w dziedzinie życia prywatnego. Podważony został autorytet Kościoła, stróża tradycyjnej obyczajowości. Pozytywizm i materializm naukę i wiedzę przeciwstawiły wierze i religii, zarzucając Kościołowi wsteczność i zacofanie. Młoda Polska przyniosła nastroje straceńcze, kult „nagiej duszy”, nietzscheańską ideę nadczłowieka. Wiara w wyzwolenie człowieka z pęt moralności chrześcijańskiej znalazła prozelitów wśród znacznej części młodzieży gimnazjalnej i akademickiej oraz inteligencji. Prowadziło to do indyferentyzmu religijnego, a nawet do ateizmu.

Na tym tle neofilareci stali się zjawiskiem szczególnym. Podejmując podstawowe problemy polityczne, społeczne, egzystencjalne nurtujące naród, podporządkowywali wszystko zasadom etycznym. Widzieli w tym źródło ładu wewnętrznego prowadzącego do sku-



Artykuł ukazał się w „Spotkaniach” nr 8, 1979, s. 79-84. Przypisy w tym tekście pochodzą od Autora.

tecznych rozwiązań. Wyzwolenie narodowe, rozwiązanie kwestii społecznej, kult wiedzy i nauki łączyli z odrodzeniem moralnym człowieka opartym o inspirację religijną, katolicką. Wychowanie człowieka w pełni rozwijającego umysł i ciało stało się zasadniczym celem neofilareckich wysiłków organizacyjnych. Przyjmując hasło filomatów i filaretów wileńskich „Ojczyzna, Nauka, Cnota”, dawali wyraz głębokiemu przekonaniu, że między wielkimi zasadami sprzeczności być nie może.

Ołtarz w kościele akademickim KUL z lat 20. XX wieku; w 1969 roku zastąpiony figurą Chrystusa zaprojektowaną przez Jerzego Januszkiewicza. Archiwum Uniwersyteckie KUL.



Ruch neofilarecki nie stanowił jednolitej organizacyjnej, różnił się też pewnymi tendencjami. Istniały trzy jego główne środowiska: stowarzyszenie „Eleusis” w Krakowie i Lwowie, założone w 1903 roku przez prof. Wincentego Lutosławskiego, oraz w Wilnie „Związek Filaretów” utworzony w 1906 roku przez Józefa Zmitrowicza, a poza tym liczne koła terenowe i związki zależne („Wyzwolenie”, „Filarecja”, „Eleutria”, „Związek Nadziei”). Neofilaretizm rozwijał się we wszystkich trzech zaborach – także wśród Polaków w Rosji, krajach niemieckich, Anglii i Ameryce, liczebnie jednak [był] niezbyt duży (prawdopodobnie uczestniczyło w nim ok. 1500 osób).

Życie organizacyjne skupiało się w kołach (ogniskach). Elitarność ruchu, wysokie wymagania intelektualne i etyczne, jak i konieczność przestrzegania konspiracji w zaborze pruskim i rosyjskim powodowały, że koła były niewielkie – od kilku do dwudziestu kilku osób. Niewątpliwie ułatwiało to prowadzenie skutecznej pracy kształceniowej i wychowawczej. Prowadzono ją na cotygodniowych spotkaniach, na których czytano i komentowano Pismo św., Ojców Kościoła. Starano się korzystać z wydań w językach oryginalnych (greka, łacina). Takie „źródłowe”, niezwykłe w tych czasach podejście do poznania chrześcijaństwa i Kościoła, miało dać pogłębioną wizję religijną. Szukano wyjaśnienia wielu błędnych pojęć o Kościele, pomocy w zrozumieniu różnicy między istotą niezmienną, wieczną Nauki Chrystusowej, a czasowymi niedoskonałościami. Oczywiście były lektura i komentarz pism Wieszczów – ewangelii narodowej. Także referaty i dyskusje na tematy religijne, społeczne, ekonomiczne, historyczne. Oprócz tego praca własna, lektura i rozmyślanie religijne. Akcentowano rolę wspólnego życia religijnego: cotygodniowa Msza św. i przystępowanie do

Komunii św. (w „Eleusis” krakowskim – codzienna poranna Msza św. nadająca ton reszcie dnia), rekolekcje.

Kontakt między grupami rozrzuconymi na olbrzymim terytorium, doskonalenie ideologii umożliwiały wzajemne odwiedziny, listy okrężne, zjazdy i sejmiaki, obozy letnie i zimowe. Wydawało broszury i pisma: „Eleusis” i „Iskra”.

Światopogląd neofilarecki kształtowały trzy zasady: mesjanizm, religijność, moralność. Kolejność nie była przypadkowa. Neofilaretizm to przede wszystkim ruch dążący do odrodzenia narodowego i niepodległości Polski. Przemożny wpływ na to dążenie wywarła wielka literatura romantyczna, którą uznano za najdoskonalszy wyraz Idei Polskiej i najpełniejsze w myśli ludzkiej rozwinięcie wartości uniwersalnych w zastosowaniu do czasów współczesnych. Był w tym ruchu pewien mistycyzm. Biła z niego wiara w wyższość moralną Polski i jej posłannictwo wobec całego rodzaju ludzkiego. Posłannictwo poprzez czynną, solidarną walkę z żywiołami przeciwnymi, ze wszystkimi nieprzyjaciółmi sprawiedliwości na świecie. Odrodzona Polska, realizująca miłość chrześcijańską w życiu indywidualnym, społecznym, a także w stosunkach międzynarodowych, współtworzyć miała z innymi narodami harmonijną zbiorowość – Królestwo Boże na ziemi. Tak, by każda narodowość z jej specyficznymi odrębnościami wypracowała pełnię swych cech i wartości dla dobra powszechnego. W szczególny sposób odnosiło się to do narodów zamieszkujących dawną Rzeczpospolitą: Ukraińców, Litwinów i Białorusinów. Neofilareci witali przychylnie budzenie się wśród nich świadomości narodowej i początki pracy kulturalnej. Przekreślali egoizm narodowy z jego tendencją „do polonizowania i podporządkowywania innych. Tylko szanując prawa do rozwoju innych, śmiało i skutecznie bronić będziemy praw własnych i umożliwimy

szlachetną rywalizację o wytwarzanie najwyższych dóbr duchowych, jak również na tej tylko drodze przyciągniemy do siebie tych, którym sił i warunków nie starczy na wytworzenie kultury odrębnej. Takie stanowisko jedynie odpowiada godnie tradycjom naszych unii”¹.

Rachunek sił wykazywał, że odrodzenia narodowego nie dokona tylko inteligencja i budować je trzeba na trwałych podstawach ludowych. Od położenia materialnego i świadomości ludu zależy los narodu. Tymczasem to lud właśnie najbardziej odczuwał ucisk narodowy, przeżywał nędzę materialną, był wydziedziczony z godności i wielu praw obywatelskich. Lud musiał przezwyciężyć niesprawiedliwości ustrojowe, ale niski stopień uświadomienia uniemożliwiał rozeznanie w drogach i środkach wiodących do celu. Obowiązkiem inteligencji było powołanie mas ludowych do życia czynnego, obywatelskiego, szanując ich naturalną godność, a za miarę wartości każdego człowieka przyjmując wartość duchową i zasługi społeczne. W takim samym duchu wypowiadali się na rzecz równouprawnienia kobiet w życiu prywatnym i publicznym. Tylko społeczeństwo demokratyczne mogło stanowić rękojmię wyzwolenia i postępu. Mimo braku własnej państwowości otwierało się szerokie pole pracy dla inteligencji w dziedzinie oświaty ogólnej i zawodowej wsi, w środowiskach robotniczych, w stowarzyszeniach o charakterze ekonomicznym, kulturalnym, społecznym. Przygotowanie i wychowanie do takich zadań pracowników społecznych było zadaniem neofilaretów. Wyidealizowany program neofilaretów dość jaskrawo kłócił się z wyznaczanym przez większość społeczeństwa „realizmem dnia dzisiejszego”, jego brakiem wiary we własne siły, świadomością przeszkód, które wydawały się nie do przebycia. Neofilareci wierzyli, że wszystkiego można dokonać, poddając się Opatrzności Bożej. Powtarzając za

¹ „Eleusis” t. 6, 1911, s. 112.

Kraśińskim – „Bądź tą przegraną, której cel daleki, lecz która w końcu wygrywa na wieki” – dawali świadectwo głębokiego przejęcia się zasadami religijnymi, pozwalającymi z nadzieją znieść codzienne trudności i porażki. Niezwykle żywe poczucie nadprzyrodzoności, jakie wniósł ten ruch, miało doniosłe znaczenie dla odrodzenia religijnego w Polsce. Na początku XX wieku poczucia tego było mało nawet w organizacjach religijnych. Religia nadawała sankcję i treść duchową filareckim zasadom etycznym w życiu moralnym i społecznym. Podnosząc umiłowanie wartości duchowych, religia przeciwstawiała egoizmowi człowieka poczucie ogólnoludzkiej, społecznej miłości, jako potężnego czynnika solidarności. Religia w rozumieniu neofilaretów była niezastąpionym regulatorem życia jednostek słabo rozwiniętych – budząc w nich poczucie obowiązku i sumienności, jak też dla osób duchowo bogatych – pobudzając ich do najwyższych aspiracji i poświęceń, wszystkich utrzymując na drodze prawdy. Najwspanialszy i najbardziej spójny system znajdowali w chrześcijaństwie. Jego najbardziej konsekwentny historycznie i lo-

gicznie rozwój widzieli w katolicyzmie pielęgnującym wielkie ideały ludzkości: wolność, sprawiedliwość, miłość – jakże zbieżne z dążeniami narodu. Tą drogą katolicyzm został powiązany z ideą niepodległości Polski i budowy Królestwa Bożego na ziemi. Nierozerwalność katolicyzmu i narodowości (polskiej) stała się zasadą, a praca dla odrodzenia narodu przez doskonalenie człowieka nabrała charakteru religijnego. Neofilareci zrozumieli, że w tej sytuacji religia przestaje być sprawą prywatną, ale wysuwa się na czoło warunków wspólnego działania. Doceniali potrzebę zbiorowego udziału w pracy Kościoła, partycypując we współodpowiedzialności i szukaniu dróg przezwyciężenia kryzysu, w którym się znajdował. Uważali, że istota kryzysu leży wewnątrz Kościoła. Jego źródła to klerykalizm, zbyt nie normalizowanie życia religijnego, nietolerancja i ekskluzywizm, nieufność i zaniedbywanie pracy misyjnej wśród niewierzących. Postulowali pogłębianie autentycznego życia wewnętrznego wiernych przez osobisty kontakt z Bogiem, częste przystępowanie do sakramentów św. i naśladowanie boskiego



Msza podczas strajku studentów UMCS po wprowadzeniu stanu wojennego. 1981. Fot. Bogusław Okupny. Archiwum TNN.

wzoru Chrystusa. Katolicyzm powinien porzucić pozycje obronne i podjąć wielką działalność apostołską dla religijnego zjednoczenia ludzkości. Powinien przemawiać do ludzi językiem zrozumiałym w czasach im współczesnych, a przede wszystkim jaśnieć przykładem świętości. Tylko tolerancja, uznawanie dobrej woli niewierzących i innowierców, wykrywanie wspólnych i asymilacja cennych pierwiastków zawartych w innych religiach przygotować mogły grunt do zjednoczenia. Charakterystyczny dla tego ruchu kult wolności sumienia i dążenia ekumeniczne były zjawiskiem nieczęsto spotkanym w katolicyzmie polskim w tym okresie.

W atmosferze początków XX wieku łatwo było się narażić na zarzut braku prawowierności katolickiej i ulegania wpływom modernizmu. Nic więc dziwnego, że zarzuty takie spotykały neofilaretów, szczególnie Elsów krakowskich, których obciążano jeszcze ekstrawaganckimi pomysłami prof. W. Lutosławskiego. Zarzuty odpierali, deklarując posłuszeństwo władzom kościelnym w zakresie zasad wiary i uznawania dogmatów Kościoła katolickiego.

W ruchu przyjmującym za cel doskonalenie jednostki i społeczeństwa, jedną z funkcji odrodzenia narodowego i religijnego oraz miernikiem ich autentyczności był postęp moralny jednostki. „O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice wasze” – maksyma Mickiewicza wiążąca nierozzerwalnie pracę nad sobą z celami ogólnospołecznymi najlepiej wyraża tę postawę duchową. Idea postępu moralnego narzucała zainteresowanie obyczajową stroną życia. Neofilareci przyjęli zasadę abstynencji od alkoholu, gier hazardowych, tytoniu i rozpusty. W ich ocenie były to główne nałogi osłabiające naród, czyniące ludzi egoistami, odbierające im dzielność i popychające do występku. Dla uzasadnienia poczwórnej wstrze-

mięźliwości przywoływali, obok społeczno-etycznych, argumenty religijne, ekonomiczne i higieniczne. Pierwszorzędnym argumentem była jednak idea ofiary, rozumianej jako rezygnacja z niższych zamięłowań dla miłości wyższych uzdolnień. Konsekwentne stosowanie tej zasady czyniło z abstynencji tylko pierwszy etap na drodze doskonalenia, prowadząc do wyrzeczeń – już niekoniecznie złych – ale niepotrzebnych przyzwyczajzeń. Ta swoista ekonomia życiowa – rezygnacja ze wszystkiego, co uniemożliwia duchowe przebudzenie się jednostki – była jednocześnie szkołą woli i panowania nad sobą. Uczyla, że ideału nie osiągnie się, postępując po linii najmniejszego oporu, a przez wybieranie w każdej sytuacji alternatywy wyższej, chociaż trudniejszej. Nadmienić tu wypada, że abstynencja nie spotkała się z entuzjazmem młodzieży, stanowiąc istotną trudność w rozpowszechnianiu się ideału filareckiego.

Światopogląd neofilaretów w harmonijny sposób uzupełniały zasady organizacyjne: karność i braterstwo. Karności organizacyjnej wymagały: realizacja celów zbiorowych i kształtowanie poczucia odpowiedzialności każdego za wszystkich i wszystkich za każdego. Karność, to uleganie prawom dobrowolnie przyjętym. Nie miała ona w sobie nic z przymusu. Najwyższą instancją zawsze było tu własne sumienie. Tak rozumiana karność była konsekwencją przyjętej koncepcji wolności. Neofilareci widzieli w wolności nieodłączny atrybut doskonałości. Właściwy jej rozwój wyrabiał silną wolę i ład wewnętrzny, samowiedzę i samodzielność. Wolność miała być złotym środkiem między zasadą niewoli a samowoli. Niewola, czyli bezwzględny nakaz i przymus, zabijała wszelką inicjatywę, samowiedzę i samodzielność. Samowola rodziła anarchię, wyzuwała z wszelkiej powagi. Tak jedno, jak i drugie wypaczało człowieka i czyniło go niedołącznym lub szkodliwym.

Doskonała więc wolność polegać miała na stałym wyborze dobra, pomimo możliwości wyboru zła. Tylko osiągnięcie tej wyższej wolności pozwalało zdobywać ją dla innych. Znalazło to odbicie w jednym z propagandowych haseł Elsów: *Eleutheroi Laon Sotheres* (Wolni Wybawicielami Ludów).

Braterstwo z kolei, wyrastające z przykazania miłości bliźniego, umożliwiało rozwój doskonałego życia społecznego. Miłość braterska budowała związki oparte na szczerości, życzliwości i ufności wzajemnej. Ukierunkowana była na realizację wspólnych ideałów życiowych, narodowych i religijnych, nadawała życiu organizacyjnemu ton wzniosły i czysty, na ogół wolny od pobudek osobistych. Pozwalała na nieprzymuszone i przyjacielskie obcowanie. Ruch neofilarecki przypominał tym pierwotne gminy chrześcijańskie.

Neofilareci nie sprowadzali braterstwa tylko do zasady wewnątrzorganizacyjnej. Uważali, że miłość braterska nie może znać różnic między ludźmi, szczególnie, gdy łączy ich wspólna walka o wielkie ideały. Nieważnymi lub drugorzędnymi muszą stać się wtedy takie konwencjonalne różnice jak: pochodzenie społeczne, wykształcenie, płeć i majątek.

Neofilaretyzm był przede wszystkim ruchem nastawionym na pracę formacyjną wśród własnych członków. Jednakże już u jego początku pojawił się problem działania na zewnątrz. O pozytywnym wskazaniu zdecydowały: chęć sprawdzenia siebie, dążenie do łączności z całością życia narodowego, zapoznanie się z różnymi działami pracy społecznej i współdziałanie z organizacjami pokrewnymi. Neofilareci włączyli się w propagowanie abstynencji w społeczeństwie przez wydawanie broszur i organizowanie wieców antyalkoholowych. Na organizowanym w 1912 roku we Lwowie III Kongresie Antyalkoholowym zaprezentowane przez nich pra-

ce wypełniły większą część programu. W Wilnie nawiązali współpracę z księżmi. Pomagali im w pracy wychowawczej nad kandydatami do seminarium duchownego. Podopiecznym starali się przekazać zasób wiedzy i wzory wychowawcze odpowiadające wymaganiom czasu. Brali udział w dyskusjach nad metodami nauczania religii, wskazując m.in. na doniosłość słabo dotychczas wykorzystywanego Nowego Testamentu.

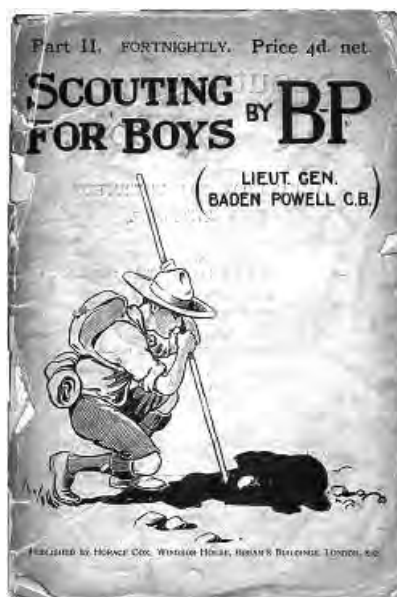
Niewspółmiernie większe znaczenie miało przeniesienie przez Elsów ruchu na teren robotniczy i wpływ ich na ukształtowanie harcerstwa polskiego. Działalność wśród robotników zaznaczała się jakby na dwóch płaszczyznach. Pierwsza z nich to tzw. „Kursy robotnicze” wychowujące robotników „misjonarzy sprawy narodowej”; druga – to praca terenowa koła „Eleusis” na Śląsku i w Westfalii. Z inicjatywą zorganizowania kursów wychowania narodowego dla przyszłych aktywistów ze sfer robotniczych, wystąpił w 1906 roku Wincenty Lutosławski. Miał on już bogate doświadczenie w pracy narodowej wśród górników polskich na Śląsku i [w] Westfalii oraz zorganizowanego w 1903 roku w Krakowie dla młodych robotników – Elsów „Seminarium Wychowania Narodowego”. W. Lutosławski ściągnął na zimę 1906/7 roku do Krakowa grupę pięciu chłopców, urządził im w lokalu „Eleusis” rodzaj internatu i rozpoczął naukę. Z powodu wyjazdu Lutosławskiego z Krakowa kursy przeszły w całości w ręce koła „Eleusis”. Trzyletnie kursy prowadzone były systematycznie aż do wybuchu I wojny światowej. Bezpośrednie cele nauki to: 1) wyrobienie mocnego charakteru, 2) zdobycie sprawności w wyrażaniu myśli w mowie i w piśmie, 3) osiągnięcie wyższego stopnia świadomości narodowej przez lektury wielkiej poezji romantycznej i poznanie dziejów Polski, 4) poznanie zasad poczwórnej abstynencji w zakresie potrzebnym do skutecznej ich propagandy wśród

społeczeństwa, 5) zapoznanie się z najważniejszymi zagadnieniami życia społecznego i przygotowanie przynajmniej elementarne do praktycznego udziału w nim, 6) poznanie podstawowych zasad matematyki i logiki.

Uczestnicy kursów nie zawiedli pokładanych w nich nadziei. Odegrali wybitną rolę w odrodzeniu polskiego życia narodowego na Śląsku [i] ściągnęli za to na siebie prześladowania ze strony rządu pruskiego. Kilku z nich wytoczono w Gliwicach proces o zdradę stanu i skazano na paroletnie więzienie.

Równolegle z „Kursami” prowadziły pracę terenową koła „Eleusis” na Śląsku i w Westfalii zakładane od 1903 roku. Pozostawały one w ścisłym kontakcie z W. Lutosławskim i Elsami krakowskimi, którzy często przyjeżdżali tam z odczytami. Górnicy okazali się wytrwałymi słuchaczami poezji wieszczów i pogadanek z dziejów Polski. Dawał się w nich odczuć jakiś głęboki, wrodzony pociąg do mistycyzmu. Bez znużenia prowadzili długie rozmowy o naturze Boskiej, o życiu pośmiertnym i o zjawiskach spirytystycznych. Oprócz słowa żywego odbierali też i drukowane: śpiewniki narodowe, broszury patriotyczne i pisma. Na ich użytek wydawano popularne pismo „Iskra”. Młodzieżowe koła „Eleusis” były czynnie zaangażowane w działalność niepodległościową. Mimo pozostawania w konspiracji (maskowane jako kółka śpiewacze) były kilkakrotnie lokalizowane przez policję, co kończyło się procesami.

„Kursy robotnicze” i praca „Eleusis” na Śląsku i w Westfalii miała ważki wymiar moralny i ideowy. Pokazała współżycie inteligentów i robotników na stopie braterstwa i równości oraz zbliżenie na płaszczyźnie społecznej, narodowej, religijnej i etycznej. Studentom – Elsom przyniosła też korzyść praktyczną. Mówiąc do robotników, starać się musieli o dostępność, a więc o prostotę i jasność wykładu, unikać retory-



Okładka książki Baden-Powella *Scouting for boys* (część II) wydanej w Londynie w 1908 roku.

ki. Dobra znajomość realiów życia była dobrym antidotum na studenckie niepokohamowane egzaltacje.

„Eleusis” wreszcie było związane z powstaniem masowego ruchu samowychowania młodzieży – harcerstwa polskiego. Stało się to m.in. dzięki przetłumaczonej w 1911 roku przez Elsa A[ndrzeja] Małkowskiego książce Baden-Powella *Scouting for boys*. W adoptowaniu angielskiego *scoutingu* do warunków polskich wzięły udział obok „Eleusis”, „Zarzewie” i „Sokół”. Harcerstwo stało się syntezą dążeń tych organizacji: etycznych – „Eleusis”, wojskowych – „Zarzewie”, sportowych – „Sokół”, ze *scoutingiem*. Lwowskie koło „Eleusis” odegrało w tym procesie czołową rolę. M.in. za przyczyną „Eleusis” wprowadzono do prawa harcerskiego abstynencję od alkoholu i tytoniu, której nie wymagał Baden-Powell. Uczestnikami pierwszego kursu instruktorskiego, urządzonego przez lwowskiego „Sokoła” w 1911 roku, byli wyłącznie Elsowie: Andrzej Małkowski, Tadeusz Strumiłło, Ignacy Kozielski, Jerzy Grodyński, Olga

¹ Piosenka oparta na wierszu Seweryna Goszczyńskiego; cytata: A. Kamiński, *Analiza teoretyczna polskich związków młodzieży do połowy XIX w.*, Warszawa 1971, s. 102.

Drahanowska (Małkowska), Jan Przybyła i in. Redakcję oficjalnego organu „Skauta” przez kilka lat prowadził Els Mahatma-Kozielewski. Wielu Elsów uczestniczyło w najwyższych władzach harcerstwa.

Wybuch I wojny światowej przerwał działalność dynamicznie rozwijającego się ruchu. Neofilareci podjęli walkę w POW, Legionach, na frontach wojny z Rosją Radziecką, w powstaniach: Śląskich i Wielkopolskim. W II Rzeczypospolitej wrócono do pierwotnej idei, zawiązując Filarecki Związek Elsów w Poznaniu, Wilnie i Lwowie. Lecz związek ten nie posiadał już pierwotnego znaczenia, rozmachu i niezależności. Karnie poddano się nakazom kościelnym.

Istotniejsze jest jednak to, że dorobek ideologiczny, organizacyjny i metodyczny neofilaretizmu obficie owocował w następnych pokoleniach. W niemałym stopniu przygotował odnowę życia religijnego inteligencji polskiej. Obecny był w związkach młodzieży katolickiej, organizacjach abstynenckich, w Chrześcijańskim Związku Akademickim i Harcerstwie. Wychowankowie tego ruchu wnieśli znaczny wkład do kultury narodowej, chociażby przez takich ludzi, jak: S. Pigoń, T. Kostrzewski, T. Strumiłło, A. Wodiczko i in.

Myślę, że filaretizm może i powinien towarzyszyć współczesnej refleksji nad organizowaniem niezależnych stowarzyszeń ideowo-wychowawczych młodzieży. Wszakże przez swe podglebie romantyczne, z którego obficie czerpał, odwołać się może do naturalnych cech psychologicznych młodości – upodoba-

nia do dobra moralnego, patriotyzmu, zdolności do heroizmu, poczucia honoru, braterstwa i bezinteresowności.

Rozważania te niech zamkną strofy ulubionej pieśni związku Sawicza, rozbitego policyjnymi aresztowaniami w latach 1839-1840:

„Przyjacielu, sadźmy różę
Długo jeszcze, długo światu
Szumieć będą śnieżne burze
Sadźmy je przyszłemu latu”.

Bibliografia (wybrana)

Materiały źródłowe i wspomnienia:

1. „Eleusis”, tomy I-IV (1903-1911).
2. W. Lutosławski, *Jeden łatwy żywot*, Kraków 1933.
3. S. Pigoń, *Z Kamborni w świat*, Kraków 1957.
4. Statut Towarzystwa „Eleusis” (1917). Opracowania:
1. W. Błażejowski, *Historia harcerstwa Polskiego*, Warszawa 1933.
2. S. Cywiński, *Trzydziestolecie „Eleusis”*, „Myśl Narodowa” nr 20, 1933, s. 277.
3. A. Kryczka, *Grupa „Eleusis” i jej stosunek do romantyzmu* (mps w Archiwum KUL).
4. A. Niesiołowski, *Nowoczesny filaretizm polski i jego dorobek moralny*, „Verbum” nr 1, 1937, s. 111-140.
5. T. Pawłowski, *Společne poglądy Elsów* (mps w Bibliotece KUL).
6. Z. Teinert, *Poglądy etyczne Wincen-tego Lutosławskiego* (mps w Bibliotece KUL, 1965).
7. K. Turowski, *Działalność polskiej młodzieży katolickiej przed pierwszą wojną światową*, „Chrześcijanin w Świecie” nr 66, 1978, s. 63-81.

Janusz Krupski Wspomnienie

Prezesem Koła Naukowego Historyków zostałem wybrany na trzecim roku studiów, jesienią 1972 roku. Inicjatywa wyszła nie ode mnie, tylko od profesora Zygmunta Sułowskiego – kuratora Koła, i od doktora Adama Stanowskiego – opiekuna. To oni zaproponowali mi start w wyborach i przekonali mnie do tego. Zachęcali mnie również koledzy z roku: Bogdan Borusewicz, Piotr Jegliński i Maciej Sobieraj. Byliśmy ze sobą zaprzyjaźnieni i razem stawialiśmy pierwsze kroki w działalności przeciwko systemowi politycznemu PRL.

Działalność w Kole Naukowym mogła być okazją nie tylko do rozszerzenia wiedzy historycznej, ale też do nawiązywania kontaktów w środowisku akademickim KUL i innych uczelni w kraju. Działalność tę staraliśmy się planować, prowadząc często konsultacje z profesorami Zygmuntem Sułowskim, Jerzym Kłoczowskim i doktorem Adamem Stanowskim. Dotyczy to głównie dyskusji na interesujące tematy, niekoniecznie czysto historyczne – jak na przykład tocząca się ówczesnie nigeryjska wojna domowa, odczyty znanych profesorów z innych ośrodków akademickich, na przykład profesora Władysława Czaplińskiego z Poznania, czy spotkania z interesującymi ludźmi, najczęściej mającymi AK-owski rodowód, na przykład przy okazji świątecznego „opłatka”, czy wreszcie udział w ogólnopolskich sesjach kół naukowych historyków. Ale największy wpływ na aktywność Koła miały bieżące wydarzenia polityczne w kraju i ich reperkusje na naszej uczelni.

Wkrótce po moim wyborze na prezesa Koła środowisko akademickie zo-

stało poruszone informacją, że władze PRL przygotowują tzw. zjednoczenie ruchu młodzieżowego. Na miejsce istniejących: Związku Studentów Polskich (ZSP) – organizacji samorządowej, raczej apolitycznej, i dwóch organizacji ideowo-politycznych: Związku Młodzieży Socjalistycznej (ZMS) i Związku Młodzieży Wiejskiej (ZMW), miał powstać Socjalistyczny Związek Studentów Polskich (SZSP). Na KUL-u działał tylko ZSP, więc wprowadzenie na jego miejsce SZSP oznaczało zupełną zmianę charakteru organizacji działającej na naszej uczelni. O stosunku do SZSP miała zdecydować młodzież akademicka w swobodnej debacie. Koło Historyków stało się ważnym ośrodkiem przygotowań do tego wydarzenia. W porozumieniu z innymi kołami, głównie teologów i polonistów, urabialiśmy pozostałych studentów, by wypowiedzieli się za odrzuceniem obecności SZSP na KUL-u w imię obrony praw akademickich i przeciwko wprowadzeniu w Polsce rozwiązań w stylu sowieckim. Byliśmy wtedy przekonani, że inaczej na uczelni katolickiej być nie może. Okazało się jednak, że byliśmy w błędzie. W czasie dwóch debat przeprowadzonych na początku 1973 roku w auli KUL grupa studentów opowiadająca się za przyjęciem SZSP okazała się całkiem liczna. Byli to studenci uczestniczący głównie we władzach ZSP, w tym jego przewodniczący Malarecki. Koledzy ci mówili, że sprawami ideologicznymi nie musimy się specjalnie przejmować, o tym, jakie oblicze będzie miał SZSP na naszej uczelni, zadecydujemy sami, jednym słowem – socjalistyczny związek



Tekst pochodzi z książki *Księga Jubileuszowa 90-lecia Koła Naukowego Historyków Studentów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II*, red. Bartłomiej Proć, Andrzej Gładysz, Jacek Pożarowski, Lublin 2009, s. 59-65. Dziękujemy Kołu Naukowemu Historyków Studentów za zgodę na przedruk.

zostanie na KUL-u „ochrzczony”. Wywołało to ostry spór, a jeszcze oliwy do ognia dołał list Ojca Rektora M.A. Krąpca odczytany przez dziekana Wydziału Nauk Humanistycznych, profesora Ryszarda Bendera. Z tego listu młodzież katolicka mogła się m.in. dowiedzieć, że socjalizm jest ustrojem humanistycznym, w którym dba się o wolność i godność człowieka.

Ostatecznie większość zabierających głos studentów była przeciwko SZSP i często z dużymi emocjami atakowała władze PRL, ustrój socjalistyczny i Związek Radziecki.

Wkrótce po tych debatach SZSP na KUL rozpoczęło działalność, przejmując m.in. lokal po ZSP. Kiedy zwróciłem się do Ojca Rektora z prośbą o komentarz do stanowiska władz uczelni wobec SZSP, powiedział mi, że zgadzając się na działalność tej organizacji, brał pod uwagę dostawę mięsa do stołówek, które w innym przypadku mogłyby być wstrzymane, jak i planowaną budowę nowego frontonu KUL. Powiedział też, że na zmianę tej decyzji mógłby mieć wpływ Ksiądz Prymas Stefan Wyszyński.

Po tej rozmowie, korzystając z kontaktów naszych kolegów z Koła Teologów w Episkopacie, uzyskaliśmy audiencję u Księdza Prymasa. Pojechało pięć-sześć osób, wśród nich Bogdan Borusewicz i Joanna Lubieniecka. W rozmowie z Księdzem Prymasem zwróciliśmy m.in. uwagę na zapis w statucie SZSP mówiący o tym, że organizacja ta może reprezentować wszystkich, również niezrzeszonych studentów danej uczelni, co było dla nas nie do przyjęcia. Ksiądz Prymas powiedział, że podobnie jak my myśli większość studentów i że Episkopat nie opuści swojej młodzieży, a na zakończenie udzielił nam błogosławieństwa. Udzielając nam poparcia w sprawie SZSP, równocześnie rozmawiał z nami dość chłodno, co jak dowiedzieliśmy się później, zwią-

zane było z tym, że nasze wystąpienie potraktował jako krytykę poczynąń naszej kościelnej władzy zwierzchniej, czyli Rektora KUL, czego nie aprobował.

Ostatecznie jednak mieliśmy poczucie sukcesu, bowiem wkrótce potem SZSP na KUL zakończyło działalność, a w liście Episkopatu odczytanym w kościołach można było usłyszeć krytykę władz komunistycznych za ich „zjednoczeniowe” poczynania.

Po tym fakcie musieliśmy zwrócić większą uwagę na maksymalne wykorzystanie wszelkich kontaktów naszych studentów z innymi uczelniami, by zapobiec izolacji KUL. Taką możliwość dawał udział w sesjach kół naukowych historyków. Brałem udział w kilku takich sesjach, z których najbardziej utkwiły mi w pamięci sesje w Opolu i w Roztoce. Ta pierwsza, poświęcona Powstaniom Śląskim, odbyła się w maju 1973 roku, a więc jeszcze w atmosferze walki wokół SZSP. Najciekawsza dla mnie była nie sama sesja, ale poprzedzające ją spotkanie z kolegami z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach i z WSP w Gdańsku, które miało miejsce w Domu Partii w Opolu, gdzie byliśmy zakwaterowani. Zauważyłem, że studenci z UŚ mieli wpięte w klapy marynarek znaczki z główkami Lenina. Było to tak zaskakujące, że najpierw pomyślałem, że oni to robią dla żartu, ale rozmowa z nimi pokazała, jak bardzo identyfikują się z tym znaczkiem.

Z wielką pewnością siebie i z poczuciem, że wszystko im wolno, mówili, że przeciwników politycznych należy likwidować, Prymasa Wyszyńskiego – aresztować, a KUL – zamknąć. Dla nich już poglądy wyrażane na łamach tygodnika „Polityka” były nie do przyjęcia, jako przejaw socjaldemokratycznego odchylenia. To byli czeakiści. Nie mogłem wyjść ze zdumienia, że tak myślał moi rówieśnicy, absolwenci takich szkół, jakie i ja kończyłem, i studenci normalnej, cywilnej uczelni. Kilka lat

później okazało się, że dla ludzi tego pokroju nie ma problemu z wcieleniem takich przekonań w życie, jak było to w przypadku poznanego przeze mnie w stanie wojennym kapitana Grzegorza Piotrowskiego, również mojego rówieśnika, absolwenta polskiego uniwersytetu, a nie na przykład uczelni KGB w Moskwie. Inna sesja, którą dobrze zapamiętałem, odbyła się w lutym 1974 roku. Trwała dziesięć dni i została zorganizowana przez Koło z Uniwersytetu Warszawskiego. Sesja była poświęcona kształtowaniu się państw demokracji ludowej w latach 1944-1948. Wspólnie z Bogdanem Borusewiczem i Maciejem Sobierajem przygotowaliśmy referat o Wizjach Polski powojennej w programach politycznych organizacji podziemnych pod okupacją niemiecką w latach 1939-1945. Całość materiałów źródłowych do tego tematu przekazał nam ze swojego prywatnego archiwum profesor Władysław Bartoszewski, który prowadził wtedy na KUL-u wykłady z historii Polskiego Państwa Podziemnego. W sesji udział wzięli przedstawiciele prawie wszystkich kół historyków, ale dyskusja toczyła się między nami a studentami Szkoły Oficerów Politycznych im. Feliksa Dzierżyńskiego. Występowaliśmy ze skrajnie przeciwnych pozycji w podejściu do najnowszych dziejów Polski i regionu, a nasi antagoniści, dwaj oficerowie, nie ukrywali tego, że ich przełożeni dali im dokładną instrukcję, jak mają się wypowiadać na sesji, zaś ich referat na temat Powstania NRD osobiście aprobował komendant uczelni. Już w połowie sesji nasze wypowiedzi w dyskusji zostały uznane przez jednego z opiekunów naukowych, profesora Stanisława Sierpowskiego, za antyradzieckie. Zagroził on nam najpierw konsekwencjami, jakie za to może ponieść KUL, a następnie postawił wniosek o wykluczenie nas z sesji. Warszawscy gospodarze nie zdecydowali się na taki krok i ostatecznie za

nasz referat i udział w dyskusji otrzymaliśmy drugą nagrodę. Pierwszej w ogóle nie przyznano.

Nasze Koło odegrało ważną rolę w integrowaniu studentów całej uczelni. To w oparciu o nie powstał samorząd uczelniany złożony z przedstawicieli wszystkich kół naukowych i związków studenckich działających na KUL-u, jak na przykład AZS, chór, teatru itp. Samorząd ten nazywał się Komisją Porozumiewawczą Stowarzyszeń Akademickich KUL, prowadził różnorodną działalność i reprezentował studentów wobec władz uczelni. Byłem jego pierwszym prezesem przez dwa kolejne lata:

Janusz Krupski na KUL.
2007. Fot. Tomasz Czajkowski. Archiwum TNN.



1974/75 i 1975/76 (w tym drugim roku nie byłem już studentem, tylko absolwentem KUL). Do ważnych przedsięwzięć, jakie podejmowaliśmy, należała organizacja Wiosny Kulturalnej Studentów KUL (Kullages) – imprezy trwającej cały tydzień, która stawała się ważnym wydarzeniem kulturalnym w życiu akademickim całego kraju. Brało w niej udział wiele grup i artystów będących „na cenzurowanym”, jak na przykład Salon Niezależnych, Teatr Ósmego Dnia. Wiosnę kultury kończył wielki bal, który trwał całą noc z soboty na niedzielę. Organizowaliśmy też sesje naukowe o charakterze interdyscyplinarnym, jak na przykład *Człowiek wobec śmierci*. Siedzibą Komisji był lokal Koła Historyków, mieszczący się od zawsze w piwnicy pod Zakładem Historii, obok księgozbioru tego zakładu. Już jako ciekawostkę do-

dać warto, że w tym lokalu na wiosnę 1976 roku składaliśmy pierwszy powie-lacz przywieziony w bagażach Sceny Plastycznej Leszka Mądzika z Londynu. Możemy więc przyjąć, że w tym miejscu został zainaugurowany podziemny ruch wydawniczy w Polsce lat 70.

Kończąc tę garść luźnych, osobistych wspomnień, pisanych pośpiesznie, żałuję, że mogłem wspomnieć nazwiska tylko kilku wspaniałych kolegów i profesorów, których miałem szczęście poznać, z nimi współpracować, korzystać z ich wiedzy i doświadczenia. Takich ludzi na KUL było w latach 70. wielu, ofiarnych, bezinteresownych, nieliczących swego czasu. Ten okres dziejów KUL czeka jeszcze na opracowanie i dobrze jest, że moi młodszy koledzy w Kole Naukowym chcą coś w tym zakresie zrobić.

Część V

Uzupełnienia
(dokumenty z epoki)

Z listów Jerzego Giedroycia i Jana Nowaka-Jeziorańskiego

List 237*

I9 kwietnia [I9]78

Drogi Panie,

Kilka spraw. Dostałem wczoraj autobiografię Zinowiewa¹, naprawdę tragiczną. Czy widziałby Pan jakieś możliwości, by tej sprawie pomóc? Idzie tu o „szum”, z którym w Moskwie się liczą, i który chroni, no i wyciągnięcie go z ZSRR. Z Venclovą² to się udało. Tekst, który przesyłam, jest mało czytelny, ale można go od biedy przeczytać i na pewno znajdzie Pan tłumacza. Druga strona nie mniej czy bardziej ważna. Załączam fotografię i notę o Januszu Krupskim. To nie tylko redaktor „Spotkań”, ale twórca i kierownik NOWY (Niezależna Oficyna Wydawnicza)³. Byłoby niezmiernie ważne, by mu ułatwić wyjazd za granicę, bo kontakt z takimi właśnie ludźmi jest niezmiernie ważny. Tymczasem reżym prowadzi b. perfidną politykę: łatwo wypuszcza prominentów literackich etc., co robi znakomite wrażenie na Zachodzie, gdzie ci ludzie są mniej lub więcej znani i mają swoich supporterów, natomiast młodymi, którzy robią czarną robotę, nikt się nie interesuje i nikt ich nie zna. No, i pogłębi to b. ludzkie poczucie rozżalenia czy też nawet nieufności. Teraz właśnie wyjeżdża do USA Konwicki⁴, dostał paszport Woroszyłski⁵, żona Marka Nowakowskiego⁶, a młodych po prostu biją (jak Pan to mógł zobaczyć z materiałów, które wczoraj wysłałem). Jest szereg młodych chłopców i dziewcząt, którzy w naprawdę ciężkich warunkach kręcą te powielacze, zamknięci przez kilka dni w ciasnych pomieszczeniach w oparach alkoholu, denaturatu (bo to głównie na alkoholu) bez pieniędzy, bez stałych zarobków, ale nie mogą się doprosić wiadomości, jak im pomóc, bo J. J. Lipski⁷ czy Kuroń⁸ uważają pomoc materialną za niemoralną. Rozumiem ten punkt widzenia i wiem, jak ascetyczny tryb życia prowadzą, ale dowcip polega na tym, że

* List pochodzi z publikacji Jan Nowak-Jeziorański, Jerzy Giedroyc, *Listy 1952-1998*, oprac. Dobrosława Platt, Wrocław 2001. List 237, s. 436-437. Przypisy do wszystkich listów zaczerpnięto od Wydawcy (ujednolicono je do zapisu przyjętego w „Scriptores”, w niektórych przypadkach uzupełniono daty śmierci). W liście 237 zrezygnowano z przypisu do Janusza Krupskiego, który zawierał notkę biograficzną. Podkreślenia w tekście pochodzą od Redakcji „Scriptores”; przypisy od Redakcji oznaczono nawiasami kwadratowymi i podpisano [przyp. Red]. Dziękujemy Zakładowi Narodowemu im. Ossolińskich za zgodę na przedruk listów.

im przyjaciele i wielbicieli pożyczają i pomagają, a tymi młodymi nikt się nie interesuje. Tak np. dwa dni temu miałem dramatyczny apel z Krakowa, by im pomóc, bo członkowie SKSu⁹ zostali zasądzeni w sumie na 45 tys. złotych i nie mają z czego zapłacić. Szczęśliwie się złożyło, że to do mnie dotarło, że mogłem i miałem okazję te pieniądze przekazać, ale przecież w Londynie KOR (u mnie też) dysponuje naprawdę dużymi pieniędzmi. Bardzo to mnie wszystko niepokoi. Ma się rozumieć liczę, że te moje utyskiwania zostaną między nami.

Dziś dostałem artykuł Zd. N.¹⁰ o Instytucie. Pisze mi, że wysłał Panu kopię. Niestety, artykuł przyszedł za późno, gdyż właśnie dziś nr poszedł na maszynę. Zamieszczę go w nrze czerwcowym. Artykuł wydaje mi się dobry i b. wyważony, ale szczegóły regulaminu Instytutu (których nie znałem) dość mnie niepokoją. W dużym stopniu to uniemożliwi faktyczną pomoc. Bo albo będzie to dotyczyło ludzi zdeterminowanych, a takich jest zawsze b. mało, albo ludzi uprzywilejowanych z takich czy innych powodów. Piśże mi Najder, przesyłając ten artykuł, że chce go Pan wydać po angielsku. Otóż, chciałem zwrócić Pana uwagę na wariata (w dobrym tego słowa znaczeniu) Lubańskiego¹¹ z Kalifornii, który od paru lat najbardziej bezinteresownie wydaje powielane zeszytiki „Fragments”¹² z tłumaczeniami artykułów z „K”^[13], które mu odpowiadają. Jest on kierownikiem szkoły nauczania języków i myślę, że byłby do wykorzystania. Bodaj, że Panu o nim pisałem. Pisałem również do Ehrenkreutza¹⁴, ale na to nie zareagował. Najlepsze pozdrowienia

Jerzy Giedroyc

O Krupskim jako twórcy NOWY proszę traktować poufnie. Bardzo niedobrze jest na odcinku kościelnym, tj. kardynała^[15]. Choroba, pod wpływem otoczenia coraz bardziej niechętny stosunek do opozycji. Dotyczy to również „Więzi” i „Znaku”, z powrotem rosnąca rola Zabłockiego¹⁶, rozdzwinki z Wojtyłą etc. B. się o ten odcinek boję. Jest stale otoczony przez słynne „ósemki”¹⁷, które zostały uwiedzione - zrzecznie przez Gierka¹⁸, do którego wprost się modlą. Dziwna symbioza typowo endecka.

¹ Aleksandr A. Zinowiew (ur. 1922) – rosyjski pisarz, logik; od 1969 roku profesor w Instytucie Filozofii ZSRR w Moskwie; usunięty z powodu publicznego protestu przeciw niemożliwości wyjazdu na zagraniczne konferencje naukowe; usunięty z partii po opublikowaniu na Zachodzie książki *Przepastne wyżyny*; od 1977 roku na emigracji w Niemczech; publikował w Lozannie utwory, które były satyryczno-groteskową analizą socjologiczną totalitaryzmu w ZSRR. A. Zinowiew, *Autobiografia*, „Kultura” nr 7-8 (370/371), 1978, s. 221-223.

² Tomas Venclova (ur. 1937) – litewski poeta, tłumacz i krytyk literacki, uczestnik ruchu opozycyjnego; od 1977 roku na emigracji w USA.

³ Niezależna Oficyna Wydawnicza (NOWa) – założona 1977 roku, wydawnictwo; jako pierwsze w Polsce podjęło publikację książek poza zasięgiem cenzury; założyciel – Mirosław Chojecki; wydawało literaturę piękną, publicystykę, prace historyczne, filozoficzne, socjologiczne, także kasety magnetofonowe (Nowa Kasetka) i wideo (Video Nowa) oraz zestawy zdjęć (Foto Nowa); od 1989 roku działa jawnie.

⁴ Tadeusz Konwicki (ur. 1926) – pisarz, reżyser filmowy; w latach 1944-1945 partyzant AK na Wileńszczyźnie; do 1966 roku członek PZPR, następnie związany z opozycją; autor powieści ujmujecej w groteskowej formie problemy moralne i polityczne (*Mała apokalipsa*, 1979) oraz filmów według własnych scenariuszy (*Lawa*, 1989).

⁵ Wiktor Woroszyński (1927-1997) – pisarz, poeta, autor utworów dla dzieci, tłumacz i popularyzator literatury rosyjskiej; w latach 1956-1957 redaktor naczelnego tygodnika „Nowa Kultura”; w latach 1945-1966 w PPR i PZPR, następnie związany z opozycją demokratyczną, w latach 1981-1982 internowany.

⁶ Marek Nowakowski (ur. 1935) – pisarz, autor opowiadań obyczajowych, głównie z życia marginesu społecznego Warszawy; po 1980 roku związany z opozycją; [autor książki] *Benek kwiaciarczy* (1961).

⁷ Jan Józef Lipski (1926-1991) – polonista, działacz polityczny, wolnomularz; żołnierz AK, uczestnik powstania warszawskiego, w latach 1956-1957 redaktor tygodnika „Po Prostu”; w latach 1957-1959 prezes KKK, inicjator tzw. Listu 34 (1964) i protestów przeciwko zmianom w konstytucji (1975); w latach 1976-1981 członek

KOR i KSS-KOR, od 1980 roku działacz „Solidarności”; w latach 1981-1982 więziony; od 1987 do 1991 przewodniczący Rady Naczelnej PPS, w latach 1989-1991 senator, 1991 w „Solidarności Pracy”.

⁸ Jacek Kuroń (1934-2004) – działacz polityczny; w latach 1954 i 1956-1964 w PZPR, działacz Organizacji Harcerskiej Związku Młodzieży Polskiej; w 1954 roku [założył] Drużyny Walterowskie; w latach 1968-1971 więziony za współpracę z niezależnym ruchem studenckim; w latach 1976-1981 członek KOR, w latach 1980-1981 doradca „Solidarności”; więziony od 1981 do 1984 roku; od 1989 roku poseł na sejm, w latach 1989-1990 i 1992-1993 minister pracy i polityki społecznej; działacz Unii Wolności.

⁹ Studenckie Komitety Solidarności (SKS) – niezależne organizacje studenckie, założone w 1977 roku w Krakowie, następnie w Warszawie, Gdańsku, Poznaniu i Wrocławiu; sympatycy KOR, w Gdańsku także ROPCiO.

¹⁰ Zdzisław Najder (ur. 1930) – historyk literatury, współzałożyciel Polskiego Porozumienia Niepodległościowego (1976); w latach 1981-1990 na emigracji, w latach 1982-1987 dyrektor sekcji polskiej RWE, skazany zaocznie na karę śmierci (wyrok uchylony w roku 1989); w latach 1990-1991 przewodniczący Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie.

¹¹ Józef Lubański, pseud. Charles Joel – wydawca.

¹² „Fragments” – czasopismo, [wychodziło] 10 numerów rocznie; miejsce wydania: Sutter Creek, Kalifornia; od grudnia 1973 do grudnia 1979; tłumaczenie na język angielski wybranych artykułów z „Kultury”; wysyłane do: British Columbia, Norwegii, Szwecji, Zachodniej Afryki, Australii; zob. A. Iwańska, „Fragments” Józefa Lubańskiego, „Kultura” nr 5 (404), 1981, s. 58-63.

[13] „Kultura” [przyp. Red.].

¹⁴ Andrzej Stefan Ehrenkreutz (1921-2008) – historyk; studia na uniwersytecie w Londynie; w latach 1954-1987 prof. University of Michigan w Ann Arbor; główny kierunek badań: historia średniowiecznego islamu; 1976-1987 prezes Północnoamerykańskiego Studium Spraw Polskich w USA; 1991 Australijskiego Instytutu Spraw Polskich w Australii; członek Kongresu Polonii Amerykańskiej.

[15] Chodzi o kardynała Stefana Wyszyńskiego [przyp. Red.].

¹⁶ Janusz Zabłocki (ur. 1926) – publicysta, działacz polityczny, żołnierz AK; od 1952 do 1955 w Stowarzyszeniu „Pax”; w latach 1958-1974 redaktor miesięcznika „Więź”; w latach 1977-1981 prezes Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie, w latach 1965-1985 poseł na sejm, członek koła poselskiego „Znak” (1977-1981 prezes), od 1981 do 1984 roku prezes koła poselskiego Polskiego Związku Katolicko-Społecznego.

¹⁷ Jedną z tajnych organizacji katolickich podczas II wojny; zespół założycielski wywodził się z sodalicii żeńskiej; założycielkami były: Maria Okońska (ur. 1920) i Lilka Wantowska (ur. 1918); na pierwszym tajnym zebraniu i ślubowaniu sodalicyjnym w dniu 26 sierpnia 1942 roku w Szymanowie pod Warszawą było osiem kobiet – stąd nazwa „ósemki”; zespół ten kierował organizacją sodalicii żeńskiej, do której należało około 600 dziewcząt w wieku 15-18 lat z różnych tajnych szkół warszawskich; cele: szkolenie młodzieży katolickiej na kursach sanitarnych, ale przede wszystkim katolickie i patriotyczne wychowanie dziewcząt, które w przyszłości będą wartościowymi ludźmi i stworzą „zdrowe rodziny”; później dołączyły także studentki tajnego UW i Uniwersytetu Poznańskiego; działały pod przewodnictwem kapłana; w 1943 roku ich kapelanem został ks. Stefan Wyszyński, który oczekiwał, że każda z nich skończy wyższe studia; uczestniczyły w powstaniu warszawskim; w 1948 roku aresztowano Okońską i Wantowską, oskarżając je o działalność antyrządową – wychowywały dziewczynki na obozach letnich w duchu katolickim; z powodu interwencji Prymasa zwolnione po kilkumiesięcznym więzieniu; przewodziły Instytutowi Prymasowskiemu Ślubów Narodu na Jasnej Górze.

¹⁸ Edward Gierek (1913-2001) – działacz polityczny; w latach 1923-1934 na emigracji we Francji, od 1931 roku członek Komunistycznej Partii Francji; w latach 1937-1948 w Belgii; później w Polsce; w latach 1952-1980 poseł na sejm, od 1954 do 1981 roku członek KC PZPR; w latach 1957-1970 I sekretarz KW PZPR w Katowicach, od grudnia 1970 do września 1980 I sekretarz KC PZPR; inicjator przyspieszonego rozwoju kraju dzięki kredytom zagranicznym; w 1981 usunięty z partii.

List 239*

* Jan Nowak-Jeziorański, Jerzy Giedroyc, *Listy...*, s. 439-440.
Uwagi redakcyjne –
patrz list 237.

3 maja [19]78

Drogi Panie,

Dziękuję za list z 26 kwietnia, który wczoraj otrzymałem. Niestety, będę miał autobiografię Zinowiewa przetłumaczoną dopiero za kilka dni na polski. Ryzer¹ tekst posłał do Monachium, a stamtąd trudno coś wyciągnąć. A może Bączkowski^[2] mógłby Panu przetłumaczyć? Jest Pan z nim chyba w kontakcie. Załączam fotografię Janusza Krupskiego wraz z krótką notą. Niezależnie od „Spotkań” jest założycielem i kierownikiem Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Skończył wydz. hum. KULu, praca magisterska – historia Kościoła. Miał jechać w swoim czasie na międzynarodowy zjazd historyków do San Francisco, ale go nie puścili. To wspaniały chłopak i koniecznie trzeba, by się trochę otarł w świecie. Jeśli idzie o stypendia, to sprawy trzeba by trochę wyprostować, tj. lepiej dobierać kandydatów. Niestety, działają tu kumoterstwa (głównie literackie). Dlaczego dostał stypendium Dep. Stanu Krzeczkowski³ – postać dla mnie dwuznaczna i szkodliwa, Konwicki? Świetny pisarz, ale politycznie? Właśnie miałem telefon od Michnika⁴, że Barańczakowi⁵ odmówiono paszportu. Bardzo to mnie zgnębiło. On byłby świetnym nabytkiem dla nas w USA. Bardzo mnie zmartwiło to, co Pan pisze o Instytucie^[6]. Nie byłem zbyt wielkim optymistą, ale jak Łabędź⁷, Stypułkowski⁸ et con. pociągnęli za Ocean, a Lasky⁹ wznawia „Der Monat” w Berlinie, to myślałem, że jest już koło czego biegać. Czy nawiązał Pan kontakt z Venclovą, Sołżenicynem¹⁰? A może Kongres^[11] zaprosi go na przesłuchy? To byłby chyba nr przebojowy. On jest zdziwaczały, ale Kongresowi by nie odmówił chyba. Nie bardzo rozumiem, jak Pan sobie ten komitet „pod egidą «K»” wyobraża?

Kto wie, czy nie należałoby rzeczywiście nacisnąć pedału w związku z Gierkiem. Z tego, co do mnie dochodzi, to są zabiegi Dep. Stanu, by Kongres i Polonia zachowały co najmniej neutralność. Taką akcją można by chyba wiele wyszantażować nie tylko u Amerykanów, ale i u samego Gierka. Wyszła w Polsce Biała księga, gdzie zebrano wszystkie dokumenty (zweryfikowane) represji po 76 r. Może to dałoby się użyć jako zapłonu?

Jak widzę zaczyna Pan podzielać poglądy Byrskiego¹². Rzeczywiście Ameryka przedstawia okropny widok. Wszędzie jest rozkład. Takie Włochy np. i ten Papież¹³, który klęka przed brigade rouge.. „Zeszyty” wyjdą z pewnym opóźnieniem, bo w maju jest niesamowita ilość świąt we Francji, ale w każdym razie będą przed końcem maja. Chętnie przyślę Panu zawczasu ew. reakcje.

Co się dzieje z Perzanowskim¹⁴? Zupełnie zamilkł. O Toronto ma mi napisać notę informacyjną Heydenkorn¹⁵. Ale gdyby Pan chciał o tym napisać, to chętnie proszę. Skończy się to gadalnią i uchwaleniem nierealnych rezolucji. Szkoda, bo w Kongresie Kan[adyjskim] jest szereg wartościowych ludzi. Praca w warunkach chałupniczych ma swoje zalety, bo daje niezależność, ale to ciężko. Coś wiem o tym. Gdybym mógł mieć buchaltera, maszynistkę, bibliotekarkę i gońca, to mimo sędziwego wieku, myślałbym o rewolucji światowej.

Najlepsze pozdrowienia

Jerzy Giedroyc

¹ Witold Ryzer-Szymański – redaktor Radia Swoboda.

¹² U Wydawcy *Listów...* brak notki biograficznej Bączkowskiego [przyp. Red.].

³ Henryk Krzeczowski (1921-1985) – eseista i tłumacz.

⁴ Adam Michnik (ur. 1946) – publicysta, działacz polityczny; współzałożyciel Młodzieżowego Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności (1962-1963), następnie uczestnik opozycyjnej grupy „komandosów”, w marcu 1968 roku usunięty z UW za protest przeciwko zdjęciu ze sceny *Dziadów* A. Mickiewicza, w latach 1968-1969 w więzieniu; w latach 1977-1980 członek KOR, od 1977 redaktor „Krytyki”, w latach 1980-1981 doradca „Solidarności”, w latach 1981-1984 i 1985-1986 więziony; od 1989 roku redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”, w latach 1989-1991 poseł na sejm.

⁵ Stanisław Barańczak (ur. 1946) – poeta, krytyk literacki, tłumacz literatury angielskiej; w latach 1976-1981 członek KOR i KSS-KOR; od 1981 roku prof. Harvard University.

¹⁶ Chodzi o Instytut Obrony Praw Człowieka, w którego powstanie – obłożone licznymi trudnościami – zaangażowany był Jan Nowak-Jeziorański [przyp. Red.].

⁷ Leopold Łabędź (1920-1993) – politolog, publicysta, od 1950 roku wykła-

dowca London School of Economics and Political Science oraz uniwersytetów amerykańskich; współpracownik miesięcznika „Encounter” i „Kultury”; wydawca i redaktor naczelny pisma „Survey”; od 1961 roku redaktor międzynarodowej serii „Library of International Studies” wydawanej w Londynie i Nowym Jorku; [pisał] prace na temat sowieckiej Rosji, Europy Wschodniej, komunizmu, praw człowieka; [autor książki] *Bez złudzeń* (1989).

⁸ Zbigniew Stypułkowski (1904-1979) – prawnik, działacz Obozu Wielkiej Polski i SN, w latach 1931-1935 poseł na sejm; w latach 1942-1944 w rozłamowej frakcji SN, sekretarz Tymczasowej Narodowej Rady Politycznej; w 1945 roku aresztowany przez władze radzieckie i skazany w Moskwie na cztery miesiące więzienia, następnie na emigracji.

⁹ Melvin Lasky (1920-2004) – redaktor miesięczników „Der Monat” (1948-1958) i „Encounter” (1958-1990).

¹⁰ Aleksandr I. Sołżenicyn (1918-2008) – pisarz rosyjski, z wykształcenia fizyk; w latach 1945-1956 więzień łagrów i zesłaniec; w 1974 roku pozbawiony obywatelstwa i deportowany z ZSRR do RFN; początkowo osiadł w Szwajcarii, następnie w USA; w 1994 roku powrócił do Rosji; [zyskał] rozgłos dzięki powieści

Jeden dzień Iwana Denisowicza (1962, przekład polski publikowany w „Polityce” w latach 1962-1963; wydanie książkowe poza cenzurą w 1981 roku), [książka dotyczyła] zorganizowanej przemocy nad jednostką, brutalności i okrucieństwa systemu więziennego; dzieło dokumentarne *Archipelag Gułag 1918-1956* (t. 1-3 [wydane w] Paryżu w latach 1973-1975); Nagroda Nobla (1970).

¹¹ Chodzi prawdopodobnie o Kongres Polonii Amerykańskiej [przyp. Red.].

¹² Zbigniew Byrski (1913-1998) – dziennikarz, pisał artykuły dotyczące USA, między innymi publikowane w „Kulturze”.

¹³ Paweł VI (Giovanni Montini) (1897-1978) – papież od 1963 roku; za jego pontyfikatu zakończył się Sobór Watykański II; popierał ruch ekumeniczny, doprowadzając do poprawy stosunków z protestantami i prawosławnymi; wspierał inicjatywy pokojowe i rozbrojeniowe.

¹⁴ Lucjan Perzanowski – dziennikarz w redakcji „Forum” w Warszawie; w RWE redagował audycję „Fakty, wydarzenia, opinie” oraz „Prasa kłamie”.

¹⁵ Benedykt Heydenkorn (1905-1999) – dziennikarz, podczas II wojny światowej na zesłaniu w ZSRR, żołnierz II Korpusu, po wojnie na emigracji w Kanadzie, w latach 1957-1977 redaktor naczelny „Związkowca” w Toronto.

List 243*

II czerwiec 1978

Drogi Panie,

Załączam artykuł o Instytucie i polityce praw człowieka¹. Mówi sam za siebie, więc żadnych na razie komentarzy nie dodaję. Liczę się z tym z góry, że może dotrzeć za późno albo okazać się za długi. W tym wypadku byłbym Panu bardzo wdzięczny za depeszę, która pozwoliłaby wysłać drugą kopię gdzie indziej.

Otrzymałem list ze środowiska pisarzy w kraju, w którym znalazł się ustęp wręcz fantastyczny: „Był tu prof. Adam Bromke², który: primo - chce założyć konkurencyjny wobec «Kultury» kwartalnik polityczny, endoidalny i przyjazny wobec PRL i secundo - chce zorganizować zjazd Polaków z kraju i zagranicy. Nie chce nikogo z «Kultury» ani Kołakowskiego³, natomiast powołuje się na ciebie i rzekomą gotowość «Aneksu» do uczestnictwa w tej imprezie”.

Jest w tym jednym zdaniu taki stek nonsensów, że podejrzewam jakąś prowokację. Nie ma[m], oczywiście, najmniejszego zamiaru brać udziału w jakichkolwiek imprezach, którym patronowałby Bromke. I myślę, że „Aneks” jest chyba równie od tego daleki.

Sprawę Zinowiewa przekazałem Komisji Helsińskiej, z Vencłową nawiązałem kontakt i już otrzymałem od niego odpowiedź. Wiem, że jest obecnie u Pana w „Kulturze”. Krupskiego, idąc za Pana radą, wysunąłem jako kandydata na stypendium Dept. Stanu. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Łączę najlepsze pozdrowienia

[Jan Nowak]

* Jan Nowak-Jeziorański, Jerzy Giedroyc, *Listy...*, s. 448. Uwagi redakcyjne – patrz list 237.

¹ W.R., *Instytut Praw i Swobód Człowieka*, „Kultura” nr 6 (369), 1978, s. 113-116.

² Adam Bromke (ur. 1928) – politolog; żołnierz AK, uczestnik powstania warszawskiego, w latach 1945-1988 na emigracji; od 1973 roku profesor w McMaster University w Hamilton (Kanada), Instytut Nauk Politycznych PAN (1988); badacz problemów Europy Wschodniej.

³ Leszek Kołakowski (ur. 1927) – filozof; profesor UW (1964), jeden z ideologów nurtu rewizjonistycznego w PZPR, w 1966 roku usunięty z PZPR, w 1968 roku – z uczelni; od 1968 roku poza krajem; w 1970 roku [został] profesorem Uniwersytetu w Oxfordzie; w latach 1977-1981 członek KSS -KOR.

List 253*

* Jan Nowak-Jeziorański, Jerzy Giedroyc, *Listy...*, s. 466-467.
Uwagi redakcyjne – patrz list 237.

28 sierpnia 1978 r.

Drogi Panie,

Dziękuję za list z 22 bm. „Zapis” jest rzeczywiście pismem nierównym. Z tej prasy samizdatowej najbardziej cenię „Spotkania”, wydawane przez niezależnych katolików w Lublinie. Ukazały się już trzy numery „Spotkań”, ale – niestety – prawie nieczytelne, a w każdym razie nie nadające się do powielania. Przepisują to ludzie dobrej woli, ale nie wiadomo, kiedy to skończą, no i mam nadzieję, że po parokrotnych reklamacjach przyślą mi te teksty w stanie możliwym. A propos – czy udało się coś zrobić w uzyskaniu stypendium dla Janusza Krupskiego, o którym Panu pisałem. Bardzo tę sprawę kładę Panu na sercu, bo to jest naprawdę wyjątkowy chłopiec.

Niewątpliwie trudno znaleźć kogoś, kto mógłby napisać o strajkach chłopskich. Może Byrski?, który jest dobrze wprowadzony w rzeczywistość krajową. Bardzo mnie gnębi sprawa Barańczaka, bo boję się, że ta katedra w Harvardzie przepadnie, nie mówiąc już o roli, jaką Barańczak mógłby odegrać na terenie Stanów. Miałem informacje, których nie mogę sprawdzić, że rektor Harvardu był w Polsce i interweniował. Gdyby jednak sprawa Barańczaka była beznadziejna, to może udałoby się zalansować Najdera. Załączam bardzo niedokładną notę biograficzną Najdera, która jednak świadczy, że ma kwalifikacje uniwersyteckie. Może mógłby Pan to poruszyć przy okazji z Brzezińskim¹. Osobno wysyłam Panu trochę wydawnictw krajowych, które dostałem.

Łączę najlepsze pozdrowienia,

Jerzy Giedroyc

¹ Zbigniew Brzeziński (ur. 1928) – politolog; od 1938 roku poza krajem; profesor Uniwersytetu Kolumbii w Nowym Jorku (1961), badacz systemu politycznego ZSRR, współtwórca teorii totalitaryzmu, w latach 1977-1980 doradca prezydenta Cartera ds. bezpieczeństwa.

List 268*

I6 maja 1979

Drogi Panie,

Dziękuję za list z 3 bm. i odpowiadam telegraficznie, mając nadzieję, że będę mógł za tydzień – 10 dni napisać obszerniej.

Bardzo jestem zaniepokojony, że mimo obietnic Perzanowski do tej pory nie napisał mi artykułu o Pawle. Zbliży się dzień zamknięcia numeru czerwcowego i byłoby bardzo niedobrze, gdybym tego artykułu nie otrzymał na czas. On przy wszystkich swoich zaletach jest bardzo niesolidny.

Jeśli idzie o Voice of America^[1], to Pana propozycja jest chyba najlepszą i bardzo proszę o projekt listu do p. Straussa². Od Sulika³ nie mam jeszcze wiadomości co do BBC.

Sytuacja we Free Europe też mnie bardzo niepokoi i zgadzam się z Panem, że oprócz braku ludzi na odpowiednim poziomie, najgorszy jest kompletny rozkład wewnętrzny polskiej sekcji. Z jednym się tylko z Panem nie zgadzam: w ocenie Błażyńskiego⁴. Jeśli idzie o kandydatury dla Departamentu Stanu, to oprócz Micewskiego⁵, przy którym uważam należy się upierać, wchodziłby w rachubę Janusz Krupski, redaktor lubelskich „Spotkań”, o którym Panu pisałem w ub. roku, i Róża Woźniakowska^[6] z Krakowa. Jest ona w tej chwili jedną z najbardziej dynamicznych działaczek SKS-u. Trzeba by się również zastanowić nad jakimiś kandydaturami z ROPCiO, który jest ciągle niedoceniany i to w sposób bardzo krzywdzący. Postaram się Panu przysłać w niedługim czasie sugestie co do ROPCiO.

Niestety, ten miniimperializm występuje zarówno wśród Ukraińców, jak i Litwinów, ale muszę stwierdzić z pewnym optymizmem, że na tym odcinku są już znaczne postępy. Czy miał Pan możliwość wykorzystania 31-go Biuletynu PPN o Krajach Bałtyckich?

* Jan Nowak-Jeziorański, Jerzy Giedroyc, *Listy...*, s. 497. Uwagi redakcyjne – patrz list 237.

^[1] Voice of America (Głos Ameryki) – amerykańska rozgłośnia radiowa nadająca anglojęzyczne programy w Europie. Jej częścią (niezależną organizacyjnie) było Radio Wolna Europa [przyp. Red.].

² R. Peter Strauss – dyrektor naczelny Głosu Ameryki w latach 1977-1979 [przyp. Red.].

³ Bolesław Sulik – dziennikarz, krytyk filmowy.

⁴ Zbigniew Błażyński (1914-1996) – studiował prawo i nauki polityczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, [...] żołnierz Armii Polskiej we Francji (1939-1944); radca

polskiego MSZ w Londynie (1944-1946); redaktor sekcji polskiej RWE w latach 1952-1956; redaktor, a od 1966 dyrektor Sekcji Polskiej BBC, zastępca dyrektora Departamentu Środkowo-Europejskiego BBC, dyrektor Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie (1983-1985); w latach 1986-1989 redaktor kwartalnika „Opinie i Fakty”, a w latach 1986-1989 miesięcznika „Rzeczpospolita Polska” w Londynie; w 1954 roku przeprowadził wywiady ze zbiegłym z Polski pułkownikiem SB Józefem Światło [...].

⁵ Andrzej Micewski (1926-2004) – działacz polityczny; publicysta; od 1952 do 1965 roku działacz Stowarzyszenia „Pax”, w latach 1960-1970 redaktor „Więzi”, w latach 1974-1986 „Tygodnika Powszechnego”; redaktor naczelnny „Znaków Czasu” (1986-1988); w 1990 roku szef doradców Lecha Wałęsy, autor książek (*Kardynał Wyszyński. Prymas i mąż stanu* [1982]).

⁶ Róża Woźniakowska-Thun (ur. 1954) – działaczka opozycyjna związana z duszpasterstwem akademickim „Beczka”, SKS i KOR, w latach 1981-1981 na emigracji, od 1991 działaczka społeczna i samorządowa [przyp. Red.].

⁷ Zygmunt Michałowski (1918) – publicysta; 1943-1944 pracował w MSZ w Londynie, 1945 attaché poselstwa RP w Brukseli, paryski korespondent RWE; 1976-1982 dyrektor Rozgłośni Polskiej RWE.

Załączam do listu uwagi o programie Free Europe, zrobione przez młodego i bardzo inteligentnego pisarza krajowego. Mam nadzieję, że Pana zainteresują i że będzie je Pan mógł wykorzystać. Sprawa reorganizacji programu wydaje mi się palącą. Michałowski⁷ w tym się ze mną całkowicie zgadzał, ale – jak dotąd – niczego w tej dziedzinie nie zrobił. Obawiam się, że zawsze to są jakieś względy personalne, by nie dotknąć któregoś z redaktorów etc.

Najlepsze pozdrowienia

Jerzy Giedroyc

Wypowiedź Janusza Krupskiego ze stenogramu dyskusji na temat Socjalistycznego Związku Studentów Polskich na KUL 17 marca 1973 roku*

„Wypada mi tylko podpisać się pod tym, co powiedzieli moi przedmówcy [odnosi się to do poprzedzających wypowiedzi studentów: ks. Mariana Roli, Jerzego Miazgowicza, Bogdana Borszewicza i Macieja Sobieraja – MS]. Dodam od siebie kilka zdań. Mówi się ostatnio dużo o postawie (jakiej – uwaga SB), jaką powinien zająć człowiek wierzący, chrześcijanin, katolik. Postawie otwartej wobec problemów, które nurtują współczesny świat, te problemy są różnego rodzaju: problem wyzysku człowieka przez człowieka, ucisku. Jakie tutaj stanowisko powinien zająć chrześcijanin? Stanowisko jest jednoznaczne: walka słowem, i nie tylko, o wolność (oklaski dłuższe – uwaga SB), walka o godność człowieka. Niestety koledzy tutaj mówili dużo, mówili, żeby nie dać ponieść się jakimś nastrojom. Ale my widzimy, że nie wszystko, co dzieje się w naszym systemie, jest dobre. Czasem gwałci się te podstawowe prawa człowieka (oklaski dłuższe – uwaga SB). Człowiek powinien mieć prawo do wyrażania swych własnych poglądów, prawo do wyznawania własnych idei. W organizacji typu Socjalistyczny Związek Młodzieży Polskiej [chodziło o Socjalistyczny Związek Studentów Polskich – red.], która idzie po linii popierania polityki partii, po linii jej wskazówek, nie widzę takiej możliwości (oklaski – uwaga SB)”.

* Wybór i opracowanie stenogramu: MS. Przekład za „Kombatantem” nr 4, 2010, s. 11.

To wystąpienie Janusza Krupskiego, jako prezesa Koła Naukowego Historyków Studentów, w KUL-owskiej auli było jego pierwszym publicznym zabranieniem głosu, które wytyczyło jego dalszą drogę oporu wobec totalitarnego systemu, a jego konsekwencją było złamanie monopolu państwa na słowo drukowane. Głos Janusza oraz kilka innych wypowiedzi za i kontra SZSP na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a także list rektora o. prof. Mieczysława Krąpca

popierający nową organizację znalazły się w materiale przesłanym przez Wydział IV Służby Bezpieczeństwa Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Lublinie do Departamentu IV Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (sygn. IPN BU 0639/192, t. 2). Można przyjąć, że od tego momentu dla SB Janusz stał się wrogiem systemu, a pierwszym przejawem represji była odmowa paszportu na wyjazd do Francji (wraz z Piotrem Jeglińskim).

Bibliografia

Wydawnictwa Krupski i S-ka

2004

Piechotkowie Kazimierz, Maria, *Heaven's gates. Wooden synagogues in the territories of the former Polish-Lithuanian Commonwealth*, translation by Krzysztof Cieszkowski, Warszawa 2004.

Piechotkowie Kazimierz, Maria, *Oppidum Judaeorum. Żydzi w przestrzeni miejskiej dawnej Rzeczypospolitej*, Warszawa 2004.

2003

Jackowski Aleksander, *Miejsca i ludzie*, Warszawa 2003.

2002

Pasierb Janusz Stanisław, Janocha Michał, *Polonica artystyczne w zbiorach watykańskich*, Warszawa [2002].

Braun-Gałkowska Maria, Ulfik-Jaworska Iwona, *Zabawa w zabijanie. Oddziaływanie przemocy prezentowanej w mediach na psychikę dzieci*, Warszawa [2002].

2001

Ekspansja Kościoła rzymskiego 1054-1274, red. t. André Vauchez, [tłum. Jan Maria Kłoczowski i inni], Warszawa 2001.

2000

Strzembosz Tomasz, *Rzeczpospolita podziemna. Społeczeństwo polskie a państwo podziemne 1939-1945*, Warszawa 2000.

Łoś Wiesław, *Żółty Ptak i inne opowiadania o Hetmanku*, oprac. graf. Bohdan Butenko, Warszawa 2000.

Różycki Andrzej, Szczegółów Piotr, *Pejzaż fraszobliwy. Kapliczki i krzyże przydrożne. Wayside shrines and crosses*, tekst Aleksander Jackowski, Warszawa 2000.

1999

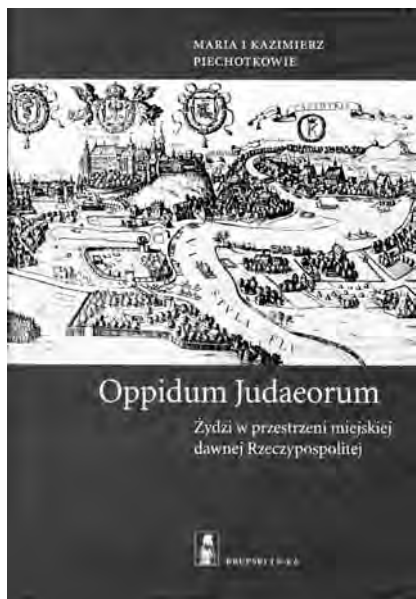
Pomocnicza Wojskowa Służba Kobiet 2 Korpusu 1941-1945, oprac. Anna Bobińska, Warszawa 1999.

Piechotkowie Kazimierz, Maria, *Bramy nieba. Bożnice murywane na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1999.

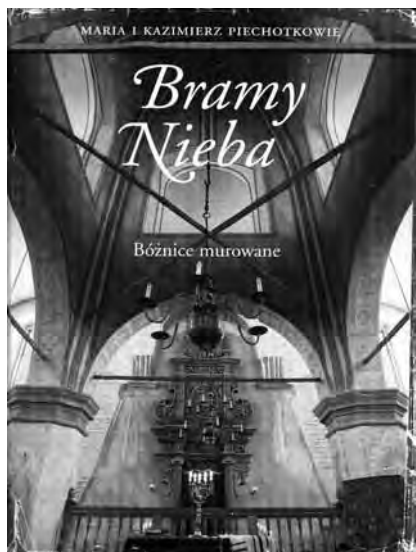
Frybes Marcin, Michel Patrick, *Po komunizmie. O mitach w Polsce współczesnej*, tłum. Jan Maria Kłoczowski, [Warszawa 1999].



Okładka albumu *Heaven's gates. Wooden synagogues in the territories of the former Polish-Lithuanian Commonwealth*, Warszawa 2004.



Okładka albumu *Oppidum Judaearum. Żydzi w przestrzeni miejskiej dawnej Rzeczypospolitej*, Warszawa 2004.



Okładka albumu *Bramy nieba. Bożnice murowane na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1999.

Dagron Gilbert, Riché Pierre, Vauchez André, *Biskupi, mnisi i cesarze 610-1054*, tłum. Maria Żurowska i inni, Warszawa 1999.

Bujak Adam, *Toruń i ziemia chełmińska*, tekst Bogusław Mansfeld, [Warszawa 1999].

1998

Brama. Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, red. Joanna Krupska, oprac. graf. Hubert Hilscher, [Warszawa 1998].

Gospodarka, ludzie, władza. Studia historyczne ofiarowane Juliuszowi Łukasiewiczowi w 75 rocznicę urodzin, red. Michał Kopczyński, Antoni Mączak, Warszawa 1998.

Kopczyński Michał, *Studia nad rodziną chłopską w Koronie w XVII-XVIII wieku*, Warszawa 1998.

Wyhowska De Andreis Wanda, *Między Dnieprem a Tybrem*, Warszawa 1998.

Jackowski Aleksander, *O rzeźbach i rzeźbiarzach*, fot. Andrzej Różycki, Piotr Szczegółów, Warszawa [1998].

Kamienne echa. Groby Niemców w Polsce, fot. Wojciech Kryński i Tomasz Prażmowski, Warszawa 1998.

Janocha Michał, *Missa in arte polona. Ikonografia mszy świętej w średniowiecznej i nowożytnej sztuce polskiej*, Warszawa 1998.

1996

Tomaszewski Andrzej, *Leksykon pism drukarskich*, Warszawa 1996.

Badeni Stefan, *Świat przedwczorajszy*, wstęp Karolina Lanckorońska, wybór i wprowadzenie Rafał Habielski, Warszawa 1996.

Biriulow Jurij, *Secesja we Lwowie*, tłum. Janusz Derwojed [Warszawa 1996].

W tej strasznej chwili. Antologia współczesnej wojennej liryki chorwackiej, oprac. Ivo Sanader, Ante Stamać, tłum. Muriel Kordowicz, Warszawa 1996.

Sucheni-Grabowska Anna, *Zygmunt August – król polski i wielki książę litewski 1520-1562*, Warszawa 1996.

1995

Januszkiewicz Barbara, *Klejnoty i stroje książąt Pomorza Zachodniego XVI-XVII wieku w zbiorach Muzeum Narodowego w Szczecinie*, Warszawa 1995.

Ekonomia środowiska i zasobów naturalnych, red. nauk. Henk Folmer, Landis Gabel, Hans Opschoor, red. nauk. wyd. pol. Tomasz Żylicz, tłum. Tomasz Żylicz i inni, Warszawa [1995].

Proń Maria, *Wspomnienie o Marii z Aduckiewiczów Renardowej*, Warszawa 1995.

Jackowski Aleksander, *Sztuka zwana naiwną. Zarys encyklopedyczny twórczości w Polsce*, oprac. graf. Hubert Hilscher, Warszawa 1995.

1994

Bourke Vernon J., *Historia etyki*, Warszawa 1994.

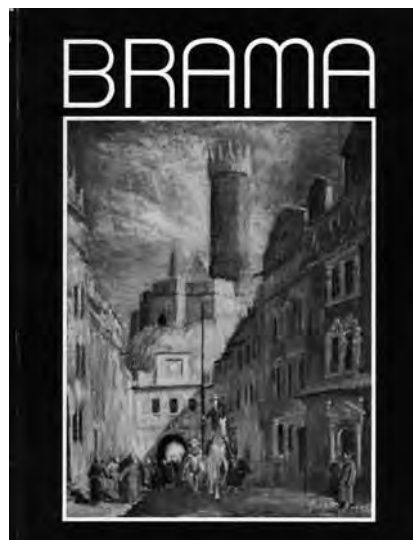
Braun-Gałkowska Maria, *W tę samą stronę. Książka dla nauczycieli o wychowaniu i lekcjach wychowawczych*, współpr. Małgorzata Fajkowska i inni, Warszawa 1994.

W tę samą stronę. Antologia tekstów dla nauczycieli i uczniów do lekcji wychowawczych, t. 1, wybór i oprac. Maria Braun-Gałkowska, Antonina Gutowska, Warszawa 1994.

W tę samą stronę. Antologia tekstów dla nauczycieli i uczniów do lekcji wychowawczych, t. 2, wybór i oprac. Maria Braun-Gałkowska, Antonina Gutowska, Warszawa 1994.

Maschler Ilana, *Moskiewski czas*, Warszawa 1994.

Mycielski Maciej, *Marcin Badeni [1751-1824]. Kariera kontuszowego ministra*, Warszawa 1994.



Okładka książki *Brama*. Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, [Warszawa 1998].

Janusz Krupski – bibliografia (wybór)

Teksty, których był autorem

Duma i zastanowienie, „Rzeczpospolita” nr 201, 2009, dodatek „Wojsko Niepodległej”, s. 6.

Jak doszło do „Spotkań”, „Rzeczpospolita” nr 127, 2003, dodatek „Bibula”, s. 7.

Ruch neofilarecki w latach 1903-1914, „Spotkania” nr 8, 1979, s. 79-84a.

Spotkania [wspomnienie o Wojciechu Chudym], „Ethos” nr 3/4, 2007, s. 244-246.

Topacz Janusz [pseud.], *O co chodzi?!*, „Spotkania” nr 1, 1977, s. 6-11.

Wspomnienie, w: *Księga Jubileuszowa 90-lecia Koła Naukowego Historyków Studentów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II*, red. Bartłomiej Proć, Andrzej Gładysz, Jacek Pożarowski, Lublin 2009, s. 59-65.

Wstęp, w: *Świadectwa stanu wojennego*, oprac. Antoni Dudek, Krzysztof Małdej, Warszawa 2006, s. 7-15.

Drukowane wypowiedzi

Być chrześcijaninem w społeczeństwie i państwie. Z Januszem Krupskim rozmawia Wojciech Chudy, „Ethos” nr 2-3, 1992, s. 247-263.

Kazali mi nie podskakiwać. Życie w konspirze, oprac. Ewa Zarzycka, „Gazeta Polska” nr 47, 2000, s. 9, 12-14.

Wypowiedzi podczas panelu dyskusyjnego *Funkcjonowanie drugiego obiegu wydawniczego*, w: *Co nam zostało z tych lat... Opozycja polityczna 1967-1980 z dzisiejszej perspektywy*, red. Jerzy Eisler, Warszawa 2003, s. 31-36, 67-70.

Wypowiedzi w artykule Wiesławy Grocholi *Słowo jak dynamit*, „Karta” nr 49, 2006, s. 85-86, 89.

Artykuły o nim

Anders Irena, *Wspomnienie o Ministrze Januszu Krupskim*, „Dziennik Polski”, wydanie specjalne: „W hołdzie ofiarom katastrofy Smoleńsk – Katyń 10.04.2010”, 10 maja 2010, s. 9.

Bartoszewski Władysław, [Janusza Krupskiego miałem szczęście poznać...], notował Mariusz Kubik, „Kombatant” nr 4, 2010, s. 17-19.

Bartoszewski Władysław, *Z Januszem Krupskim byłem szczególnie związany*, „Dziennik Polski”, wydanie specjalne: „W hołdzie ofiarom katastrofy Smoleńsk – Katyń 10.04.2010”, 10 maja 2010, s. 4.

Bazydło Janusz, *Wystąpienie podczas pogrzebu ministra Janusza Krupskiego*, *Cmentarz Powązkowski*, Warszawa, 26 kwietnia 2010, „Kombatant” nr 4, 2010, s. 14-15. Przedruk: *Siewca kwiatków św. Franciszka*, „Dziennik Polski”, wydanie specjalne: „W hołdzie ofiarom katastrofy Smoleńsk – Katyń 10.04.2010”, 10 maja 2010, s. 11.

Bielaszko Mirosław, Wilanowski Krzysztof, *Janusz Krupski (9 maja 1951 – 10 kwietnia 2010)*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej”, numer specjalny 112-113, 2010, s. 129-135.

Borusewicz Bogdan, *Wystąpienie po mszy św. żałobnej w kościele św. Marcina w Warszawie*, „Kombatant” nr 4, 2010, s. 14-15. Przedruk: *Wspomnienie o Januszu Krupskim*, „Dziennik Polski”, wydanie specjalne: „W hołdzie ofiarom katastrofy Smoleńsk – Katyń 10.04.2010”, 10 maja 2010, s. 3.

Chojcecki Mirosław, [Było lato 1977 r....], „Kombatant” nr 4, 2010, s. 20.

Chwiedź Tadeusz, [Tragedia naszego narodu...], „Kombatant” nr 4, 2010, s. 21.

Ciechanowski Jan Stanisław, *Przemówienie na pogrzebie ministra Janusza Krupskiego*, *Cmentarz Powązkowski*, Warszawa, 26 kwietnia 2010, „Kombatant” nr 4, 2010, s. 15-16.

Domagalski Włodzimierz, *Historia pewnego powielacza*, „Gazeta Polska” 2008, nr 30, s. 28.

Dudziński Witold, *To będą trudne święta*, „Niedziela” nr 52, 2010, s. 12-13.

Fedak Jolanta, *Przemówienie po mszy św. żałobnej w kościele św. Marcina w Warszawie*, 26 kwietnia 2010, „Kombatant” nr 4, 2010, s. 15.

Graczyk Roman, *Janusz Krupski 1951-2010*, *Tygodnik Powszechny* nr 16, 2010.

Instytut Polski i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego, *Ś.p. Janusz Krupski*, „Dziennik Polski”, wydanie specjalne: „W hołdzie ofiarom katastrofy Smoleńsk – Katyń 10.04.2010”, 10 maja 2010, s. 9.

Jurek Marek, *Był prawdziwym bohaterem narodowym*, „Dziennik Polski”, wydanie specjalne: „W hołdzie ofiarom katastrofy Smoleńsk – Katyń 10.04.2010”, 10 maja 2010, s. 9.

Kłoczowski Jerzy, [Był mi bardzo bliski od wielu lat...], „Kombatant” nr 4, 2010, s. 22-23.

KM, *Tablica w Grodzisku Mazowieckim*, „Kombatant” nr 11, 2010, s. 12.

Kowalski Jacek, *Krupska kontra państwo totalitarne*, „Wysokie Obcasy”

- nr 13, 2010, s. 10-17 (dodatek „Gazety Wyborczej” nr 73, 2010).
- Kowalski Jacek, *Pasażer lotu 101*, „Duży Format” nr 15, 2010, s. 10-12 (dodatek do „Gazety Wyborczej” nr 88, 2010).
- Matusz Józef, Młocka Matylda, Stróżyk Jarosław, *Legendarny drukarz opozycji*, „Rzeczpospolita” nr 89, 2010, s. A15.
- Mężydło Antoni, [Gdy zostałem posłem...], „Kombatant” nr 4, 2010, s. 24.
- Mężydło Antoni, *Janusz Krupski w mojej pamięci*, „Dziennik Polski”, wydanie specjalne: „W hołdzie ofiarom katastrofy Smoleńsk – Katyń 10.04.2010”, 10 maja 2010, s. 13.
- MŁ., *Janusz Krupski 1951-2010*, „Kombatant” nr 4, 2010, s. 9-10.
- Piłka Marian, *Pożegnanie Janusza Krupskiego*, „Nasz Dziennik” nr 87, 2010.
- PR, MS, *Janusz Krupski. Redaktor, wydawca, działacz państwowy*, „Gazeta Wyborcza. Lublin”, 12 kwietnia 2010, s. 3.
- RED., *Pożegnanie ministra Janusza Krupskiego*, „Kombatant” nr 4, 2010, s. 12-13.
- Sawicki Stefan, *O Januszu Krupskim – wspomnienie*, „Dziennik Polski”, wydanie specjalne: „W hołdzie ofiarom katastrofy Smoleńsk – Katyń 10.04.2010”, 10 maja 2010, s. 7.
- Sobieraj Maciej, *Człowiek służby*, „Ethos” nr 2-3, 2010, s. 301-310.
- Sobieraj Maciej, *Żegnaj Januszu*, „Dziennik Polski”, wydanie specjalne: „W hołdzie ofiarom katastrofy Smoleńsk – Katyń 10.04.2010”, 10 maja 2010, s. 15-16.
- W służbie dla Polski. Z dr. Stanisławem Janem Ciechanowskim p.o. Kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych rozmawia Jarosław Koźmiński*, „Dziennik Pol-
ski”, wydanie specjalne: „W hołdzie ofiarom katastrofy Smoleńsk – Katyń 10.04.2010”, 10 maja 2010, s. 5.
- Wiśniewska Grażyna, [Zaczęłam pracować w Urzędzie...], notowała Małgorzata Łętowska, „Kombatant” nr 4, 2010, s. 25.
- Wiśniewski Ludwik OP, *Wspomnienie o Januszu Krupskim. Był człowiekiem sumienia*, „Dziennik Polski”, wydanie specjalne: „W hołdzie ofiarom katastrofy Smoleńsk – Katyń 10.04.2010”, 10 maja 2010, s. 13.
- Woźniak Jerzy, [Opowiadanie o zmarłych, z którymi...], „Kombatant” nr 4, 2010, s. 24.
- Żaryn Jan, *Wiceprezes*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej”, numer specjalny 112-113, 2010, s. 127-128.
- Życiński Józef, abp, *Słowo o ś.p. Mini-strze Januszu Krupskim*, „Dziennik Polski”, wydanie specjalne: „W hołdzie ofiarom katastrofy Smoleńsk – Katyń 10.04.2010”, 10 maja 2010, s. 11.

Program Historia Mówiona

Program Historia Mówiona, realizowany w Ośrodku od 1998 roku, polega na rejestrowaniu, opracowywaniu oraz upowszechnianiu relacji dotyczących **Lublina i Lubelszczyzny** od dwudziestolecia międzywojennego do czasów współczesnych. Zebrane wspomnienia – od całych biografii po drobne szczegóły i wrażenia – budują obraz przeszłości miasta i regionu, zachowując go dla przyszłych pokoleń. Program prowadzony jest przez Pracownię Historii Mówionej – w jej archiwum znajdują się obecnie wspomnienia ponad **1200 osób**. To około 3500 godzin rozmów

nagranych w technice cyfrowej (audio i wideo).

Główne tematy poruszane w trakcie rozmów to: życie codzienne, szkolnictwo, wielokulturowość, II wojna światowa, Holocaust, stosunki polsko-żydowskie w okresie II wojny światowej, opozycja polityczna i niezależny ruch wydawniczy w PRL, życie kulturalne.

Relacje (w wersji tekstowej, audio oraz wideo) udostępniane są *online*. W internetowej Bazie Historii Mówionej (www.historiamowiona.tnn.pl) dostępnych jest obecnie około **4900 tematycznych fragmentów relacji** (w tym blisko 900 audio



Fragment historyjki obrazkowej o powstaniu historii mówionych. Autorka: Małgorzata Rybicka.

i około 30 wideo) dotyczących Lublina i 50 innych miejscowości regionu.

Relacje mówione stanowią integralny element portalu Ośrodka, gdzie wraz z tekstami, zdjęciami i reportażami radiowymi współtworzą opowieść o konkretnych miejscach, ludziach, wydarzeniach. Ponadto, zebrane opowieści stanowią inspirację i materiał do reportaży radiowych i prasowych, filmów dokumentalnych, publikacji książkowych, prac naukowych. Wykorzystywane są w przedsięwzięciach artystycznych i edukacyjnych.

W naszych zbiorach znajdują się wspomnienia wybitnych osób należących do świata kultury i nauki oraz działaczy opozycji politycznej sprzed 1989 roku. Można tutaj wymienić między innymi: prof. Tadeusza Baszyńskiego, Włodzimierza Borowskiego, Bogdana Borusewicza, prof. Tadeusza Chrzanowskiego, Edwarda Hartwiga, Julię Hartwig, Michała Hochmana, prof. Aleksandra Jackowskiego, prof. Jerzego Jedlickiego, prof. Jerzego Kło-

czowskiego, Janusza Krupskiego, Leszka Mądzika, Tadeusza Mysłowskiego, Sławę Przybylską, o. Ludwika Wiśniewskiego, prof. Jacka Woźniakowskiego.

Wśród wielu zgromadzonych relacji znajdują się także fragmenty dotyczące ważnych wydarzeń w naszym kraju, jak: powstanie warszawskie, pogrom kielecki, samospalenie Ryszarda Siwca w sierpniu 1968 roku.

W archiwum Pracowni Historii Mówionej znajdują się relacje w językach: niemieckim, angielskim, jidysz, hebrajskim, chachłackim.

Swoją wiedzą i doświadczeniem dzielimy się, organizując szkolenia, warsztaty i prezentacje w ramach **Szkoły Historii Mówionej**.

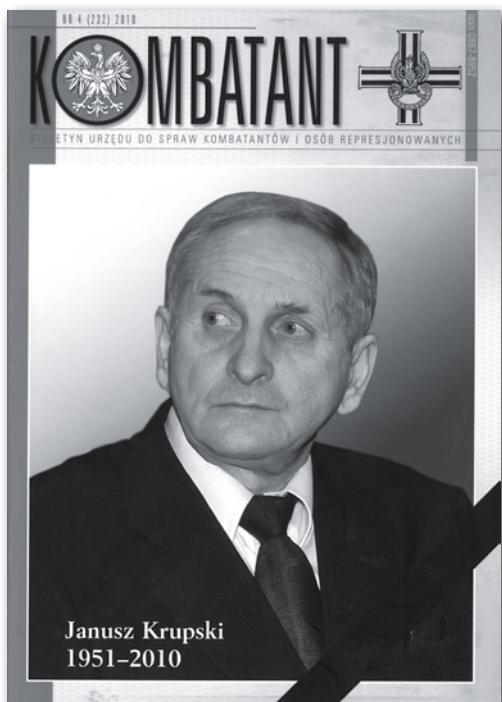
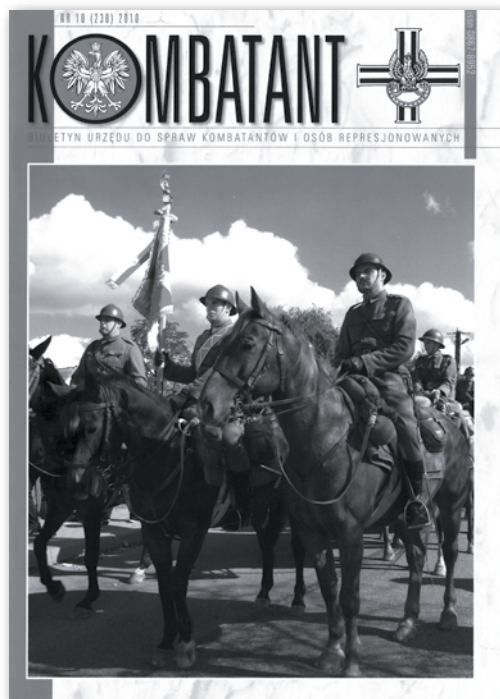
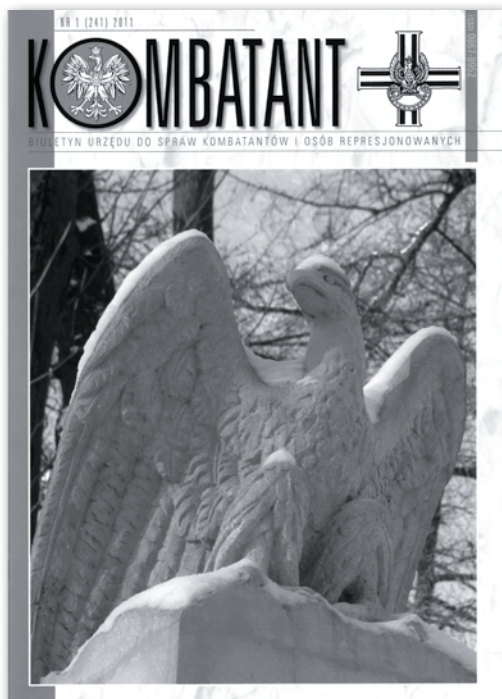
Zapraszamy instytucje, szkoły oraz osoby prywatne do współpracy.

Koordynator programu:

Tomasz Czajkowski

tomekcz@tnn.lublin.pl

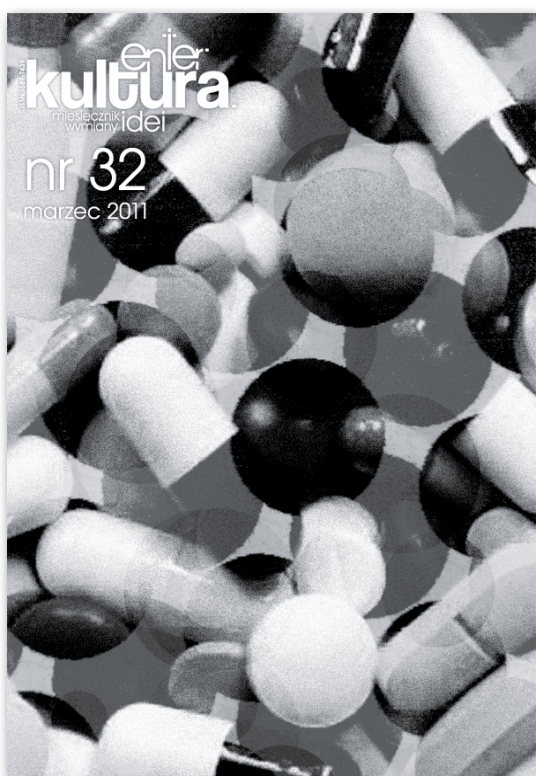
www.historiamowiona.tnn.pl



Biuletyn Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych „Kombatant” ukazuje się od 1990 roku. Miesięcznik zawiera materiały historyczne obejmujące szczególnie historię ostatniej wojny i okresu powojennego oraz dotyczące opozycji demokratycznej i „Solidarności”. Wśród autorów znaleźć można zarówno uczestników wydarzeń, jak i wybitnych historyków młodszych pokoleń. Cieszy się zainteresowaniem nie tylko kombatantów, ale i młodzieży zainteresowanej historią najnowszą. Od kilku lat szczególnie poszukiwany jest numer „powstańczy”, wydawany w przeddzień kolejnych rocznic Powstania Warszawskiego.

enter kultura.

miesięcznik wymiany idei



Wejdź i czytaj na <http://kulturaenter.pl/>

a

KWARTALNIK
POŚWIĘCONY
LITERATURZE,
SZTUCE I NAUKOM
HUMANISTYCZNYM

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



Żywo redagowany kwartalnik poświęcony literaturze i innym dziedzinom sztuki w kontekście najnowszych osiągnięć myśli humanistycznej. Dokumentuje współczesne najwybitniejsze dokonania artystyczne. Ukazuje się od 1980 roku w Lublinie.

Sprzedawany przez sieć „RUCH” S.A. i „Kolporter” S.A., także w większych księgarniach naukowych i literackich. Dostępny w prenumeracie. Sprzedaż za granicę prowadzi „Ars Polona”. Archiwalne numery „Akcentu” można uzyskać za pobraniem pocztowym w redakcji kwartalnika: „Akcent”, ul. Grodzka 3, III p., 20-112 Lublin, tel./fax (081) 532-74-69.

akcent_pismo@gazeta.pl

www.akcent.glt.pl

„Scriptores”. Pismo Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”

LUBLIN - DROGI DO WOLNOŚCI

S I Ł A W O L N E G O S Ł O W A

OŚRODEK
BRAMA
GRODZKA



TEATR NN

• LUDZIE • DRUKARNIE •
• WYDAWNICTWA • DRUGI OBIEG •
• SOLIDARNOŚĆ • STAN WOJENNY •

N³⁶
R

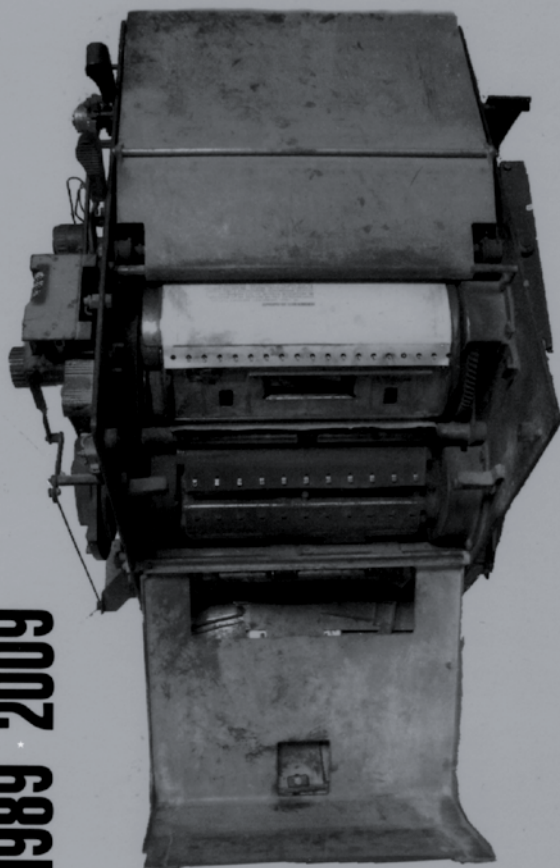

SCRIPTORES
OŚRODEK
BRAMA
GRODZKA
TEATR NN



4 CZERWCA

CENA 20 ZŁ (0% VAT) ISSN 1644-9444 NR INDEKSU 333 530

1989 2009





nr 27
Lublin



nr 28
Ścieżkami pamięci



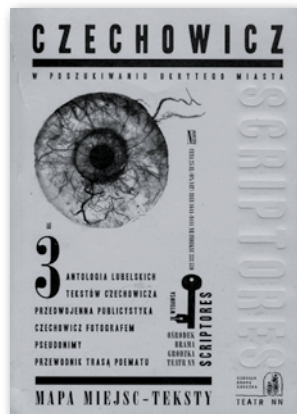
nr 29
Rozmowy o kulturze przestrzeni



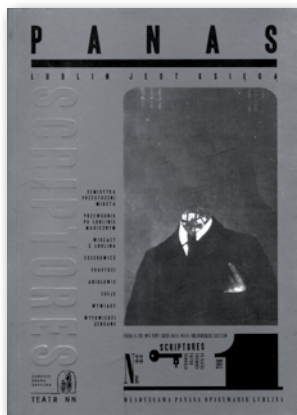
nr 30
Czechowicz. W poszukiwaniu ukrytego miasta. Tom I



nr 31
Czechowicz. W poszukiwaniu ukrytego miasta. Tom II



nr 32
Czechowicz. W poszukiwaniu ukrytego miasta. Tom III



nr 33
Panas. Lublin jest księgą. Tom I

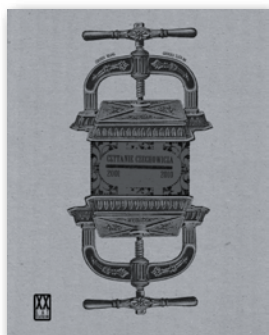


nr 35
Łobodowski

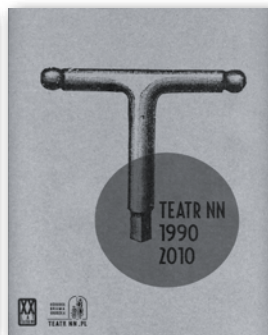


nr 37
Panas. Lublin jest księgą. Tom II

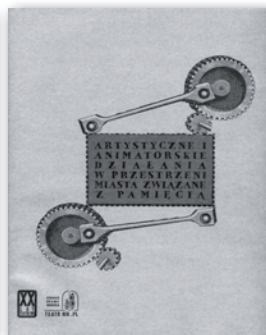
Wybrane wydawnictwa Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”



Czytanie Czechowicza 2001-2010



Teatr NN 1990-2010



Artystyczne i animatorskie działania w przestrzeni miasta związane z Pamięcią



Animacja sieci w programie Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”



Światła w ciemności. Sprawiedliwi wśród Narodów Świata. Relacje



Max Kirnberger. Fotografie getta

Nowa strona internetowa Ośrodka
www.teatrnn.pl